

**Nevil Shute**

## **Ostatni brzeg**

**(Przełożyła Zofia Kierszys)**

*W ostatnim miejscu naszych spotkań  
chodzimy po omacku razem  
i unikamy słów  
tu zgromadzeni na tym brzegu  
wezbranej rzeki...*

*Oto tak kończy się świat  
oto tak kończy się świat  
oto tak kończy się świat  
nie z hukiem tylko ze skowytem*

T.S. Eliot

## Rozdział pierwszy

Porucznik Peter Holmes z Australijskiej Królewskiej Marynarki Wojennej zbudził się o świcie. Dość długo leżał senny, rozmarzony miłym ciepłem śpiącej przy nim Mary, i patrzył, jak pierwszy blask australijskiego słońca rozjaśnia kretonowe zasłony w oknie. Kąt padania tego blasku pozwolił mu się zorientować, że dochodzi godzina piąta; lada chwila słońce zbudzi Jennifer, małą córeczkę, i trzeba będzie wstać, zacząć dzień. Na razie jednak pośpiechu nie ma; jeszcze trochę można poleżeć.

Zbudził się z uczuciem zadowolenia, chociaż w pierwszej chwili nie wiedział, dlaczego. Z powodu gwiazdki nie, bo święta Bożego Narodzenia przecież minęły. Jodełka w ogrodzie, którą ozdobił girlandami kolorowych żarówek, podłączonych przedłużaczem do kontaktu przy kominku w hallu, wyglądała jak miniatura wielkiej, oświetlonej choinki o milę dalej przed ratuszem w Falmouth. I w wieczór gwiazdkowy podejmowali mięsem pieczonym na rożnie kilkoro przyjaciół, przy czym zabawa była wyśmienita. Święta więc minęły i dzisiaj - myśl jego pracowała powoli - musi być czwartek, 27 grudnia. Poczuł, że skóra na plecach jeszcze go piecze po tym całym wczorajszym dniu na plaży i w żaglówce, gdy brał udział w wyścigach. Najmądrzej byłoby nawet na moment nie wkładać dziś koszuli. I nagle już w pełni odzyskał świadomość, uprzytomniając sobie, że oczywiście dzisiaj musi być całkowicie ubrany, i to w mundur. O godzinie jedenastej powinien stawić się w Ministerstwie Marynarki Wojennej w Melbourne. To chyba oznacza nominację, pierwsze zadanie od siedmiu miesięcy. Kto wie, czy nie na morzu, jeżeli szczęście dopisze, tam, dokąd coraz bardziej serce go ciągnie.

W każdym razie praca. Uradowany tą perspektywą, zasnął wieczorem i radość przetrwała noc. Od sierpnia, pomimo że otrzymał wtedy awans na porucznika, nie miał przydziału i wobec ogólnej sytuacji, jaka się wytworzyła, zrezygnował już z nadziei, że kiedykolwiek znowu będzie w służbie. Z ministerstwa dostawał jednak co miesiąc pełne pobory i Bogu za to dziękował.

Niemowlę się poruszyło, zaczęło gaworzyć i cichutko kwilić. Porucznik niemal

automatycznym ruchem ręki włączył czajnik elektryczny przygotowany na tacy z filiżankami do herbaty i butelką dziecka i wtedy Mary obudziła się także. Zapytała, która godzina. Powiedział i całując ją w policzek, dodał:

- Znów śliczny poranek. Usiadła, odgarnęła włosy z czoła.

- Strasznie spiekłam się wczoraj na słońcu. Jennifer nasmarowałam wieczorem maścią cynkową, ale nie wiem, czy jest sens znów z nią jechać dzisiaj na plażę. - I nagle ona też sobie przypomniała. - Och... Peter, dziś czwartek, masz być w Melbourne, prawda?

Przytaknął.

- A powinienem dziś właśnie posiedzieć w domu, w cieniu.

- Ja chyba się z domu nie ruszę.

Wstał i poszedł do łazienki. Gdy wrócił, Mary już nie leżała; dziecko siedziało na nocniczku, ona czesała się przed lustrem. Usiadł na brzegu łóżka w promieniu słońca i zaparzył herbatę. Mary powiedziała:

- Okropny upał będzie dziś w Melbourne, Peter. Może jednak pojedę z Jennifer do klubu około czwartej, a ty tam do nas przyjedziesz, żeby trochę popływać. Wzięłabym do przyczepki twoje kąpielówki.

W garażu stał ich nieduży samochód, ale odkąd ta krótka wojna się skończyła, to jest od roku, nie jeździli nim wcale. Peter Holmes jednak miał dobre pomysły i potrafił posługiwać się narzędziami, więc wykombinował zupełnie możliwy wehikuł zastępczy. W domu były dwa rowery, Mary i jego. Skonstruował do nich małą dwukołową przyczepkę, z którą mogli jeździć na zmianę i która służyła za wózek dla dziecka i bagażnik. Trudność sprawiała tylko długa jazda z Falmouth pod górę.

Skinął głową.

- To niezła myśl. Zostawię swój rower na stacji.

- Którym pociągiem musisz jechać?

- Dziewiąta pięć. - Łyknął trochę herbaty i spojrzał na zegarek. - Wypiję to i zaraz jadę po mleko.

Wkrótce potem, w szortach i koszulce gimnastycznej, wyszedł. Zajmowali na

wzgórzu nad miasteczkiem parter starego domu, podzielonego na mieszkania; im przypadł w tym podziale garaż, jak również spora część ogrodu i weranda. Na werandzie trzymali rowery z przyczepką. Logiczniej byłoby samochód zaparkować pod drzewami, żeby rowery stawiać w garażu, ale Peter nie mógł się na to zdobyć. Ten mały Morris był jego pierwszym w życiu własnym samochodem i pamiętał czasy zaręczyn z Mary. Pobrali się w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym, na sześć miesięcy przed wojną, przed rozłąką, nie tak wszakże nieskończenie długą, jak myśleli, gdy on odpływał w nieznaną australijskim okrętem Jej Królewskiej Mości. Rozpętała się raptownie ta oszałamiająco krótka wojna - wojna, której dziejów nikt nie spisał i nikt spisać już nie miał, i która natychmiast ogarniając całą półkulę północną tak samo raptownie się skończyła z ostatnim sejsmicznym wstrząsem po wybuchu bomby w trzydziestym siódmym dniu. Pod koniec trzeciego miesiąca Peter Holmes wrócił do Williamstown na pokładzie "Anzaca", goniącego resztką paliwa, gdy już mężowie stanu półkuli południowej zjechali się do Wellington w Nowej Zelandii, żeby omówić tę nową sytuację, w jakiej nagle znalazł się świat. Z Williamstown wrócił do Falmouth, do Mary i do swego samochodu Morris Minor. W zbiorniku zostały jeszcze trzy galony benzyny; zużył je nieopatrznie, tak jak i następne pięć kupione bez trudu na stacji benzynowej, zanim Australijczycy sobie uprzytomnili, że benzynę sprowadza się przecież z półkuli północnej.

Z werandy wyciągnął teraz rower na trawnik i przymocował do roweru przyczepkę; czekała go czteromilowa droga. Sam musiał *jeździć* po mleko i śmietanę, bo brak środków transportu uniemożliwiał dostarczanie nabiału z okolicznych farm do domów; masło już oboje się nauczyli ubijać za pomocą robota. Zjechał w dół szosą w ciepłym porannym słońcu, słuchając, jak w przyczepce z tyłu grzechoczą blaszanki, dumając z zadowoleniem o perspektywie pracy.

Bardzo słaby ruch panował na szosie. Środkiem wolno sunął pojazd, który kiedyś był samochodem, a teraz bez silnika i przedniej szyby stał się po prostu krytym wozem zaprzężonym w angusa. Po żwirze, skrajem asfaltu, przekłusowali ostrożnie dwaj jeźdźcy konni. Peter nie marzył nawet o koniu; te rzadkie, delikatne zwierzęta zmieniały ostatnio właścicieli za cenę co najmniej tysiąca funtów, więc nie stać go było na to, ale

czasem myślał, że przydałby się wół dla Mary. Morrisa można by łatwo przystosować do zaprzęgu, chociaż serce by się przy tym krajało.

Dojechał do farmy w ciągu pół godziny i poszedł prosto do mleczarni. Farmer, flegmatyczny dryblas, kulawy od czasu drugiej wojny światowej, był jego dobrym znajomym. Siedział teraz przy wirówce w cichym szumie silnika elektrycznego, gdy mleko spływało w jedną masielnicę, a śmietana w drugą.

- Dzień dobry, panie Paul - powiedział Peter. - Jak pan się czuje?

- Dobrze, panie Holmes. - Farmer wziął od niego bańkę i napełnił ją mlekiem z kadzi. - U państwa wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Jadę do Melbourne, do Ministerstwa Marynarki. Zdaje się, że nareszcie mają coś dla mnie do roboty.

- Och - powiedział farmer - wiesz. Takie czekanie z założonymi rękami może człowieka wymęczyć.

Peter przytaknął.

- Trochę mi to jednak skomplikuje sprawy, jeżeli mnie gdzieś wyślą. Ale Mary będzie przyjeżdżała po mleko, przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Farmer oświadczył:

- Dopóki pan nie wróci, o zapłatę nie potrzebujecie się państwo martwić. Więcej mam mleka, niż moje wszystkie świnie mogą wychłęptać, nawet kiedy taka susza. Wylałem wczoraj w nocy dwadzieścia galonów do rzeczki... no, bo jak je wywozę? Wygląda na to, że powinienem hodować więcej świń, tylko że już nie warto. Nie wiadomo, co robić...

Po chwili milczenia zauważył: - Niewygodnie tu będzie pani Holmes przyjeżdżać. Przy kim ona zostawi Jennifer?

- Chyba będzie ją wozila ze sobą.

- Ale i tak dla niej to niewygodnie. - Farmer wyszedł przed mleczarnię i w ciepłym słonecznym blasku popatrzył na rower Petera i przyczepkę. - Dobra taka rzecz - pochwalił. - Poręczniejszej nigdy dotąd nie widziałem. Pan ją sam zmajstrował?

- Sam.

- A skąd pan wziął te koła, jeżeli można zapytać?

- To koła motocyklowe. Kupiłem je na ulicy Elizabeth.

- Dałoby się tam jeszcze dostać dwa koła dla mnie?

- Spróbuję - obiecał Peter. - Może dostanę. Są lepsze niż te małe kółka... łatwiej ciągną. - I gdy farmer z uznaniem kiwał głową, dodał: - Ale ciężka sprawa je znaleźć. Ludzie nie chcą się pozbywać motocykli.

- Mówiłem żonie - rzekł farmer powoli - że gdybym miał taką małą przyczepkę, zrobiłoby się z tego coś w rodzaju fotelika i jak w rikszy jeździłaby wtedy ze mną do Falmouth po sprawunki. Strasznie nudno kobiecie siedzieć na takim odludziu w tych czasach - wyjaśnił. - To już nie to, co było przed wojną, kiedy zawsze mogła wziąć samochód i za dwadzieścia minut być w mieście. Wóz z wołem wlecze się trzy i pół godziny w jedną stronę i trzy i pół godziny z powrotem; to już całe siedem godzin na samą tylko jazdę. Żona starała się nauczyć jeździć na rowerze, ale żeby aż do miasta, to przecież nie dla niej, w jej wieku, i kiedy jeszcze jedno dziecko jest w drodze. Ja bym jej nie pozwolił. Ale gdybym miał taką przyczepkę, jak państwo macie, mógłbym żonę wozić do Falmouth dwa razy w tygodniu i przy okazji podrzucać mleko i śmietanę pani Holmes do domu... - Urwał. - Chciałbym to zrobić dla mojej starej - powiedział po chwili. - Ostatecznie wiadomo z radia, że już niedużo przed nami.

- Poszperam dziś w sklepach i zobaczę, jak jest z tymi kołami. Wszystko panu jedno, ile będą kosztowały?

- No pewnie - rzekł farmer. - Byleby to były dobre koła, żeby nie miał z nimi kłopotu. Dobre opony to najważniejsze... żeby wystarczyły do końca. Tak jak te pana.

- Rozejrzę się dzisiaj - jeszcze raz zapewnił go Peter.

- Nałóży pan przeze mnie drogi.

- Mogę tam podjechać tramwajem. To żadna fatyga. Bogu dzięki, węgla brunatnego nie brak.

Farmer odwrócił się w stronę nadal szumiącej wirówki.

- Właśnie. Marnie byśmy wyglądali, gdyby nie elektryczność. - Podsunął jedną z pustych masielnic pod strumień zbieranego mleka, zręcznie odpychając masielnicę już

napełnioną. - Niech mi pan powie, panie Holmes - zapytał - używa się dużych koparek do wydobywania tego węgla? Takich jak buldożery i temu podobne? - Peter skinął głową. - No to skąd oni biorą na to benzynę?

- Zainteresowałem się tym kiedyś - odrzekł Peter. - Na miejscu ją destylują z tego właśnie węgla brunatnego. Galon kosztuje około dwóch funtów.

- Niesłychane - farmer zamyślił się. - Już mi przyszło do głowy, że jeżeli oni tam mogą ją destylować dla siebie, mogliby też i nam trochę jej użyczyć. Ale za taką cenę to w praktyce raczej niemożliwe...

Peter zabrał bańki z mlekiem i śmietaną, ustawił je w przyczepce i wyruszył z powrotem do domu. Dojechał o pół do siódmej. Wziął prysznic, przebrał się w mundur, tak rzadko od czasu awansu wyciągany z szafy, szybko zjadł śniadanie, po czym znów na rowerze pędem zjechał ze wzgórza, chcąc zdążyć na pociąg ósma piętnaście i ewentualnie poszukać kół dla farmera w sklepach motocyklowych przed udaniem się do ministerstwa.

Rower zostawił w warsztacie, w którym dawniej zajmowano się jego samochodem. Teraz żadnych samochodów tu nie było. Na parkingu stały konie - wierzchowce urzędników i przedsiębiorców mieszkających za miastem; co chwila ktoś zajeżdżał w bryczesach i kurtce plastikowej, zostawiał swego rumaka i szedł na stację, żeby z biletem miesięcznym dalszą drogę do miejsca pracy odbyć pociągiem elektrycznym. Pompy benzynowe służyły za słupki do uwiązywania koni. Wieczorem każdy wracał i z tęczką przytroczoną do siodła jechał znów konno do domu. Dobrze się składało, że ruch w interesach słabł z dnia na dzień: pociąg pospieszny z miasta piąta trzy już skasowano, więc przeważnie wracali wszyscy po pracy pociągiem czwarta siedemnaście.

Przez cały czas tej jazdy Peter Holmes gubił się w domysłach na temat swego nowego przydziału; brak papieru spowodował, że nie wychodziła żadna z codziennych gazet i wiadomości dochodziły tylko przez radio. Australijska Królewska Marynarka Wojenna dysponowała ostatnio flotą bardzo małą. Z ogromnym nakładem kosztów i pracy siedem niedużych okrętów napędzanych benzyną przystosowano do napędzania



węgłem, przy czym rezultat był zgoła niezadowolający; prób uczynienia tego samego z lotniskowcem "Melbourne" zaniechano, gdy okazało się, że płynąłby nie dość szybko, by przy normalnej sile wiatru samoloty mogły na nim bezpiecznie lądować. Co więcej, zapasami paliwa dla lotnictwa należało gospodarować bardzo oszczędnie, więc programy szkoleniowe sprowadzały się faktycznie do niczego i wyglądało na to, że dalsze utrzymywanie lotnictwa marynarki wojennej jest zgoła bezcelowe. Peter nie słyszał o żadnych przesunięciach oficerów owych siedmiu trałowców i fregat wciąż jeszcze uzbrojonych. Przypuszczał, że może ktoś zachorował i trzeba go zastąpić albo może zdecydowano się ostatecznie zatrudniać oficerów na zmianę, żeby żaden nie odzwyczał się od morza. Za bardziej prawdopodobne uważał jednak to, że mu dadzą jakąś okropną pracę na wybrzeżu, pracę biurową w koszarach albo jeszcze nudniejszą w magazynach, w takim na przykład ponurym, przez Boga i ludzi opuszczonym miejscu, jak intendentura marynarki wojennej w Flinders. Czułby się głęboko rozczarowany, gdyby go nie odkomenderowano na okręt, a przecież tak byłoby lepiej. Na wybrzeżu mógłby nadal opiekować się Mary i dzieckiem, a czasu już zostało niewiele.

Jazda pociągiem do Melbourne trwała niecałą godzinę. Z dworca Peter wyszedł na przystanek tramwajowy. Tramwaj szcękając pędził bez żadnych przeszkód przez miasto, w którym poza tym nie było ruchu kołowego, więc Peter prawie zaraz wysiadł w dzielnicy, gdzie koncentrował się dawniej handel samochodami. Sklepy przeważnie były zamknięte, jeśli nie przejęły ich nieliczne większe firmy, próbujące jeszcze sprzedawać bezużyteczny, zapelniający wystawy towar. Spacerował przez jakiś czas w poszukiwaniu dwóch lekkich kół motocyklowych w dobrym stanie i w końcu kupił je, wprawdzie tej samej wielkości, ale wyprodukowane przez dwie różne fabryki, co komplikowało sprawę osi; miał nadzieję, że z tym sobie poradzi jedyny mechanik pozostały w warsztacie samochodowym w Falmouth.

Znów wszedł do tramwaju i z kołami związanymi sznurem pojechał do ministerstwa. W sekretariacie admirała zameldował się sekretarzowi. Ten młody porucznik-skarbnik już go znał.

- Dzień dobry, panie poruczniku - powiedział - admirał ma pańską nominację na

biurku. Chce wręczyć ją panu osobiście. Zamelduję, że pan już przyszedł.

Peter uniósł brwi. Wydało mu się to niezwykle, no ale w tej skarłalej marynarce wojennej wszystko zaczynało być jakieś udziwnione. Położył koła na biurku skarbnika, trochę niespokojnie obciągnął mundur, zdjął nitkę z klapy, wsunął czapkę pod pachę.

- Admirał prosi pana, panie poruczniku. Wmaszerował do gabinetu i stanął na baczność. Admirał siedząc przy biurku odpowiedział skinieniem głowy.

- Dzień dobry, poruczniku. Spocznij. Niech pan usiądzie.

Peter usiadł na krześle przed biurkiem. Admirał pochylił się ku niemu, poczęstował go papierosem ze swojej papierośnicy i podsunął mu płomyk zapalniczki.

- Od pewnego czasu nie ma pan zajęcia. Tak jest, panie admirale.

Admirał sam zapalił papierosa.

- No, mam przydział dla pana na okręt. Niestety, nie mogę dać panu dowództwa i nie mogę nawet odkomenderować pana na któryś z naszych okrętów. Mianuję pana oficerem łącznikowym na okręcie podwodnym Stanów Zjednoczonych "Skorpion". - Spojrzał bystro na porucznika. - O ile wiem, zna pan już kapitana Towersa.

- Tak jest, panie admirale.

Z kapitanem okrętu podwodnego "Skorpion" Peter w ciągu ostatnich miesięcy zetknął się parę razy. Był to spokojny, cichy człowiek mniej więcej trzydziestopięcioletni, pochodzący, o czym świadczył jego akcent, prawdopodobnie z Nowej Anglii. Znany też był Peterowi raport tego Amerykanina z czasów wojny. Kiedy wojna się zaczęła, "Skorpion", okręt podwodny o napędzie atomowym, patrolował obszar pomiędzy Kiska i Midway; kapitan w myśl zapieczętowanego rozkazu, który otworzył na dany sygnał, skierował się pod wodą z pełną szybkością w stronę Manili. Czwartego dnia gdzieś na północ od Iwo Jima, dokonując z głębokości peryskopowej - jak zwykle przy każdej wachcie w godzinach dnia - inspekcji pustego morza, stwierdził, że widoczność jest dziwnie słaba, wszystko jak gdyby przysłonięte kurzem; zobaczył też, że detektor na głowicy peryskopu wskazuje wysoki poziom promieniowania radioaktywnego. Usiłował przekazać meldunek o tym do Pearl Harbour, ale bez skutku; promieniowanie wzrastało w miarę, jak zbliżał się do Filipin. Też nocą nawiązał łączność z Dutch Harbour i

szyfrem przekazał meldunek do swego admirała, dowiedział się jednak, że przekazywanie wiadomości jest bardzo utrudnione i odpowiedzi żadnej nie otrzymał. W następną noc nie zdołał już nawiązać łączności z Dutch Harbour. Wykonując dalej swoje zadanie, wziął kurs okrężny, na północ od Luzon. W cieśninie Balintang stwierdził, że pyłu radioaktywnego jest bardzo wiele i że radioaktywność znacznie przekracza stopień, w którym zaczyna być niebezpieczna dla życia ludzkiego, przy czym siła wiatru wynosiła cztery do pięciu. Siódmego dnia wojny z wód zatoki patrzył przez peryskop na Manilę, wciąż jeszcze nie mając żadnych rozkazów. Skażenie powietrza było tu niższe, nadal jednak zabójcze; nie kwapił się więc ani do wynurzenia, ani do wyjścia na pomost nawigacyjny. Widoczność była niezła; przez peryskop widział całun dymu nad miastem, z czego wyciągnął wniosek, że nie dawniej niż parę dni temu musiała tu nastąpić co najmniej jedna eksplozja nuklearna. Na oddalonym o pięć mil wybrzeżu nie zobaczył żadnego ruchu. Posuwając się w stronę lądu głównym kanałem, którego głębokość, jak wynikało z mapy, dochodziła do dwunastu sążni, niespodziewanie osiadł na mieliźnie na głębokości peryskopowej; potwierdziło to jego wniosek. Wytłoczył wodę z balastów, wydostał się bez trudu i zawrócił na pełne morze.

Owej nocy nie udało mu się nawiązać łączności z żadną radiostacją amerykańską, z żadnym okrętem, który mógłby retransmitować jego sygnał. Wytłaczając wodę z balastów zużył wiele sprężonego powietrza, a świeżego w tych skażonych okolicach wolał nie nabierać. Ósmy już dzień okręt płynął pod wodą; załoga była nadal w niezłej formie, ale wskutek niepokoju o rodziny w kraju zaczynały się pojawiać stany nerwicowe. Nawiązał łączność z australijską radiostacją w Port Moresby na Nowej Gwincei; powiedziano mu, że warunki tam są normalne, nie da się jednak retransmitować jego sygnałów.

Uznał, że najlepiej będzie wziąć kurs na południe. Okrążył Luzon od północy i skierował się na wyspy Yap, gdzie były stacje kablowe pod kontrolą Stanów Zjednoczonych. Dotarł tam w trzy dni później. Stwierdzając, że stopień radioaktywności jest niski, właściwie normalny, wynurzył się na powierzchnię spokojnego morza, przewietrzył okręt, wypełnił zbiorniki i partiami zaczął wypuszczać załogę na mostek. Z ulgą zobaczył

jakiś krążownik amerykański. Z krążownika wskazano mu miejsce do zakotwiczenia i wysłano szalupę; dobił tam, całą załogę wypuścił na pokład i szalupą podpłynął do krążownika, żeby oddać się pod dowództwo kapitana, niejakiego Shawa. Od niego usłyszał po raz pierwszy o wojnie chińsko-rosyjskiej, która wybuchła w następstwie wojny pomiędzy Rosją i NATO, będącej rezultatem wojny izraelsko-arabskiej rozpoczętej przez Albanię. Dowiedział się, że zarówno Rosjanie, jak Chińczycy użyli bomb kobaltowych; wiadomości te nadeszły okrężną drogą z Australii, retransmitowane z Kenii. Krążownik czekał w Yap na zapowiedziane przybycie jakiegoś tankowca Stanów Zjednoczonych; czekał już od tygodnia, przez pięć ostatnich dni nie mogąc nawiązać żadnej łączności ze Stanami Zjednoczonymi. Kapitan Shaw miał akurat dosyć paliwa, żeby przy najoszczędniejszej szybkości doprowadzić okręt do Brisbane, ale już nie dalej.

Kapitan Towers pozostał w Yap sześć dni, w ciągu których wiadomości nadchodziły coraz gorsze, jakkolwiek skąpe. Nie było łączności z żadną radiostacją w Stanach Zjednoczonych i w Europie, ale przez dwa dni udawało się jeszcze odbierać dzienniki radiowe z Mexico City; komunikaty te były tragiczne. Potem radiostacja w Mexico City ucichła i mogli słyszeć tylko Panamę, Bogotę i Valparaiso, gdzie właściwie wcale nie wiadano, co się dzieje na północnym kontynencie. Nawiązali łączność z kilkoma okrętami Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych na południowym Pacyfiku, z których większość też została bez paliwa. Kapitan krążownika w Yap okazał się oficerem najstarszym spośród kapitanów tych wszystkich okrętów; on zdecydował, że trzeba przeprowadzić resztkę floty Stanów Zjednoczonych na wody Australii i oddać ją pod dowództwo australijskie. Zasygnalizował, że mają się wszyscy spotkać w Brisbane. Zebrało się tam po dwóch tygodniach jedenaście okrętów Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, bez paliwa i z bardzo znikomą nadzieją, że je uzyskają. To działo się przed rokiem; teraz jeszcze tam czekały.

Napęd nuklearny niezbędny dla okrętu podwodnego "Skorpion", na razie w Australii nieosiągalny, można było jednak przygotować. Jak się okazało, tylko ten jeden okręt na wodach australijskich przedstawiał sobą wartość operatywną, więc wysłano go do stoczni marynarki wojennej w najbliższym porcie ministerstwa, Williamstown pod

Melbourne. Był to w istocie jedyny w Australii okręt wart, żeby się nim zająć. Długo stał bezczynnie, gdy przygotowywano napęd atomowy, aż w końcu pół roku temu przywrócono mu pełną sprawność. Popłynął do Rio de Janeiro z dostawami paliwa dla jakiegoś innego amerykańskiego okrętu podwodnego, który się tam schronił, po czym wrócił do Melbourne w stanie wymagającym dość dużego remontu w stoczni.

Tyle Peter Holmes wiedział o kapitanie Towersie z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych i teraz w gabinecie admirała szybko to sobie przypomniał. Zaproponowane mu stanowisko było czymś nowym; swój rejs po wodach Ameryki Południowej "Skorpion" odbywał bez żadnego oficera łącznikowego z Australii. Przejęty troską o Mary i małą córeczkę, Peter zapytał:

- Na długo jestem tam przydzielony, panie admirale? Admirał wzruszył ramionami.

- Na rok, powiedzmy. Wydaje mi się, że to już ostatnie pana stanowisko, Holmes.

Młody człowiek powiedział:

- Wiem, panie admirale. Bardzo jestem wdzięczny za tę sposobność. - I po chwili wahania: - Czy przez cały czas okręt będzie na morzu? Mam żonę i dziecko. Życie teraz niełatwe w porównaniu z tym, jakie było dawniej, więc może być dosyć ciężko kobiecie samej w domu. i niedużo już przed nami.

Admirał skinął głową.

- Wszyscy jedziemy na tym samym wózku, oczywiście. Dlatego właśnie chciałem się z panem zobaczyć przed odkomenderowaniem na to stanowisko. Nie będę miał za złe, jeśli pan poprosi, żebym pana z tego zwolnił, ale w takim wypadku nie mogę robić panu nadziei na perspektywę dalszego zatrudnienia. Jeśli chodzi o czas pobytu na morzu, remont skończy się... - rzucił okiem na kalendarz - czwartego, to jest za tydzień... i wtedy okręt popłynie do Cairns, Port Moresby i Port Darwin, żeby wrócić do Williamstown z meldunkiem o tamtejszych warunkach. Kapitan Towers wyliczył, że ten rejs potrwa jedenaście dni. Potem planujemy rejs dłuższy, mniej więcej dwumiesięczny.

- Czy będzie jakaś przerwa między tymi dwoma rejsami, panie admirale?

- Myślę, że okręt pozostanie w stoczni chyba ze dwa tygodnie.

- I po tym drugim rejsie już nic w programie?

- Na razie nic.

Młody oficer siedział przez chwilę rozmyślając o kłopotach, jakie czekają Mary: o załatwianiu sprawunków, ewentualnych dolegliwościach córeczki, dostawach mleka. Teraz jest ciepło, nie trzeba rąbać drzewa na opał. Jeżeli drugi rejs zacznie się w połowie lutego, to on wróci do domu w połowie kwietnia, zanim zrobi się zimno. Gdyby ten rejs potrwał dłużej, może farmer będzie zaopatrywał Mary w drzewo... skoro już dostanie koła do przyczepki. Więc można śmiało odjechać, o ile sytuacja się nie pogorszy. Gdyby jednak zabrakło prądu elektrycznego albo gdyby skażenie radioaktywne rozszerzyło się na południe wcześniej, niż ci znawcy przewidują... Odpędził tę myśl od siebie.

Wiedział, że Mary byłaby wściekła, gdyby nie przyjął tej propozycji i zrezygnował z kariery. Bo Mary jest córką oficera marynarki, urodzoną i wychowaną w Southsea na południu Anglii; poznał ją na balu na pokładzie "Niestrudzonego", gdy odbywał służbę na morzu. Mary z pewnością by wolała, żeby nie zrezygnował z tego stanowiska...

Podniósł wzrok.

- Mogę popłynąć na oba te rejsy, panie admirale - oświadczył. - Czy po nich można by na nowo rozważyć tę sprawę? To znaczy... chcę przez to powiedzieć, że niełatwo układać plany naprzód... w domu... kiedy to się do nas tak zbliża.

Admirał zastanowił się. W tych okolicznościach prośba rozsądna ze strony człowieka żonatego od niedawna, mającego małe dziecko. Przypadek bez precedensu, gdyż stanowisk dla oficerów jest teraz bardzo mało, no, ale raczej było do przewidzenia, że ten oficer nie zgodzi się pełnić służby na wodach pozaaustralijskich w ostatnich miesiącach przed... Skinął głową:

To mogę zrobić dla pana, Holmes - powiedział. - Przydzielam panu stanowisko na pięć miesięcy, do trzydziestego pierwszego maja. Po powrocie z drugiego rejsu zamelduje się pan u mnie.

- Rozkaz, panie admirale.

- Na "Skorpion" zgłosi się pan we wtorek, w dzień Nowego Roku. Jeśli pan zaczeka piętnaście minut w sekretariacie, dostanie pan list do kapitana. Ten okręt jest w Williamstown przy lotniskowcu "Sydney", który jest teraz jego okrętem-matką.

- Wiem, panie admirale. Admirał wstał.

- Dobrze, poruczniku. - Wyciągnął rękę. - Powodzenia na stanowisku. Uścisnęli sobie dłonie.

- Dziękuję, panie admirale - rzekł Peter - że pomyślał pan o mnie. - Wychodząc z gabinetu zatrzymał się przed drzwiami. - Może kapitan Towers jest dzisiaj na pokładzie? - zapytał. - Skoro już przyjechałem do miasta, mógłbym tam skoczyć i pokazać mu się, i może obejrzeć ten okręt. Wolałbym to zrobić, zanim zgłoszę się oficjalnie.

- O ile wiem, jest tam - powiedział admirał. - Można zatelefonować na lotniskowiec... niech pan poprosi mojego sekretarza. - Zerknął na zegarek. - Sprzed głównej bramy o pół do dwunastej odjeżdża nasz autobus. Jeszcze pan zdąży go złapać.

W dwadzieścia minut później Peter Holmes siedział przy kierowcy w ciężarówce elektrycznej, która pełniła rolę autobusu, regularnie kursującego do Williamstown i z powrotem, bardzo chyżo na tych pustych miejskich jezdniach. Dawniej przywożono nią towary jednego z wielkich sklepów w Melbourne: po wojnie została zarekwirowana i pomalowana na wojskowy kolor ochronny. Nie napotykając żadnych przeszkód wobec zupełnego braku ruchu kołowego, robiła dwadzieścia mil na godzinę. Dojechała do stoczni w południe i Peter poszedł na molo, tam gdzie stał unieruchomiony lotniskowiec "Sydney". Wkroczył na pokład i skierował się do pomieszczeń oficerskich.

Ze dwunastu oficerów zastał w wielkiej mesie; sześciu z nich miało amerykańskie mundury robocze z gabardyny koloru khaki. Kapitan "Skorpiona" też tam był; z uśmiechem ruszył na powitanie Petera.

- No, poruczniku. Bardzo się cieszę, że pan przyjechał.

- Spodziewałem się, panie kapitanie, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu. Otrzymałem rozkaz zgłoszenia się we wtorek. Ale ponieważ byłem w ministerstwie, przyszło mi na myśl, że może nie będę przeszkadzał, jeżeli przyjadę do was zjeść obiad i rozejrzeć się po pańskim okręcie.

- Bardzo proszę - rzekł kapitan Towers. - Z radością dowiedziałem się od admirała Grimwade'a, że przydziela do nas pana. Chciałbym, żeby poznał pan naszych oficerów. - Odwrócił się do Amerykanów. - Mój zastępca, pan Farrell, i mój inżynier, pan Lundgren. -

Uśmiechnął się. - Tylko wysoko kwalifikowani inżynierowie mogą dawać sobie radę z naszymi silnikami. To jest pan Benson, pan O'Doherty i pan Hirsch. - Młodzi oficerowie uklonili się dość niezgrabnie. Kapitan zapytał Petera: - Napije się pan przed obiadem, poruczniku?

Australijczyk odpowiedział:

- Och... dziękuję, bardzo chętnie. Proszę o gin z angielską gorzką. Ilu oficerów ma pan na "Skorpionie", panie kapitanie?

Naciskając guzik dzwonka, kapitan poinformował:

- Jedenastu, wszystkich razem. To oczywiście okręt podwodny, co się zowie; i mamy czterech mechaników.

- Musi być dużo miejsca na kwatery.

Trochę nam ciasno, kiedy siedzimy wszyscy razem, ale w okrętach podwodnych często tak bywa. Dla pana jednak, poruczniku, jakaś koja się znajdzie.

- Cała dla mnie, czy będę miał współnika? - z uśmiechem zapytał Peter.

Kapitana nieco zgorszyło to przypuszczenie.

- No, jakżeż? Każdy oficer, każdy marynarz na "Skorpionie" ma miejsce wyłącznie dla siebie.

Wezwany dzwonkiem zjawił się steward. Kapitan polecił:

- Jeden gin z angielską gorzką i sześć oranżad. Peter, zakłopotany, miał chęć kopnąć się za swój nietakt. Zatrzymał stewarda.

- U was na okrętach się nie pije, panie kapitanie?

- Nie. Wuj Sam tego nie lubi. Ale bardzo proszę. To przecież jest okręt brytyjski.

- Wolałbym się zastosować, jeżeli pan pozwoli - rzekł Peter i zwrócił się do stewarda: - Siedem oranżad.

- Jak siedem, to siedem - potwierdził kapitan niedbale. Steward odszedł. - W niektórych marynarkach wojennych piją, w innych nie piją - zauważył kapitan. - Ale nie wydaje mi się, żeby to miało jakikolwiek wpływ na wynik ostateczny.

Zjedli obiad na lotniskowcu - dwunastu oficerów przy końcu jednego z długich pustych stołów. Potem zeszli do przycumowanego "Skorpiona". Był to największy okręt



podwodny, jaki Peter Holmes dotychczas widział – okręt o wyporności około sześciu tysięcy ton, z turbinami o napędzie atomowym i mocy znacznie powyżej dziesięciu tysięcy koni mechanicznych. Załoga, oprócz jedenastu oficerów, liczyła prawie siedemdziesięciu podoficerów i marynarzy. Wszyscy jadali i sypiali wśród labiryntów rur i kabli, jak zawsze na łodziach podwodnych, ale ta była wyjątkowo dobrze wyposażona, z uwzględnieniem warunków tropikalnych: miała odpowiednie urządzenia klimatyzacyjne i bardzo dużą chłodnię. Peter Holmes, który nigdy jeszcze nie pływał na okrętach podwodnych, nie potrafił ocenić zalet technicznych "Skorpiona", ale kapitan zwrócił mu uwagę na prosty mechanizm przyrządów do sterowania i stosunkowo dużą zwrotność, pomimo znacznej długości kadłuba.

Większość uzbrojenia usunięto w czasie remontu, pozostawiając tylko dwie wyrzutnie torped. Dzięki temu zrobiło się więcej miejsca na kwatery i w maszynowni, po usunięciu wyrzutni i torped z rufy warunki pracy mechaników znacznie się poprawiły. W tej części okrętu Peter spędził całą godzinę z inżynierem, porucznikiem Lundgrenem. Po raz pierwszy znalazł się na okręcie o napędzie atomowym, więc niejedno z licznych urządzeń ochronnych było dla niego nowością. Potrzebował też sporo czasu na to, by zrozumieć system krążenia ciekłego sodu, pobierającego ciepło z reaktora, system różnych wymienników cieplnych i cykliczny system doprowadzania helu do dwóch bliźniaczych szybkoobrotowych turbin, które poruszały okręt za pomocą olbrzymich reduktorów, znacznie większych i bardziej czułych niż wszystkie inne elementy tego urządzenia napędowego.

W końcu wrócił do malutkiej kajuty kapitana. Kapitan zadzwonił na swego kolorowego stewarda, polecił przynieść dwie kawy i opuścił dla Petera składane siedzenie.

- Dobrze pan się przyjrzał silnikom? - zapytał. Australijczyk przytaknął.

- Nie jestem inżynierem - powiedział. - To na ogół wykracza poza moją zdolność pojmowania, ale jest bardzo ciekawe. Dużo one panu sprawiają kłopotu?

- Jak dotąd pracują bez uchybień. Niewiele można poradzić na morzu, kiedy zaczynają szwankować. Można tylko mieć nadzieję, że nie przestaną się kręcić.

Steward podał kawę. Zaczęli popijać w milczeniu.

- Dostałem rozkaz zameldowania się u pana we wtorek - rzekł po chwili Peter. - O której godzinie mam tu być, panie kapitanie?

- Wypływamy we wtorek na próbę - powiedział kapitan. - Albo może w środę, ale nie sądzę, bo to już byłoby dość późno. W poniedziałek ładujemy zapasy i załoga wchodzi na pokład.

- Więc może lepiej, żebym zameldował się w poniedziałek - podsunął Australijczyk. - Przed południem.

- Może i lepiej - zgodził się kapitan. - Chyba jednak wypłyniemy we wtorek w południe. Powiedziałem admirałowi, że chciałbym dla zaprawy odbyć krótki rejs po Cieśninie Bassa i wrócić, powiedzmy, w piątek w stanie gotowości operacyjnej. Więc gdyby mógł pan być na pokładzie w poniedziałek przed południem, bardzo by mi to odpowiadało.

- Nie przydałbym się panu do czegoś jeszcze przed poniedziałkiem? Przyjechałbym w sobotę, jeżeli mógłbym w czymś pomóc...

- Serdecznie dziękuję, poruczniku, ale to niepotrzebne. Połowa załogi już na urlopie, drugą połowę wypuszczam na sobotę i niedzielę za przepustkami jutro w południe. Nie będzie tu nikogo oprócz jednego oficera i sześciu marynarzy na wachcie. Tak. W poniedziałek przed południem wystarczy. - Spojrzał badawczo na Petera. - Nikt panu nie mówił, co właściwie mamy robić?

Australijczyk zdumiał się ogromnie.

- Panu nie powiedziano, panie kapitanie? Amerykanin parsknął śmiechem.

- Ani słowa. Mam wrażenie, że ostatnim człowiekiem, który dowiaduje się treści rozkazu, jest kapitan.

- Admirał wezwał mnie w sprawie tego mojego stanowiska - rzekł Peter. - Mówił, że to ma być rejs do Cairns, Port Moresby i Port Darwin, który potrwa jedenaście dni.

- Wasz kapitan Nixon z departamentu operacji pytał mnie, jak długo to potrwa - zauważył kapitan. - Ale żadnego rozkazu jeszcze nie dostałem.

- Admirał mówił dziś, że po tym rejsie będzie drugi, znacznie dłuższy, który potrwa

około dwóch miesięcy.

Kapitan Towers znieruchomiał z filiżanką w ręce.

- To dla mnie coś nowego - powiedział. - Czy mówił też, dokąd?

Peter potrząsnął głową.

- Tylko tyle, że to potrwa około dwóch miesięcy. Zapanowało milczenie. Po chwili Amerykanin uśmiechnął się.

- Myślę, że gdyby tu ktoś zajął o północy, zobaczyłby, jak na tę mapę nanoszę swoje przypuszczenia. Dziś i jutro, i pojutrze.

Australijczyk uznał, że wypada nadać rozmowie ton lżejszy.

- Nie wyjeżdża pan na weekend? - zapytał.

- Nie - odrzekł kapitan. - Będę siedział tutaj. Może tylko na parę godzin wybiorę się do miasta, do kina.

Wydawało się, że tego rodzaju plan na weekend, gdy się jest cudzoziemcem w obcym kraju, daleko od ojczyzny, może wpędzić każdego w ciężką melancholię.

- Nie zechciałby pan przyjechać do Falmouth na dwie doby, panie kapitanie? Mamy pokój gościnny. Kiedy jest taka ładna pogoda, spędzamy czas przeważnie w klubie żeglarskim, pływamy, żeglujemy. Moja żona się ucieszy, jeżeli pan przyjedzie.

- Bardzo to miło z pana strony - rzekł kapitan w zadumie.

Wypił jeszcze jedną filiżankę kawy, rozważając to zaproszenie. Ludzie z półkuli północnej rzadko teraz czuli się dobrze wśród ludzi z półkuli południowej. Zbyt wiele ich dzieliło po przeżyciu w tak różny sposób tej wojny. Nieznośna litość wytwarzała nieprzebytą barierę. Znał to dobrze. Co więcej, wiedział, że i ten Australijczyk, chociaż go zaprosił, zdaje sobie z tego sprawę. Chciał jednak lepiej poznać Petera Holmesa. Skoro odtąd z dowództwem marynarki wojennej będzie komunikował się za pośrednictwem tego oficera łącznikowego, nie zaszkodzi wiedzieć, co to za człowiek; ten wzgląd przemawia za odwiedzinami w domu. I taka zmiana będzie chyba pewnym odprężeniem po tej nędznej bezczynności, która nęka go od kilku miesięcy; jakkolwiek mu będzie u tych ludzi nieswojo, może to lepsze niż koniec tygodnia wśród rezonujących echem ścian pustego lotniskowca w towarzystwie jedynie własnych myśli i wspomnień.

Uśmiechnął się blado, odstawiając filiżankę. Chociaż głupawe to odwiedziny, jeszcze bardziej głupawo byłoby odrzucić tę pełną dobrych intencji propozycję.

- Ale czy na pewno nie sprawi to kłopotu pańskiej żonie? - zapytał. - Przecież w domu jest małe dziecko.

Peter potrząsnął głową.

- Będzie jej przyjemnie - powiedział. - Jakaś rozmaitość dla niej. Ona teraz, w tej obecnej sytuacji, nie widuje często nowych twarzy. Dziecko, oczywiście, też krępuje.

- Z przyjemnością przyjadę na jeden dzień - rzekł Amerykanin. - Jutro muszę być tutaj, ale chętnie bym popływał w sobotę. Odpowiadałoby państwu, gdybym przyjechał pociągiem w sobotę rano? Z tym że muszę wrócić w niedzielę.

- Wyjadę po pana na stację.

Omówili rozkład pociągów. Później Peter zapytał: - Jeździ pan na rowerze? - Kapitan przytaknął. - Więc zabiorę ze sobą drugi rower. Od stacji do nas dwie mile.

Kapitan powiedział:

- Doskonale.

Czerwony Oldsmobile był już rozwiewającym się snem. Zaledwie przed piętnastoma miesiącami kapitan Towers siedział w nim przy kierownicy jadąc na lotnisko, a teraz niemal nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała tablica rozdzielcza, z której strony miał dźwignię do przesuwania siedzenia. Przypuszczał, że ten samochód wciąż jeszcze stoi w garażu przy jego domu w stanie Connecticut, nienaruszony, być może, razem z tym wszystkim, o czym już nauczył się nie myśleć. Trzeba żyć w nowym świecie, w miarę możliwości zapomnieć o świecie dawnym; teraz są rowery na stacji kolejowej w Australii.

Peter wyszedł z lotniskowca dość wcześnie, żeby odjechać z Williamstown tą ciężarówką, kursującą pomiędzy stoczną i Ministerstwem Marynarki Wojennej; wrócił do ministerstwa, zabrał pismo ze swoją nominacją i koła dla farmera, po czym tramwajem pojechał na dworzec. Wysiadł z pociągu w Falmouth przed godziną szóstą, zawiesił w sposób jak najbardziej dla siebie niewygodny, oba koła na kierownicy roweru i mozolnie, ciężko popedałował pod górę do domu. Gdy dotarł tam w pół godziny później, pocąc się

obficie, bo upał wciąż był niemiłosierny, Mary, chłodna i świeża w letniej sukience wśród orzeźwiającego szmeru wody z gumowego węża, polewała trawnik.

Wybiegła mu naprzeciw.

- Och, Peter, tak się zgrzałeś! - wykrzyknęła. - Widzę, że dostałeś te koła.

- Owszem. Przykro mi, że nie zdążyłem przyjechać na plażę.

- Domyśliłam się, że cię zatrzymali. Wróciliśmy do domu około pół do szóstej. Co z twoją nominacją?

- To długa historia - odpowiedział. Wciągnął rower i koła na werandę. - Opowiem ci, ale przedtem chciałbym pójść pod prysznic.

- Dobrze czy źle? - zapytała.

- Dobrze - odpowiedział. - Na morzu do kwietnia. Potem już nic.

- Peter - ucieszyła się. - To wręcz wspaniale. Weź prędko ten prysznic, ochłodź się i wszystko mi opowiedz. Wyniosę leżaki. I jest butelka piwa w lodówce.

Po piętnastu minutach już odświeżony, w sportowej koszuli z rozpiętym kołnierzem, usiadł w cieniu i popijając chłodne piwo opowiedział jej wszystko po kolei. Na zakończenie zapytał:

- Czy ty w ogóle zetknęłaś się już gdzieś z kapitanem Towersem?

- Ja nie - odrzekła potrząsając głową. - Jane Freeman poznała ich wszystkich w czasie tej zabawy na "Sydney". Powiedziała, że on jest dość sympatyczny. Ale jak ci będzie pod jego rozkazami?

- Dobrze chyba - odrzekł. - Facet zna się na rzeczy. Z początku będzie mi trochę nijako na amerykańskim okręcie. Ale muszę przyznać, że mi się spodobali. - Parsknął śmiechem. - Od razu się naraziłem, bo poprosiłem o gin zakropiony gorzką. - Opowiedział jej o tym.

Przytaknęła.

- To właśnie mówiła Jane. Oni piją na lądzie, ale nigdy na okręcie. Chyba w ogóle nie piją w mundurach. Mieli tam jakiś cocktail owocowy, soczek w sumie raczej smętny. A wszyscy inni upijali się, że ojej.

- Zaprosiłem go na weekend - oznajmił. - Przyjedzie w sobotę rano.

Patrzyła przerażona.

- On? Kapitan Towers?

- Wypadalo mi go zaprosić. Będzie czuł się u nas dobrze.

- Och, Peter, na pewno nie. Oni nigdy nie czują się dobrze. To zbyt bolesne dla nich... bywanie w domach rodzinnych.

Spróbował ją uspokoić.

- Ten nie jest taki. Znacznie starszy przede wszystkim. Naprawdę, będzie czuł się zupełnie dobrze.

Tak samo myślałeś o tym dowódcy eskadry RAF - odparowała. - No, wiesz... już nie pamiętam, jak się nazywał. Ten, który płakał.

Nie lubił, gdy przypominała mu tamten wieczór.

- Wiem, że to ciężkie dla nich - powiedział. - Tak wchodzić do cudzego domu, gdzie jest dziecko i wszystko. Ale naprawdę z tym facetem będzie inaczej.

Chcąc nie chcąc, ustąpiła.

- Długo on u nas zostanie?

- Tylko przez jedną noc. Mówił, że musi wrócić na "Skorpiona" w niedzielę.

- Jeżeli to tylko jedna noc, nie powinno być tak fatalnie... - Ze zmarszczonymi brwiami zastanawiała się przez chwilę. - Grunt to znaleźć mu mnóstwo do roboty. Żeby przez cały czas był zajęty. Nie może być momentu nudy. To był właśnie nasz błąd wobec tamtego gościa z RAF-u. Co ten lubi robić?

- Pływać - powiedział jej. - Chce sobie popływać.

- A żeglarstwo? W sobotę są wyścigi.

- Nie pytałem go. Przypuszczam, że to także lubi. Wygląda mi na takiego.

Napiła się piwa.

- Moglibyśmy zabrać go do kina - rozważała głośno.

- Jaki film idzie?

- Nie wiem. Ale to naprawdę nieistotne, bo przecież chcemy tylko, żeby wciąż był zajęty.

- Mogłoby jednak być niedobrze, gdyby to był film o Ameryce - zwrócił jej uwagę. -

Gdybyśmy akurat trafili na jakiś nakręcony w jego stronach rodzinnych.

Znów popatrzyła na niego z przerażeniem.

- To byloby *straszne*. Skąd on pochodzi, Peter? Z której części Stanów?

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Nie pytałem go.

- O Boże! Cos musimy z nim robić wieczorem, Peter. Film brytyjski byłby najbezpieczniejszy, cóż, kiedy nie wiadomo, czy to właśnie będzie brytyjski.

- Moglibyśmy zaprosić jeszcze parę osób - podsunął.

- Nawet trzeba, jeżeli to nie film brytyjski. W każdym razie myślę, że to najlepsze wyjście. - Podumała chwilę.

- On był żonaty? - zapytała. - Nie wiesz?

- Nie wiem. Przypuszczam, że tak.

- Moira Davidson mogłaby przyjechać, żeby nam pomóc - dumiała dalej Mary. - Jeżeli nie ma jakichś innych planów.

- Jeżeli nie będzie pijana - zauważył.

- Nie zawsze przecież jest - rzekła Mary. - W każdym razie rozruszałaby towarzystwo.

Zastanowił się nad tym.

- Niezły pomysł - powiedział. - Wyjaśniłbym jej od razu, w czym rzecz. Nie może być momentu nudy. - I po chwili dodał roztropnie: - Ani w łóżku, ani nie w łóżku.

- Ona nie aż tak. Tylko stwarza pozory. Uśmiechnął się szeroko.

- Niech ci będzie.

Tegoż wieczora zatelefonowali do Moiry Davidson i przedstawili jej swój projekt.

- Peterowi wypadło go zaprosić - powiedziała Mary.

- Rozumiesz, to jego nowy kapitan. Ale ty wiesz, jacy oni są i jak się czują u ludzi w domach, gdzie są dzieci i pachną pieluszki, i butelka z papką stoi w rondlu z gorącą wodą, i w ogóle. Więc uznaliśmy, że trzeba trochę posprzątać i pochować to wszystko, i postarać się, żeby mu było wesoło... przez cały czas, rozumiesz. No, ale ja przy Jennifer niewiele mogę zdziałać. Więc czy mogłabyś przyjechać i pomóc nam, kochanie?

Niestety, to *oznacza* dla ciebie łóżko polowe w hallu albo na werandzie, jeżeli będziesz

wolała. Ale to tylko na sobotę i niedzielę. Trzeba dbać, żeby on był zajęty przez cały czas bez przerwy. Nie może być momentu nudy. W sobotę wieczorem urządzimy przyjęcie, ściągniemy kilka osób.

- Brzmi to wszystko raczej ponuro - oświadczyła panna Davidson. - Powiedz, to jakiś okropny mazgaj? Zacznie mi szlochać w objęciach i mówić, że jestem kubek w kubek jak jego nieboszczka żona? Niektórzy z nich tak robią.

- Możliwe, że on też - niepewnie rzekła Mary. - Nie wiem, bo nawet go nie widziałam. Poczekaj chwileczkę, zapytani Petera. - Wróciła do telefonu. - Moira? Peter mówi, że on prawdopodobnie zacznie tobą poniewierać, kiedy będzie miał w czubie.

- To już wolę - stwierdziła panna Davidson. - Dobrze, przyjadę w sobotę rano. Ach, prawda... skończyłam z ginem.

- Skończyłaś z ginem?

- Gin przeżera wnętrzności. Przepala jelita, powoduje wrzody. Za każdym razem czułam to rano. Więc odstawiłam gin. Piję teraz koniak. Ze sześć butelek, myślę... na ten weekend. Koniaku można wypić mnóstwo.

Rano w sobotę Peter Holmes popedałował na rowerze do Falmouth. Z Moira spotkał się przed stacją. Moira Davidson, smukła dziewczyna o prostych jasnych włosach i białej cerze, była córką hodowcy bydła, właściciela niewielkiej posiadłości, zwanej Harkaway w pobliżu Berwick. Zajechała przed stację bardzo eleganckim czterokołowym wózkiem, nabytym rok temu w jakimś składzie starzyzny i za spore pieniądze odrestaurowanym, zaprzężonym teraz w ładną, pełną animuszu siwą klacz. Miała na sobie jaskrawoczerwone spodnie i tego samego koloru koszulę, przy czym nawet odcień pomadki na jej ustach i lakieru na paznokciach rąk i nóg idealnie z tą czerwienią harmonizował. Pomachała Peterowi ręką już z daleka i patrzyła, jak podchodzi do klaczy i uwiązuje lejce luźno przy poręczy, wzdłuż której kiedyś przesuwali się pasażerowie wsiadając do autobusów.

- Dzień dobry, Peter - powiedziała. - Facet jeszcze się nie pokazał?

- Przyjedzie teraz tym pociągiem - odpowiedział. - O której wystartowałaś z domu?



- O ósmej. Upiorne.

- Śniadanie jadłaś? Skinęła głową.

- Piłam koniak. Napiję się jeszcze, zanim znów wsiądę do tej furmanki.

Zaniepokoiła go.

- Nie miałaś nic do jedzenia?

- Do jedzenia? Łajka na boczku i te wszystkie paskudztwa? Chłopaczku drogi, u Syme'ów była wczoraj zabawa, zemdliliby mnie od tego.

Razem poszli na peron.

- O której położyłaś się spać? - zapytał.

- Około pół do trzeciej.

- Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz. Ja bym nie mógł.

- A ja mogę. Dopóki tylko będę musiała, a to przecież nie potrwa już tak długo.

Czy nie szkoda marnować czasu na sen? - Roześmiała się trochę piskliwie. - Po prostu nie ma.

Nie odpowiedział, bo właściwie miała rację, chociaż on podchodził do tego inaczej. Stali czekając, dopóki pociąg nie nadjechał i nie wysiadł kapitan Towers. Był ubrany po cywilnemu w popielatą marynarkę i płowe drelichowe spodnie, w stylu na tyle amerykańskim, że wyróżniał się w tym tłumie.

Peter Holmes przedstawił go Moirze. Gdy ruszyli ku wyjściu ze stacji, Amerykanin powiedział:

- Przez lata całe nie jeździłem na rowerze. Prawdopodobnie się wywrócę.

- Pojedzie pan wygodniej - rzekł Peter. - Moira ma tu furę.

Tamten zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- Samochód sportowy - wyjaśniła dziewczyna. - Jaguar IX sto czterdzieści. Ptak-Piorun, jak wy to, zdaje się, nazywacie. Nowy model o mocy tylko jednego konia, ale robi dobre osiem mil na godzinę na równej drodze. Jezu, w gardle mi zasycha.

Doszli do wózka i siwej klaczy, stojącej między dyszlami; Moira zaczęła odwiązywać lejce. Amerykanin cofnął się o parę kroków, oglądając ten ekwipaż bardzo

szykowny i połyskliwy w słońcu.

- No! - wykrzyknął. - Łazika wcale, wcale, ma pani. Moira odeszła od klaczy i wybuchnęła śmiechem.

- Łazik. To jest właściwe określenie. Łazik, prawda? W porządku, Peter... to rzeczywiście łązi, ale nie obłazi. W garażu mamy samochód przyzwoity... Forda Customline, kapitanie Towers, nie wzięłam go jednak ze sobą. Jedziemy więc łazikiem. Niech pan wsiada, a ja będę dodawać gazu, żeby panu pokazać, jak on chodzi.

- Ja mam tu rower, panie kapitanie - rzekł Peter. - Pojadę sam i spotkamy się w domu.

Kapitan Towers wsiadł do wózka, dziewczyna usadowiła się obok niego; wzięła bat w rękę i zawróciła siwą. Klacz pokłusowała sprzed stacji w kierunku szosy.

- Jedną rzecz muszę zrobić, zanim wyjedziemy z miasteczka - oznajmiła Moira swemu towarzyszowi - a mianowicie napić się. Peter to skarb i Mary także, ale oni za mało piją. Mary twierdzi, że dziecko dostaje od tego kolki. Mam nadzieję, że to panu nie sprawi różnicy. Pan może wypić coca-colę czy coś w tym rodzaju, jeżeli pan woli.

Kapitan Towers, chociaż z lekka oszołomiony, poczuł ożywienie. Dawno już nie stykał się z takimi dziewczynami.

- Napiję się z panią - powiedział. - Coca-coli połknąłem w ciągu ostatniego roku tyle, że mój okręt mógłby w niej pływać na głębokości peryskopowej. Przyda mi się trunek.

- A więc jest nas dwoje - zauważyła.

Nie bez wprawy skierowała swój zaprzęg na główną ulicę miasteczka. Kilka opuszczonych samochodów stało ukosem przy krawężniku; nie ruszano ich od roku z górą. Tak mały ruch panował na tych jezdniach, że nie zawadzały, a benzyny przecież nie było, żeby je odciągnąć. Podjechała pod hotel "Przystań" i zeskoczyła na chodnik; lejce przywiązała do zderzaka jednego z samochodów, po czym wprowadziła kapitana Towersa do sali dla pań.

Zapytał:

- Co zamówić?

- Podwójny koniak dla mnie.

- Woda?

- Odrobinę i mnóstwo lodu.

Powtórzył to barmanowi i zawahał się, czując na sobie wzrok dziewczyny.

Żytniówki nie było tu nigdy, szkockiej whisky brakowało od wielu miesięcy. Do whisky australijskiej dziwnie jakoś nie miał zaufania.

- Jeszcze nie piłem takiego koniaku - zauważył. - Co to za trunek?

- Nie kopie - poinformowała go dziewczyna - ale rozpełza się po ciele. Pobudza.

Dlatego właśnie go piję.

- Pozostanę chyba przy whisky. - Zamówił, po czym odwrócił się do niej rozbawiony. - Sporo pani pije, prawda?

- Tak mówią. - Wzięła podany jej kieliszek i wyciągnęła z torebki paczkę papierosów, mieszankę tytoniu południowoafrykańskiego z australijskim. - Zapali pan takiego? Są okropne, ale innych nie mogłam dostać.

Poczęstował ją papierosem ze swojej paczki, nie mniej okropnym, podał jej ogień. Wypuściła długą smużkę dymu nosem.

- W każdym razie odmiana. Jak panu na imię?

- Dwight - odpowiedział. - Dwight Lionel.

- Dwight Lionel Towers - powtórzyła. - Ja jestem Moira Davidson. Mamy hodowlę bydła jakieś dwadzieścia mil stąd. Pan jest kapitanem tej łodzi podwodnej?

- Zgadza się.

- Zadowolony z posady? - zapytała z przekąsem.

- Prawdziwym zaszczytem było otrzymanie tego dowództwa - rzekł ze spokojem. -

I myślę, że to nadal jest zaszczytne.

Spuściła oczy.

- Przepraszam, że tak zapytałam. Trochę świnia ze mnie, kiedy jestem trzeźwa. -

Wypiła swój koniak duszkiem. - Proszę o jeszcze jeden, Dwight.

Zamówił dla niej następny kieliszek, ale sam poprzestał na tej pierwszej whisky.

- Niech pan powie - poprowadziła rozmowę dziewczyna - co pan robi w czasie

urlopów? Gra pan w golfa? Pływa pan żaglówką? Łowi pan ryby?

- Łowię ryby przeważnie - odpowiedział. Przesunęło się wspomnienie dalekich wakacji z Sharon na półwyspie Gaspé, zaraz jednak tę myśl odrzucił. Trzeba się koncentrować na teraźniejszości, zapomnieć o tym, co było. - Trochę dziś za gorąco na golfa - zauważył. - Porucznik Holmes mówił coś o pływaniu.

- To najprostsze - powiedziała. - I są wyścigi żaglówek dziś po południu w klubie. To pana interesuje?

- Pewnie, że tak - przyznał z zadowoleniem. - Jaka on ma łódź?

- Rzecz, która się nazywa Gwen Dwunasta. Takie sobie wodoszczelne pudło z żaglami. Nie wiem, czy będzie chciał sam nią popłynąć. Gdyby nie chciał, mogę być pana załogą.

- Jeżeli mamy brać udział w wyścigu - oświadczył stanowczo - nie powinniśmy już pić.

- Nie popłynę pod pana dowództwem, jeżeli to ma być rygor Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Na naszych statkach nie jest tak sucho jak na waszych.

- Dobrze. Wobec tego ja oddam się pod rozkazy pani. Popatrzyła na niego przeciągle.

- Dostał pan kiedy butelką po głowie? Uśmiechnął się.

- Wiele razy. Wychyliła kieliszek do dna.

- No, niech pan i sobie zamówi jeszcze.

- Nie, dziękuję. Holmesowie nie będą wiedzieli, co się z nami stało.

- Domyśla się - rzekła dziewczyna.

- Chodźmy. Chcę zobaczyć, jak wygląda świat z tej pani furki.

Poprowadził ją do drzwi. Szła z nim bez oporu. To nie furka, to łazik - powiedziała.

- Nie. Jesteśmy teraz w Australii. To wasz australijski wóz do przewożenia drzewa.

- A właśnie, że pan nie ma racji - zatriumfowała. - Bo w ogóle to jest powozik... wiktoriański powozik. Liczy sobie ponad siedemdziesiąt lat. Tatuś twierdzi, że zrobiony w Ameryce.

Spojrzał na jej ekwipaż z jakimś nowym zainteresowaniem.

- Daję słowo! - wykrzyknął. - Zastanawiałem się, gdzie ja coś takiego już widziałem. Zupełnie podobny stał w szopie u mojego dziadka w Maine, kiedy byłem mały.

Wiedziała, że nie powinna pozwalać na to, by on myślał o przeszłości.

- Niech pan stoi przy jej łbie, kiedy będę ją stąd wycofywała - poprosiła. - Ona nie bardzo lubi ruszać do tyłu.

Usiadła na koźle i bezlitośnie ściągnęła klaczy pysk, żeby miał jak najwięcej do roboty. Klacz stanęła dęba, aż musiał się uchylić przed jej przednimi kopytami; zdołał jednak odwrócić ją w kierunku ulicy, po czym, gdy już biegła krótkim galopem, wskoczył na siedzenie obok dziewczyny. Moira powiedziała:

- Jest trochę narowista. Na zboczu w jednej chwili się pohamuje. Te cholerne asfaltowe szosy...

Amerykanin siedział mocno, gdy wyjeżdżali z miasteczka na łeb na szyję, przy czym cwałująca klacz wciąż się ślizgała i potykała na gładkiej nawierzchni; w duchu wręcz ubolewał nad tym, że bywają dziewczęta, które aż tak dalece nie umieją powozić.

Podjechali pod dom Holmesów w kilka minut później i klacz w pianie potu się zatrzymała. Porucznik z żoną wyszedł im na spotkanie.

- Przepraszam, Mary, że tak późno przyjeżdżamy - najspokojniej w świecie rzekła Moira. - Nie dało się kapitana Towersa przewieźć koło baru.

Peter zauważył:

- Wygląda na to, że robiłaś, co mogłaś, żeby nadrobić ten stracony czas.

- Jazda była nielicha - stwierdził dowódca łodzi podwodnej. Wysiadł i został przedstawiony Mary. Potem zwrócił się do dziewczyny: - Dobrze byłoby, gdybym pospacerował z nią trochę tam i z powrotem, dopóki nie ochłonie.

- Świetnie - pochwaliła go Moira. - Ja, co prawda, wyprzęglabym ją i zaprowadziła na wygon... Peter panu pokaże. Tymczasem pomogę Mary przygotować śniadanie.

Peter, Dwight chce popłynąć twoją żaglówką dziś po południu.

- Wcale tego nie powiedziałem - zaprotestował Amerykanin.

- Ależ powiedział pan. - Przyjrzała się klaczy, zadowolona, że ojciec jej w tej chwili nie może zobaczyć. - Trzeba ją czymś wytrzeć... jest szmata z tyłu pod workiem z

owsem. Później ją napoję, kiedy już sami się napoimy.

Po południu Mary sama z dzieckiem w domu spokojnie rozpoczęła przygotowania przed wieczornym przyjęciem; Dwight Towers niepewnie wsiadł na rower i popedałował z Peterem i Moirą do klubu żeglarskiego. Wszyscy troje jechali z ręcznikami na szyjach i z kostiumami kąpielowymi w kieszeniach; po przybyciu zaraz się przebrali, nie wątpiąc, że to będą mokre wyścigi. Żaglówka Holmesów była zamkniętą łódką z dykty, z niedużym kokpitem i łatwymi do rozwijania żaglami. Przygotowali ją i spuścili na wodę; do linii startu podpłynęli mając jeszcze pięć minut czasu - Amerykanin u steru, Moira jako jego pomocnik. Peter przyglądał im się z plaży.

Oboje byli w kostiumach, Dwight Towers w starych jasnobrunatnych kąpielówkach, Moira w kostiumie dwuczęściowym w deseń na białym tle; zabrali do łódki koszule na wypadek, gdyby słońce zbyt przypiekało. Przez kilka minut manewrowali za linią startu, objając się wśród dziesiątki innych najróżniejszych żaglówek, biorących udział w wyścigu. Kapitan od paru lat nie uprawiał tego sportu i po raz pierwszy miał do czynienia z żaglówką takiego właśnie typu; radził sobie z nią jednak dobrze i prawie natychmiast się zorientował, że jest bardzo chyża. Gdy huknął wystrzał, już całkowicie jej pewny, ruszył z linii startu tak, że po pierwszej z przepisowych trzech trójkątnych tur uplasował się na piątym miejscu.

Wiatr jak zwykle w zatoce Port Phillip wiał z dużą szybkością. Przy końcu ich pierwszej tury dmuchał już dosyć ostro i okrężnicę z jednej strony zalewała woda. Kapitan Towers, zajęty żaglami i rumplem, utrzymywaniem łódki w równowadze i pilnowaniem, by nie zbaczała z kursu, niewiele zwracał uwagi na cokolwiek innego. W jaskrawym słonecznym blasku i w pyle wodnym, wzbijającym się tumanami migotliwymi jak brylanty, rozpoczęli drugą turę, lawirując do następnego punktu zwrotnego; nie miał czasu nawet zauważyć, że dziewczyna odsunęła nogą zwój liny głównego żagla za kołek i nasunęła na to miejsce splątana linę kliwra. Dopłynęli do boi, zakręcili, ale gdy kapitan Towers podniósł rumpel, żeby napiąć główny żagiel, lina wyciągnęła się tylko na długość dwóch stóp i utknęła. Podmuch wiatru przechylił łódź zupełnie, do czego przyczyniła się Moira, niby to zdeorientowana, ściągając linę kliwra, i skończyło się na tym, że

żaglówka siłą rzeczy legła płasko bokiem, z żaglami rozpostartymi na falach. Po chwili oboje już płynęli przy niej.

Moira powiedziała z wyrzutem:

- Bo nie trzeba było zatrzymywać głównej liny. Och! - pisnęła nagle - do diabła, stanik mi się zsuwa! - W istocie udało jej się rozwiązać węzeł stanika na plecach, gdy wpadała do wody, i tę część kostiumu woda znosiła teraz pod jej łokciem. Łapiąc stanik, poradziła swemu towarzyszowi: - Najlepiej podpłynąć z tamtej strony i usiąść na środkowej desce. Wtedy łódź się podniesie prosto. - Ruszyła tam z nim razem. Z daleka zobaczyli białą motorówkę ratowników zakręcającą w ich kierunku.

- Już leci do nas pogotowie - rzekła dziewczyna. - Zachowajmy właściwą kolejność. Przede wszystkim, Dwight, pomóż mi to włożyć, zanim oni się zbliżą. - Doskonale mogłaby to zrobić sama, gdyby się pochyliła w wodzie. - O właśnie... zawiąż porządnie. Ale nie tak ciasno; nie jestem Japonką. Świetnie. Teraz możemy już podnieść nasz jacht i dalej próbować szczęścia w tym wyścigu.

Wspięła się na deskę, wystającą z kadłuba poziomo nad powierzchnię wody, i stanęła, trzymając się krawędzi burty; on jeszcze w wodzie patrzył na nią z dołu pełen podziwu zarówno dla jej smukłych kształtów, jak jej bezczelności. Gdy podpłynął i dźwignął się obok niej na deskę, żagle podniosły się, zachybotwały i raptownie wyprostowały. Dziewczyna potknęła się o górne pasy boczne i jak kłoda wpadła do kokpitu, przy czym nie zapomniała zwolnić liny głównego żagla; Dwight wgramolił się za nią. I w żaglówce jeszcze rozkołysanej pod ciężarem wody ociekającej z żagli podjęli swój kurs, zanim ratownicy zdążyli do nich dotrzeć.

Tylko już bez takich rzeczy - surowo zastrzegła Moira. - Mój kostium jest do opalania się, a nie do pływania.

- Nie wiem, jak to się stało - przepraszał. - Do tej pory szło nam tak dobrze.

Ukończyli wyścig już bez wypadku, zajmując przedostatnie miejsce. Skierowali łódź ku plaży, gdzie Peter wyszedł do nich prawie po pierś zanurzony w wodzie. Przytrzymał żaglówkę i odwrócił ją pod wiatr.

- Dobrze się żeglowało? - zapytał. - Widziałem, jak ją zastopowaliście.

- Uroczym było - odrzekła dziewczyna. - Dwight ją zastopował, a ja wtedy zgubiłam stanik, więc pod każdym względem emocji mieliśmy w bród. Nie mogło być momentu nudy. Ten twój jacht płynie przepięknie, Peter.

Wyskoczyli z żaglówki, wyciągnęli ją na brzeg i po zwinięciu żagli wpełzali na rolki pochylni, żeby zsunęła się na plażę. Później poszli na koniec mola, wykapali się i usiedli; w ciepłym przedwieczornym słońcu, osłonięci przed wiatrem od morza ścianą skalną, zapalili papierosy. Amerykanin patrzył na niebieską wodę, czerwone skały i przycumowane, kołyszące się na falach motorówki.

- Niezły basen tu macie - powiedział w zadumie. - Jeśli chodzi o przestrzeń, to najprzytulniejszy klubik żeglarski, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Żeglarstwa tutaj nie traktuje się poważnie - stwierdził Peter. - W tym cały sekret.

Dziewczyna rzekła:

- W tym sekret wszystkiego. Kiedy znów się napijemy, Peter?

- Wszyscy przyjadą koło ósmej - odpowiedział. Zwrócił się do gościa: -

Zaprosiliśmy kilka osób na wieczór. Moglibyśmy przedtem zjeść obiad w hotelu.

Odciążenie domu.

- Oczywiście. Tak będzie doskonale.

- Chyba nie zabierzesz kapitana Towersa znowu do "Przystani"? - zapytała dziewczyna.

Tam właśnie chcieliśmy z Mary was zaprosić.

- Wydaje mi się, że to bardzo nieroztropne - powiedziała niejasno.

Amerykanin uśmiechnął się.

- Ładną mi pani wyrabia opinię w tych stronach.

- Sam pan sobie taką wyrabia - odparowała. - Ja przecież robię, co tylko mogę, żeby pana wybielić. Ani słowa nie powiem nikomu o tym, że pan zdarł ze mnie stanik.

Dwight Towers spojrzał na nią niepewnie, a potem nagle wybuchnął śmiechem. Był to pierwszy od roku śmiech, nie powstrzymywany myślą o tym, co bezpowrotnie minęło.

- Zgoda - powiedział wreszcie. - Zachowamy tę tajemnicę, pani i ja.



Tylko ja - zaznaczyła, ściągając usta w ciup. - Pan prawdopodobnie wszystkim będzie o tym opowiadał dziś wieczorem, kiedy pan się z lekka zaleje. Peter zmienił temat:

- Może już czas się przebrać. Obiecałem Mary, że będziemy w domu o szóstej.

Poszli mołem do łazienek, ubrali się i na rowerach wyruszyli w drogę powrotną do domu. Mary zastali na trawniku, podlewającą ogród. Po omówieniu środków i sposobów dostania się do hotelu w miasteczku postanowili zaprząć siwą i jechać tam wozem Moiry.

- Powinniśmy to zrobić dla kapitana Towersa - oświadczyła dziewczyna. - Przecież samodzielnie nigdy by nie dotarł z powrotem na to wzgórze po jeszcze jednym posiedzeniu w "Przystani".

Poszła z Peterem na wygon, żeby złapać klacz. Wsuwając jej wędzidło między zęby i przekładając cugle za uszy, zapytała:

- Jak ja się spisuję, Peter? Uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze. Nie ma momentu nudy.

- No, o to właśnie Mary chodziło. Serce mu nie pęka pod wpływem wspomnień, w każdym razie.

- Może mu jednak pęknać naczynie krwionośne, jeżeli nadal będziesz go tak zabawiała.

- Nie wiem, czy to leży w mojej mocy. Wyczerpałam już prawie cały swój repertuar. - Położyła siodło na grzbiecie klaczy.

- Wieczór przyniesie ci jeszcze trochę natchnienia.

- Możliwe.

Wieczór nadszedł i minął. Zjedli obiad w hotelu i wjechali z powrotem na wzgórze wolniej, niż przedtem zjeżdżali; wyprzęgli klacz, wpuścili ją na wygon i o godzinie ósmej zupełnie już gotowi powitali gości. Cztery małżeństwa przyjechały na to skromne przyjęcie; młody lekarz z żoną, jeszcze jeden oficer marynarki z żoną i również ze swoimi paniami wesoły młody człowiek, o którym wprawdzie powiedziano, że jest "cip-cip-cip" farmerem, ale którego sposób bytowania nadal pozostał tajemnicą dla Amerykanina, oraz młody właściciel maleńkiego warsztatu mechanicznego. Przez trzy godziny tańczyli

wszyscy i popijali, starannie w rozmowach unikając wszelkich tematów poważnych. W tę upalną noc w pokoju robiło się coraz goręcej, dość szybko więc uznano marynarki i krawaty za zbyteczny balast; adapter bez przerwy rozbrzmiewał muzyką z płyt spiętrzonych w ogromną stertę, w połowie zresztą pożyczonych specjalnie na tę zabawę. Chociaż okna za drucianą siatką były szeroko otwarte, powietrze gęstą chmurą zasnuwał dym papierosów. Od czasu do czasu Peter wyrzucał zawartość popielniczek do skrzyni na śmieci; od czasu do czasu Mary zbierała puste szklanki, wynosiła je do kuchni, myła i przynosiła z powrotem. Ostatecznie około pół do dwunastej wniosła tacę z herbatą, z trójkątnymi placuszkami posmarowanymi masłem i z ciastkami, co w Australii było powszechnie uznane za sygnał, że przyjęcie ma się ku końcowi. Wkrótce więc goście zaczęli się żegnać i chwiejnie wybierać w drogę na swoich rowerach.

Moira i Dwight odprowadzili alejką doktora i jego żonę, żeby ich bezpiecznie wyprawić za furtkę ogrodu. Potem zawrócili do domu.

- Przyjemna zabawa - powiedział Dwight. - Naprawdę mili ludzie, oni wszyscy.

Powietrze w ogrodzie orzeźwiało chłodem po gorącej duchocie, jaka panowała w domu. Noc była bardzo spokojna. Między drzewami w jasnej poświacie gwiazd widzieli linię brzegu Port Phillip, biegnącą od Falmouth w kierunku Nelson.

- W mieszkaniu teraz jak w piecu - oświadczyła dziewczyna. - Jeszcze posiedzę tutaj. Muszę się ochłodzić.

- Przyniosę jakiś płaszcz.

- Lepiej przynieś mi coś do picia, Dwight.

- Chyba już nie alkohol? Potrząsnęła głową.

- Półtora cala koniaku i mnóstwo lodu, jeśli w ogóle lód został.

Poszedł po koniak. Gdy wrócił z dwiema szklankami w rękach, Moira siedziała w mroku na krawędzi werandy. Podał jej szklankę, którą przyjęła bez słowa podziękowania, i usiadł przy niej. Po tej całej wieczornej wrzawie i zamieszaniu nocny spokój w ogrodzie sprawiał mu ulgę.

- Z pewnością to jest wytchnienie tak posiedzieć tu w ciszy przez chwilę.

- Dopóki nie zaczną kąsać moskity - powiedziała. Owionął ich lekki wietrzyk. -

Może zresztą nie zaczną, bo jest wiatr. Nie zasnęłabym teraz, gdybym się położyła po takiej ilości alkoholu. Przewracałabym się z boku na bok przez całą noc.

- Późno się pani położyła wczoraj? Przytaknęła.

- I przedwczoraj też.

- Radzę, żeby pani spróbowała pójść spać wcześniej raz na jakiś czas.

- Co mi z tego przyjdzie? - zapytała. - Co przyjdzie z czegokolwiek teraz? - Nawet nie usiłował jej na to odpowiedzieć, więc po dłuższej chwili zapytała o coś innego: -

Dlaczego Peter został przydzielony na "Skorpiona", Dwight?

- To nasz nowy oficer łącznikowy - poinformował.

- Mielicie już takiego przedtem?

- Nigdy dotąd.

To dlaczego przydzielają go wam teraz?

- Nie wiem - odparł. - Może odbędziemy rejs po wodach australijskich. Rozkazów jeszcze nie dostałem, ale tak ludzie mówią. Zdaje się, że w tej marynarce kapitan o wszystkim dowiaduje się ostatni.

- Ludzie mówią, że dokąd popłyniecie, Dwight? Wahał się przez moment. Problem bezpieczeństwa był już sprawą przeszłości, musiał jednak się postarać, żeby sobie to uświadomić teraz, gdy nigdzie na całym świecie nie został ani jeden nieprzyjaciel, taką ostrożność mogła uzasadniać chyba tylko siła przyzwyczajenia.

- Mówią, że mamy odbyć rejs do Port Moresby - powiedział. - Może to pogłoska, nic więcej, ale tak słyszałem.

- Przecież z Port Moresby już koniec?

- Prawdopodobnie. Dość dawno nie ma stamtąd żadnych wiadomości radiowych.

- Więc nie można tam wyjść na ląd?

- Ktoś jednak będzie musiał wyjść i zobaczyć... kiedyś - powiedział. - My byśmy nie opuścili okrętu, dopóki stopień napromieniowania się nie obniży. Jeżeli jest wysoki, nawet nie wynurzymy okrętu na powierzchnię. Ktoś jednak kiedyś będzie musiał wyjść i zobaczyć. - Umilkł i cisza zaległa w ogrodzie pod gwiazdzistym niebem. - Mnóstwo jest takich miejsc, które powinno się zobaczyć - rzekł w końcu. - Wciąż jeszcze odbieramy

radiowe sygnały skądś w pobliżu Seattle. Sensu w nich nie ma, od czasu do czasu mieszanina kropek i kresek. Nieraz mijają dwa tygodnie, zanim to słyhać znowu. Może ktoś tam żyje... ktoś, kto nie potrafi sobie radzić z tą aparaturą. Wiele jest dziwnych rzeczy na północnej półkuli, które powinno się zbadać.

- Czy możliwe, żeby tam ktoś żył?

- Nie sądzę. Ale to niewykluczone. Ów ktoś musiałby przebywać w zamkniętym hermetycznie pomieszczeniu z przefiltrowanym powietrzem, z zapasami żywności i wody. W praktyce to chyba niemożliwe.

Przytaknęła.

- Czy to prawda, że z Cairns także już koniec, Dwight?

- Myślę, że tak... z Cairns i z Darwin. Może tam właśnie mamy popłynąć, żeby sprawdzić. Może właśnie dlatego Peter dostał stanowisko na "Skorpionie". On zna te wody.

- Ktoś mówił tatusiowi, że w Townsville już są wypadki choroby popromiennej. Czy te pogłoski się potwierdzają?

- Doprawdy nie wiem... ja o tym nie słyszałem. Ale mógłbym w to uwierzyć.

Townsville jest na południe od Cairns.

- To się będzie rozszerzać i rozszerzać coraz dalej na południe, aż dotrze tu do nas?

- Tak mówią.

- Ani jedna bomba nie spadła na południową półkulę - rozgniewała się Moira. - Dlaczego to musi przyjść do nas? Nic nie da się zrobić, żeby do tego nie dopuścić?

Potrząsnął głową.

- Nic. To te wiatry. Szalenie trudno uniknąć tego, co niesie wiatr. Wprost nie ma sposobu, więc trzeba się z tym pogodzić, jak tylko kto potrafi.

- Nie rozumiem - powiedziała uparcie. - Kiedyś mówiono, że żaden wiatr nie wieje przez równik, więc my będziemy bezpieczni. A teraz okazuje się, że wcale tak nie jest...

- W żadnym razie nie bylibyśmy bezpieczni - rzekł spokojnie. - Nawet gdyby ci uczeni mieli rację co do cięższych cząsteczek... pyłu radioaktywnego... której zresztą nie

mają, i tak rozprzestrzeniłyby się tutaj cząsteczki najłżejsze. Już tu są. Punkt wyjściowy do mierzenia radioaktywności tutaj jest obecnie ośmio- albo i dziewięciokrotnie wyższy, niż był przed wojną.

- To nam jakoś nie szkodzi - odparła. - Mówi się tylko o tym pyłe. Że on leci z wiatrem, czy tak?

- Tak jest - odpowiedział. - Ale żaden wiatr nie wieje na półkulę południową prosto z półkuli północnej. Gdyby wiał, już byśmy wszyscy nie żyli.

- Wolałabym - rzekła z goryczą. - Życie teraz jest jak czekanie skazańców na powieszenie.

- Może tak. A może to okres łaski. Po tych jego słowach nastąpiła cisza.

- Dlaczego to trwa tak długo, Dwight? - zapytała wreszcie. - Dlaczego wiatr nie może nadlecieć stamtąd bezpośrednio, żeby raz z tym już skończyć?

- W gruncie rzeczy to dość łatwo zrozumieć - powiedział. - Na każdej z obu półkul wiatry wieją wielkimi spiralami na przestrzeni tysięcy mil pomiędzy biegunem i równikiem. Jest jeden system cyrkulacyjny wiatrów na półkuli północnej i drugi system na półkuli południowej. Ale to nie równik, który widać na globusach, rozdziela te systemy. Dzieli je coś, co się nazywa równik termiczny i co przesuwają się na północ albo na południe w zależności od pory roku. W styczniu cała wyspa Borneo i Indonezja należą do systemu północnego, ale w lipcu, wskutek przesunięcia się tej linii podziału na północ, wszystko, co jest wtedy na południe od niej: Indie, Syjam i tak dalej, podlega systemowi południowemu. Tak więc w styczniu wiatry północne przywieją pył radioaktywny na Malaje, powiedzmy. A potem, w lipcu, kiedy Malaje znajdują się w systemie południowym, nasze południowe wiatry porwą go i stamtąd przywieją tutaj. Z tego właśnie powodu to zbliża się do nas tak powoli.

- I w żaden sposób nie można na to poradzić?

- W żaden. Zbyt wielka to sprawa, żeby ludzkość potrafiła się z nią uporać. Musimy po prostu pogodzić się.

- Ja się nie pogodzę - wybuchnęła Moira. - To niesprawiedliwe. Nikt na półkuli południowej nigdy nie rzucił bomby ani wodorowej, ani kobaltowej, ani w ogóle żadnej

innej. Nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Czy mamy zginąć tylko dlatego, że jakimś państwom oddalonym o dziewięć czy dziesięć tysięcy mil zachciało się wojny? Cholerna niesprawiedliwość.

- Niesprawiedliwość, i to ogromna - przytaknął. - Niestety, tak już jest.

Zapanowało milczenie. Po długiej chwili Moira wyjaśniła ze złością:

- Co nie znaczy, żebym ja się bała śmierci, Dwight. Umrzeć przecież wszyscy kiedyś musimy. Chodzi mi tylko o to wszystko, co mnie musi ominąć... - W poświacie gwiazd odwróciła się do niego. - Nigdy nie wyjadę z Australii. Przez całe życie marzyłam o zobaczeniu Rue de Rivoli. To dla mnie taka romantyczna nazwa. Niemądra jestem, bo ta ulica wygląda pewnie jak każda inna. Ale ja właśnie o niej marzyłam, a teraz wiem, że nigdy jej nie zobaczę. Bo żadnego Paryża już nie ma ani Londynu, ani Nowego Jorku.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Rue de Rivoli może jeszcze tam jest z tymi rzeczami na wystawach sklepów i ze wszystkim. Nie wiem, czy spadła jakaś bomba na Paryż. Więc może Paryż został zupełnie taki sam, jaki był, i słońce teraz świeci na tej ulicy właśnie tak, jak pani chciałaby to widzieć. W ten właśnie sposób lubię myśleć o różnych takich miastach. Sęk jednak w tym, że ludzie tam już nie żyją. Zerwała się na równe nogi.

- Przecież ja nie tak chciałam to zobaczyć. Miasto zmarłych... Och, Dwight, jeszcze koniaku.

Nie ruszając się z miejsca, z uśmiechem podniósł ku niej głowę.

- Za skarby świata nie. Czas już spać.

- Więc sama sobie wezmę.

Gniewnie weszła do domu. Brzęknęło szkło za otwartym oknem i prawie zaraz przyniosła kufel napełniony niemal do trzech czwartych trunkiem, po którym pływał kawałek lodu.

- W marcu miałam jechać do kraju! - wykrzyknęła. - Do Londynu. To było zaplanowane od lat. Pół roku miałam spędzić w Anglii i na kontynencie, a potem wrócić przez Amerykę. Madison Avenue bym zobaczyła. Cholerna niesprawiedliwość.

Pociągnęła wielki łyk i z obrzydzeniem popatrzyła na kufel w wyciągniętej ręce.

- Rany boskie, co to znów za paskudztwo? Wstał, wziął od niej kufel i powąchał.

- To whisky - stwierdził. Odebrała mu kufel i powąchała sama.

- Ano - powiedziała niejasno. - Po koniaku prawdopodobnie mnie to dobije. -

Wypiła ten nie rozcieńczony alkohol duszkiem, po czym sześcianik lodu wyrzuciła z kufła na trawę. Chwiejnie stanęła przed Dwigthem w poświęcie gwiazd. - Nigdy nie będę miała dzieci tak jak Mary. To takie niesprawiedliwe. Nawet gdybyś mnie dzisiaj wziął do łóżka, nigdy nie miałabym dzieci, bo już by nie było czasu.

- Roześmiała się histerycznie. - Rzeczywiście to cholernie śmieszne. Mary bała się, żeby pan się nie rozplakał, kiedy pan zobaczy jej małą i pieluszki na sznurze. Jak ten dowódca eskadry RAF, którego mieli u siebie przedtem.

- Język zaczynał jej się plątać. - Trzeba db... dbać, żeby on był zajęty. - Zatoczyła się i przytrzymała słupa werandy. - Tak powiedziała Mary. Nie może być momentu nudy. I niech on lepiej nie widzi małej, bo może... może zacznie płakać. - Łzy spłynęły jej po policzkach. - I nawet jej na myśl nie przyszło, że to mógłby być mój płacz, a nie pana.

Gwałtownie już szlochając skuliła się i osunęła na ziemię przy werandzie. Kapitan Towers po chwili wahania podszedł i dotknął jej ręki, ale zaraz się cofnął, niepewny, co robić. Ostatecznie odwrócił się i wszedł do domu. Mary zastał w kuchni sprzątającą bałagan po przyjęciu.

- Proszę pani - rzekł trochę nieśmiało. - Może by pani mogła wyjść teraz i zobaczyć, co z panną Davidson. Wypiła kufel czystej whisky na dokładkę do tego koniaku. Myślę, że należałoby ją położyć spać.

## Rozdział drugi

Niemowlęta nie uwzględniają ani niedziel, ani przyjęć nocnych; nazajutrz już o szóstej Holmesowie jak co dzień rozpoczęli pracować rano; Peter na rowerze wyruszył do mleczarni. Dość długo siedział u farmera, omawiając sprawę jego nowej przyczepki, osi i prętu łączącego, i przygotowując wskazówki dla mechanika.

- Jutro muszę zgłosić się na okręt - powiedział. - Dziś po raz ostatni przyjechałem po mleko.

- Wszystko będzie w porządku - zapewnił go pan Paul. - Może pan na mnie liczyć. Wtorki i soboty. Dopilnuję, żeby pani Holmes dostawała mleko i śmietanę jak należy.

Wrócił do domu przed ósmą; wziął prysznic, ogolił się i ubrał, po czym razem z Mary przygotował śniadanie. Kapitan Towers pokazał się mniej więcej za piętnaście dziewiąta, czysty, świeży i wypoczęty.

- Przyjemny był ten wczorajszy wieczór u państwa - powiedział. - Tak dobrze chyba od dawna już się nie bawiłem.

Gospodarz zauważył:

- Mieszka tu w okolicy kilka miłych osób. - Zerknął na swego dowódcę i uśmiechnął się szeroko: - Przykro mi z powodu Moiry. Ona zazwyczaj ma silniejszą głowę.

- To przez tę whisky. Jeszcze nie wstała?

- Zdziwiłbym się, gdybym ją tu teraz zobaczył. Słyszałem, jak ktoś chorował około drugiej nad ranem. Nie pan, jeśli się nie mylę.

Amerikanin parsknął śmiechem.

- O nie!

We troje zasiedli do śniadania.

- Ma pan ochotę potem popływać? - zapytał gościa Peter. - Zapowiada się upał nie mniejszy niż wczoraj.

Amerikanin zawahał się.

- W niedzielę rano wolałbym pójść do kościoła, tak jak zawsze w kraju. Jest tu



gdzieś blisko kościół anglikański?

- Jest u stóp wzgórza - poinformowała Mary. - To tylko trzy czwarte mili stąd.

Nabożeństwo o jedenastej.

- Może bym się tam przeszedł. Czy jednak nie zepsuję państwu jakichś planów?

Peter powiedział:

- Oczywiście, że nie, panie kapitanie. Ale ja chyba nie będę panu towarzyszył.

Mam sporo roboty w domu przed zgłoszeniem się na "Skorpiona".

- No jasne - przytaknął kapitan. - Wrócę przed obiadem, a potem będę musiał już pomyśleć o powrocie na okręt. Chciałbym wyjechać pociągiem około trzeciej.

W ciepłych promieniach słońca ruszył w dół zboczem wzgórza do kościoła.

Zanadto się pospieszył, więc przybył tam o kwadrans za wcześnie, ale wszedł. Pomocnik prowizora kościelnego dał mu książkę do nabożeństwa i śpiewnik, a on jeszcze nie znając tutejszego porządku wybrał sobie miejsce z tyłu, żeby widzieć, kiedy ludzie klękają i kiedy wstają. Zmówił pacierz, którego się nauczył w dzieciństwie, po czym usiadł i popatrzył wokoło. Ten mały kościół bardzo był podobny do kościoła w jego rodzinnym miasteczku Mystic, w stanie Connecticut. Nawet pachniało tak samo.

Przyszło mu na myśl, że ta dziewczyna, Moira Davidson, zupełnie się zatraciła. Pije za dużo, no ale nie ona jedna nie potrafi przyjmować rzeczy takimi, jakie są. To jednak miły dzieciak. I pomyślał, że Sharon by ją polubiła.

W spokoju kościoła zadumał się o żonie i dzieciach, nieomal ich widząc przed sobą. Był z natury człowiekiem bardzo prostym. Wierzył, że we wrześniu wróci do nich, do domu, ze swoich podróży. Zobaczy ich troje znowu za niecałe dziewięć miesięcy. Nie mogą doznać wrażenia, gdy on się do nich przyłączy, że trudno z nim odnaleźć wspólny język albo że zapomniał o czymkolwiek, co dla nich jest ważne. Junior na pewno podrośł nielicho; dzieci w tym wieku rosną. Psychicznie i fizycznie chyba wyrósł ze swego futerka z szopów i ta futrzana czapka także jest już dla niego za ciasna. Czas kupić mu wędkę, małą wędkę z kołowrotkiem, i nauczyć go, jak się jej używa. Zabawnie będzie wtajemniczać Juniora w arkana wędkarstwa. Jego urodziny przypadają dziesiątego lipca. Nie da się przesłać mu wędki na urodziny i prawdopodobnie nie da się zabrać wędki dla

niego ze sobą, chociaż spróbować warto. Może tu w sklepach są takie.

Urodziny Helen siedemnastego kwietnia; Helen ukończy sześć lat. I znów w dniu urodzin nie będzie przy niej ojca, chyba że wcześniej coś by się stało ze "Skorpionem". Trzeba będzie jej powiedzieć, jak bardzo ojcu przykro, i obmyśleć jakiś prezent urodzinowy, żeby go dostała we wrześniu. W dniu urodzin Sharon jej wszystko wytłumaczy, powie, że tatuś jest daleko na morzu, ale wróci do domu przed zimą, wróci z prezentem. Sharon pocieszy Helen.

Przez cały czas nabożeństwa myśląc o rodzinie siedział tam i klękał, gdy inni klękali, i wstawał, gdy inni wstawali. Parę razy ocknął się i przyłączył swój głos do chóru, śpiewając proste, niezawile zwrotki hymnów, ale przede wszystkim to był sen na jawie, sen o stronach rodzinnych i domu. Po nabożeństwie wyszedł z kościoła psychicznie odświeżony. W tłumie wiernych przed kościołem nikt go nie znał i on nie znał nikogo, i proboszcz niepewnie uśmiechnął się do niego przy drzwiach, on uśmiechnął się do proboszcza, po czym spacerkiem ruszył w drogę powrotną pod górę w coraz cieplejszym blasku słońca, zajęty już myślami o "Skorpionie", dostawach, o tych licznych obowiązkach, jakie musi wypełnić, o tych licznych kontrolach, jakie musi przeprowadzić, zanim wypłynie na morze.

Gdy doszedł do domu Holmesów, Mary i Moira Davidson siedziały na leżakach na werandzie, dziecko leżało w wózku między nimi. Mary wstała na widok gościa.

- Zgrzał się pan - zauważyła. - Proszę zdjąć marynarkę i usiąść tu w cieniu.

Dobrze było w kościele?

- Bardzo - odpowiedział. Zdjął marynarkę i usiadł na krawędzi werandy. - Parafian macie tu wspaniałych. Wszystkie miejsca zajęte.

- Dawniej nie zawsze tak bywało - z przekąsem stwierdziła Moira. - Przyniosę panu coś do picia.

- Jeżeli można prosić, to bez alkoholu. - Przyjrzał się ich szklankom. - Co panie piją?

Panna Davidson go oświeciła:

- Sok cytrynowy z wodą. Już dobrze, niech pan tego nie mówi.

Roześmiał się.

To ja też poproszę o taki sok. - Mary poszła do kuchni, a on wtedy zapytał dziewczynę: - jadła pani śniadanie?

- Pół banana i mały koniak - odrzekła spokojnie. - Nie czułam się zbyt dobrze.

- To przez tę whisky - powiedział. - Popełniła pani pomyłkę.

- Jedną z wielu - przyznała. - Nawet nie pamiętam, co było po naszej rozmowie na trawniku, kiedy wszyscy się rozeszli. Pan mnie położył do łóżka?

Potrząsnął głową.

- Uznałem, że to raczej sprawa pani Holmes. Uśmiechnęła się blado.

- Stracił pan więc okazję. Żebym tylko nie zapomniała podziękować Mary.

- Powinna pani jej podziękować. Pani Holmes to szalenie miła osoba.

- Słyszałam od niej, że pan wraca do Williamstown już po południu. Nie może pan zostać i jeszcze z nami popływać?

Znów potrząsnął głową.

- Dużo spraw mam do załatwienia na okręcie przed jutrzejszym dniem. Rejs rozpoczynamy w tym tygodniu. Sterta komunikatów czeka pewnie na moim biurku.

- Wydaje mi się, że jest pan człowiekiem, który zawsze pracuje bardzo ciężko, niezależnie od tego, czy pan musi, czy pan nie musi.

- Spostrzeżenie chyba trafne. - Spojrzał na nią rozbawiony. - A pani ma jakąś pracę?

- Oczywiście. Jestem nieustannie zajęta.

- Czym? Podniosła szklankę.

- Tym. Robię to przecież od wczoraj... od chwili, kiedyśmy się poznali.

Uśmiechnął się.

- Czy nie powszednieje to czasami?

- Życie nudą się staje - zacytowała. - Nie czasami. To już jedno ciągle pasmo nudy.

- Ja na szczęście mam dużo roboty.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Czy mogę w przyszłym tygodniu przyjechać do pana, żeby zwiedzić tę łódź podwodną?

Śmiał się myśląc o tej masie pracy, którą trzeba jeszcze wykonać na "Skorpionie".

- Nie, nie może pani. W przyszłym tygodniu będziemy już na morzu. - I zaraz, ponieważ wydało mu się to nieuprzejme, zapytał: - Interesują panią łodzie podwodne?

- W gruncie rzeczy nie - odrzekła trochę apatycznie. - Tak sobie tylko pomyślałam, że chciałabym ją zobaczyć, ale nie muszę, jeżeli to ma być kłopot.

- Chętnie ją pani pokażę - oświadczył. - Tylko że nie w przyszłym tygodniu. Chciałbym, żeby pani przyjechała do mnie na obiad któregoś dnia, kiedy już będzie spokojniej i przestaniemy się kręcić jak muchy w ukropie. Któregoś spokojnego dnia, żebym mógł pani pokazać wszystko. Potem pojechalibyśmy może do miasta, do jakiegoś nocnego lokalu.

- To nieźle brzmi - powiedziała. - Niech pan wyznaczy ten dzień. Będę miała na co czekać przynajmniej.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Trudno mi teraz powiedzieć. Zamelduję, że jesteśmy w stanie gotowości operacyjnej przy końcu tego tygodnia, i wtedy wyślą nas w pierwszy rejs na drugi dzień czy na trzeci. Potem powinniśmy mieć przegląd w stoczni przed ponownym wyruszeniem.

Ten pierwszy rejs... to jest ten do Port Moresby?

- Właśnie. Będę starał się zmieścić to w czasie, zanim tam odpłyniemy, ale ręczyć nie mogę. Jeżeli poda mi pani numer swojego telefonu, zadzwonię koło piątku i powiem, co i jak.

- Berwick osiemdziesiąt sześć czterdzieści jeden - powiedziała. Zapisał. - Najlepiej telefonować przed dziesiątą rano. Wieczorem prawie zawsze mnie nie ma.

Skinął głową.

- Doskonale. Niewykluczone, że w piątek będziemy jeszcze na morzu. Że zadzwonię dopiero w sobotę. Ale zadzwonię, panno Davidson.

Uśmiechnęła się do niego.

- Na imię mi Moira, Dwight. Wesoło przyjął to do wiadomości.

- W porządku.

Odwiozła go na stację powozikiem, sama wróciła do domu w Berwick. Gdy wysiadł przed budynkiem stacyjnym, powiedziała:

- Zegnaj, Dwight. Nie pracuj zbyt ciężko. - I dodała: - Przepraszam, że tak się wygłupiłam wczoraj w nocy.

Rzekł z uśmiechem:

- Mieszanie trunków miewa taki skutek. Niech to będzie dla ciebie nauką.

Roześmiała się jakoś nieładnie.

- Nic dla mnie nie może być nauką... nigdy. Jutro wieczorem będę robiła to samo i pojutrze też.

- Twój organizm - stwierdził niewzruszenie.

- W tym właśnie kłopot - odparła. - Mój i niczyj więcej. Gdyby obchodził kogoś poza mną, może byłoby inaczej, ale na to nie ma już czasu. Fatalna sprawa.

Uklonił się.

- A więc do zobaczenia.

- Naprawdę do zobaczenia?

- No oczywiście - zapewnił. - Zadzwoń, jak powiedziałem.

Pociągiem elektrycznym wrócił do Williamstown, gdy ona jeszcze odbywała swą dwudziestomilową drogę po szosach wiejskich. Dojechała przed szóstą, wyprzegła klacz i wprowadziła ją do stajni. Ojciec przyszedł pomóc i razem wepchnęli powozik do szopy służącej za garaż, gdzie stał dawno już nie używany samochód Customline; dali klaczy kubek wody, napełnili żłób owsem, po czym weszli do domu. Matka siedziała, szyjąc coś na osłoniętej werandzie.

- Halo, kochanie - powitała Moirę. - Dobrze się bawiłaś?

- Owszem - odpowiedziała dziewczyna. - Peter i Mary wyprawili wczoraj przyjęcie. Zupełnie niezły balik. Chociaż trochę mnie zwałił z nóg.

Matka cicho westchnęła, wiedziała jednak, że protesty na nic się zdadzą.

- Powinnaś dzisiaj wcześniej położyć się spać - poradziła. - Tyle nocy ostatnio

zarywasz.

- Chyba tak zrobię.
- Jaki był ten Amerykanin?
- Miły. Bardzo spokojny i marynarski.
- Wdowiec?
- Nie pytałam. Przypuszczam, że wdowiec.
- I coście robili?

Dziewczyna opanowała rozdrażnienie, jakie wywołało w niej to wypytywanie.

Mama zawsze taka, a czasu już za mało, żeby go tracić na kłótnie.

- Po południu jeździliśmy żaglówką.

Usiadła przy matce i zaczęła opowiadać większość swoich sobotnich i niedzielnych wrażeń, pomijając zainicjowany przez siebie wypadek ze stanikiem, jak i niejedno z tego, co działo się na przyjęciu.

W Williamstown kapitan Towers poszedł do stoczni na lotniskowiec "Sydney". Zajmował tam dwie połączone drzwiami w przepierzeniu kajuty, z których większa była jego biurem. Zaraz po przybyciu wysłał gońca do oficera dyżurnego na pokładzie "Skorpiona" i wkrótce miał już u siebie porucznika Hirscha z pękiem taśm sygnalizacyjnych z podwodnego okrętu. Wziął je od młodego człowieka i przeczytał. Na ogół te wiadomości dotyczyły zwykłych spraw: zaopatrzenia w paliwo i zaprowiantowania, ale była też i taka, jakiej zgoła się nie spodziewał. Sekretariat admirała zawiadamiał, że na "Skorpiona" ma zgłosić się pewien cywil, fizyk z Organizacji Badań Naukowych i Przemysłowych Wspólnoty Narodów. Naukowiec ten będzie podlegał australijskiemu oficerowi łącznikowemu. Nazywa się J.S. Osborne.

Jeszcze z tą taśmą w ręce kapitan Towers spojrzął na porucznika.

- No, wiadomo panu coś o tym facecie?
- On już jest u nas, panie kapitanie. Zgłosił się dzisiaj rano. Posadziłem go w mesie i poleciłem dyżurnemu przydzielić mu na noc jakąś kajutę.

Kapitan podniósł brwi.

- Potrzebne to nam jak dziura w moście. Jak on wygląda?

- Bardzo wysoki i chudy. Włosy mysie. Okulary.

- W jakim wieku?

- Trochę starszy ode mnie, powiedziałbym. Ale poniżej trzydziestki.

Kapitan zastanawiał się przez chwilę.

- Zrobi się dosyć ciasno w kwaterach oficerskich. Chyba ulokujemy go razem z porucznikiem Holmesem. Trzech marynarzy mamy teraz na pokładzie?

- Trzech, panie kapitanie. Jest Isaacs, Holman i de Vries. I szef Mortimer także.

- Niech pan powie szefowi, żeby zajął się przygotowaniem koi z przedniej strony przegrody F w poprzek okrętu, głową do prawej burty. Koję można wyciągnąć z przedniej komory torpedowej.

- Tak jest, panie kapitanie.

Kapitan Towers omówił resztę otrzymanych wiadomości, po czym kazał wezwać pana Osborne'a. Gdy przybył ów cywil, wskazał mu krzesło, poczęstował go papierosem i odprawił porucznika.

- No, panie Osborne - rozpoczął rozmowę - to wręcz niespodzianka. Właśnie przeczytałem w rozkazie, że panu wyznaczono u nas stanowisko. Bardzo mi miło poznać pana.

- Obawiam się, że to dosyć nagła decyzja - rzekł naukowiec. - Dowiedziałem się o tym dopiero przedwczoraj.

- Często tak bywa w służbie - zauważył kapitan. - Ale zacznijmy od początku.

Można prosić o pańskie pełne imię i nazwisko?

- John Seymour Osborne.

- Żonaty?

- Nie.

- W porządku. Na pokładzie "Skorpiona" czy jakiegokolwiek innego okrętu wojennego jestem dla pana kapitanem Towersem i zawsze proszę zwracać się do mnie "panie kapitanie". Na lądzie, prywatnie, jestem dla pana Dwight... dla pana, nie dla młodszych oficerów.

Osborne uśmiechnął się.

- Rozkaz, panie kapitanie.
- Pływał pan już kiedy łodzią podwodną?
- Nie.
- Będzie panu trochę dokuczała ta ciasnota, dopóki pan nie przywyknie.

Przygotowuję miejsce dla pana w kwaterach oficerskich, stołować się będzie pan z oficerami w mesie. - Rzucił okiem na schludne szare ubranie uczonego. - Zapewne potrzebuje pan odpowiedniej odzieży. Niech pan jutro poprosi porucznika Holmesa, kiedy on stawi się na pokładzie, żeby pobrał dla pana te rzeczy z magazynu. Zniszczy pan garnitur, jeżeli zejdzie w nim pan do "Skorpiona".

- Dziękuję, panie kapitanie.

Kapitan odsunął się od biurka patrząc na Osborne'a, jego inteligentną, pociągłą twarz, postać niezgrabną, ociążałą.

- Niech mi pan powie, co pan ma robić w naszym zespole?
- Czynić obserwacje i badać stopień skażenia radioaktywnego w powietrzu i w morzu ze szczególnym uwzględnieniem strefy podwodnej i wnętrza samego okrętu. O ile wiem, to będzie rejs na północ.
- O ile wiedzą wszyscy z wyjątkiem mnie. Prawdopodobnie na północ. Myślę, że w końcu ja także o tym się dowiem. - Kapitan lekko zmarszczył brwi. - Czy możliwy jest wzrost radioaktywności w "Skorpionie"?

- Nie sądzę. Mam gorącą nadzieję, że nie. Wątpię, czy mogłoby to nastąpić, kiedy będziemy pod wodą, jeżeli nie zajdą jakieś wyjątkowe okoliczności. Ale kontrola nie zaszkodzi. Przypuszczam, że chciałby pan wiedzieć o każdej znaczniejszej zmianie.

- Oczywiście.

Zaczęli rozmawiać o różnych sposobach badania stopnia skażenia radioaktywnego. Większość sprzętu, który Osborne przywiózł ze sobą, była przenośna i nie wymagała specjalnych instalacji na okręcie. W ostatnich blaskach dnia Osborne włożył pożyczony od kapitana kombinezon i udał się razem z Dwightem na "Skorpiona", żeby obejrzeć detektor promieniowania zamontowany do peryskopu na rufie i zastanowić się, jak go skalibrować z instrumentami standardowymi. To samo należało zrobić z



detektorem zainstalowanym w maszynowni i ponadto wprowadzić pewne niewielkie zmiany techniczne w jednej z dwóch pozostałych wyrzutni torped, żeby służyła do pobierania próbek wody morskiej. Już po zapadnięciu zmroku wrócili na lotniskowiec "Sydney" i zasiedli do kolacji w wielkiej, rezonującej echem ich głosów, pustej mesie.

Nazajutrz praca zawrzała. Pierwszym zadaniem Petera, gdy przyjechał przed południem, była rozmowa telefoniczna ze znajomym w dywizji operacyjnej, któremu w końcu wykazał, że wypadaloby, mówiąc najogólniej, zawiadomić wreszcie kapitana o tym, o czym od dawna już wiedzą podlegli mu Australijczycy, i poprosić go o uwagi w związku z planem zleconej operacji. Wieczorem owa wiadomość dla kapitana Towersa została zasygnalizowana, przyjęta i całą sprawę załatwiono. John Osborne otrzymał odpowiedni ekwipunek, tylne drzwiczki wyrzutni torpedowej były już przerobione i obaj Australijczycy ulokowali swoje rzeczy osobiste w kątku okrętu podwodnego w tym celu im użyczonym. Nocowali jednak na lotniskowcu, do "Skorpiona" przenieśli się we wtorek rano. W ciągu paru porannych godzin wykonano jeszcze ostatnie niezbędne roboty, po czym kapitan Towers zameldował, że jest gotów do rozpoczęcia prób na morzu. Drugie śniadanie zjedli jeszcze u boku lotniskowca i "Skorpion", zwolniony ze stoczni, wypłynął do zatoki. Przy niewielkiej prędkości wziął kurs w kierunku Cyplów.

Przez całe popołudnie przeprowadzali próby badań radioaktywności, krążąc wokół barki z nieszkodliwie radioaktywnym elementem na pokładzie, zakotwiczonej pośrodku zatoki; John Osborne bez wytchnienia uwijał się przy swoich instrumentach, ścierał sobie skórę na długich goleniach o stal włazów, kiedy z wieżyczki obserwacyjnej gramolił się na mostek i z mostka do wieżyczki z powrotem, zawadzał boleśnie głową o przegrody i urządzenia nawigacyjne w centrali głównej, bo w pośpiechu zapominał, jaki jest wysoki. O piątej po południu próby się skończyły, barka pozostała do dyspozycji lądowego zespołu fizyków, którzy ją uprzednio w tych celach przygotowali, a okręt popłynął na pełne morze.

Wdrażając się w okrętowy tryb życia, przez całą noc płynęli na powierzchni w kierunku zachodnim. Świt zastał ich na spokojnych wodach pod rzeškimi podmuchami południowo-zachodniego wiatru w okolicach Cape Banks w południowej Australii. Tutaj

zanurzyli się na głębokość mniej więcej pięćdziesięciu stóp i od tej chwili tylko co godzina powracali na głębokość peryskopową, żeby się rozejrzeć. Pod wieczór już w okolicach Cape Borda, przylądka Wyspy Kangura, pozostali na głębokości peryskopowej, biorąc kurs w kierunku Port Adelaide. Około godziny dziesiątej wieczorem patrzyli przez peryskop na to miasto; po dziesięciu minutach, nie zanurzając się głębiej, zawrócili znów na pełne morze. Tak minęła środa. W czwartek o zachodzie słońca na północ od wyspy King wzięli kurs z powrotem do Williamstown. W piątek w pierwszym blasku dnia wynurzyli się przed Cyplami i wpłynęli na zatokę Port Phillip, przycumowali do boku lotniskowca "Sydney" w porze śniadania, przy czym defektów do naprawienia po całym tym rejsie stwierdzono bardzo niewiele.

W tenże poranek przyjechał admirał, sir David Hartman, na inspekcję tego jedynego okrętu, o który, w przeciwieństwie do wszystkich innych pod jego dowództwem, warto było się kłopotać. Inspekcja zajęła mu prawie godzinę, po czym piętnaście minut spędził w kabinie kapitańskiej, omawiając z Dwightem i Peterem Holmesem plan operacji i proponowane przez nich zmiany. Wyjechał stamtąd prosto na konferencję z premierem bawiącym właśnie w Melbourne; brak komunikacji lotniczej z Canberra utrudniał pracę rządowi federalnemu i sprawiał, że sesje parlamentu odbywały się rzadko i trwały coraz krócej.

Wieczorem Dwight w myśl obietnicy zatelefonował do Moiry Davidson.

- No - oznajmił - wróciliśmy w całości. Jest trochę napraw na okręcie, ale to nic poważnego.

- Więc mogłabym go zwiedzić?

- Chętnie go zaprezentuję. Nie odpłyniemy przed poniedziałkiem.

- Bardzo chcę zobaczyć ten okręt, Dwight. Jutro ci wygodniej czy w niedzielę?

Pomyślał chwilę. Jeżeli rejs trzeba będzie rozpocząć w poniedziałek, w niedzielę może być znów sporo roboty.

- Chyba najlepiej byłoby jutro.

Z kolei ona zastanowiła się błyskawicznie. Musiałaby zrezygnować z przyjęcia u Anny Sutherland, które zresztą zapowiada się dość koszmarne.

- Z przyjemnością przyjadę jutro - powiedziała. - Mam dojechać do stacji

Williamstown?

- Byłoby dobrze. Będę tam czekał. Którym pociągiem przyjedziesz?

- Nie znam rozkładu. Powiedzmy, że pierwszym po pół do dwunastej.

- Doskonale. Gdybym był bardzo zajęty, przyślę w zastępstwie Petera Holmesa albo Johna Osborne'a.

- Johna Osborne'a, powiedziałaś? - Zgadza się. Znajomy?

- Czy to Australijczyk... z Organizacji Badań Naukowych i Przemysłowych?

- Ten sam. Wysoki. W okularach.

- To przecież mój powinowaty... Jego ciotka wyszła za jednego z moich wujów.

Jest u ciebie?

- Jak najbardziej. Przydzielony jako fizyk.

- On ma kręcka - poinformowała. - Kompletnego. Rozbije ci okręt.

Roześmiał się.

- Nie szkodzi. Ale musisz się pospieszyć, żeby wszystko obejrzeć, zanim dojdzie do tej katastrofy.

- Naprawdę przyjadę z przyjemnością, Dwight. A więc do jutra.

W sobotę rano, nie mając nic szczególnie ważnego do roboty, czekał na nią na peronie. Przyjechała w białej garsonce, spódniczce plisowanej i białej bluzie z kolorowym haftem, trochę w norweskim stylu, i w białych pantofelkach. Ładnie jej w tym było, ale zmartwił się na jej widok: no bo jakże, do diabła, oprowadzać ją po takim labiryncie brudnych maszyn, jakim jest "Skorpion", żeby nie powalala smarem tego nieskazitelnego stroju, w którym na domiar wszystkiego ma się z nim wybrać gdzieś wieczorem.

- Dzień dobry, Dwight - powitała go. - Długo czekałeś?

Tylko parę minut - odpowiedział. - Bardzo wcześnie musiałaś wstać dzisiaj?

- Nie aż tak wcześnie, jak ostatnim razem - stwierdziła. - Tatuś odwiózł mnie na stację i pociąg miałam zaraz po dziewiątej. No, ale dosyć wcześnie. Dasz mi się napić przed obiadem?

Po chwili wahania odrzekł:

- Wuj Sam nie lubi tego na okrętach wojennych. Może być najwyżej coca-cola albo oranżada.

- Nawet na tym lotniskowcu australijskim?

- Nawet na tym lotniskowcu australijskim - powiedział stanowczo. - Jak by to wyglądało, gdyby dama piła coś mocniejszego w towarzystwie moich oficerów pijących colę?

Zdenerwowała się.

- Ale ja muszę przed obiadem wypić coś mocniejszego, jak ty to nazywasz. Jeżeli dno klatki papugi może mieć jakiś smak, to właśnie coś takiego czuję teraz w ustach. Chcesz, żebym wpadła w szal i rozwrzeszczała się przy twoich wszystkich oficerach? - Popatrzyła wokół. - Musi tu być jakiś hotel. Postaw mi koniak, zanim pójdziemy na okręt. Wtedy będę tylko tchnęła na nich przyjemnym zapaszkiem i grzecznie popijała tę waszą coca-colę.

- Dobrze - zgodził się spokojnie. - Jest hotel na rogu. Chodźmy.

Ruszyli do tego hotelu; wszedł, nie bardzo się tam orientując. Ostatecznie poprowadził ją do sali dla pań.

- Chyba tutaj - powiedział.

- Nie wiesz? Pierwszy raz tutaj jesteś? Skinął głową.

- Więc koniak? - zapytał.

- Podwójny - zakomenderowała. - Z lodem i odrobiną, ale tylko odrobiną wody.

Rzeczywiście nigdy tu nie bywasz?

- Nigdy - powiedział.

- Nie ciągnie cię do barów? - zaczęła dopytywać. - Wieczorem, kiedy już nie ma żadnej roboty?

- Był czas, że ciągnęło - przyznał. - Ale wtedy jeździłem do miasta. Nie robi się bałaganu na własnym podwórku. Po tygodniu jednak czy dwóch przestałem. Bo przekonałem się, że nie daje mi to zadowolenia.

- Więc co robisz wieczorem, jeżeli nie jesteś na morzu? - zapytała.

- Czytam czasopisma, książki. Nieraz wybieramy się do kina. - Przerwał, bo

podszedł barman; zamówił dla niej koniak, dla siebie małą whisky.

- Niezdrowy tryb życia - zauważyła. - Idę do toalety. Uważaj na moją torebkę.

W końcu po drugim podwójnym koniakku zdołał wyciągnąć ją z hotelu i zabrać do stoczni na lotniskowiec, mając tylko nikłą nadzieję, że będzie się zachowywała jako tako wobec jego oficerów. A przecież nie musiał się obawiać. Była skromna aż do przesady i bardzo uprzejma dla wszystkich Amerykanów. Jedynie Osborne'owi ukazała prawdziwe swoje oblicze.

- Halo, John - powiedziała. - A ty po co tu się szwendasz, do diabła?

- Należę do załogi - wyjaśnił. - Zajmuję się obserwacjami naukowymi. Ogólnie biorąc, przeszkadzam.

To właśnie mi mówił kapitan Towers - przytaknęła. - Naprawdę będziesz z nim siedział w tej łodzi podwodnej? Tak całymi dniami?

- Wszystko na to wskazuje.

- Czy oni znają twoje nawyki?

- Przepraszam, nie rozumiem.

- W porządku. Ja im nie powiem. Mnie to przecież nic nie obchodzi.

Odwróciła się, żeby porozmawiać z porucznikiem Lundgrenem. Gdy ją zapytał, czyby się czegoś napiła, wybrała oranżadę. Przyjemnie było patrzeć na nią w ten poranek w mesie "Sydney", stojącą wśród Amerykanów ze szklanką oranżady w ręce pod portretem królowej. Korzystając z tego, że jest zajęta, kapitan odciągnął oficera łącznikowego na bok.

- Chyba - szepnął - ona nie powinna zejść na "Skorpiona" tak ubrana. Może by się dało zorganizować jakiś kombinezon?

Peter skinął głową.

- Złapię coś z ekwipunku dla palaczy. Rozmiar numer jeden, myślę. Tylko gdzie się przebierze?

Kapitan potarł ręką podbródek.

- Nie znajdzie się jakiś kącik?

- Najlepiej byłoby w pańskiej kajucie, panie kapitanie. Tam nikt by nie podglądał.

- Tego już się nie dowiem... od niej. - Przypuszczam - rzekł Peter.

Moira zjadła obiad z Amerykanami, prezydując przy końcu jednego z długich stołów, po czym wypila w ich towarzystwie kawę w palarni. Wkrótce młodszy oficerowie odeszli do swoich zajęć i została tylko z Dwightem i Peterem. Peter położył na stoliku czysty, prosto z pralni kombinezon palacza.

- Uniform - powiedział.

Dwight odchrząknął.

- Na okręcie podwodnym trudno się nie pobrudzić smarami, panno Davidson.

- Moira - przerwała mu.

- Dobrze, Moira. Więc myślę, że lepiej byłoby pójść tam w kombinezonie. Szkoda tych ładnych szatek, żeby się zapaćkały wśród maszyn "Skorpiona".

Rozłożyła kombinezon.

- Zamienił stryjek siekierkę na kijek - zauważyła. - Gdzie mogę się przebrać?

- Może w mojej sypialni - zaproponował. - Tam nikt nie wejdzie.

- Mam nadzieję, że nie, chociaż zbyt pewna tego nie jestem - powiedziała. - W żadnym razie - po tym, co było w żagłowie. - I gdy on się roześmiał, podeszła do niego z kombinezonem w ręce. - Dobrze, Dwight, zaprowadź mnie tam. Wszystkiego w życiu raz próbuję.

Odprowadził ją i wrócił do palarni. W tej małej kajucie sypialnej Moira zaczęła rozglądać się ciekawie. Zobaczyła fotografie - cztery. Wszystkie przedstawiały młodą ciemnowłosą kobietę z dwojgiem dzieci: chłopcem ośmio- czy dziewięcioletnim i młodszą o parę lat dziewczynką. Jedna z tych fotografii była portretem tych trojga; pozostałe były powiększeniami zdjęć amatorskich: matka i dzieci na trampolinie w jakimś kąpielisku, być może nad jeziorem; drugie zdjęcie na trawniku, może na trawniku przed jego domem, bo w głębi widać długi samochód i fragment białej drewnianej willi. Dość długo przyglądała się tym fotografiom z zainteresowaniem; miła, ładna kobieta, miłe, ładne dzieci. To musi być ciężkie dla niego, ale cóż nie jest ciężkie w tych czasach. Zadręczać się nie ma sensu.

Przebrała się w kombinezon, zostawiając spódniczkę, bluzkę i torebkę na koi.

Spode lba popatrzyła w niewielkie lustro i wyszła na korytarz poszukać swego gospodarza. On już ruszył jej naprzeciw.

- No, jestem - rzekła. - Wyglądam jak z piekła rodem. Twoja łódź podwodna, Dwight, będzie musiała być bardzo zajmująca, żeby mi to wynagrodzić.

Ze śmiechem ujął ją pod rękę.

- Pewnie, że jest zajmująca - powiedział. - Najbardziej zajmująca spośród wszystkich okrętów Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Tędy proszę.

Powstrzymała się od uwagi, że prawdopodobnie też i jedyna pozostała spośród tych wszystkich okrętów; nie było celu sprawiać mu przykrości.

Kładką przeprowadził ją na wąski pokład "Skorpiona" i z pokładu na mostek, już służąc objaśnieniami. Niewiele wiedziała o okrętach, a już zupełnie nic o okrętach podwodnych, ale słuchała uważnie i parę razy nawet go zdumiała bystrością swoich pytań.

- Czy woda, kiedy się zanurzacie, nie wlatuje tą rurą głosową? - zapytała.

- Zakręca się ten kurek.

- A jeżeli się o tym zapomni? Uśmiechnął się.

- Jest jeszcze jeden na dole.

Przez wąskie luki zszedł z nią na dół do centrali głównej. Jakiś czas spędziła przy peryskopie, rozglądając się po porcie, i w lot pojęła zasady tego urządzenia, ale zespół przyrządów do trymowania i utrzymywania w równowadze okrętu zgoła jej nie zainteresował i nawet nie usiłowała czegokolwiek z tej techniki zrozumieć. Na maszyny patrzyła wzrokiem dość tępym i ożywiła się, zaintrygowana, dopiero wtedy, gdy zaczęła zwiedzać pomieszczenia załogi, mesę i kuchnię.

- Co się dzieje z zapachami? - zapytała. - Co się dzieje, kiedy pod wodą gotujecie kapustę?

- Kapusty wolimy raczej nie gotować - powiedział. - Przynajmniej świeżej. Zapach pozostaje dość długo. W końcu jednak środek odwanający zaczyna go usuwać, w miarę jak powietrze się zmienia i utlenia na nowo. Po godzinie, dwóch już tak bardzo nie cuchnie.

W swojej maleńkiej klitce poczęstował Moirę herbatą. Popijając zapytała:

- Dostałeś już rozkaz, Dwight?

- Dostałem. Cairns, Port Moresby i Port Darwin. Potem wrócimy tutaj.

- Nigdzie tam nie ma już nikogo żywego, prawda?

- Nie wiadomo. To właśnie mamy zbadać.

- Wyjdziecie na ląd? Potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Wszystko zależy od stopnia promieniowania, wątpię jednak, czy wylądujemy. Może nawet nie wychylimy się z okrętu. Zostaniemy na głębokości peryskopowej, jeżeli tam jest naprawdę niebezpiecznie. Ale po to John Osborne jedzie z nami, żebyśmy mieli kogoś, kto rzeczywiście wie, jak dalece można ryzykować.

Zmarszczyła brwi.

- Jeżeli nie będziecie mogli wyjść na pokład, to w jaki sposób zbadacie, czy tam ktoś został przy życiu?

- Mamy megafon - powiedział. - Podpłyniemy do brzegu, jak tylko się da najbliżej, i zaczniemy wołać przez megafon.

- Ale gdyby ktoś wam odpowiedział, czy byście usłyszeli?

- Nie tak wyraźnie, jak można słyszeć nas. Jest mikrofon podłączony do megafonu, ale odpowiedzi słyszy się tylko z bliska. Niemniej już coś by było. Spojrzała na niego.

- Czy to pierwsza wyprawa na obszary radioaktywne, Dwight?

- No, nie - odrzekł. - Można tam krążyć, jeżeli się zachowuje rozsądek i ostrożność. Byliśmy na takim obszarze dość długo jeszcze w czasie wojny... od Iwo Jima aż do Filipin, a potem dalej na południe do wysp Yap. Siedzi się pod wodą i robi się swoje jak zwykle. Oczywiście nie ma się ochoty wychodzić na pokład.

- Ale ja pytam, czy ostatnio. Czy wyprawiał się już ktoś na obszar radioaktywny, odkąd wojna się skończyła?

Odpowiedział skinieniem głowy.

- "Miecznik"... to nasz bratni okręt podwodny... odbył rejs po północnym Atlantyku. Wrócił do Rio de Janeiro miesiąc temu. Czekam na kopię raportu Johnny'ego Dismore'a... to kapitan "Miecznika"... ale jeszcze jej nie dostałem. Od dość dawna żaden



okręt nie płynął do Ameryki Południowej. Prosiłem o dalekopis, ale kiepsko ich słycać.

- Jak daleko "Miecznik" popłynął?

- Przypuszczam, że był wszędzie - odrzekł. - Przy stanach wschodnich od Florydy aż do Maine, i był w porcie nowojorskim, i nawet podpłynął do rzeki Hudson, tylko że nie mógł się przedostać przez szczątki Mostu Waszyngtona. Podpłynął do Nowego Londynu i do Halifax, i do St. John's, a później przez Atlantyk do Kanału Angielskiego, i pod Londyn. Tamizą jednak nie mógł płynąć daleko. Potem ruszył do Brestu, później do Lizbony, ale zapasy żywności już się wyczerpywały i załoga była w fatalnej formie, więc nie pozostawało im nic innego jak wrócić do Rio. - Urwał. - Jeszcze nie wiem, ile dni bez przerwy byli pod wodą... chciałbym wiedzieć. Tak czy owak, to z pewnością nowy rekord.

- Czy oni zastali gdzieś jakichś żywych ludzi, Dwight?

- Nie sądzę. Na pewno przecież byłoby wiadomo, gdyby zastali.

Utkwiła wzrok w wąskim przejściu za zasłoną tworzącą jedną ze ścian kajuty - w tym labiryncie rozpełzanych rur i kabli elektrycznych.

- Możesz to sobie wyobrazić, Dwight?

- Wyobrazić sobie? Co?

- Te wszystkie miasta, te wszystkie pola i farmy, gdzie nie ma nikogo, nic żywego.

Po prostu nic. ja tego nie ogarniam.

- Ja też - powiedział. - Nie wiem, czy chciałbym to sobie wyobrazić, wolę widzieć to wszystko takim, jakie było.

- Nigdy tych miejsc nie widziałam, naturalnie - zauważyła. - Nigdy nie wyjeżdżałam z Australii i nigdy już nie wyjadę. To nie znaczy, żebym chciała... teraz. Znam ten cały świat tylko z kina i z książek... na tyle, że wiem, jak to wyglądało. O tym, co tam jest teraz, już chyba nigdy żadnego filmu nie będzie.

Potrząsnął głową.

- Nie dałoby się go nakręcić. Żaden operator, o ile się orientuję, nie zdołałby wyjść z tego z życiem. Myślę, że nikt oprócz Boga nigdy nie będzie wiedział, jak wygląda teraz półkula północna. - Umilkł na chwilę. - Moim zdaniem, to lepiej. Kiedy się traci ludzi bliskich, nie chce się pamiętać, jak wyglądali po śmierci... chce się ich zachować we

wspomnieniach takimi, jacy byli w życiu. Tak właśnie lubię myśleć o Nowym Jorku.

- To za wielkie. - I powtórzyła: - Ja tego nie ogarniam.

- Ja też - powiedział. - W istocie, nie mogę w to uwierzyć, oswoić się z myślą o tym. Zapewne brak mi wyobraźni. Ale nie chcę mieć jej więcej. Dla mnie one wszystkie żyją... te miasta w Stanach... życie tam wre jak dawniej. Chciałbym, żeby to tak zostało aż do września.

- Oczywiście - rzekła cicho. Poruszył się.

- Jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję.

Z powrotem wyprowadził ją na pokład; przystanęła na pomoście, rozcierając sobie posiniaczoną łydkę, wdychając morskie powietrze z lubością.

To musi być piekło tak siedzieć tu w łodzi zamkniętej na wszystkie spusty, choćby najkrócej - powiedziała. - Długo będziecie pod wodą w czasie tego rejsu?

- Niedługo - odrzekł. - Jakieś sześć, siedem dni, być może.

- Na pewno to okropnie wpływa na zdrowie.

- Na zdrowie fizyczne nie. Cierpi się przede wszystkim z powodu braku słońca.

Mamy parę lamp kwarcowych, ale to przecież co innego niż słońce na pokładzie. Najgorsze są te skutki psychiczne. Niejeden marynarz... dobry marynarz pod każdym innym względem... po prostu tego nie wytrzymuje. Wszyscy po pewnym czasie mają nerwy trochę nadszarpnięte. Trzeba na to zrównoważenia. Spokoju ducha, że tak powiem.

Przytaknęła myśląc, że on właśnie wspaniale się do tego nadaje.

- Wszyscy jesteście zrównoważeni?

- Chyba. Większość z nas.

- Więc powinieneś uważać na Johna Osborne'a - doradziła. - O ile wiem, on taki nie jest.

Spojrzał na nią, zaskoczony. Dotychczas nie pomyślał o tym; zresztą próbny rejs John Osborne zniósł zupełnie dobrze. Teraz, gdy to poruszyła, należało się nad tym zastanowić.

- Będę uważał - powiedział. - Dziękuję za dobrą radę. Kładką wrócili na "Sydney".

W hangarze lotniskowca wciąż jeszcze stały samoloty ze złożonymi skrzydłami; cały okręt wydawał się martwy i cichy. Moira zatrzymała się w drodze.

- Żaden z nich już nigdy nie poleci, prawda?

- Chyba żaden.

- Czy w ogóle jakieś samoloty teraz latają?

- Dość dawno nie słyszałem o żadnych lotach - powiedział. - Wiem, że brak paliwa.

Już w milczeniu, niezwykle jak na nią przygaszona, doszła z nim do kajuty. Dopiero gdy zdjęła kombinezon i włożyła swoje własne rzeczy, powrócił jej animusz. Te cholerne schorzałe okręty. Ta cholerna schorzała rzeczywistość. Zapragnęła znaleźć się od tego jak najdalej, pić, słuchać muzyki i tańczyć. Przed lustrem, przed fotografiami żony i dzieci kapitana Towersa, poprawiła szminkę na ustach, róż na policzkach, przyciemniła rzęsy, żeby oczy jej się roziskrzyły. Wskoczyć stąd. Wydostać się natychmiast spośród nitowanych ścian ze stali, uciekać czym prędzej. Nie dla niej to miejsce. Uciekać w świat romansów, życia na niby, podwójnych koniaków. Z powrotem w swój świat.

Z ramek fotografii Sharon patrzyła na nią ze zrozumieniem i aprobatą.

W mesie on wyszedł jej na spotkanie.

- No! - wykrzyknął. - Wyglądasz szalowo. Przelotnie się uśmiechnęła.

- Ale czuję się parszywie - rzekła. - Wyjdźmy na świeże powietrze. Do tego hotelu, żeby się napić, a potem jedźmy gdzieś na dansing.

- Jak tylko sobie życzysz.

Zostawiając ją z Johnem Osborne, poszedł przebrać się w ubranie cywilne.

- Chodźmy, John, na pokład dla samolotów - poprosiła. - Dostanę spazmów, jeżeli jeszcze minutę będę siedziała w tym cholernym grobowcu.

- Nie bardzo wiem, jak trafić - przyznał Osborne. - Jestem tu nowym uczniem.

Znaleźli strome wyjście po drabinie, która jednak, jak się okazało, prowadziła do wieżyczki armatniej; wrócili więc znów na dół i błądziliby po stalowych korytarzach, gdyby im drogi nie wskazał jakiś marynarz. Zeszli na szeroki, zupełnie pusty pokład startowy.

Słońce przygrzewało, morze było cudownie niebieskie i dmuchał miłą świeżością wiatr.

- Dzięki Ci, o Panie, że wyrwałam się stamtąd - odetchnęła Moira.

- Z tego wnoszę, że marynarka wojenna cię nie oczarowała - zauważył Osborne.

- No, a ciebie? Miło ci w tym wszystkim?

- Tak, chyba tak. To będzie dość interesujące.

- Oglądanie zmarłych przez peryskop. Znam przyjemniejsze sposoby spędzania czasu.

Przeszli parę kroków w milczeniu.

- Chodzi tylko o to, żeby wiedzieć - rzekł wreszcie Osborne. - Należy przynajmniej próbować zbadać, co się właściwie dzieje. Może wcale nie jest tak, jak myślimy. Może coś wchłania cząstki radioaktywne. Może z tym połowicznym rozpadem substancji promieniotwórczych na świecie dzieje się coś, o czym nie wiemy. Nawet jeżeli nie odkryjemy nic, też będzie dobrze, bo to jednak nadal są jakieś próby badania zjawisk. Nie przypuszczam, żebyśmy rzeczywiście odkryli cokolwiek pocieszającego czy dającego konkretne nadzieje. W każdym wypadku przyjemnością jest ta praca.

- Odkrywanie nieszczęść to dla ciebie przyjemność?

- Właśnie przyjemność - potwierdził stanowczo. -

Niektóre gry są przyjemne, nawet kiedy się przegrywa. Nawet kiedy z góry wiadomo, że się przegra. Przyjemnie jest po prostu grać.

- Dość dziwaczne masz pojęcie o grach i przyjemnościach.

- Kłopot z tobą polega na tym, że nie chcesz widzieć faktów - upomniał ją. - To wszystko stało się, dzieje się naprawdę, a ty zamykasz na to oczy. Kiedyś jednak musisz je otworzyć.

- Dobrze! - wykrzyknęła rozpromieniona. - Kiedyś muszę otworzyć oczy. We wrześnie, jeżeli wy w tych waszych przypuszczeniach macie rację. Więc jeszcze zostaje mi dosyć czasu.

- Powiedzmy, że tak - spojrzał na nią z uśmiechem. - Ja co prawda nie odkładałbym za dużo na wrzesień. Bo termin jest określony plus minus, w przybliżeniu do trzech miesięcy. Może to nas dopadnie już w czerwcu, niezależnie od tego, co

komukolwiek na ten temat wiadomo. Albo może jeszcze zdążę kupić ci prezent na gwiazdkę.

Z wściekłością syknęła:

- Ty nie wiesz?

- Nie wiem - odpowiedział. - To przecież coś bez precedensu w historii świata. -

Umilkł. Po chwili dorzucił szatańsko: - Gdyby był precedens, nie rozmawialibyśmy dziś o tym.

- Jeszcze jedno słowo, a wypchnę cię za burtę!

Z wysepki zeszedł do nich kapitan Towers, elegancki, w granatowym, dwurzędowym ubraniu. - Nie wiedziałem, gdzie was szukać - powiedział.

- Przepraszam, Dwight - rzekła dziewczyna. - Powinniśmy byli zostawić ci wiadomość. Ja musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

John Osborne udzielił przestrogi:

- Lepiej niech pan się ma na baczności, panie kapitanie. Moira jest w złym humorze. Na pana miejscu nie przysuwałbym się do niej zanadto, bo może pokąsać.

- On się ze mną przekomarza - wyjaśniła Moira. - Jak Albert z lwem. Idziemy, Dwight.

- Do jutra, panie kapitanie - powiedział fizyk. - Niedzielę spędzam na okręcie.

Kapitan odszedł z dziewczyną, prowadząc ją na dół po schodkach. Na stalowym korytarzu wiodącym do kładki zapytał:

- Właściwie dlaczego on ci dokucza, dziecko?

- Dla wszystkiego - odrzekła niejasno. - Czepia się i czepia. Wypijmy, Dwight, zanim złapiemy jakiś pociąg. Dopiero wtedy będzie mi lepiej.

Skierowali się więc na główną ulicę Williamstown do tego samego hotelu. Nad trunkami zadał jej rzeczowe pytanie:

- Do której godziny mamy czas?

- Ostatni pociąg odjeżdża z ulicy Flinders o jedenastej piętnaście. Powinnam nim wrócić. Mama nigdy by mi nie wybaczyła, Dwight, gdybym zawieruszyła się z tobą na noc.

- No, przypuszczam. I co dalej, kiedy już przyjedziesz do Berwick? Ktoś tam będzie na ciebie czekał?

Potrząsnęła głową.

- Rano zostawiliśmy na stacji rower. Jeżeli ufetujesz mnie jak należy, trudno mi będzie dojechać na nim o własnych siłach, ale tak czy owak, rower tam dla mnie jest. - Dopija swój pierwszy podwójny koniak. - Postaw jeszcze jeden, Dwight.

- Postawię - zgodził się. - Ale zaraz potem wsiądziemy do pociągu. Obiecałaś mi tańce.

- Będą tańce - zapewniła. - Już zarezerwowałam stół u Maria. Ale ja najwspanialej powłóczę nogami, kiedy jestem zalana.

- Nie mam ochoty powłóczyć nogami - oświadczył. - Mam ochotę tańczyć.

Wzięła od niego szklankę z drugim podwójnym koniakiem.

- Bardzo jesteś dokładny - stwierdziła. - Ty także czepiasz się każdego mojego słowa... doprawdy, już tego nie wytrzymuję. Nawiasem mówiąc, większość mężczyzn tańczyć nie umie.

- Zaliczysz mnie do tej większości - uprzedził. - Kiedyś w Stanach tańczyliśmy często. Ale od początku wojny nie tańczyłem ani razu.

Oświadczyła:

- Żyjesz, zdaje mi się, jak mnich.

Po tym drugim koniaku pozwoliła się wyprowadzić z hotelu i w ostatnich blaskach dnia ruszyli na stację. Do miasta dojechali w godzinę później; z dworca wyszli na wielkowiejską ulicę.

- Trochę za wcześnie - rzekła Moira. - Chodźmy na spacer.

Wziął ją pod rękę, bo tak łatwiej im było iść wśród tłoczących się w ten sobotni wieczór przechodniów. Na wystawach sklepowych mogli oglądać jeszcze dużo różnych dobrych towarów, ale tylko nieliczne sklepy pozostały otwarte. W kawiarniach i restauracjach panowało przepelnienie; bary pozamykano, a przecież na ulicach co krok widziało się pijanych. To wszystko sprawiało wrażenie hałaśliwej, niepoohamowanej bez troski, bardziej w stylu lat dziewięćdziesiątych niż roku tysiąc dziewięćset

sześćdziesiątego trzeciego. Tłumy pieszych wylęgały na szerokie jezdnie, bo jeździły jedynie tramwaje. Przy zbiegu ulic Collinsa i Swanstona jakiś Włoch grał na wielkim jaskrawym akordeonie i, co więcej, grał bardzo ładnie. Ludzie wokół niego w takt tej muzyki tańczyli. Przed kinem "Regal" zataczający się pijak upadł na czworaki, znieruchomiał i nagle jak kłoda zwałił się do rynsztoka. Policjant, który właśnie przechodził, odwrócił go twarzą do góry, obejrzał obojętnie, po czym ruszył dalej.

- Nieźle tu się bawią wieczorami - zauważył Dwight.

- Już nie tak jak dawniej - powiedziała dziewczyna. - Znacznie gorzej to wyglądało zaraz po wojnie.

- Wiem. Powiedziałbym, że oni już zaczynają być zmęczeni. - Dwight zawahał się i dodał: - Podobnie jak ja.

Skinęła głową.

- Dziś sobota, oczywiście. W inne wieczory tygodnia jest bardzo cicho. Prawie tak jak przed wojną.

Weszli do restauracji. Powitał ich sam właściciel, bo znał pannę Moirę Davidson; bywała w tym lokalu co najmniej raz na tydzień, jeżeli nie częściej. Dwighta Towersa widział parę razy, może dlatego sądził, że ten Amerykanin woli chodzić do swojego klubu, ale maitre d'hotel wiedział, że to kapitan amerykańskiego okrętu podwodnego. Zostali więc przyjęci odpowiednio i poprowadzeni do wygodnego stolika w kącie, z dala od orkiestry; zamówili trunki i kolację.

- Bardzo są mili - stwierdził Dwight. - Bo jednak rzadkim tu jestem gościem i niezbyt dochodowym.

- A ja tu popijam dość często - przyznała się dziewczyna. W zadumie siedziała przez chwilę. - Wiesz, ty jednak jesteś szczęściarzem.

- Pod jakim względem?

- Masz pracę, która wypełnia ci czas. Dotychczas nie przyszło mu do głowy, że istotnie dobrze się składa.

- Tak jest - rzekł powoli. - Z pewnością raczej brak mi czasu na hulanki.

- A mnie nie brak - powiedziała. - Nic innego nie pozostaje mi do roboty.

- Nie masz żadnego zajęcia? Nic nie robisz?

- Nic a nic - rozłożyła ręce. - Czasem chodzę za wołem i bronuję nawóz u nas na farmie. I to już wszystko.

- Sądziłem, że pracujesz gdzieś w mieście.

- Pracowałam - rzekła z sarkazmem. - Tylko że to nie jest takie łatwe.

Dorobiłam się stopnia magistra historii w "budzie" przed samą wojną.

- W "budzie"?

To znaczy na uniwersytecie. Zamierzałam też pójść na kurs dla stenotypistek. Ale teraz jaki sens miałyby taka roczna nauka? Nie zdążyłabym tego kursu ukończyć. A gdybym nawet zdążyła, już nie ma żadnych posad.

- Ruch słabnie w interesach? Przytaknęła.

- Moje koleżanki jedna po drugiej tracą posady. Ludzie już nie pracują jak dawniej, więc nie potrzebują sekretarek. Połowa znajomych tatusia... tych, którzy jeździli do biur... już zrezygnowała. Siedzą w domu, jakby przeszli na emeryturę. Coraz więcej biur się zamyka, wiesz.

To chyba uzasadnione - zauważył. - Człowiek w tych ostatnich miesiącach ma prawo robić, co chce, jeżeli wystarcza mu pieniędzy.

- Dziewczyna też ma prawo - oświadczyła Moira. - Nawet jeżeli to, co chce robić, jest czymś innym niż bronowanie gnoju.

- Żadnej pracy nie można znaleźć? - zapytał.

- Dla mnie żadnej - odrzekła. - Staralam się dość usilnie. Rozumiesz, bo ja nie umiem nawet pisać na maszynie.

- Mogłabyś się nauczyć - powiedział. - Mogłabyś jednak pójść na ten kurs.

- Ale po co, skoro już nie ma czasu? Po co, skoro nie zdążyłabym zużytkować tych umiejętności, nawet gdybym kurs jakimś cudem ukończyła?

- W każdym razie to jest zajęcie. Po prostu alternatywa tych wszystkich podwójnych koniaków.

- Praca w imię samej pracy? - zapytała. - To brzmi wręcz plugawie. - Zaczęła nerwowo bębnić palcami po stole.



- Moim zdaniem brzmi lepiej niż picie w imię samego picia - upomniał ją. - I kaca po tym się nie ma...

Przerwała zirytowana:

- Zamów dla mnie podwójny koniak, Dwight, a potem mi pokażesz, jak umiesz tańczyć.

Wychodząc z nią na parkiet miał do niej nieokreślony żal. Tyle w tej dziewczynie uszczypliwości. Uznał jednak, że pochłonięty własnymi zajęciami i zmartwieniami nigdy dotąd nie pomyślał, jak straszliwą ruiną nadziei muszą być te czasy dla ludzi młodych i samotnych. Spróbował więc uprzyjemnić jej wieczór rozmawiając o filmach i musicalach, jakie oboje widzieli, i o wspólnych znajomych.

- Peter i Mary są dziwni - powiedziała mu w pewnej chwili. - Ona zupełnie wariuje na punkcie swojego ogrodu. Ma zamiar posiać jesienią różne rośliny, które wzejdą w przyszłym roku.

Uśmiechnął się.

- Uważam, że to właściwe podejście. Nigdy nic nie wiadomo. - I skierował rozmowę z powrotem na bezpieczniejsze tory: - Widziałaś już w "Plaza" film z Danny Kaye?

Żeglarstwo było też bezpiecznym tematem, więc mówił o tym sporcie dość długo. Gdy kończyli jeść kolację, rozpoczęły się występy kabaretowe, niezła na jakiś czas rozrywka; później znów tańczyli. W końcu dziewczyna powiedziała:

- Bajka o kopcuszką. Muszę już stąd się ruszyć i pomyśleć o tym pociągu, Dwight.

Zapłacił rachunek, gdy poszła do damskiej szatni, i zczekał na nią przy drzwiach. Na ulicach miasta panowała teraz cisza; znikąd nie dolatywała muzyka, restauracje i kawiarnie zamknięto. Tylko pijani zostali, chwiejnie snując się bez celu po chodnikach, pod murami kładąc się spać. Dziewczyna pokręciła nosem.

- Coś powinno się z tym zrobić. Przed wojną to byłoby nie do pomyślenia.

- Poważny problem - rzekł Dwight w zadumie. - Wciąż wyłania się na okręcie. Ja uważam, że marynarz ma prawo robić wszystko, co chce, kiedy wychodzi na ląd, byleby

nie przeszkadzał innym ludziom. Niektórzy po prostu muszą się upijać w tych naszych czasach. - Zerknął w stronę policjanta na rogu. - W każdym razie tak chyba myślą policjanci w tym mieście. Jeszcze nie widziałem, żeby aresztowano tu jakiegoś pijanego za samo to, że jest pijany.

Na dworcu zatrzymała się, żeby mu podziękować i powiedzieć dobranoc.

- Wieczór był cudny, Dwight. Cały dzisiejszy dzień także. Dziękuję za wszystko.

- Bardzo mi było przyjemnie, Moira - odpowiedział. - Od lat nie tańczyłem.

- Nie tańczysz tak źle - zapewniła. I nagle spoważniała: - Czy już wiesz, kiedy ten rejs na północ?

Potrząsnął głową.

- Jeszcze nie. Zanim wyszliśmy z "Sydney", dostałem wiadomość, że mam z porucznikiem Holmesem zameldować się w admiralicji w poniedziałek rano.

Niewykluczone, że to będzie ostatnia odprawa i odpłyniemy w poniedziałek po południu.

- Powodzenia - rzekła. - Zadzwońisz do mnie po powrocie do Williamstown?

- Zadzwonię - obiecał. - Bardzo chętnie. Może byśmy mogli znów gdzieś popłynąć żaglówką albo potańczyć.

- Byłoby miło - westchnęła. - No, czas już na mnie, bo się spóźnię na pociąg.

Dobranoc jeszcze raz i za wszystko dziękuję.

- Udała się nam sobota - powiedział. - Dobranoc.

Stał i patrzył, dopóki nie zniknęła w tłumie. Z tyłu w jasnej letniej sukience wydawała mu się trochę podobna do Sharon; przyszło mu na myśl, że może już zapomina, może już zaczyna mu się mylić? Nie, ta dziewczyna ma rzeczywiście chód trochę jak Sharon. To jedno. Może dlatego właśnie ją polubił... bo ma w sobie coś z jego żony.

Odwrócił się i poszedł do swego pociągu.

Nazajutrz rano, jak zwykle w każdy poranek niedzielny, jeśli tylko to było możliwe, wybrał się do kościoła w Williamstown. W poniedziałek o dziesiątej rano już czekał z Peterem Holmesem w Ministerstwie Marynarki Wojennej na wezwanie admirała, sir Dawida Hartmana. Sekretarz w randze porucznika powiedział:

- Za chwilę, panie kapitanie. O ile wiem, pojedziecie z nim, panowie, do Rady Ministrów Wspólnoty.

- Tak?

Młody człowiek skinął głową.

- Samochód zamówiony.

Zabrzmiał brzęczyk, więc sekretarz ruszył do gabinetu. Zaraz powrócił.

- Pan admirał prosi panów.

Weszli. Admirał wstał, żeby się z nimi przywitać.

- Dzień dobry, kapitanie Towers. Dzień dobry, Holmes. Premier chce z wami porozmawiać przed waszym rejsem, więc od razu do niego pojedziemy. Ja tylko chcę dać panu to, kapitanie. - Odwrócił się i podniósł z biurka dość okazały maszynopis - raport dowódcy okrętu podwodnego Stanów Zjednoczonych "Miecznik" z rejsu, jaki odbył z Rio de Janeiro po północnym Atlantyku. - Wręczył raport Dwightowi. - Przykro mi, że dopiero teraz, ale odbiór radiowy z Ameryki Południowej jest słaby, a tego nazbierało się sporo. Niech pan to weźmie ze sobą w drogę i przejrzy w wolnym czasie.

Amerykanin przyjął maszynopis, patrząc na ten plik kartek z zainteresowaniem.

To bardzo dla nas cenne, panie admirale. Czy jest tu coś, co mogłoby mieć wpływ na naszą operację?

- Nie sądzę. Stwierdzono wysoki stopień radioaktywności... radioaktywności powietrza... na całym tym obszarze; coraz wyższy, jak się należało spodziewać, im dalej na północ. Musieli się zanurzyć... pozwoli pan... - Admirał odebrał maszynopis i szybko przerzucił kartki. - Zanurzyli się na drugim stopniu szerokości geograficznej na południe od Parnaíba, a wynurzyli się dopiero na piątym stopniu szerokości geograficznej na południe od przylądka Sao Roque.

- Długo byli pod wodą, panie admirale?

- Trzydzieści dwa dni.

- Można by to uznać za rekord. Admirał przytaknął.

- Chyba. On to nawet gdzieś tutaj zaznacza. - Oddał kapitanowi Towersowi maszynopis. - No więc niech pan to sobie przeczyta. Znajdzie pan trochę informacji o

warunkach na północy. A propos, gdyby chciał pan nawiązać z nim łączność, jego okręt popłynął do Urugwaju. Obecnie jest w Montevideo.

- Czy to znaczy, że i w Rio zaczyna być gorąco, panie admirale? - zapytał Peter.

- Nie bardzo tam mieli czym oddychać.

Wyszli z ministerstwa na dziedziniec i wsiedli w elektryczną ciężarówkę. Pustymi jezdniami dojechali milcząc do ulicy Collinsa i dalej szpalerem drzew do siedziby Wspólnoty. W parę minut później siedzieli przy okrągłym stole z panem Donaldem Ritchie, premierem.

- Chciałem się z panem zobaczyć, panie kapitanie, zanim odpłyniecie - rzekł premier - coś niecoś panu powiedzieć o celu tego rejsu i życzyć szczęścia. Czytałem rozkaz pańskiej operacji i niewiele mam do dodania. Skierujecie się do Cairns, do Port Moresby i do Port Darwin, żeby złożyć raport, jakie tam są warunki. Każda oznaka życia czy to ludzi, czy zwierząt byłaby szczególnie interesująca. Roślinność także. I ptaki morskie, jeżeli da się zebrać o nich jakieś materiały.

- Obawiam się, że to będzie trudne, panie premierze - powiedział Dwight.

- Tak, też jestem tego zdania. W każdym razie, o ile mi wiadomo, jedzie z panem członek Organizacji Badań Naukowych.

Tak jest, panie premierze. Pan Osborne. Premier odruchowo, zwykłym swoim gestem przetarł dłonią twarz.

- No, nie chciałbym, żeby pan ryzykował. Nawet zakazuję panu tego. Chcemy, żeby pan tu wrócił na tym waszym okręcie zdrów i cały i z załogą zdrową i w dobrej formie. Pozostawiamy pańskiemu uznaniu i orientacji przydzielonego panu eksperta decyzję, czy i kiedy się wynurzycie i czy będziecie wychodzili na pokład. W granicach tego zalecenia chcemy uzyskać możliwie jak najwięcej informacji. Jeżeli stopień promieniowania na to pozwoli, powinniście lądować i dokonać inspekcji tych miast. Ale nie przypuszczam, by to się okazało wykonalne.

Admirał potrząsnął głową.

- Bardzo wątpię. Prawdopodobnie będziecie musieli zanurzyć się już na dwudziestym drugim stopniu szerokości południowej.

Amerykanin zastanowił się szybko.

- To na południe od Townsville.

Tak - rzekł premier z powagą. - Są jeszcze żywi ludzie w Townsville. W żadnym razie nie wolno panu zbliżyć się tam, jeżeli rozkaz operacji nie ulegnie zmianie, o czym zostałby pan zawiadomiony sygnałem z ministerstwa. - Podniósł głowę i spojrzał Amerykaninowi w oczy. - To może się wydawać okrutne, panie kapitanie. A pan im przecież nie może pomóc, lepiej więc nie wzbudzać płonnych nadziei widokiem waszego okrętu. I ostatecznie, jakie są warunki w Townsville, wiemy. Nadal utrzymujemy z Townsville łączność telegraficzną.

- Rozumiem, panie premierze.

- I tu dochodzimy do ostatniego punktu, na który muszę położyć nacisk.

Kategorycznie zakazuje się panu przyjmować kogokolwiek na okręt w czasie tego rejsu, jeżeli pan uprzednio drogą radiową nie otrzyma pozwolenia z ministerstwa. Wiem, że pan również uzna za środek ostrożności bezwzględnie konieczny to, żeby ani pan, ani nikt z pańskiej załogi nie narażał się na kontakty z osobami napromieniowanymi. Jasne?

- Najzupełniej, panie premierze. Premier wstał.

- No, życzę wam wszystkim powodzenia. Będę czekał na następną rozmowę z panem, kapitanie, za dwa tygodnie.

## Rozdział trzeci

Świtało, gdy w dziewięć dni później okręt podwodny Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, "Skorpion", zaczął wynurzać się z wody. W szarość spokojnego morza, pod zanikającymi gwiazdami, na dwudziestym czwartym stopniu szerokości geograficznej południowej, niedaleko Przylądka Piaszczystego i Bundabergu w Queensland, wysunęły się najpierw peryskopy. Sam okręt pozostał pod wodą jeszcze przez piętnaście minut, dopóki kapitan nie ustalił położenia na podstawie odległości latarni morskiej oraz wyników badania sondą akustyczną i dopóki John Osborne, z irytacją przebierając palcami po swoich instrumentach, nie sprawdził natężenia promieniowania w powietrzu. Dopiero wtedy "Skorpion" - długi i niski, szary na rozjaśniającej się wodzie - wynurzył się i z prędkością dwudziestu węzłów wziął kurs na południe. Szczęknięta otwierana kłapa i na pomost nawigacyjny wyszedł oficer pokładowy, za nim kapitan, po czym wielu innych. W ten pogodny ranek otwarto również kłapy przedziałów torpedowych na dziobie i na rufie, i na całym okręcie zaczęło krążyć świeże powietrze. Rozpięto jedną linę ratowniczą między dziobem i pomostem, drugą między pomostem i rufą, po czym wszyscy marynarze, którzy nie pełnili służby, wygramolili się na pokład w świeżość porannego chłodu - bladzi, uradowani, że mogą oglądać wschód słońca.

W pół godziny później chciało im się jeść bardziej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dni. Gdy zabrzmiał dzwon na śniadanie, ruszyli hurmem, nieomal przewracając się wzajemnie. Teraz z kolei na pokład wkroczyli kucharze. Po zmianie wachty wszyscy pozostali marynarze wyszli cieszyć się jasnym słonecznym blaskiem. Na pomoście oficerowie palili papierosy i okręt płynął po niebieskim morzu wzdłuż wybrzeża Queensland na południe już w normalnym stanie gotowości na powierzchni. Zainstalowano maszt radiowy i radiotelegrafista zasygnalizował położenie. Później można już było odbierać audycje rozrywkowe i głośniki, zagłuszając szmer turbin i chlupot wody o kadłub, rozbrzmiały muzyką lekką.

Na pomoście kapitan rozmawiał z oficerem łącznikowym.

- Tylko że ten raport dość trudno będzie napisać - powiedział.

Peter skinął głową.

- Można by o tym tankowcu, panie kapitanie.

- Oczywiście, można by o tankowcu - przytaknął Dwight.

Gdzieś pomiędzy Cairns i Port Moresby na Morzu Koralowym wypatrzyli okręt. To był dryfujący tankowiec najwyraźniej bez załogi. Stwierdzili, że został zarejestrowany w Amsterdamie. Dość długo krążyli wokół niego, wzywali załogę przez megafon bez żadnego skutku i oglądali go przez peryskop, sprawdzając szczegóły z danymi, które odszukali w rejestrze Lloyd'a. Z szalupami na swoich miejscach w dławicach był to okręt-widmo. Zardzewiał już, nawet bardzo zardzewiał. Ostatecznie doszli do wniosku, że to wrak z czasów wojny; nie wydawało się, żeby ucierpiał od czegokolwiek poza warunkami atmosferycznymi. Radioaktywność powietrza była jednak zbyt wysoka, więc nic nie mogli z nim zrobić, bodaj podpłynąć do niego, choćby nawet dało się jakoś dostać na wzniosy jego pokładów. Po godzinie zostawili go tam, gdzie wypatrzyli, tyle że sfotografowali przez peryskop i zanotowali położenie. Więcej statków przez cały czas tego rejsu nie spotkali.

Oficer łącznikowy zakonkludował:

- Trzeba będzie ograniczyć się w raporcie do podania pomiarów skażenia radioaktywnego dokonanych przez Johna Osborne'a.

- Na to mi wygląda - zgodził się kapitan. - No i pozostaje nam ten pies, któregośmy widzieli w Cairns.

Istotnie, napisanie raportu nie było łatwą sprawą, gdyż zobaczyli i usłyszeli na swojej trasie bardzo mało. Do Cairns zbliżyli się po wynurzeniu, ale w okręcie zamkniętym; natężenie promieniowania nie pozwalało na odsłonięcie pomostu nawigacyjnego. Żeby tam popłynąć, ostrożnie przedostali się przez rafę zaporową, po czym na noc zatrzymali okręt, bo Dwight uznał, że zbyt niebezpiecznie jest posuwać się w ciemnościach na takich wodach, nie mogąc polegać na latarniach morskich i światłach prowadzących. Kiedy ostatecznie trafili do Zielonej Wyspy i zbliżyli się do lądu, miasto wydało im się zupełnie normalne. Stało na tle gór płaskowyżu Atherton skąpane w blasku słońca. Przez peryskop zobaczyli ulice ze sklepami w cieniu palm, szpital i porządne

parterowe wille na palach nad ziemią, przy chodnikach zaparkowane samochody, kilka powiewających flag. Ujściem rzeki popłynęli do doków. Dużo nie było tam do oglądania poza kilkoma kutrami rybackimi zakotwiczonymi dalej na rzece w sposób najzupełniej zwykły; żadnych statków nie widzieli. Dźwigi stały równo, należycie zabezpieczone. Chociaż patrzyli z niewielkiej odległości od brzegu, widok mieli ograniczony, gdyż peryskop ledwie przewyższał nabrzeże, i nie opodal już wszystko przysłaniały magazyny. Widzieli więc tylko odcinek nad samą wodą, spokój i martwość, jakby to był dzień świąteczny, chociaż normalnie w niedzielę czy święto kręciłyby się przecież mniejsze łodzie. Tylko duży czarny pies wyszedł na jedno z nabrzeży i zaczął szczekać w ich stronę.

Nie ruszali się stamtąd przez parę godzin, przy czym ich nawoływanie przez megafon nastawiony na maksymalną donośność słycać było na pewno w całym tym niewielkim mieście. Nie działo się nic, miasto trwało w niezmaconym śnie.

Zawrócili kawałek i znów zobaczyli Hotel Strand i część centrum handlowego. Wciąż jeszcze nawoływali bez skutku. W końcu rezygnując skierowali się z powrotem na morze, żeby przebyć rafę zaporową, zanim się ściemni. Oprócz danych o radioaktywności zebranych przez Johna Osborne'a nie mieli do zanotowania żadnych istotnych szczegółów i wszystko sprowadzało się właściwie do zgoła negatywnego stwierdzenia, że Cairns wygląda nie inaczej, niż wyglądało zawsze. Ulice w słonecznym blasku, szkarłatnie kwitnące drzewa na dalekich wzgórzach, wystawy sklepów pod szerokimi markizami. Miłe miasteczko - oaza w klimacie tropikalnym - tylko że życia już w nim nie ma; pozostał żywy jedynie czyjś pies.

W Port Moresby było tak samo. Z morza nie stwierdzili przez peryskop żadnych szkód w mieście. Na redzie stał jakiś statek handlowy zarejestrowany w Liverpoolu, z drabiną sznurową zwisającą z boku. Dwa inne statki leżały na piaszczystym brzegu prawdopodobnie tak, jak wyrzuciło je morze z miejsc, gdzie stały zakotwiczone w czasie burzy. Tam również zostali przez parę godzin, krążąc po redzie, wpływając do doków, bez ustanku nawołując przez megafon. Odpowiadała im głucha cisza, ale samo miasto wyglądało normalnie. Odpłynęli po pewnym czasie, gdyż nie miało celu pozostawanie



tam dłużej.

Po dwóch dniach przybyli do Port Darwin i zarzucili kotwicę w porcie pod miastem. Widzieli tylko nabrzeże, dach siedziby rządu i fragment Hotelu Darwin. Sporo stało tam kutrów rybackich, ale na próżno zaczęli wokół nich krążyć i nawoływać przez megafon. Nie dowiedzieli się niczego; mogli tylko dojść do wniosku, że gdy nadszedł kres, ludzie umierali w sposób schludny.

- Tak właśnie robią zwierzęta - zauważył John Osborne. - Chowają się w norach, żeby umrzeć. Oni są prawdopodobnie w łóżkach.

- Dość na ten temat - rzekł stanowczo kapitan.

- Kiedy to prawda - powiedział fizyk.

- Dobrze, prawda. Ale już o tym nie mówmy. Napisanie raportu z pewnością było trudną sprawą. Wypłynęli z Port Darwin nie inaczej, niż wypłynęli przedtem z Cairns i Port Moresby; pod wodą wzięli kurs z powrotem przez Cieśninę Torresa wzdłuż wybrzeża Queensland na południe. Napięcie, w jakim ten rejs odbywali, już dawało o sobie znać. Rozmawiali niewiele przez te trzy dni od wypłynięcia z Port Darwin do chwili wynurzenia się znów na powierzchnię morza. Teraz dopiero, odświeżeni wypoczynkiem na pokładzie, mieli czas na to, by się zastanowić, jaką zdadzą relację po powrocie do Melbourne.

Zjedli obiad i paląc papierosy zaczęli w mesie debatować nad tą sprawą.

- Taki sam stan rzeczy oczywiście zastał "Miecznik" - powiedział Dwight. - Oni tam ani w Stanach ani w Europie nie zobaczyli przecież nic innego.

Peter sięgnął po leżący na blacie kredensu mocno sfatygowany ciągłym przeglądaniem raport z "Miecznika". Jeszcze raz przerzucił te kartki, chociaż była to w czasie rejsu jego stała lektura, którą znał już nieomal na pamięć.

- O tym jeszcze nie pomyślałem - powiedział wolno. - Patrzyłem na to pod innym kątem, ale teraz, kiedy pan to poruszył... tak, to prawda. W całym ich raporcie nie ma istotnie nic o warunkach na lądzie.

- Nie mogli się tam rozejrzeć dokładniej niż my - rzekł kapitan. - Nikt naprawdę nie będzie wiedział, jak wyglądają te skażone obszary. Czyli wszereż i wzdłuż półkula północna.

Peter szepnął:

- Chyba to dobrze.

- Chyba - zgodził się kapitan. - Są rzeczy, których człowiek nie powinien chcieć oglądać.

John Osborne przytaknął.

- Przyszło mi to na myśl dzisiaj w nocy. Czy was nie uderzyło, że nikt nigdy... nigdy... nie zobaczy już Cairns ani Moresby, ani Port Darwin?

Patrzyli na niego rozważając ten nowy aspekt.

- No, nikt by nie mógł zobaczyć więcej, niż myśmy widzieli - przerwał ciszę kapitan.

- Ale czy tam kto jeszcze kiedykolwiek pojedzie? My przecież tam nie wrócimy. Na przestrzeni tego czasu już nie.

- Już nie. - Dwight się zadumał. - Nie przypuszczam, żeby nas tam znowu wysłali. W ten sposób dotychczas tego nie ujmowałem, ale powiem, że ma pan słuszość. Jesteśmy ostatnimi ludźmi, którzy zobaczyli te miasta. - Umilkł na chwilę. - A myśmy w praktyce nie widzieli tam nic. Ma pan słuszość.

Peter poruszył się niespokojnie.

- Fakt historyczny - stwierdził. - To powinno zostać gdzieś zapisane. Ktoś chyba pisze teraz w takiej czy innej formie historię naszych czasów?

John Osborne rozłożył ręce.

- Ja o tym nie słyszałem. Ale spróbuję się dowiedzieć. Ostatecznie nie bardzo jest sens pisać coś, czego na pewno nikt już nie będzie czytał.

- A przecież powinno się to napisać - rzekł Amerykanin. - Choćby tylko do czytania w ciągu najbliższych kilku miesięcy. - Znów się zamyślił. - Chciałbym przeczytać jakieś studium o tej wojnie. Po części wziąłem w niej udział, ale właściwie nic nie wiem o niej. Nikt czegoś takiego nie napisał?

- Historii nie - odrzekł fizyk. - Przynajmniej mnie o tym nie wiadomo. Garść informacji mamy, oczywiście, ale brak logicznej ciągłości. Za dużo jest luk... rzeczy, o których po prostu nie wiemy.

- Zadowolilibym się nawet tym, co *jednak* wiemy - oświadczył kapitan.

- Czym mianowicie, panie kapitanie?

- No, na początek odpowiedzią na pytanie, ile bomb spadło? To znaczy bomb atomowych.

- Z zapisków sejsmicznych wynika, że około czterech tysięcy siedmiuset. Niektóre wstrząsy musiały być dość słabe, więc prawdopodobnie ta liczba jest jeszcze większa.

- Ile z tego było tych dużych... bomb... wodorowych, czy jak wy tam je nazywacie?

- Trudno powiedzieć. Prawdopodobnie większość. W wojnie na wschodzie rzucono tylko bomby wodorowe, przypuszczam... przeważnie z kobaltem.

- Dlaczego? Dlaczego ten kobalt właściwie? - zapytał Peter.

Fizyk wzruszył ramionami.

- Wojna radiologiczna. Więcej ci nie powiem, bo nie potrafię.

- A może ja potrafię - rzekł Amerykanin. - Na miesiąc przed wojną przechodziłem w Yerba Buena w pobliżu San Francisco kurs dla oficerów dowodzących. Mówiono nam, co w myśl przypuszczeń mogłoby nastąpić pomiędzy Rosją a Chinami. Czy odpowiadało to temu, co nastąpiło w sześć tygodni później... hm... możemy tylko snuć domysły.

John Osborne zapytał cicho:

- Co mówiono?

Kapitan rozważał przez chwilę. Potem powiedział:

- Ze to wszystko wiąże się ze sprawą portów na ciepłych morzach. Rosja nie ma portu, który by nie zamarzał w zimie... poza jedną Odessą na Morzu Czarnym. Żeby wypłynąć z Odessy na otwarte morza, trzeba przebyć dwie wąskie cieśniny, Bosfor i Gibraltar, obie będące w czasie wojny pod władaniem NATO. Wprawdzie Murmańsk i Władywostok Rosjanie mogli mieć w zimie otwarte wprowadzając lodolamacze, ale to były porty bardzo dalekie od każdego ich okręgu przemysłowego, gdzie produkowano towary na eksport. - Umilkł. Po chwili uzupełnił: - Ten facet z wywiadu twierdził, że chodzi o Szanghaj.

Fizyk zapytał:

- Szanghaj byłby wygodny dla przemysłu syberyjskiego? Kapitan skinął głową.

- Właśnie. W czasie drugiej wojny światowej przenieśli sporo fabryk transsyberyjską linią kolejową na wschód od Uralu aż nad jezioro Bajkał. Założyli nowe miasta i wszystko. Daleko przecież, szalenie daleko jest stamtąd do takich portów jak Odessa. W tę stronę to tylko połowa tej odległości.

Zapanowało milczenie.

- I na jeszcze jedno ten facet zwrócił uwagę - rzekł w zadumie kapitan. - Na to, że Chiny mają ludność trzy razy liczniejszą niż Rosja, przeludnienie wręcz rozpaczliwe. Mówił również, że w miarę jak w ubiegłym dwudziestoleciu przemysł chiński rozwijał się coraz bardziej, Rosja zaczęła bać się napaści Chin. To się składa na powody tej wojny...

- Ale - zauważył Peter - używając bomb kobaltowych nie mogliby posuwać się naprzód.

To prawda. Jednakże przy odpowiednim rozrzuceniu tych bomb Chiny północne mogłyby się stać obszarem nie do zamieszkania na dobrych kilka lat. Gdyby bomby spadały we właściwe miejsca, pył radioaktywny rozprzestrzeniłby się po Chinach aż do morza. Reszta rozeszłaby się na wschód przez Pacyfik; gdyby trochę dostało się przy tym do Stanów Zjednoczonych, nie sądzę, by fakt ten oplakiwano słonymi łzami. Do Europy i do Rosji zachodniej doleciałaby naokoło świata tylko nieznaczna ilość, gdyby zaplanowano to należycie. Peter zapytał fizyka:

- Ile czasu musiałyby minąć, zanim ludzie mogliby pracować?

- Po skażeniu kobaltem? Nawet bym nie próbował zgadywać. To zależy od tylu czynników. Trzeba byłoby wysłać ekipy badawcze. Więcej niż pięć lat chyba... okres, w którym rozpada się połowa atomów substancji radioaktywnej, obecnej na początku... mniej niż lat dwadzieścia. Ale dokładnie nie sposób określić.

John Osborne zwrócił się do Dwighta:

- Co zdaniem tego wykładowcy myśleli Chińczycy?

- Och, oni zapatrywali się inaczej. Nie chodziło im właściwie o zabicie Rosjan. Chcieli, przede wszystkim zamienić ich z powrotem w naród rolniczy, któremu do niczego nie byłby potrzebny Szanghaj ani żaden inny port.

Zamierzali skażyć kobaltem rejony przemysłowe, miasto po mieście, sięgnąć tam

swoimi raketami transkontynentalnymi. Po to, by w rezultacie przez następne dziesięć lat nie można było używać narzędzi mechanicznych. Byłby to pył z ciężkich cząsteczek o ograniczonym zasięgu, nie rozchodzący się zbyt szeroko po świecie. Prawdopodobnie Chińczycy nawet nie zamierzali rzucać bomb bezpośrednio na dane ośrodki...

Wystarczyłoby trafić gdzieś o dziesięć mil na zachód od miasta, tak żeby resztę zrobił już wiatr. - Kapitan przerwał na chwilę. - Po całkowitym zniszczeniu przemysłu mogliby wkroczyć i zająć wszystkie nie skażone obszary kraju, na jakie tylko mieliby ochotę.

Później radioaktywność by ustała i zajęliby miasta.

- Tylko że obrabiarki dostaliby już nieco zardzewiałe - powiedział Peter.

- Być może. Ale to byłaby dla nich łatwa wojna. John Osborne zapytał:

- Myśli pan, że tak właśnie to się przedstawiało?

- Skąd mogę wiedzieć? - odrzekł Amerykanin. - Tego chyba nikt nie wie.

Powtarzam tylko to, co mówił ten oficer z Pentagonu na kursie dla dowódców. -

Zastanowił się i dodał: - Pod pewnym względem Rosja miała przewagę. Chiny były same... bez przyjaciół i sojuszników, z wyjątkiem właśnie Rosji.

Przez kilka minut milczeli wszyscy, paląc papierosy.

- Czy możliwe, że tak ostatecznie to się rozpętało? - zapytał w końcu Peter. - To znaczy po tych pierwszych nalotach na Londyn i Waszyngton?

John Osborne i kapitan spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Przecież Rosjanie wcale nie bombardowali Waszyngtonu - powiedział Dwight. -

Stwierdzono to w sposób niezbity.

Ze swojej strony Peter patrzył na nich ze zdumieniem.

- Ja mówię o tym nalocie, od którego wszystko się zaczęło.

- Tak jest. O tym pierwszym nalocie. To były odrzutowe bombowce rosyjskie Il 626, ale załogę miały egipską. Przyleciały z Kairu.

- Naprawdę?

- Jak najbardziej. Przechwycono jeden, kiedy wylądował w Puerto Rico. Dopiero wtedy okazało się, że to egipski, kiedyś już zbombardowali Leningrad, Odessę i ośrodki nuklearne w Charkowie, Kujbyszewie i Mołotowie. Tempo wydarzeń tamtego dnia

było dość błyskawiczne, jak się zdaje.

- Czy to znaczy, że zbombardowaliśmy Rosję przez pomyłkę?

Przejęty zgrozą Peter wprost nie mógł w to uwierzyć.

- To fakt, Peter. Nigdy nie przyznano się do tego publicznie, ale bezwzględnie to fakt. Pierwsza była bomba na Neapol. Albańczycy oczywiście. Potem była bomba na Tel-Awiv. Nikt nie wie, kto ją rzucił, w każdym razie ja nie słyszałem. Potem zainterweniowali Brytyjczycy i Amerykanie i przelecieli demonstracyjnie nad Kairem. Następnego dnia Egipcjanie wysłali wszystkie nadające się do użytku bombowce, jakie mieli: sześć na Waszyngton i siedem na Londyn. Jeden przedostał się do Waszyngtonu, dwa do Londynu. Nie pozostawiło to wielu amerykańskich i brytyjskich mężów stanu przy życiu.

Dwight przytaknął.

- Bombowce były rosyjskie i słyszałem, że podobno znaki też. To zupełnie możliwe.

- Dobry Boże! - powiedział Australijczyk. - Więc myśmy zbombardowali Rosję?

- Tak właśnie było - rzekł posepnie kapitan. John Osborne powiedział:

- Zrozumiałe. Londyn i Waszyngton odpadły... po prostu odpadły. Decyzje musieli podejmować dowódcy wojsk w rozsypce na frontach, i to musieli podejmować je szybko przed następną porcją bomb. Stosunki z Rosją były już naprężone po bombie albańskiej, a te bombowce uznano za rosyjskie. - Zamilkł na chwilę. - Ktoś musiał zdecydować, oczywiście na przestrzeni dosłownie minut. W Canberze uważa się teraz, że zdecydował źle.

- Ale jeśli to była omyłka, dlaczego nie połączono sił, żeby z tym skończyć?

Dlaczego to się ciągnęło dalej?

Kapitan zauważył:

- Szalenie trudno jest przerwać wojnę, kiedy wszyscy politycy, którzy byli u steru, już nie żyją.

- Sęk w tym - powiedział fizyk - że ta cholerna bomba zanadto spadła w cenie.

Pod koniec oryginalna bomba uranowa kosztowała zaledwie pięćdziesiąt tysięcy funtów. Każdy nawet najmniejszy kraik, taki jak Albania, mógł mieć tych bomb całą stertę i każdy

kraik, który je miał, wyobrażał sobie, że może pokonać większe państwa przez zaskoczenie. W tym właśnie był sęk.

- No i te samoloty - uzupełnił kapitan. - Rosjanie dawali Egipcjanom samoloty. Tak samo Brytania dawała samoloty Izraelowi, jeśli już chodzi o to, i Jordanii również.

Wielkim błędem było dawanie im odrzutowców.

Peter powiedział cicho:

- No więc w rezultacie wybuchła ta wojna pomiędzy mocarstwami zachodnimi i Rosją. Kiedy przystąpiły Chiny?

- Chyba nikt nie wie dokładnie - odrzekł kapitan. - Ale powiedziałbym, że prawie natychmiast ruszyły ze swoimi raketami i bronią radiologiczną, po prostu korzystając z okazji. Prawdopodobnie nie liczyły się z tym, że Rosja ze swojej strony może prowadzić wojnę radiologiczną. - I po chwili dodał:

- Ale to jedynie przypuszczenia. Większość środków łączności dość szybko przestała istnieć, a te radiostacje, które zostały, nie zdążyły przekazać zbyt wiele ani nam tutaj, ani Południowej Afryce. Wiemy tylko, że w większości krajów dowództwo objęli z konieczności młodszy oficerowie.

John Osborne uśmiechnął się krzywo:

- Major Czan Sze Lin. Peter zapytał:

- Właściwie kto to był Czan Sze Lin? Fyzyk odrzekł:

- Naprawdę chyba nikt nie wie o nim nic poza tym, że był oficerem chińskich sił powietrznych i że pod koniec został, jak by wynikało, wodzem naczelnym. Nasz premier był z nim w kontakcie, usiłując ingerować, żeby przerwać to wszystko. Zdaje się, że Czan Sze Lin miał mnóstwo rakiet w różnych częściach Chin i mnóstwo bomb do rzucenia. Być może, jego odpowiednikiem w Rosji był ktoś równie nieznaczny. Ale nie sądzę, żeby naszemu premierowi kiedykolwiek udało się nawiązać kontakt z Rosjanami. Ja przynajmniej o tym nie słyszałem.

Zapanowało milczenie.

- To musiała być trudna sytuacja - rzekł w końcu Dwight. - No bo co miał ten facet robić? Wojna w jego rękach i broni w bród, żeby ją toczyć. Tak samo pewnie było we

wszystkich innych krajach, kiedy przywódcy polityczni polegli. Bardzo ciężko w takim stanie rzeczy zaprzestać wojny.

- W wypadku tej wojny z pewnością było ciężko. Więc jej nie zaprzestano, dopóki wszystkie bomby nie spadły i wszystkie samoloty nie stały się do niczego. A kiedy ten czas nadszedł, sprawa oczywiście posunęła się już za daleko.

- Jezu - szepnął Amerykanin. - Nie wiem, jak ja bym postępował, gdybym był którymś z nich. Rad jestem, że nie byłem.

Fizyk powiedział:

- Przypuszczam, że usiłowałby pan pertraktować.

- Z nieprzyjacielem zamieniającym Stany Zjednoczone w piekło i mordującym całą naszą ludność? Gdybym dysponował taką bronią w dodatku? Miałbym po prostu zaniechać walki i poddać się? Przyjemniej mi suponować, że byłbym tak wspaniałomyślny, ale... no, nie wiem. - Kapitan podniósł głowę. - Nigdy mnie nie szkolono na dyplomatę - powiedział. - Gdybym znalazł się w takiej sytuacji, nie umiałbym dać sobie z nią rady.

- Oni też nie umieli - rzekł fizyk. Przeciągnął się i ziewnął. - Fatalna sprawa. Ale nikogo nie potępiajmy. To nie mocarstwa wywołały to wszystko. To te małe państewka, te nieodpowiedzialne.

Peter Holmes uśmiechnął się.

- Raczej przykrość dla nas, reszty świata.

- Masz jeszcze pół roku czasu - zauważył John Osborne. - Może trochę więcej, może trochę mniej. Bądź z tego zadowolony. Zawsze wiedziałeś, że kiedyś umrzesz. No, teraz wiesz już, kiedy. Po prostu. - Zaczął się śmiać. - Używaj życia, jakie ci zostało.

- Ja wiem - powiedział Peter. - Cała rzecz w tym, że nie przychodzi mi na myśl nic, co chciałbym robić bardziej niż to, co robię teraz.

- Zamknięty jak w kojcu w tym cholernym "Skorpionie".

- Hm... tak. To jest nasze zadanie. Ale ja właściwie mówiłem o tym, co robię w domu.

- Brak ci fantazji. Powinieneś przejść na mahometanizm i założyć harem.



Kapitan roześmiał się.

- Może on ma tam coś takiego. Oficer łącznikowy potrząsnął głową.

- Pomysł dobry, cóż, kiedy w praktyce niewykonalny. Mary by się nie zgodziła. -

Spoważniał. - Kłopot polega na tym, że ja w gruncie rzeczy nie wierzę, by to się stało. Ty możesz w to uwierzyć?

- Po tym wszystkim, co widziałeś? Peter się obruszył.

- Właśnie. Gdybyśmy zobaczyli jakieś zniszczenie...

- Zupełny brak fantazji - powtórzył swoje fizyk. - Wszyscy wy, oficerowie, jesteście tacy sami. "Mnie to się stać nie może". - Urwał. - A jednak może. I stanie się.

- Rzeczywiście chyba mi brak fantazji - rzekł Peter w zadumie. - To... to będzie koniec świata. Nigdy przedtem nie musiałem sobie przecież wyobrazić, że tego dożyję.

John Osborne ze śmiechem sprostował.

- Koniec świata to wcale nie będzie. My się skończymy. Świat pozostanie światem, tyle że już bez nas. Powiem nawet, że da sobie bez nas radę.

Dwight Towers podniósł głowę.

- Chyba tak. Na samym Cairns czy na Port Moresby raczej nie bardzo się to odbiło. - Umilkł, myśląc o tych oglądanych przez peryskop drzewach na wybrzeżu: kwitnących szkarłatnie acerifoliusach i bumeliach z kiściami białych kwiatów, i o palmach strzelistych w blasku słońca. - Może byliśmy zbyt niemądrzy, żeby na taki świat zasłużyć - rzekł po chwili.

Fizyk przytaknął.

- Racja w całej rozciągłości.

Najwyraźniej niewiele już więcej mieli do powiedzenia o tych sprawach, więc wyszli na pomost i zapalili papierosy, rozkoszując się świeżym powietrzem i pięknym słonecznego dnia.

Nazajutrz wczesnym rankiem "Skorpion" minął cyple u wejścia do basenu portowego Sydney i skierował się na południe w Cieśninę Bassa. W dwadzieścia cztery godziny później dopływał już do zatoki Port Phillip, tak że przed południem stanął z powrotem na swoim miejscu, u boku lotniskowca w Williamstown. Oczekujący go admirał

został zaproszony gwizdkiem, gdy tylko opuszczono kładkę.

Kapitan Towers powitał gościa na wąskim pokładzie podwodnego okrętu. Admirał odpowiedział salutem na jego salut.

- No, kapitanie, jaki był ten rejs?

- Nie mieliśmy żadnych kłopotów, panie admirale. Operacja przeprowadzona zgodnie z rozkazem. Ale obawiam się, że rezultaty mogą panu sprawić rozczarowanie.

- Nie zebraliście dużo materiału informacyjnego?

- Mamy mnóstwo danych o promieniowaniu, panie admirale. Na północ od dwudziestego stopnia szerokości geograficznej warunki uniemożliwiły wyjście na pokład.

Admirał skinął głową.

- Były przypadki jakichś chorób?

- Jeden przypadek. Nasz lekarz stwierdził odrę. Nic wspólnego z radioaktywnością.

Zeszli obaj do maleńkiej kajuty kapitana. Dwight zaprezentował brulion swego raportu, pisany ołówkiem na papierze kancelaryjnym, oraz załącznik z podanymi stopniami promieniowania z każdej wachty w czasie rejsu - długie kolumny małych cyfr wypisanych równo ręką Johna Osborne'a.

- Zaraz to każę przepisać na maszynie na "Sydney" - powiedział. - Ale to wszystko sprowadza się do tego, że dowiedzieliśmy się bardzo niewiele.

- Nigdzie żadnych śladów życia?

- Nic w ogóle. Rzecz jasna, mało można zobaczyć na wybrzeżu z wysokości peryskopowej. Wcale przedtem nie zdawałem sobie sprawy, że tak mało będziemy mogli widzieć. Cairns jest na uboczu głównego kanału, Moresby tak samo. Miasta Darwin na skale w ogóle nie widzieliśmy. Tylko dzielnicę portową. - Po chwili dodał: - Wydawało się prawie, że wszystko z nią w porządku.

Admirał przerzucał kartki rękopisu, od czasu do czasu czytając jakiś ustęp.

- W każdym z tych miejsc się zatrzymywaliście?

- Po jakieś pięć godzin. I wciąż dawaliśmy znać o sobie przez megafon.

- Nie było żadnej odpowiedzi?

- Nie było, panie admirale. W Darwin zrazu myśleliśmy, że ktoś się odzywa, ale to hak dźwigu szczękał na nabrzeżu. Po prostu hak - jak się okazało, kiedyśmy podpłynęli bliżej, żeby to zbadać.

- Ptaki morskie?

- Żadnych. Ani jednego ptaka nikt z nas nie widział na północ od dwudziestego stopnia szerokości geograficznej. W Cairns zobaczyliśmy psa.

Admirał siedział w kajucie kapitana ze dwadzieścia minut. W końcu wstał:

- No, niech pan przyśle ten raport możliwie jak najszybciej z zaznaczeniem, że jedną kopię goniec ma odnieść prosto do mnie. To jest nieco rozczarowujące, ale prawdopodobnie dokonaliście więcej, niż ktokolwiek inny mógłby dokonać.

Amerykanin powiedział:

- Czytałem ten raport z "Miecznika", panie admirale. Niewiele w nim jest informacji o stanie rzeczy na wybrzeżu zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Europy. Przypuszczam, że oni widzieli mniej więcej to samo, co my w okolicach brzegu. - Zawahał się. - Chciałbym wysunąć pewną propozycję.

- Jaka, kapitanie?

- Natężenie promieniowania nie wszędzie na tej linii jest bardzo wysokie. Nasz fizyk powiedział mi, że człowiek mógłby tam pracować bezpiecznie w kombinezonie izolacyjnym... w hełmie, w rękawiczkach i we wszystkim, oczywiście. Moglibyśmy wysłać któregoś z oficerów na wybrzeże w każdym z tych portów... popłynąłby łódką gumową, z zapasem tlenu na plecach.

- Odkażenie po powrocie na pokład - rzekł admirał. - Z tym będzie problem. Pewnie jednak możliwy do rozwiązania. Podsunę to premierowi i dowiem się, czy mu zależy na jakichś szczególnych informacjach. Może on uzna, że gra nie warta świeczki. Ale to jest myśl.

Skierował się do centrali głównej, żeby po drabinie wejść na pomost.

- Będziemy mogli dać chłopcom przepustki, panie admirale?

- Są jakieś defekty?

- Nic poważnego.

- Na dziesięć dni - rzekł admirał. - Zasygnalizuję o tym dziś po południu.

Peter Holmes zadzwonił do Mary po obiedzie.

- Już z powrotem, zdrow i cały - oznajmił. - Słuchaj, kochanie, będę w domu wieczorem... nie wiem, o której. Przedtem muszę wypchnąć raport, sam go podrzucić do Ministerstwa Marynarki po drodze... powinienem tam wpaść. Więc nie wiem, który pociąg złapię. Nie trudź się wyjeżdżaniem po mnie... przyjdę ze stacji pieszo.

- Tak cudownie słyszeć znów twój głos - cieszyła się Mary. - Kolację zjesz już w domu, prawda?

- Chyba. Sam sobie usmażę parę jajek czy coś takiego. Zastanowiła się szybko.

- Ugotuję potrawkę, będziemy mogli zjeść o każdej porze.

- Doskonale. Słuchaj, jest jedna rzecz. Mieliśmy przypadek odry na pokładzie, więc niejako przechodzę kwarantannę.

- Och, Peter! Chorowałeś na odrę w dzieciństwie?

- Miałem wtedy cztery lata. Lekarz okrętowy mówi, że mogę jej znowu dostać. Okres wylęgania się zarazków trwa trzy tygodnie. Ty przechodziłaś odrę... ostatnio?

- Miałam trzynasty rok, pamiętam.

- No, to chyba teraz raczej ci nie grozi. Myślała błyskawicznie.

- Ale co z Jennifer?

- Właśnie. To mnie martwi. Będę musiał trzymać się od niej z daleka.

- Ojej... Czy takie malutkie dziecko może dostać odrę?

- Nie wiem, kochanie. Mógłbym zapytać lekarza okrętowego.

- Czy on się zna na niemowlętach? Peter rozważał to przez chwilę.

- Chyba zbyt dużo praktyki z nimi nie ma.

- Ale zapytaj go, Peter, a ja zadzwonię do doktora Hallorana. Coś się *zaradzi*. Jak to cudownie, że wróciłeś.

Położył słuchawkę na widełki i zabrał się znów do pracy, Mary natomiast rzuciła się w odmęt najbardziej uporczywego ze swych grzechów, to znaczy na czas dłuższy zasiadła przy telefonie. Zadzwoniła do pani Foster, sąsiadki udającej się do miasteczka na zebranie Stowarzyszenia Kobiet Wiejskich, i poprosiła ją o przywiezienie funta mięsa i

paru cebul. Zadzwoiła do doktora Hallorana, który powiedział jej, że dziecko może zarazić się odrą, więc powinna bardzo uważać. Potem przypomniała sobie, że Moira Davidson pytała przez telefon poprzedniego wieczora, czy są jakieś wiadomości o "Skorpionie". Dodzwoniła się do Moiry na jej farmę pod Berwick w porze podwieczorku.

- Moja droga - oznajmiła - więc oni wrócili. Peter już do mnie telefonował z okrętu. Wszyscy mają odrę.

- Mają co?

- Odrę... Nie chorowałaś na odrę jeszcze w szkole? W słuchawce zabrzmiał śmiech, trochę histeryczny i piskliwy.

- Nie ma się z czego śmiać - rzekła Mary. - Myślę o Jennifer. Mogłaby się zarazić od Petera. On już odrę przechodził, ale może ją mieć znowu. To jest takie denerwujące...

Śmiech ucichł.

- Przepraszam cię, złotko, to jednak bardzo zabawne. Nic wspólnego przecież z radioaktywnością, no nie?

- Och, chyba nie. Peter powiedział, że to po prostu odra. - I po chwili spytała: - Straszne, prawda?

Moira Davidson znów się roześmiała.

- Coś akurat w ich stylu. Wybierają się na rejs dwutygodniowy w okolice, gdzie nikt już nie żyje, bo jest tak silne promieniowanie, i najzwyczajniej w świecie przyjeżdżają stamtąd z odrą. Porozmawiam o tym z Dwigthem bardzo stanowczo. Czy zastali tam kogoś przy życiu?

- Nie wiem, moja kochana. Peter nic o tym nie mówił. To zresztą nieważne. Co ja teraz zrobię z Jennifer? Doktor Halloran powiedział, że ona może się zarazić, a Peter będzie nosił w sobie te zarazki przez trzy tygodnie.

- Powinien sypiać i jadać na werandzie.

- Nie bądź niemądra, złotko.

- No to niech Jennifer sypia i jada na werandzie.

- Muchy - rzekła troskliwa matka. - Moskity. Kot mógłby przyjść, położyć się na jej buzi i udusić ją. Koty tak robią, wiesz.

- Zasłoń wózek siatką na moskity.
- Nie mam siatki.
- Myślę, że u nas gdzieś są takie siatki. Tatuś używał ich kiedyś w Queensland.

Ale prawdopodobnie już dziurawe.

- Bardzo bym cię jednak prosiła, żebyś je obejrzała, kochanie. To ten kot denerwuje mnie najbardziej.

- Zaraz ich poszukam. Jeżeli znajdę jakąś w dobrym stanie, wyślę ją dzisiaj pocztą. Albo może sama przywiozę. Zaprosicie do siebie kapitana Towersa znowu... teraz, kiedy oni już są z powrotem?

- Doprawdy jeszcze o tym nie myślałam. Nie wiem, czy Peter zechce go zaprosić. Mogą mieć siebie kompletnie dosyć po dwóch tygodniach w łodzi podwodnej. Ty byś chciała, żebyśmy go zaprosili?

- Mnie to nie obchodzi - niedbale odrzekła dziewczyna. - Wszystko mi jedno, czy on u was będzie czy nie.

- Kochanie!

- No pewnie. Przestań mi wiercić dziurę w brzuchu. Zresztą on jest żonaty.

Zaintrygowana Mary wykrzyknęła:

- To niemożliwe, moja droga. Już nie.

- Wiesz tylko tyle i nic więcej - westchnęła Moira. - Nieco to sprawę utrudnia. No, idę poszukać tej siatki.

Gdy wieczorem Peter przybył do domu, Mary niezbyt interesowała się stanem rzeczy w Cairns, głęboko przejęta troską o zdrowie córeczki. Moira już telefonowała, że wysłała siatkę na moskity, ale, rzecz jasna, do chwili otrzymania przesyłki trochę czasu musiało minąć. Jako środek zastępczy Mary zdobyła długi kawał gazy i osłoniła nim wózek na werandzie, nie zrobiła tego jednak dość dobrze, więc oficer łącznikowy spędził część swego pierwszego wieczoru w domu na upinaniu tej zasłony i przypasowywaniu jej do budki wózka.

- Mam nadzieję, że będzie mogła oddychać - niespokojnie powtarzała jego żona. - Peter, czy jesteś pewny, że Jennifer będzie miała pod tym dosyć powietrza?

Chociaż uspokajał ją, jak tylko potrafił, trzy razy w ciągu nocy odchodziła od niego na werandę, żeby sprawdzić, czy dziecko jeszcze żyje.

Aspekt towarzyski "Skorpiona" ciekawił ją bardziej niż techniczne osiągnięcia tego okrętu.

- Zaprosisz do nas znowu kapitana Towersa? - zapytała.

- Prawdę mówiąc, nie przyszło mi to na myśl - odpowiedział. - A chciałabyś?

- Raczej go lubię - oświadczyła. - Moira lubi go szalenie. To dziwne jak na nią, bo on jest taki spokojny. No, ale z tym nigdy nic nie wiadomo.

- Zabrał ją na kolację, zanim odpłynęliśmy - powiedział Peter. - Pokazał jej okręt, a potem byli gdzieś na kolacji w mieście. Założę się, że ona mu jeździ po głowie.

- Trzy razy dzwoniła, kiedy ciebie nie było, i pytała, czy są jakieś wiadomości - poinformowała go Mary. - Nie przypuszczam, żeby chodziło jej o ciebie.

- Prawdopodobnie ona się po prostu nudzi - doszedł do wniosku Peter.

Musiał nazajutrz pojechać do Melbourne na spotkanie z Johnem Osborne u szefa wydziału fizyki atomowej w Ministerstwie Marynarki. Konferencja ta skończyła się koło południa; gdy wychodzili z ministerstwa, Osborne nagle sobie przypomniał:

- Ale... ale... mam przecież paczkę dla ciebie. - Wyciągnął paczkę w brązowym papierze, owiązaną sznurkiem. - Siatka na moskity. Od Moiry. Prosiła, żebym ci doręczył.

- Aha... dziękuję. Mary bardzo na tym zależy.

- Gdzie będziesz jadł obiad?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

- Więc chodź do Klubu Pasterskiego.

Młody oficer szeroko otworzył oczy; coś dla snobów i dosyć kosztowne.

- Zapisaleś się do tego klubu? John Osborne skinął głową.

- Zawsze chciałem to zrobić, zanim umrę. Nadszedł czas, teraz albo nigdy.

Tramwajem pojechali na drugi koniec miasta. Peter Holmes znał już Klub Pasterski, bo zdarzyło się, że jadł tam parę razy, co za każdym razem należycie mu imponowało. Ten stary, jak na Australię, ponad stuletni budynek wzniesiono w okresie ekspansji, na modłę jednego z najznakomitszych klubów londyńskich epoki. Dawny jego

styl i tradycje oparły się zmianom na świecie; bardziej angielski niż sama Anglia, istotnie przez cały czas od połowy wieku dziewiętnastego do połowy dwudziestego służył ze świetnej kuchni i obsługi. Przed wojną bez wątpienia był to najwytworniejszy klub w krajach Wspólnoty. Teraz był najwytworniejszy bez żadnych wątpliwości.

Zostawili swoje nakrycia głowy w hallu, umyli ręce w toalecie bardzo staroświeckiej i wyszli na ogrodowy krużganek, żeby wypić coś przed obiadem. Zastali tu sporo przeważnie podstarzałych członków klubu, rozmawiających o aktualnych sprawach. Wśród nich Peter Holmes zobaczył kilku ministrów państwowych i federalnych. Jakiś starszy pan w gromadce na trawniku z daleka pozdrowił Johna Osborne'a gestem, po czym ruszył w ich stronę.

John Osborne rzekł cicho:

- To mój cioteczny dziadek... Douglas Froude. Generał porucznik... no, wiesz.

Peter wiedział. Sir Douglas Froude dowodził armią jeszcze przed jego narodzinami i już za czasów jego niemowlęstwa przeszedł na emeryturę, usuwając się z forum w cień małej posiadłości pod Macedon, gdzie zaczął hodować owce i próbować pamiętnikarstwa. Dwadzieścia lat trwały te próby, jakkolwiek coraz mniej zaciekle walczył z opornym swym piórem. Ostatnio interesował się głównie ogrodnictwem i życiem ptaków australijskich; poza tym, że raz na tydzień przyjeżdżał do miasta na obiad w Klubie Pasterskim, nie utrzymywał już stosunków towarzyskich. Siwy, czerwoniczy, nadal chodził wyprostowany, jak przystało na wojskowego. Niefrasobliwie powitał teraz ciotecznego wnuka.

- Hej, John - zagaił. - Wczoraj słyszałem, że wróciłeś. Dobrze się podróżowało?

John Osborne przedstawił mu młodego oficera.

- Zupełnie dobrze - odrzekł. - Nie wiem tylko, czy skutecznie, bo informacji zebraliśmy niedużo i w dodatku jeden z marynarzy zachorował na odrę. A więc wciąż jeszcze zwyczajne szare sprawy.

- Na odrę, co? No, to lepsze niż ta cholera. Mam nadzieję, że żaden z was odry od niego nie dostał. Chodźcie, to się napijemy... rachunek mam tu zawsze otwarty.

Przeszli z nim do stołu.



- Dziękuję, wuju - powiedział John. - Nie spodziewałem się spotkać tu wuja dzisiaj. Myślałem, że wuj przyjeżdża tylko w piątki.

Nalali sobie ginu, zakropili gorzką.

- Och, nie, nie. Przedtem, a jakże, przyjeżdżałem co piątek. Bo trzy lata temu mój lekarz mi powiedział, że jeżeli nie przestanę pić klubowego portweju, on osobiście wąpi, czy pożyję dłużej niż rok. Ale teraz, rzecz jasna, wszystko się zmieniło. - Staruszek podniósł kielich napełniony kseresem. - No, pod wasz szczęśliwy powrót. Pewnie powinienem wylać to na ziemię na ofiarę bogom czy coś takiego, sytuacja jednak jest zbyt poważna. Czy wiecie, że ponad trzy tysiące butelek portweju dobrego rocznika mamy jeszcze tu w piwnicach naszego klubu? Na wypicie go zostało zaledwie sześć miesięcy, jeżeli to, co wy, uczeni, powiadacie, jest prawdą. Fizyk odpowiednio się przejął.

- Rzeczywiście dobry ten portwejn?

- W pierwszorzędnym stanie, absolutnie pierwszorzędnym. Niektóre z tych Fonsec są może odrobinę za młode, jednoroczne i dwuletnie, zdaje się, ale Gould Campbell jest w sile wieku, że tak powiem. Wielką mam pretensję do Komitetu Zakupów Wina, bardzo wielką, zaiste. Komitet od tego jest komitetem, żeby przewidzieć, co będzie.

Peter Holmes powstrzymał uśmiech.

- Raczej trudno mieć do nich pretensję - rzekł ostrożnie. - Nie wiem, czy w ogóle ktokolwiek mógł to przewidzieć.

- Bzdura. *Ja* przewidziałem już dwadzieścia lat temu. Ale pretensje teraz nie zdadzą się na nic. Jedyne, co nam pozostaje, to robić dobrą minę do złej gry.

John Osborne zapytał:

- I co z tym portwejnem?

- Mamy tylko jedno wyjście - odrzekł staruszek.

- Jakie?

- Wypić go, chłopcze, wypić go... do ostatniej kropli. Nieładnie byłoby zostawić go tym, którzy przyjdą po nas, skoro okres połowicznego rozpadu kobaltu trwa co najmniej pięć lat. Więc ja tu przyjeżdżam już co trzy dni i za każdym razem zabieram jedną

butelkę do domu. - Łyknął kseresu. - Jeżeli mam umrzeć, jak wszystko na to wskazuje, wolę, żeby mnie wykończył portwejn niż ta cholera. Powiadacie, że żaden z was w czasie rejsu się tego nie nabawił?

- Żaden - odpowiedział Peter Holmes. - Podjęliśmy środki ostrożności, panie generale. Przeważnie płynęliśmy pod wodą.

- Aha, to nieźle zabezpiecza. - Staruszek zerknął na nich z ukosa. - W północnym Queensland nikt już nie żyje, prawda?

- W Cairns nikt, panie generale. Jak jest w Townsville, nie wiemy.

Staruszek pokiwał głową.

- Z Townsville nie ma łączności od zeszłego czwartku i teraz to doszło do Bowen. Słyszałem, że były już wypadki w Mackay.

John Osborne uśmiechnął się szeroko.

- Więc z portwejnem trzeba się spieszyć, wuju.

- Właśnie. Sytuacja zaiste okropna. - Słońce świeciło na nich z bezchmurnego nieba, przyjemnie ciepłe i wesołe; wielki kasztan w ogrodzie cieniami liści cętkował rozłożony trawnik. - Robimy jednak, co możemy. Sekretarz mi mówił, że przez ostatni miesiąc unieszkodliwiliśmy, że tak powiem, ponad trzysta butelek. - Staruszek zapytał Petera: - Jak się panu podoba służba na okręcie amerykańskim?

- Bardzo mi się podoba, panie generale. Trochę u nich inaczej niż w naszej marynarce wojennej, rzecz jasna, no i nigdy dotąd nie służyłem na okrętach podwodnych. Ale zupełnie tam miło.

- Nie za ponuro? Nie za wielu wdowców? Peter zaprzeczył.

- Oni wszyscy oprócz kapitana są dosyć młodzi. Chyba niewielu z nich miało żony. Kapitan był żonaty, oczywiście, i niektórzy z podoficerów. Ale większość oficerów i marynarzy to ludzie przed trzydziestką. Przeważnie znaleźli sobie dziewczyny tu u nas, w Australii. - Umilkł. - To nie jest okręt ponury - dodał po chwili.

Staruszek znów pokiwał głową.

- No, pewnie. Jakiś czas już minął od tamtej pory. - Napił się kseresu i zapytał: - Ten pański dowódca... to niejaki kapitan Towers, czyż nie?

Tak jest, panie generale. Pan generał go zna?

- Przedstawili mi go, bo był tutaj parę razy. Mam wrażenie, że nawet jest członkiem honorowym. Bill Davidson mi mówił, że Moira go poznała.

- Owszem, panie generale. U mnie w domu.

- No, mam nadzieję, że nie splata mu jakiegoś psikusa. W tej samej chwili Moira dzwoniła do kapitana Towersa na lotniskowiec, bardzo się starając, żeby to wypadło jak najlepiej.

- Mówi Moira, Dwight - powiedziała. - Cóż to za plotki krążą? Twój okręt dostał odry?

Lekko mu się zrobiło na sercu, gdy usłyszał jej głos.

- Plotki zgodne z prawdą - odpowiedział. - Tylko że to wiadomość zastrzeżona.

- Co to znaczy?

- Tajemnica wojskowa. Jeżeli któryś z okrętów marynarki Stanów Zjednoczonych zostaje na pewien czas wycofany z akcji, nie ogłaszamy tego światu.

- Więc cała ta maszyna przestała działać z powodu takiego drobiazgu jak odra? Chyba to wina złego kierownictwa. Uważasz, że "Skorpion" ma odpowiedniego kapitana?

- Pewny jestem jak diabli, że nie - oświadczył pogodnie. - Może byśmy się gdzieś spotkali i porozmawiali o zastąpieniu go kimś innym? Mnie samemu on nie odpowiada.

- Będziesz u Petera Holmesa w tę sobotę?

- Nie dostałem zaproszenia.

- A gdyby cię Peter zaprosił, przyjechałbyś tam? Czy może kazałeś go niedawno przeciągnąć pod okręt z jednej burty na drugą za karę, bo okazał brak subordynacji?

- To fakt, że nie potrafił schwytać ani jednej mewy - stwierdził Dwight. - Poza tym jednak nic nie mam mu do zarzucenia. A tego nawet nie zapisałem w dzienniku okrętowym.

- Liczyłeś na to, że on ci będzie dostarczał mewy?

- Oczywiście. Mianowałem go naczelnym łowcą mew, cóż, kiedy nie sprostał temu zadaniu. Wasz premier, pan Ritchie, strasznie będzie się na mnie gniewał, bo też liczył, że wrócimy stamtąd z mewami. Ale niestety, kapitan okrętu jest, jak każdy z jego

oficerów, tylko człowiekiem.

- Czy ty piłeś, Dwight? - zapytała.

- Przyznam ci się, że piłem. Coca-colę.

- Ach, to właśnie niedobrze. Potrzebny ci podwójny koniak... nie, whisky. Czy mogę teraz pomówić z Peterem Holmesem?

- Nie, teraz nie możesz, bo nie ma go tutaj. Wybrał się gdzieś na obiad z Johnem Osborne, o ile mi wiadomo. Możliwe, że do Klubu Pasterskiego.

- Coraz gorzej - jęknęła. - Jeżeli on przypadkiem ciebie zaprosi, czy przyjedziesz? Chciałabym się przekonać, że jednak potrafisz dać sobie radę z tą żaglówką lepiej niż poprzednim razem. Do stanika zdobyłam kłódkę.

Roześmiał się.

- Chętnie przyjadę. Nawet w tych okolicznościach.

- On jeszcze może cię nie zaprosić - zwróciła uwagę. - Raczej brzydko mi pachnie ta sprawa z mewami. Coś, zdaje się, nie gra na twoim okręcie.

- Omówimy to.

- Z pewnością - odparła. - Zobaczą, co masz do powiedzenia w swojej obronie.

Rozłączyła się z nim i zadzwoniła do Klubu Pasterskiego, gdzie udało jej się złapać Petera przed samym jego wyjściem. Od razu wyłożyła mu, o co chodzi.

- Peter, zaprosz Dwighta Towersa do was na sobotę i niedzielę. Ja mogę przyjechać nie zaproszona.

Wolał się nie angażować.

- Mary zrobi mi piekło, jeżeli on zarazi Jennifer odrą.

- Powiem jej, że się zaraziła od ciebie. Zaprosisz Dwighta?

- Jeżeli sobie tego życzysz. Ale on chyba nie przyjedzie.

- Przyjedzie.

Ze swoim ekwipażem, tak jak poprzednio, czekała na kapitana Towersa przed stacją w Falmouth. Oddając bilet kontrolerowi, Dwight zawołał do niej z daleka:

- Hej, gdzie się podział ten czerwony garnitur?

Była tym razem ubrana w khaki: spodnie khaki i takąż koszulę, praktycznie,

roboczo.

- Zbyt duże miały mną wątpliwości, czy można go włożyć na spotkanie z tobą - oświadczyła. - Zniszczenie pewne.

- Niezłe zdanie wyrobiłaś sobie o mnie - stwierdził ze śmiechem.

- Ostrożność nigdy dziewczynie nie zaszkodzi - rzekła skromnie sznurując usta. - Zwłaszcza kiedy tyle tego siana jest wszędzie.

Podeszli do wózka i klaczy uwiązanej przy barierce.

- Chyba powinniśmy załatwić sprawę tych mew przed zobaczeniem się z Mary - powiedziała Moira. - Bo takich tematów nie wypada poruszać w damskim towarzystwie. Więc może jedźmy najpierw do "Przystani".

- Nie mam nic przeciwko temu - zgodził się szarmancko.

Pustymi uliczkami pojechali do hotelu. Moira zahaczyła lejce o ten sam zderzak tego samego samochodu i weszli do sali dla pań.

Zamówił dla niej podwójny koniak, dla siebie małą whisky.

- No więc jak z mewami? - zapytała. - Mów całą prawdę, choćby była najbardziej skandaliczna.

- Zanim wyruszyliśmy w ten rejs, widziałem się z premierem - powiedział. - Admirał mnie do niego zabrał. Premier mówił nam to i owo i między innymi chciał, żebyśmy zebrali wszelkie możliwe dane o ptakach na obszarach radioaktywnych.

- Dobrze. I zebraliście te dane?

- Nic a nic - odrzekł beztrąsko. - Nic o ptakach, nic o rybach, niewiele o czymkolwiek innym.

- Nawet żadnych ryb nie złowiłeś? Uśmiechnął się.

- Chciałbym wiedzieć, jak się łowi ryby z podwodnego okrętu w zanurzeniu albo jak się łapie mewy, kiedy nikt nie może wyjść na pokład. Prawdopodobnie to jest wykonalne, jeżeli ma się odpowiedni sprzęt. Wszystko przecież możliwe. Ale powstała ta kwestia dopiero na ostatniej odprawie... na pół godziny przed odpłynięciem.

- Więc mew nie przywieźliście.

- Nie.

- I premiera bardzo to zmartwiło?

- Nie wiem. Nie śmiałem zgłosić się do niego.

- No, przypuszczam. - Umilkła, wypita wielki łyk koniaku i już poważnie zapytała: -

Powiedz, tam nikt nie żyje, prawda?

Potrząsnął głową.

- Chyba nikt. Stwierdzić na pewno się nie da, dopóki nie ma możliwości wypuszczenia kogoś w kombinezonie ochronnym na ląd. Teraz, kiedy o tym myślę, uważam, że w którymś z tych portów powinniśmy byli tak zrobić. Ale nie przewidziano tego w programie tym razem i nie mieliśmy koniecznego ekwipunku. Największy problem to odkażenie po powrocie na pokład.

- Tym razem? - powtórzyła. - Więc popłyniecie znowu?

- Myślę, że tak - odpowiedział. - Rozkazów jeszcze nie otrzymałem, ale coś mi się zdaje, że wyprawiają nas do Stanów.

Oczy jej się rozszerzyły.

- Można tam dopłynąć? Skinął głową.

To kawał drogi i będziemy musieli długo przebywać pod wodą. Dostycie ciężkie dla załogi. Jednakże... rzecz zupełnie realna. "Miecznik" odbył taki rejs, dlaczego nie moglibyśmy i my?

Opowiedział jej o okręcie podwodnym "Miecznik" i jego rejsie po północnym Atlantyku.

- Kłopot polega na tym, rozumiesz, że przez peryskop widać bardzo mało. Dostaliśmy raport kapitana, ale w sumie te informacje są bardzo skąpe. Chyba nie więcej człowiek by wiedział, gdyby po prostu usiadł i spróbował wyciągnąć wnioski z tego, co i tak wiadomo. Oni widzieli tylko dzielnice portowe, i to z wysokości zaledwie dwudziestu stóp. Mogli zobaczyć ewentualne zniszczenia od bomb w mieście bądź w porcie, ale prawie nic poza tym. Tak właśnie było i z nami. Stwierdziliśmy rzeczywiście niewiele przez cały czas naszego rejsu. Zatrzymywaliśmy się tylko, żeby nawoływać przez megafon, i kiedy nikt się nie pokazywał, żeby popatrzeć albo odpowiedzieć, musieliśmy uznać, że najwidoczniej nikt nie pozostał przy życiu. - Urwał. - No bo cóż innego można

wywnioskować?

Przytaknęła w milczeniu.

- Ktoś mówił - rzekła po chwili - że to już doszło do Mackay. Myślisz, że naprawdę?

- Myślę, że naprawdę - powiedział. - To zbliża się nieprzerwanie, tak jak zapowiedzieli fizycy.

- W takim tempie, kiedy dojdzie tutaj?

- Powiedziałbym, że w końcu sierpnia. Może trochę wcześniej.

Wstała, jak gdyby nagle zaczęło jej sprawiać trudność pozostawanie na miejscu.

- Jeszcze koniak dla mnie, Dwight - poprosiła. I gdy jej przyniósł, oznajmiła: -

Chcę dokądś jechać... coś robić... *tańczyć!*

- Jak sobie życzysz, kochanie.

- No bo przecież nie możemy tak siedzieć tu beczynnie i jęczeć nad tym, co nas czeka!

- Masz rację - powiedział. - Ale co chciałabyś robić ponad to, co robisz teraz?

- Nie bądź rozsądny - warknęła rozdrażniona. - Po prostu tego nie znoszę.

- Dobrze - rzekł spokojnie. - Wypij swój koniak i jedźmy do Holmesów. Popływamy sobie żaglówką.

Gdy tam przybyli, dowiedzieli się, że Peter i Mary postanowili podać kolację na plaży dla uprzyjemnienia sobotniego wieczoru. Nie tylko miała być to zabawa tańsza i miłsza w letni upał niż przyjęcie w czterech ścianach, ale Mary w swojej dezorientacji uznała, że im dłużej będzie trzymać obu przybyszów z zarażonego odra "Skorpiona" z dala od domu, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że dziecko nabawi się tej choroby. Po szybko podanym obiedzie Moira i Dwight wyruszyli do klubu żeglarskiego, żeby przygotować żaglówkę i znów wziąć udział w wyścigach; ich gospodarze z Jennifer w rowerowej przyczepce dojechali tam w jakiś czas później.

Wyścigi miały tym razem przebieg dosyć spokojny. Wpadli co prawda zaraz po starcie na boję i przy drugim okrążeniu uwikłali się we współzawodnictwo z inną żaglówką, próbując za wszelką cenę zbliżyć się pod wiatr, w wyniku czego lekko się z nią

zderzyli, bo ani oni, ani ich współzawodnicy nie znali przepisów, ale że w tym klubie takie wypadki nie należały do rzadkości, zbyt licznych protestów to nie wywołało. Ostatecznie zajęli w wyścigu szóste miejsce, a więc spisali się lepiej i bardziej składnie niż poprzednim razem. Od mety zawrócili żaglówką ku plaży, zostawili ją na dogodnej ławicy i brodząc po wodzie wyszli na brzeg, gdzie Peter i Mary czekali na nich z podwieczorkiem: herbatą i kruchymi ciasteczkami.

Potem znów weszli do wody, żeby bez pośpiechu wykapać się w blaskach przedwieczornego słońca; jeszcze w kostiumach kąpielowych złożyli sprzęt, zwinęli żagle i wyciągnęli łódkę na zwykłe miejsce wśród innych żaglówek na piasku. Słońce opadło już nad horyzont, gdy ubrali się, wzięli z koszyka zapasy swoich trunków i poszli na koniec mola, żeby oglądać zachód, a Mary i Peter przygotowywali kolację.

Siedząc przy kapitanie na poręczy i patrząc w rozmigotane różowymi blaskami spokojne morze, Moira napawała się błogosławieństwem ciepłego wieczoru i zawsze kojącym działaniem koniaku. W końcu zaczęła rozmowę.

- Dwight, opowiedz mi o tym rejsie "Miecznika". Mówiłeś, że "Miecznik" popłynął do Stanów Zjednoczonych.

- Owszem - rzekł krótko. Rozwinął temat dopiero po chwili: - "Miecznik" popłynął wszędzie, gdzie tylko to było możliwe na linii wschodniego wybrzeża, ale sprowadza się to wszystko do kilku małych portów i przystani na zatoce Delaware i rzece Hudson, i oczywiście do Nowego Londynu. Ryzykując wiele, zobaczyli też Nowy Jork.

Słuchała zaintrygowana.

To bardzo niebezpieczne?

Tak. Pola minowe... nasze własne miny. Każdy większy port i ujście rzeki na brzegu wschodnim zabezpieczono szeregami pól minowych. W każdym razie my tak przypuszczamy. Na brzegu zachodnim również. - Zamyślił się. - Bo przecież należało to zrobić przed wojną. Ale czy zrobiono to przedtem, czy już w czasie wojny, czy nie zrobiono wcale... nie wiemy. Wiadomo nam jedynie, że pola minowe powinny tam być, a skoro nie ma planu z zaznaczonymi przejściami, lepiej się w tamte strony nie zapuszczać.



To znaczy, że okręt, gdyby trafił na minę, mógłby zatonać?

- Z pewnością. Bez klucza, mapy pól minowych, po prostu brak odwagi na to, by się do nich zbliżyć.

- Więc oni, ci z "Miecznika", mieli chyba jakąś mapę, kiedy wpłynęli do Nowego Jorku? Potrząsnął głową.

- Mieli jedną sprzed ośmiu lat całą ze stemplami NIE DO UŻYTKU. Takie rzeczy są raczej tajne; wydawane tylko wtedy, gdy okręt musi na dany obszar wpłynąć. Więc oni mieli tylko tę starą mapę. Ale najwidoczniej bardzo chcieli tam się dostać. Musieli wziąć pod uwagę główne przewodnie znaki na tej mapie, wskazujące wejście do bezpiecznych kanałów, i zdać się na własne domysły, gdzie mogły być poczynione zmiany.

Wydedukowali, że w planie, którym dysponują, wprowadzenie niewielkich nawet zmian byłoby praktycznie niemożliwe tylko na jednym z tych odgałęzień. Zaryzykowali więc przepłynięcie tamtędy i to się im powiodło. Niewykluczone, że tego obszaru w ogóle nie zaminowano.

- I okazało się, że warto było tak ryzykować, kiedy już wpłynęli do portu?

- Nie. Nie stwierdzili nic, o czym nie wiedzieliby przedtem. Nie może chyba być inaczej, jeżeli bada się te miejsca w taki sposób. Możliwości zebrania jakichkolwiek danych są prawie żadne.

- Nie zobaczyli nikogo żywego?

- Nikogo, dziecko. I geografia całkowicie się zmieniła. W dodatku stopień radioaktywności wszędzie jest tam wysoki.

Pałac papierosy nad swymi szklaneczkami, dość długo milczeli oboje, wpatrzeni w blaski zachodzącego słońca.

- Dokąd jeszcze "Miecznik" dopłynął, powiedziałaś? - zapytała wreszcie Moira. - Do Nowego Londynu?

- Zgadza się - przytaknął Dwight.

- Gdzie to jest?

- W stanie Connecticut na wschodzie - objaśnił. - Przy ujściu rzeki Tamizy.

- I oni znów tak bardzo ryzykowali?

- Nie, bo to port macierzysty. Mogli się oprzeć na aktualnej mapie pól minowych. - Zawahał się. - Główna baza okrętów podwodnych Stanów Zjednoczonych na wybrzeżu wschodnim - rzekł cicho. - Przypuszczam, że prawie wszyscy z nich mieszkali albo w samym Nowym Londynie, albo gdzieś w okolicy. Tak jak ja.

- Ty tam mieszkałeś? Odpowiedział tylko skinieniem głowy.

- I zastali tam to samo, co wszędzie?

- Chyba - odezwał się z wysiłkiem. - Szczegółów nie podali, poza wynikami badań radioaktywności. Dość przerażające. Wpłynęli prosto do bazy, do swojego doku, z którego wypłynęli na tę wojnę. Trochę dziwny musiał być taki powrót, ale jakoś pominęli to w raporcie. Większość z nich chyba, oficerów i marynarzy, znalazła się w pobliżu swoich domów. Oczywiście nic zrobić nie mogli. Więc tylko zostali tam kilka godzin, a potem popłynęli dalej wykonywać swoje zadanie. Kapitan zaznaczył, że odprawiono na okręcie nabożeństwo. To na pewno było bolesne.

W ciepłej różowej łunie zachodu jeszcze jaśniało piękno tego świata.

- Dziwię się, że tam wpłynęli - powiedziała dziewczyna. Też się dziwiłem z początku - przyznał Dwight. - Ja chyba bym się do tej bazy nie zbliżał. Chociaż... no, nie wiem. Ale kiedy już się nad tym zastanawiam, powiedziałbym, że oni tam wpłynąć musieli. Mieli mapę tylko tamtych pól minowych... tylko tamtych i w zatoce Delaware. A więc to były jedyne miejsca, do których mogli dostać się bezpiecznie. Musieli wykorzystać tę znajomość planu zaminowania. Przytaknęła.

- Więc ty tam mieszkałeś?

- Nie w Nowym Londynie - odrzekł prawie szeptem. - Baza jest na drugim brzegu rzeki, wschodnim. Mój dom stoi w odległości piętnastu mil od ujścia. W małym miasteczku na wybrzeżu... w miasteczku Mystic.

- Nie mów o tym - powiedziała - jeżeli wolisz nie mówić.

Spojrzał na nią.

- Mogę o tym mówić, chociaż nie z każdym. Ale nie chciałbym cię zanudzać. -

Uśmiechnął się łagodnie. - Ani płakać, dlatego że widziałem tego brzdąca.

Splonęła rumieńcem.

- Kiedy mi pozwoliłeś wejść do swojej kajuty, żebym się przebrała - rzekła - zobaczyłam fotografie. Czy to twoja rodzina?

- Żona i dwoje dzieci - potwierdził z pewną dumą. - Sharon. Dwight chodzi już do szkoły podstawowej, Helen pójdzie dopiero jesienią. Teraz chodzi do przedszkola o parę domów dalej na tej samej ulicy.

Moira zdążyła się już przekonać, że Sharon i dzieci to dla niego rzeczywistość, rzeczywistość znacznie konkretniejsza niż ten problem połowicznego rozpadu substancji promieniotwórczych w dalekim zakątku świata, gdzie los rzucił go po wojnie. Spustoszenie półkuli północnej było dla niego tak samo czymś nierzeczywistym jak dla niej. Zniszczeń po tej wojnie wcale przecież nie widział, tak samo jak nie widziała ich ona; myśląc o swym domu rodzinnym, po prostu sobie nie wyobrażał, że tam jest już zupełnie inaczej niż wówczas, gdy odjeżdżał stamtąd. Mało miał wyobraźni i dzięki temu mógł w Australii zachować pogodną równowagę i spokój ducha.

I oto teraz znów Dwight wkracza na grunt bardzo śliski. Nie ma rady, trzeba go w tym jakoś podtrzymać. Trochę lękliwie Moira zapytała:

- Co twój synek będzie robił, kiedy dorośnie?

- Chciałbym, żeby poszedł do Akademii. Do Akademii Marynarki Wojennej. Żeby służył na okrętach, jak ja. To dobre życie dla chłopca... nie znam lepszego. Czy zostanie kapitanem... no, to już inna sprawa. W matematyce jest dość słaby, ale za wcześnie jeszcze na ocenę. On dopiero dziesięć lat skończy w lipcu. Chciałbym jednak doprowadzić go do Akademii. Myślę, że i on chce.

- Bardzo lubi morze? Dwight skinął głową.

- Mieszkamy blisko brzegu. Więc on w lecie prawie całymi dniami pływa, jeździ łódką z motorkiem. - Umiłkł zamyślony. - Tak się *opalają* - rzekł po chwili - wszystkie dzieciaki jednakowo, na brąz. Nieraz mi się wydaje, że opalają się mocniej niż my, dorośli, chociaż tak samo wystawiamy się na słońce.

- Tutaj też są brązowe - zauważyła. - Nie zacząłeś go uczyć żeglarstwa?

- Jeszcze nie - powiedział. - Kupię żaglówkę, kiedy na następny urlop wrócę do domu.

Wstał z poręczy i stojąc przy Moirze popatrzył w łunę nieba na zachodzie.

- To chyba będzie we wrześniu - rzekł cicho. - Pora dosyć późna jak na żeglowanie tam, w Mystic.

Już nie wiedziała, co mu powiedzieć. Odwrócił się do niej.

- Ty pewnie uważasz, że mam źle w głowie. Ale w ten właśnie sposób ja to widzę - wyjaśnił posępnie - i jakoś nie potrafię myśleć o tym inaczej. W każdym razie nie popłakuję nad niemowlętami.

Stała także, gotowa już do odejścia.

- Wcale nie uważam, że masz źle w głowie - powiedziała.

W milczeniu wrócili mołem na plażę.

## Rozdział czwarty

Nazajutrz rano wszyscy w domu Holmesów czuli się dosyć dobrze - nie tak jak w tamtą pierwszą niedzielę, którą kapitan Towers u nich spędził. Wieczór sobotni upłynął pod znakiem umiaru, bez nadużywania alkoholu, więc nocny sen był prawdziwym odpoczynkiem. Przy śniadaniu Mary nadal pewna, że im więcej gość będzie przebywał poza domem, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo zarażenia odra Jennifer, zapytała, czy kapitan chce pójść do kościoła.

- Chciałbym - odpowiedział. - Jeżeli to pani nie popsuje planów.

- Oczywiście, że nie - zaręczyła. - Niech pan robi wszystko, na co ma pan ochotę. Myślę, że po południu moglibyśmy wybrać się do klubu, chyba że pan woli coś innego.

- Chętnie bym popływał znowu - rzekł Dwight. - Ale pod wieczór będę musiał już wracać na okręt... po kolacji najpóźniej.

- Nie może pan zostać do jutra?

Wiedział, jak bardzo ona się przejmuje tą odra.

- Nie. Muszę tam być dzisiaj.

Zaraz też po śniadaniu dla jej spokoju wyszedł na papierosa do ogrodu. Ustawił sobie leżak tak, żeby widzieć zatokę, i tam zastała go Moira, gdy już pomogła Mary pozmywać naczynia. Usiadła przy nim.

- Naprawdę pójdziesz do kościoła? - zapytała.

- Tak jest.

- Mogę pójść z tobą?

Odwrócił głowę i spojrzał na nią zdumiony.

- No oczywiście. Chodzisz co niedziela? Uśmiechnęła się.

- Nawet w największe święta nie chodzę - przyznała. - Ale może byłoby lepiej, żebym chodziła. Może nie piłabym tyle.

Rozważał to przez chwilę.

- Możliwe - rzekł z powątpiewaniem. - Chociaż nie wiem, co ma jedno z drugim wspólnego.

- Tylko czy na pewno nie wolisz pójść sam?

- No, nie - powiedział. - Zawsze mi bardzo miło w twoim towarzystwie.

Po ich odejściu Peter Holmes wyciągnął gumowy wąż żeby podlać ogród, zanim słońce zacznie mocniej przypiekać. Wkrótce potem z domu wyszła jego żona.

- A gdzie Moira? - Rozejrzała się po ogrodzie.

- Poszła do kościoła. Z kapitanem.

- Moira? Do kościoła?

Znad węża uśmiechnął się do niej od ucha do ucha.

- Możesz wierzyć albo nie, ale naprawdę poszła na nabożeństwo.

Dosyć długo Mary milczała.

- Mam nadzieję - rzekła w końcu - że to się na złe nie obróci.

- Dlaczego miałyby się obrócić na złe? - zapytał Peter. - On to bardzo porządny facet, a ona wcale nie jest taka zepsuta, kiedy się ją zna bliżej. Nawet mogliby się pobrać.

Potrząsnęła głową.

- W tym jest coś dziwnego. Mam nadzieję, że to się na złe nie obróci - powtórzyła.

- Jakby się obróciło, nie nasze zmartwienie - zauważył. - Ostatnio wiele rzeczy wygląda trochę niesamowicie.

Przytaknęła i gdy skierował strumień wody z węża na trawnik, zaczęła spacerować, to tu, to tam się zatrzymując. Po jakimś czasie powiedziała:

- Tak sobie myślę, Peter. Czy moglibyśmy wyciąć te dwa drzewa, jak sądzisz?

Podszedł do niej i popatrzył na drzewa.

- Musiałbym zapytać właściciela - powiedział. - Dlaczego ich tu nie chcesz?

- Brak nam miejsca na uprawianie warzyw - wyjaśniła. - A warzywa w sklepach takie drogie. Gdybyśmy wycięli te drzewa i wyrównali gałęzie akacji, moglibyśmy mieć warzywniak *stąd aż dotąd* - pokazała rękami. - Na pewno byśmy zaoszczędzili prawie funta tygodniowo, uprawiając wszystko sami dla siebie. I jaka to przyjemność w dodatku!

Obejrzał drzewa z bliska.

- Potrafiłbym je ściąć, owszem. I byłoby sporo opału. Na razie to drewno zielone,

oczywiście za świeże, żeby nim palić tej zimy. Trzeba by je ułożyć w stertę i zostawić na przyszły rok. Jedyna trudność to wykopanie pniaków. Ciężka robota z tym, wiesz.

- Dwa pniaki za ledwie. I ja mogłabym pomóc - zgłosiła swą gotowość Mary - podkopywać po troszeczkę, kiedy ciebie nie będzie. Gdyby się dało je usunąć i przekopać tę ziemię przed końcem zimy, mogłabym już posiać coś na wiosnę i mielibyśmy jarzyny przez całe lato. - Rozważała to sobie. - Groszek i fasolę - zdecydowała. - I dynie. Zrobiłabym zapas dżemu z dyń.

- Dobra myśl - pochwalił. Obrzucił drzewa wzrokiem od góry do dołu. - Nie są zbyt duże - stwierdził. - I dla tej sosenki byłoby lepiej, gdyby się je ścięło.

- Jeszcze jedno chciałabym zrobić - Mary nabrała rozmachu. - Zasadzić tu kwitnący gumowiec... o *tutaj*. To by latem wyglądało prześlicznie.

- Gumowce potrzebują około pięciu lat na to, żeby zakwitnąć.

- Nie szkodzi. Gumowiec w tym miejscu na tle niebieskiego morza to będzie istne чудо. I widzielibyśmy go z okna sypialni.

Wyobraził sobie wspaniałość wielkiego drzewa całego w szkarłatnych kwiatach na tle szafirowych roziskrzonych fal zatoki.

- Z pewnością byłoby wręcz fantastyczne w rozkwicie - doszedł do wniosku. - Więc gdzie byś je zasadziła? Tutaj?

- Odrobinę dalej, o tu - pokazała. - I później, kiedy już się rozrośnie, można by usunąć ten ostrokrzew i postawić ławkę tu w cieniu. - Zawahała się. - Byłam raz po twoim wyjeździe u Wilsona - oznajmiła. - Są w tej jego szkółce śliczne malutkie gumowce kwitnące, tylko po dziesięć szylingów sześć pensów sztuka. Więc może kupić od niego jeden i zasadzić na jesieni?

- One są dosyć delikatne - powiedział. - Moim zdaniem, należałoby zasadzić dwa blisko siebie, żeby jeden został, gdyby drugi się nie przyjął. A gdyby przyjęły się oba, któryś z nich po paru latach wykopać.

- Rzecz w tym, że później żadnego nigdy się nie wykopuje - zwróciła uwagę.

Radośnie snuli dalej swe ogrodnicze plany na następne dziesięciolecie i poranek minął im bardzo szybko. Gdy Moira i Dwight przyszli z kościoła, oni jeszcze o tym

rozprawiali. Zaprosili gości na konsultację w sprawie warzywnika. Wkrótce potem, zostawiając ich w ogrodzie, weszli do domu: Peter, żeby przyrządzić trunki, Mary, żeby się zająć obiadem.

Moira spojrzała na Amerykanina.

- Ktoś zwariował - szepnęła. - Czy ja, czy oni?

- Dlaczego tak mówisz?

- Przecież za sześć miesięcy ich *tutaj* nie będzie. Mnie nie będzie. Ciebie nie będzie. *Niepotrzebne* im warzywa na przyszły rok.

Dwight stał w milczeniu wpatrzony w błękit morza, w krętą linię brzegu.

- No więc co? - zapytał po długiej chwili. - Może oni w to nie wierzą. Albo może myślą, że będą mogli wszystko *zabrać* ze sobą tam gdzieś, dokąd odejdą, nie wiem. W każdym razie lubią projektować ogrody. Więc nie mów, że zwariowali, nie psuj im tego.

- Nie mam zamiaru. - Z kolei ona stała w milczeniu przez chwilę. - Nikt z nas naprawdę nie wierzy, że to się kiedykolwiek stanie... za naszych czasów, z nami - rzekła w końcu. - Pod tym względem zwariowaliśmy wszyscy w taki czy inny sposób.

- Tu przyznaję ci rację - powiedział z naciskiem. Peter przyniósł napełnione szklaneczki, co położyło kres

tej rozmowie, a później był obiad. Po obiedzie Mary zabrała się z Moira do zmywania, a obaj roznosiciele zarazków odry przeszli na jej życzenie do ogrodu. Gdy już siedzieli na leżakach i popijali kawę, Peter zapytał swego dowódcę:

- Słyszał pan coś o naszym następnym rejsie, panie kapitanie?

Amerykanin przymrużył oko. - Ja nic. A pan?

- Właściwie też nic. O czymś jednak była mowa na tej konferencji z naukowcami, więc zacząłem się zastanawiać, co w trawie piszczy.

- O czym była mowa?

- O zainstalowaniu u nas jakiegoś nowego radia kierunkowego. Nie słyszał pan o tym?

Dwight potrząsnął głową.

- Mamy przecież pełne wyposażenie radiotechniczne.



- Ale to ma być do ustalania miejsca, z którego odbieramy sygnały... dokładnie. Może będąc na głębokości peryskopowej. Dotąd na tej głębokości nie mogliśmy go ustalać, prawda?

- Mając taki sprzęt, jak mamy, nie. Ale w jakim celu by nam to dali?

- Nie wiem. Ta sprawa nie była na porządku dziennym konferencji. Jeden z ekspertów mówił o tym poza kolejnością.

- Więc chcą, żebyśmy łapali sygnały radiowe?

- Daję słowo, nie wiem, panie kapitanie. Nic poza tym, że wyłoniła się kwestia, czy detektor promieniowania można przenieść na peryskop na dziobie, żeby na peryskopie rufowym zainstalować takie radio. John Osborne powiedział, że jego zdaniem można, ale trzeba to uzgodnić z panem.

- Słusznie. Można go przenieść na dziób. Myślałem, że chcą nam dać drugi taki detektor.

- Nie przypuszczam, panie kapitanie. Chodzi im chyba tylko o to, żeby na rufie zainstalować ten nowy wynalazek.

Amerikanin wpatrywał się w dym swego papierosa. Nagle mruknął:

- Seattle.

- Słucham, panie kapitanie?

- Seattle. Były sygnały radiowe stamtąd, z okolic Seattle. Nie wie pan, one dochodzą wciąż jeszcze?

Peter w oszłomieniu potrząsnął głową.

- W ogóle o tym nie słyszałem. Chce pan przez to powiedzieć, że ktoś stamtąd nadaje sygnały?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Niewykluczone. Jeśli tak, to ów ktoś nie bardzo to umie robić. Czasami to się klei, jest jakieś wyraźne słowo. Ale najczęściej to po prostu bigos, jakby nadajnik dostał się w ręce dziecka.

- I to odbierają przez cały czas?

- Nie - odrzekł Dwight. - Chyba nie. Odbiór bardzo nieregularny. O ile mi wiadomo,

nasłuch jest prawie ciągły. W każdym razie były te sygnały do Bożego Narodzenia. Co po świętach, nie wiem.

Oficer łącznikowy zauważył:

- Ale chyba niezłomie z tego wynika, że ludzie tam jeszcze żyją.

- To tylko ewentualność. Nie można mieć stacji nadawczej nie mając prądu, więc jakiś silnik musi tam pracować, ktoś musiał go uruchomić. Duży silnik, skoro to duża stacja o światowym zasięgu. Ale... nie wiem. Wydawałoby się, że człowiek, który potrafi dać sobie radę z urządzeniem na tak wielką skalę, powinien znać alfabet Morse'a. Bodaj dwa słowa nadawać w ciągu minuty, trzymając książkę przed sobą.

- Myśli pan, że tam popłyniemy?

- Możliwe. Między innymi o ten punkt nas pytano, kiedyśmy wracali w październiku zeszłego roku. Żądano od nas wszelkich wiadomości, jakie mamy o amerykańskich stacjach nadawczych.

- Było coś istotnego?

- Nie - powiedział Dwight. - Tylko stacje Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Bardzo niewiele na temat stacji Sił Powietrznych i Armii. Właściwie nic o radiostacjach cywilnych. A przecież roilo się od nich na wybrzeżu zachodnim.

Później, zostawiając Mary z dzieckiem w domu, spacerkiem poszli na plażę. Po kąpieli położyli się na ciepłym piasku - Moira między Dwightem i Peterem.

- Dwight - zapytała w pewnej chwili dziewczyna - gdzie teraz jest "Miecznik"?

Przyplynie tutaj?

Takiej zapowiedzi nie było - odpowiedział Dwight.

- Ostatnio slyszalem, ze jest w Montevideo.

- Moze tu sie pokazac lada dzien - rzekl Peter. - Trasa w granicach jego mozliwosci.

Amerykanin przytaknal.

- Otóz to. Lada dzien mogá przyslac go tutaj z pocztá albo pasazerami.

Dyplomacami czy inná jakás delegacjá.

- Gdzie jest Montevideo? - zainteresowala sie Moira.

- Powinam wiedzieć, ale nie wiem.

Dwight ją oświecił.

- W Urugwaju, na wschodnim brzegu Ameryki Południowej.

- Mówiłeś przedtem chyba, że "Miecznik" jest w Rio de Janeiro. Czyli w Brazylii, prawda?

- Mówiłem. Do Rio de Janeiro wrócił z rejsu po północnym Atlantyku. Miał tam wtedy bazę. Ale później przeniósł się do Urugwaju.

- Ze względu na promieniowanie?

- Aha.

Peter odpowiedział jej obszerniej:

- Ale czy to już tam dotarło, nie wiadomo. Pewnie tak. O tym oni przez radio nic nie wspominali. Teraz ogarnia zwrotnik, prawda?

- Zgadza się - potwierdził Dwight. - Rockhampton na przykład.

- Doszło już do Rockhampton? - wykrzyknęła Moira.

- Ja nie słyszałem - rzekł Peter. - Dziś rano w dzienniku radiowym podali, że doszło do Salisbury w Południowej Rodezji. To chyba trochę dalej na północ.

- Chyba - powiedział kapitan. - I w głębi lądu w dodatku, a to może sprawiać różnicę. Te inne miasta, o których mówimy... wszystkie są na wybrzeżach.

- Czy Alice Springs nie leży prawie na zwrotniku?

- Może tak. Nie bardzo się orientuję. To też w głębi lądu, oczywiście.

Moira zapytała:

- Pył rozprzestrzenia się po wybrzeżu szybciej niż po lądzie?

Dwight potrząsnął głową.

- Nie wiem. Przypuszczam, że nie ma żadnych dowodów ani na to, że tak jest, ani na to, że tak nie jest.

Peter roześmiał się.

- Będziemy wiedzieli wtedy, gdy to dojdzie tutaj. I wryje się te dane na szkle.

- Wryje się na szkle? - Moira zmarszczyła czoło.

- Nie słyszałaś o tym?

- Nie - powiedziała zdumiona.

- John Osborne wczoraj mi opowiadał - rzekł Peter. - Ktoś w Organizacji Badań zajął się jednak spisywaniem tego, co się dzieje z nami. Taka kronika na szklanych ceglach. Drukują to, że tak powiem, czyli ryją na jednej cegle, przykrywają drugą i stapiają obie ze sobą... w jakiś sposób tak, że te zapisy są w środku.

Dwight oparł się na łokciu i odwrócił do niego z zainteresowaniem.

- Pierwszy raz o tym słyszę. I co dalej z tymi ceglami?

- Umieszczą je na Górze Kościuszki. To najwyższy szczyt w Australii. Jeżeli kiedykolwiek świat zaludni się znowu, ktoś na pewno tam trafi... kiedyś. I to nie jest góra, aż tak wysoka, żeby nie można było na nią wejść.

- No, wręcz fantazja! Rzeczywiście to robią, rzeczywiście?

- John mówi, że tak. Buduje się tam coś w rodzaju betonowego schronu. Na podobieństwo piramid.

Dziewczyna ochłonęła ze zdumienia.

- Długie są te zapisy?

- Nie wiem. Chyba nie mogą być bardzo długie. Ale i stronice książek też się tak preparuje. Wtapia się je pomiędzy tafel grubego szkła.

- Tylko że ci ludzie, którzy przyjdą kiedyś - zauważyła Moira - nie będą umieli czytać naszych druków. Ci ludzie... może nawet nie ludzie, a zwierzęta.

- John mówił, że pomyślano już o tym i przygotowuje się to bardzo starannie. Elementarz. Obrazek kota, a potem K O T i różne takie rzeczy. I mówił, że jak dotąd to jedno jest prawie ukończone. - Peter umilkł. - Mają przynajmniej coś do roboty - zawyrokował po chwili. - Coś, co tych mędrców powstrzymuje od głupstw.

- Ale kot na obrazku niewiele tym przyszłym istotom powie - rzekła Moira. - Nie będzie żadnych kotów. Nie domyśla się, że to jest kot.

- Obrazek ryby byłby lepszy - wyraził swoje zdanie Dwight. - RYBA albo... powiedzmy, obrazek mewy.

- To już za długie słowa, jak na początek elementarza. Moira zainteresowana zwróciła się do Petera.

- Jakie książki oni chcą tak konserwować? Wszystkie o produkcji bomb kobaltowych?

- Boże broń! - Parsknęli śmiechem. - Nie wiem, jakie. Myślę, że warto byłoby rozpocząć od Encyklopedii Brytyjskiej, to jednak straszna kobyła. Naprawdę nie wiem, jakie książki. John Osborne może wie... albo mógłby się dowiedzieć.

- Ja pytam z czystej ciekawości - wyjaśniła dziewczyna. - Bo dla nas to przecież bez różnicy. - Spojrzała na Petera z udanym przestracchem. - Tylko mi nie mów, że oni uwiecznią w ten sposób którąś z gazet. Tego bym nie zniosła.

- Gazet w szkle chyba nie będzie - pocieszył ją. - Aż takimi szaleńcami nie są. Dwight usiadł na piasku.

- I tyle tej pięknej ciepłej wody ma się zmarnować - powiedział. - Uważam, że powinniśmy z niej skorzystać.

Moira zerwała się od razu.

- Jak najbardziej - przyklasnęła. - Czasu na to coraz mniej.

Peter ziewnął.

- No, to skorzystajcie z tej wody. Ja skorzystam ze słońca.

Zostawili go więc leżącego na plaży. We dwoje odpłynęli od brzegu i Moira powiedziała z uznaniem:

- Szybko pływasz, Dwight. Zatrzymał się rozchlapując wodę dokoła.

- Dużo pływałem, kiedy byłem młodszy. Raz brałem udział w wyścigu pływackim naszej Akademii i West Point.

Skinęła głową.

- Coś właśnie takiego przypuszczałam. A teraz pływasz często?

- Nie - powiedział. - W wyścigach już nie. Z tego dość wcześnie się rezygnuje, jeżeli nie ma czasu na stały trening. - Roześmiał się. - I odnoszę wrażenie, że woda jest teraz zimniejsza niż za moich młodych lat. Nie tutaj oczywiście. W Mystic.

- Urodziłeś się w Mystic? - zapytała.

- Nie. Urodziłem się nad Long Island Sound, ale nie w Mystic. W miasteczku, które się nazywa Westport. Mój tata był tam lekarzem. W czasie pierwszej wojny świato-

wej był lekarzem okrętowym, a później objął praktykę w Westport.

- To jest nad morzem? Przytaknął.

- Pływanie, żeglarstwo, rybołówstwo. Tak było tam w moim dzieciństwie.

- Ile masz lat, Dwight?

- Trzydzieści trzy. A ty?

- Jakież nietaktowne pytanie! Mam dwadzieścia cztery. - Zawahała się. - Czy

Sharon też pochodzi z Westport?

- Poniekąd - odparł. - Jej tata jest adwokatem w Nowym Jorku, mieszka na Osiemdziesiątej Czwartej Zachodniej ulicy niedaleko od parku. Ale ma willę w Westport i zawsze przyjeżdżał tam na wakacje.

- I tam ją poznałeś?

Tak. Gdy dziewczynę pozna chłopiec... - zacytował słowa piosenki.

- Pewnie pobraliście się bardzo młodo.

- Ja zaraz po uzyskaniu dyplomu. Miałem dwadzieścia dwa lata i byłem chorążyym na "Franklinie". Sharon miała dziewiętnaście lat; już nie ukończyła wyższych studiów. Zdecydowaliśmy się rok przedtem. Nasi rodzice widzieli, że od tego nie odstępimy, ale wspólnie postanowili trochę nas przetrzymać. - Dwight umilkł na chwilę. - Jej tata bardzo ładnie się znalazł - rzekł cicho. - Moglibyśmy tak czekać, dopóki nie zdobędziemy jakoś pieniędzy, ale oni ostatecznie uznali, że ani jej, ani mnie nic z tego czekania nie przychodzi. Więc pozwolili nam wziąć ślub.

- Pomagali wam finansowo?

- Właśnie. Potrzebowaliśmy tej pomocy tylko w pierwszych latach, a potem jedna z ciotek umarła i ja dostałem awans, więc stanęliśmy mocno na nogach.

Dopłynęli do końca mola, wyszli z wody i usiedli w ciepłym słonecznym blasku. Później już moim wrócili do Petera na plażę, posiedzieli z nim, wypalili papierosy i poszli się przebrać. Ukazali się na plaży ponownie oboje z pantoflami w ręku, strzepując z bosych stóp zasychający piasek. Dwight usiadł i zaczął wkładać skarpetki.

Dziewczyna wykrzyknęła:

- W takich skarpetkach żeby ktoś chodził! Dowódca "Skorpion" obrzucił je

szybkim spojrzeniem.

- Dziura tylko na dużym palcu - powiedział. - Nie widać jej.

- Nie tylko na dużym palcu. - Moira pochyliła się i podniosła jego stopę. - Mignęła mi jeszcze jedna. Pięta cała dziurawa od spodu!

- Też nie widać - rzekł beztrąsko. - Pantofle zakrywają.

- Czy nikt ci ich nie ceruje?

- Zwolniono ostatnio większość załogi "Sydney" - wytłumaczył. - Mój Piętaszek jeszcze mi łożko ściele, ale za dużo roboty ma teraz, żeby zawracać sobie głowę cerowaniem. Z tym zresztą nigdy nie było zbyt dobrze na okręcie. Sam sobie ceruję czasami. Ale przeważnie wyrzucam dziurawe skarpetki i biorę następną parę.

- I guzika brak ci przy koszuli.

- To także jest niewidoczne. - Uśmiechnął się z niezmaconą pogodą. - Akurat pod paskiem.

- Jesteś wręcz zakałą marynarki - stwierdziła. - Już ja wiem, co by admirał powiedział, gdyby zobaczył, jak ty chodzisz. Powiedziałby, że "Skorpion" potrzebuje innego kapitana.

- Nie zobaczyłby - zapewnił kapitan Towers. - Chyba żeby mi kazał zdjąć spodnie.

- Ta rozmowa staje się przelewaniem pustego w próżne - ucięła Moira. - Ile par skarpetek doprowadziłeś do takiego stanu?

- A bo ja wiem. Dość dawno nie robiłem porządku w tej szufladzie.

- Jeżeli dasz mi swoje skarpetki, to zabiorę je do domu i wszystkie ci poceruję.

Spojrzał na nią.

- Bardzo jesteś miła, że chcesz to zrobić dla mnie. Ale nie trzeba. Czas, żebym kupił nowe. Ta partia już prawie do niczego.

- Możesz dostać skarpetki? - zapytała. - Tatuś nie może. Mówi, że ich w ogóle nie ma w sprzedaży, tak samo jak wielu innych rzeczy. Chustek do nosa też zabrakło.

Peter potwierdził:

- Tak jest. Ostatnim razem, kiedy próbowałem sobie kupić skarpetki, nigdzie nie było mojego numeru. Te, które kupiłem, są o dwa cale za duże.

Moira przygwoździła Dwighta pytaniem:

- Kupowałeś skarpetki niedawno?

- No, nie... Ostatnią partię kupiłem kilka miesięcy temu.

Peter ziewnął.

- Lepiej niech pan je da Moirze do reperacji, panie kapitanie. Kupić teraz bardzo trudno.

- Skoro tak się sprawa przedstawia - rzekł Dwight - z całego serca byłbym wdzięczny. - Zwrócił się do dziewczyny. - Ale doprawdy nie musisz tego robić. Sam potrafię je zacerować. - Uśmiechnął się. - Potrafię, wiesz. Potrafię je zacerować zupełnie dobrze.

Prychnęła.

- Na pewno tak, jak ja potrafię prowadzić twoją łódź podwodną. Dobrze ci radzę, zawiń w papier wszystko, co masz do naprawy, owiż sznureczkiem i dostarcz mi. Łącznie z tą koszulą. Masz gdzieś guzik od niej?

- Chyba zgubiłem.

- Niedbalstwo. Kiedy guzik odpada, należy go schować.

- Jeżeli będziesz mnie tak strofowała - zagroził - dam ci rzeczywiście wszystko, co wymaga naprawienia. Pogrzebię cię pod moimi rzeczami.

- Wreszcie do czegoś dochodzimy - wykrzyknęła uradowana. - A już myślałam, że nie jesteś ze mną szczerzy. Więc wpakuj to do kufra, czy do dwóch kufrów, i mi przywieź.

- Sporo jest tego - powiedział.

- Nie wątpię. Jeżeli będzie za dużo, podrzucę część mojej mamie, a ona prawdopodobnie rozprowadzi tę robotę po całym okręgu. Admirał mieszka dosyć blisko. Przeczuję, że lady Hartman do zacerowania przypadną twoje kalesony.

Podniósł oczy niby to ze zgrozą.

- No, w takim razie już bezapelacyjnie "Skorpionowi" będzie potrzebny nowy kapitan.

Rzekła surowo:

- I znów nasza rozmowa schodzi na głupie tory. Dostarcz mi wszystko, co trzeba



zacerować, tak czy owak, a ja się postaram, żebyś był ubrany, jak przystało na oficera marynarki wojennej.

- Dobrze - ustąpił. - Dokąd mam dostarczyć te rzeczy?

Myślała przez chwilę.

- Jesteś teraz na urlopie, prawda?

- Z przerwami - odrzekł. - Wydajemy przepustki na dziesięć dni, ale ja nie mogę dać sobie aż tyle. Kapitan musi pozostawać na miejscu, czy też mu się zdaje, że musi.

- Okręt chyba zyskałby bardzo wiele, gdyby kapitanowi tak się nie zdawało. -

Moira parsknęła śmiechem, - Najlepiej będzie, jeżeli osobiście dostarczysz mi to do domu i parę dni u nas zostaniesz. Umiesz powozić wołem?

- Nigdy wołem nie powoziłem - wyznał. - Ale mógłbym spróbować.

Niepewnie mu się przyjrzała.

- Zakładam, że jakoś ci to pójdzie. Jeżeli dowodzisz łodzią podwodną, chyba dużej krzywdy żadnemu z naszych wołów nie możesz wyrządzić. Tatuś ma teraz konia pociągowego, którego nazwaliśmy Księżę, ale raczej nie pozwoli ci go dotknąć. Więc to będzie musiał być wół.

- Dla mnie bez różnicy - rzekł potulnie. - Co każesz mi robić z tym wołem?

- Rozrzucać nawóz - powiedziała. - Krowie placki. Wół w uprzęży ciągnie bronę po trawie, Ty idziesz obok niego i prowadzisz go za uzdzienicę. W drugiej ręce trzymasz kij, żeby go klepnąć od czasu do czasu. To bardzo uspokajające zajęcie. Świetne na nerwy.

- Z pewnością - przytaknął. - Ale po co? W jakim celu właściwie się to robi?

- Pastwisko wtedy lepsze - zaczęła tłumaczyć. - Jeżeli łajna zostają tam, gdzie są, trawa, która się stamtąd rozrasta, cuchnie całymi kępami i zwierzęta jej nie zjedzą. I w następnym roku takie pastwisko nie jest nawet w połowie takie, jakie byłoby po zabronowaniu. Tatuś przywiązuje wielką wagę do bronowania każdej łąki, kiedy zwierzęta już z niej wyjdą. Dawniej robiliśmy to traktorem. Teraz bierzemy wołu.

- Więc to po to, żeby twój ojciec miał lepsze pastwisko na rok przyszły?

- Właśnie po to - odrzekła stanowczo. - W porządku, nie potrzebujesz mówić tego, co chcesz powiedzieć. Dobry gospodarz bronuje wygony, a tatuś jest dobrym go-

spodarzem.

- Nic nie chciałem powiedzieć. Ile akrów macie?

- Około pięciuset. Hodujemy angusy... to takie woły szkockie... i owce.

- Strzyżecie owce, żeby mieć wełnę? - Naturalnie.

- Kiedy? - zapytał. - Nigdy nie widziałem strzyżenia owiec.

- Zwykle strzyżemy je w październiku - poinformowała. - Tatuś martwi się trochę, że w tym roku, jeżeli będziemy czekać z tym do października, w ogóle tego nie zrobimy. Mówił, że trzeba to przyspieszyć, zrobić w sierpniu.

- Rozsądnie - stwierdził z powagą. Pochylił się, wkładając pantofle. - Dawno już nie byłem na żadnej farmie. Chciałbym przyjechać na parę dni, jeżeli będziesz mogła ze mną tyle czasu wytrzymać. Mam nadzieję, że się do czegoś przydam, tak czy inaczej.

- O to niech cię głowa nie boli - zapewniła. - Tatuś dopilnuje, żebyś się przydał. Jeszcze jeden mężczyzna na farmie to dla niego dar z nieba.

Uśmiechnął się.

- I rzeczywiście chcesz, żebym przywiózł te wszystkie rzeczy?

- Nigdy ci nie wybaczę, jeżeli zjawisz się z dwiema parami skarpetek i powiesz, że twoim piżamom nic nie brakuje. Zresztą lady Hartman już się pali do cerowania twoich pantalonów. Sama o tym nie wie, ale już się pali.

- Wierzę ci na słowo.

Wieczorem odwiozła go swoim wiktoriańskim powozikiem na stację. Gdy wysiadał, oznajmiła:

- Więc czekam w piątek po południu na stacji w Berwick. Zadzwoń do mnie i podaj dokładny czas twego pociągu, jeżeli będziesz mógł. Jeżeli nie, przyjadę tam koło czwartej.

Skłonił się.

- Zadzwonię. Poważnie mówiłaś o tym cerowaniu?

- Nie wybaczę ci nigdy, jeżeli przyjedziesz bez tego.

- Zgoda. - I po chwili wahania dodał: - Będzie ciemno, zanim dojedziesz do domu - upomniał. - Uważaj na siebie.

Odpowiedziała mu z uśmiechem.

- Nic mi się nie przydarzy. Więc do piątku. Dobranoc, Dwight.

- Dobranoc - rzekł głosem nieco ochryplym. Odjechała. Stał patrząc, dopóki nie zniknęła za rogiem ulicy.

Była już godzina dziesiąta, gdy wśród mroków Moira dotarła na podwórze farmy. Ojciec usłyszał rzenie klaczy i wyszedł w ciemność, żeby ją wyprząc i odstawić wózek do szopy.

W mętym świetle szopy Moira powiedziała:

- Zaprosiłam na parę dni Dwighta Towersa. Przyjedzie w piątek.

- Tutaj? - zapytał ojciec ze zdumieniem.

Tak. Dostali teraz urlop przed następnym rejsem. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Jasne, że nic. Tylko obawiam się, że będzie mu u nas trochę nudno. Co z nim będziesz robiła przez cały dzień?

- On już wie, że może *rozrzucić* nawóz po wygonach. To człowiek bardzo praktyczny.

- Przydałby mi się ktoś do pomocy przy zakwaszaniu paszy - rzekł ojciec.

- No, myślę, że i to by potrafił. Ostatecznie dowodzi podwodną łodzią atomową, więc mu nie zaszkodzi, jak się nauczy i zakwaszać.

Weszli do domu. Dopiero później ojciec powiedział matce, że będą mieli gościa. Przejęła się akurat tak, jak powinna przejąć się matka panny na wydaniu.

- Myślisz, że w tym coś jest?

- Nie wiem - odrzekł. - Najwidoczniej trafił się ktoś w jej guście.

- Nie zapraszała tu nikogo od czasu tego młodego Forresta przed wojną.

Skinął głową.

- Pamiętam. Wcale mi się ten młody Forrest nie podobał. Rad jestem, że z tego nic nie wyszło.

- To chodziło raczej o ten jego samochód... Austin-Healey - zauważyła matka Moiry. - Na nim samym w gruncie rzeczy chyba nigdy jej nie zależało.

- Ten teraz ma łódź podwodną - solidarnie zajął matczyne stanowisko ojciec. -  
Prawdopodobnie to jest to samo.

- Tylko że on łodzią nie będzie mógł jej wozić po szosie z szybkością  
dziewięćdziesięciu mil na godzinę - wycofała się nagle matka. Umilkła. - Oczywiście -  
rzekła po chwili - to na pewno już wdowiec.

Przytaknął.

- Wszyscy mówią, że bardzo przyzwoity człowiek. Matka powiedziała:

- No, miejmy jednak nadzieję, że z tego coś wyjdzie. Tak bym chciała zobaczyć,  
jak ona, ustatkowana wreszcie, jest szczęśliwą mężatką i ma dzieci.

- Będzie musiała się z tym dobrze pospieszyć, żebyś to jeszcze zobaczyła.

- Ojej! Wciąż zapominam. Ale ty przecież rozumiesz.

Dwight przyjechał w piątek po południu; Moira czekała ze swoim zaprzęgiem.  
Wysiadł z pociągu i rozejrzał się wokoło, wdychając ciepłe wiejskie powietrze.

- Daję słowo - powiedział - w ładnych mieszkaśz okolicach. W której stronie jest  
wasza farma?

Wskazała ręką północ.

- Stąd jakieś trzy mile.

- Na tych wzgórzach?

- Niezupełnie - odrzekła. - Ale kawałek jedzie się pod górę.

Przyjechał z walizką, którą wsunął teraz pod siedzenie w wózku.

- To już wszystko? - zapytała.

- Wszystko. Do cerowania cała masa.

- Wygląda skromnie. Mogę przysiąc, że masz tego znacznie więcej.

- Nie mam. Przywiozłem wszystko, co było. Uczciwie.

- Mam nadzieję, że nie kłamiesz.

Wsiedli na koziół i ruszyli w kierunku wsi Berwick. Prawie natychmiast Dwight  
powiedział:

- Buki! Ileż tu buków! Spojrzała na niego ciekawie.

- Wszędzie tu rosną - rzekła. - Gorąco dziś, ale na wzgórzach zrobi się

przewiewniej.

Gość był zachwycony drogą, którą jechali.

- To jest dąb, potężnie jednak rozrośnięty. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem dąb tak olbrzymi. A tam klony! - Odwrócił się do Moiry. - No, zupełnie mi to przypomina aleję w małym miasteczku w Stanach.

- Naprawdę? - zapytała. - Tak właśnie jest w Stanach?

- No pewnie. Te wszystkie drzewa tutaj pochodzą z północnej półkuli. W okolicach Australii, jakie dotychczas poznałem, są tylko gumowce i akacje australijskie.

- Wśród tych teraz nie jest ci przykro? - zapytała.

- Och, nie. Cieszę się, że widzę znów te amerykańskie drzewa.

- Mnóstwo ich rośnie u nas na farmie - powiedziała.

Przejechali przez wieś, przecięli pustą asfaltową autostradę i znaleźli się na szosie do Harkaway. Wkrótce potem szosa już biegła pod górę; klacz zwolniła kroku i zaczęła z wysiłkiem szarpać się w chomacie. Dziewczyna oznajmiła:

Tu właśnie trzeba wysiąść i pójść pieszo. Wysiedli z wózka i ruszyli pod górę o własnych siłach, prowadząc klacz. Po duchocie doków i wysokiej temperaturze panującej w stalowych okrętach leśne powietrze mile chłodziło i odświeżało kapitana Towersa. Zdjął marynarkę i położył ją na koźle, po czym rozpiął kołnierzyk koszuli. Szli zboczem wzgórza; panorama za nimi stawała się coraz szersza, coraz rozleglejszy był widok na równinę aż do morza, do oddalonej o dziesięć mil zatoki Port Phillip. Tak minęło pół godziny; od czasu do czasu podjeżdżali kawałek, gdy droga była mniej stroma, ale przede wszystkim musieli iść obok wózka. Stopniowo wkroczyli w malowniczy rejon farm na falistych zboczach, zielonych pastwisk schludnie poprzecinanych zagajnikami i kępami drzew.

To wielkie szczęście - zauważył Dwight - mieć dom w takich stronach.

Spojrzała na niego.

- Lubimy te strony, i owszem. Ale mieszkać tu przeraźliwie nudno.

Przystanął na szosie, patrząc wokół siebie na pogodny wiejski krajobraz, rozległy, niczym nie ograniczony widok tych słonecznych dolin i wzgórz, i dalekiego morza.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem okolice piękniejsze - powiedział.

- Tu jest pięknie? - zdziwiła się. - Uważasz, że tak pięknie jak w Stanach Zjednoczonych albo w Anglii?

- Z pewnością - odrzekł. - Anglii nie znam tak dobrze. Słyszałem, że niektóre jej części to po prostu kraina baśni. W Stanach mnóstwo mamy uroczych zakątków, nie wiem jednak, czy aż tak uroczych, jak ten. Właśnie tutaj jest pięknie według wszelkich kryteriów świata.

- Cieszę się, że ty to mówisz - powiedziała. - To znaczy, mnie się tutaj podoba, ale ja przecież nie widziałam nigdy nic innego. Człowiek tu nieomal myśli, że wszystko w Anglii i Ameryce na pewno jest znacznie lepsze. Że to tutaj dobre jest jak na Australię, ale to jeszcze mało.

Potrząsnął głową.

- Skądże znowu, kochanie. To jest dobre według wszelkich kryteriów, na jakie tylko chciałabyś się powołać.

Doszli do równiny, piesza wędrówka się skończyła i wkrótce potem wjechali w bramę wjazdową. Krótka aleja w szpalerze sosen wiodła do drewnianego parterowego domu, domu dość dużego, pomalowanego na białą, stojącego na tle białych zabudowań gospodarskich. Wzdłuż całej fasady i jednego boku biegła szeroka, częściowo oszklona weranda. Prawie galopem klacz minęła dom i skierowała się na podwórze.

- Przepraszam, że wprowadzę cię kuchennymi drzwiami - rzekła dziewczyna - ale ona by się nie zatrzymała, kiedy jest tak blisko stajni.

Przybiegł jedyny pozostały na farmie parobek, zwany Lou, żeby pomóc Moirze wyprząc klacz, i z domu wyszedł do nich sam farmer. Moira przedstawiła Dwighta, po czym zostawiwszy Lou przy wyprzęganiu, ruszyli we troje do matki. Później, przed kolacją, usiedli na werandzie i wypili po kieliszku w ciepłym przedwieczornym słońcu. Widok z werandy rozciągał się wręcz sielankowy: falowały łąki i zagajniki, opadając ku jasnej, dalekiej, położonej poniżej drzew równinie. I znów Dwight wyraził swój zachwyt pięknem tych okolic.

Tak, tu jest miło - przyznała pani Davidson. - Ale nie da się porównać z Anglią.

Anglia jest rzeczywiście piękna.

Amerykanin zapytał:

- Pani urodziła się w Anglii?

- Ja? Nie. Jestem rodowitą Australijką. Mój dziadek przyjechał do Sydney w bardzo dawnych czasach, nie był jednak skazańcem. Dostał ziemię w Riverina. Część rodziny mieszka tam nadal. - Umilkła. - W kraju byłam tylko raz - powiedziała po chwili. - Odbiliśmy podróż do Anglii i na kontynent w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, po drugiej wojnie. Anglią byliśmy oczarowani. Ale teraz pewnie mnóstwo się tam zmieniło.

Wkrótce potem odeszła z Moirą, żeby zaparzyć herbatę, i Dwight został sam z gospodarzem. Pan Davidson zapytał:

- Wypije pan jeszcze whisky?

- Dziękuję. Z przyjemnością.

W miłym ciepłe dogasającego dnia siedzieli milcząc i popijając. Po jakimś czasie hodowca bydła powiedział:

- Moira nam opowiadała o tym rejsie, który pan odbył na północ.

Kapitan skinął głową.

- Dowiedzieliśmy się niewiele.

- Mówiła nam.

- Ponieważ bardzo mało można zobaczyć z morza przez peryskop - wyjaśnił Dwight. - Nie widzieliśmy zniszczeń od bomb ani nic w tym rodzaju. Wszystko wygląda chyba tak, jak wyglądało zawsze. Tylko że ludzi tam już nie ma.

- Wysoka tam radioaktywność, prawda? Dwight przytaknął.

- Im dalej na północ, tym gorzej, oczywiście. W Cairns, kiedyśmy tam byli, człowiek mógłby przeżyć parę dni. W Port Darwin nawet paru dni by nie przeżył.

- Kiedy byliście w Cairns?

- Mniej więcej dwa tygodnie temu.

- Przypuszczam, że teraz napięcie w Cairns jest większe.

- Prawdopodobnie. Powiedziałbym, że stale wzrasta. W końcu wyrówna się,

oczywiście, i będzie takie samo na całym świecie.

- Wciąż mówią, że to dojdzie do nas we wrześniu.

- Chyba słusznie. Rozprzestrzenia się bardzo równomiernie wszędzie. Do wszystkich miejsc na jednym stopniu szerokości geograficznej dociera mniej więcej w tym samym czasie.

- Podawali przez radio, że już jest w Rockhampton.

- Tak - rzekł kapitan. - Też o tym słyszałem. I w Alice Springs. Rozprzestrzenia się bardzo równomiernie, stopień za stopniem szerokości geograficznej.

Gospodarz pokiwał głową z uśmiechem trochę ponurym.

- Rozdzieranie szat nie zda się na nic. Jeszcze whisky?

- Ja chyba już nie. Dziękuję.

Pan Davidson znów nalał sobie trochę i powiedział:

- W każdym razie do nas dojdzie na samym końcu.

- Na to wygląda - zgodził się Dwight. - Przy takim tempie, jak jest teraz, Kapsztad odpadnie trochę prędzej niż Sydney, a mniej więcej jednocześnie z Montevideo. Nic już wtedy nie zostanie w Afryce i w Ameryce Południowej. Melbourne ze wszystkich wielkich miast świata jest najbardziej wysunięte na południe, więc będziemy prawie ostatni. - Siedział przez chwilę pogrążony w myślach. - Nowa Zelandia, większa jej część, może przetrwa trochę dłużej i, oczywiście, Tasmania. Ze dwa, trzy tygodnie chyba. Nie wiem, czy są jacyś ludzie na Antarktydzie. Jeżeli są, mogą jeszcze dość długo pożyć.

- Ale Melbourne jest ostatnim wielkim miastem?

- Wszystko na to wskazuje w tym momencie. Zapanowało milczenie.

- Co pan zrobi? - zapytał wreszcie hodowca bydła. - Zabierze pan stąd swój okręt?

- Jeszcze się nie zdecydowałem - powoli odrzekł kapitan. - Może zresztą nie ja będę musiał podjąć decyzję. Jest starszy oficer ode mnie... kapitan Shaw w Brisbane. Nie przypuszczam, żeby on się ruszył stamtąd, gdzie jest, bo jego okręt nie może płynąć. Może przyśle mi rozkaz, nie wiem.

- A odpłynąłby pan, gdyby to zależało od pana?



- Jeszcze się nie zdecydowałem - powtórzył kapitan. - Wątpię, czy zyskaloby się na tym dużo. Prawie czterdzieści procent moich ludzi ma dziewczyny w Melbourne... niektórzy się poženili. Powiedzmy, że mam odpłynąć do Hobart. Tych dziewcząt przecież nie mogę zabrać, a żadną inną drogą one się tam nie dostaną... zresztą nawet gdyby się dostały, nie miałyby gdzie mieszkać. Byłoby chyba okrucieństwem rozłączyć marynarzy z ich kobietami na te ostatnie dni, jeżeli nie będzie tego wymagać jakaś wyższa racja służbowa. - Uśmiech przemknął mu po twarzy. - W każdym razie oni by tego nie chcieli. Większość z nich prawdopodobnie by zdezerterowała.

- Też mi się tak wydaje. Na pierwszym miejscu postawiliby kobiety.

Amerykanin przytaknął.

- Dość zrozumiałe. I nie ma przecież sensu wydawać rozkazów, kiedy się wie, że nie zostaną wykonane.

- Okręt pański nie mógłby wypłynąć na morze bez nich.

- Owszem, mógłby... co prawda tylko w krótki rejs. Do Hobart nie byłoby daleko... sześć, siedem, godzin. Wystarczyłoby dwunastu marynarzy, a nawet mniej. Chociaż przy tak zmniejszonej załodze nie moglibyśmy się zanurzyć i trzeba by płynąć najkrótszą drogą. No, ale gdybyśmy dotarli tam, czy nawet do Nowej Zelandii... powiedzmy, do Christchurch... w niepełnym składzie, nie bylibyśmy zdolni do działania, do żadnych operacji. - Urwał na chwilę. - Bylibyśmy po prostu uchodźcami.

Znów przez jakiś czas siedzieli obaj w milczeniu.

- Jedno w tym wszystkim mnie zdumiewa - rzekł hodowca bydła. - To, że uchodźców jest tak mało. Niewiele osób przyjechało z północy. Z Cairns i z Townsville, i innych miejscowości.

- Czyżby? - zapytał kapitan. - W Melbourne jednak tłok. Szalenie trudno teraz dostać tam nocleg... gdziekolwiek.

- Wiem, że ich jest trochę. Ale nie takie tłumy, jakich bym się spodziewał.

- Radio chyba na to wpłynęło - rzekł Dwight. - Te pogadanki, które wygłasza premier, działają uspokajająco. Radio australijskie spisuje się w sposób godny uznania, nie tając przed ludźmi faktycznego stanu rzeczy. Ostatecznie słaba to pociecha opuścić

dom i przyjechać tutaj, żeby mieszkać w namiocie czy w samochodzie do czasu, kiedy i tak stanie się to, co ma się stać, tyle że o miesiąc albo o dwa miesiące później.

- Chyba - przytaknął pan Davidson. - Słyszałem już, że sporo ich wraca do Queensland po paru tygodniach takiej tułaczki. Ale wątpię, czy tylko dlatego, że nie chcą się tułać. Chyba nikt naprawdę nie wierzy, że to się stanie, że stanie się właśnie jemu, dopóki sam nie zaczyna chorować. A wtedy... no, mniej wysiłku kosztuje czekanie na to w domu. Z tej choroby człowiek już nie wychodzi, kiedy raz się zacznie?

Tak chyba nie jest. Można wyzdrowieć gdzieś poza obszarem radioaktywnym po przejściu należytej kuracji w szpitalu. Mnóstwo chorych z północy leży teraz w szpitalach Melbourne.

- Nie wiedziałem.

- Nic dziwnego. Radio tego nie podaje. Ja osobiście nie bardzo rozumiem, po co się ich kuruje. Po to, żeby znowu zachorowali we wrześniu?

- Ładna perspektywa - rzekł pan Davidson. - Może jednak nalać panu whisky?

- Dziękuję. Chyba bym się napił. - Dwight wstał i sam sobie nalał. - Wie pan - powiedział - ostatnio, kiedy już się z tą myślą oswoilem, dochodzę do wniosku, że nawet wolę w ten sposób. Wszyscy kiedyś musimy umrzeć, jedni wcześniej, drudzy później. Kłopot zawsze polegał na tym, że nie było się gotowym, bo nie wiedziało się, kiedy to nastąpi. No, my teraz właśnie wiemy i nikt już nic nie poradzi. Nawet mi to w pewnym sensie odpowiada. Odpowiada mi perspektywa, że będę zdrow i w dobrej formie do końca sierpnia, a potem od razu... powrót do domu. Wolę tak niż od siedemdziesiątego do dziewięćdziesiątego roku życia coraz gorzej niedomagać.

- Prawdziwy z pana oficer marynarki - stwierdził hodowca bydła. - Pan oczywiście bardziej niż ja jest przyzwyczajony do zaglądania śmierci w oczy.

- Czy pan się stąd wyprowadzi? - zapytał kapitan. - Zanim to dojdzie tutaj, wyjedzie pan gdzie indziej? Do Tasmanii?

- Ja? Miałbym zostawić moją farmę? - obruszył się hodowca bydła. - Nie, nie wyjadę. Kiedy to już dojdzie do nas, skończę tu na tej werandzie w tym fotelu ze szklanką whisky w ręce. Albo we własnym łóżku. Nie opuściłbym tego domu.

- A więc tak chyba myśli większość ludzi, którzy już się do tego przyzwyczaili.

Siedzieli na werandzie w blaskach zachodzącego słońca, dopóki nie przyszła Moira oznajmiając, że kolacja na stole.

- Wypij - zadrwiła z Dwighta - i chodź do domu wyparować, jeżeli możesz jeszcze iść o własnych siłach.

Ojciec ją upomniał.

- Jak ty mówisz do gościa!

- Nie znasz, tatusiu, tego gościa tak dobrze jak ja. Powiem ci, że z nim po prostu nie da się przejść spokojnie koło baru. Do każdego musi wstąpić.

- Wydaje mi się raczej, że to kapitan z tobą ma takie trudności.

Poszli na kolację.

Dwa następne dni były przyjemnym odprężeniem dla Dwighta Towersa. Wręczył paniom spory tobolek swej sfatygowanej garderoby, która natychmiast zniknęła mu sprzed oczu i została poddana gruntownym oględzinom i sumiennym zabiegom. Od rana do wieczora pan Davidson wypełniał mu czas różnymi robotami w gospodarstwie. Wtajemniczył go w arkana przytrzymywania owiec do strzyżenia, nauczył go łopatą wrzucać nawóz do wózka i potem z wózka rozrzucać po wygonach. Godzinami też kapitan podwodnego okrętu krok w krok za wołem przemierzał zalane słońcem pastwiska. Służyła mu ta odmiana po długich dniach spędzanych w ciasnocie "Skorpion" i lotniskowca; kładł się spać wcześniej, sypiał doskonale i wstawał wypoczęty o świcie.

W ostatni poranek jego pobytu na farmie Moira po śniadaniu zastała go w drzwiach małego pokoiku przy pralni służącego ostatnio za skład różnych rzeczy: desek do prasowania, gumowych butów i rupieci wszelkiego rodzaju. Stał w tych otwartych drzwiach, paląc papierosa, przyglądając się owej rupieciarni. Moira wyjaśniła:

Tu właśnie odkładamy wszystko, co niepotrzebne, kiedy w domu robimy porządku. Mówimy, że wyślemy to na wyprzedaż na cele dobroczynne i jakoś nigdy tego nie robimy.

Uśmiechnął się.

- My też mamy taki składzik, chociaż nie nazbierało się w nim aż tyle. Może

dlatego, że nie mieszkamy w naszym domu tak długo. - Z zainteresowaniem przyglądał się masie przedmiotów. - Powiedz, kto jeździł na tym trzykołowym rowerze?

- Ja - poinformowała.

- Musiałaś wtedy być bardzo malutka. Spojrzała na rower.

- Rzeczywiście teraz to mały rowerek, prawda? Miałam wtedy chyba cztery czy pięć lat.

- Jest i żabia laska. - Sięgnął przez próg i wyciągnął ten kij z podstawą i sprężyną, pozwalającą posuwać się stojącemu na niej dziecku skokami; sprężyna, mocno już zardzewiała, skrzypnęła. - Swego czasu istne szaleństwo było z tym w domu.

- Wyszły na jakiś czas z mody, a teraz znów powróciły - rzekła. - Sporo dzieciaków tutaj ma ostatnio żabie laski.

- W jakim wieku tym się bawiłaś? Spróbowała sobie przypomnieć.

- Po trzykołowym rowerze i po hulajnodze, ale przed rowerem dwukołowym.

Myślę, że miałam jakieś siedem lat.

Zamyślony trzymał tę zabawkę.

- Wiek chyba najodpowiedniejszy. Można teraz dostać je tu w sklepach?

- Można, przypuszczam. Dzieciaki na nich skaczą. Położył laskę.

- Bardzo dawno widziałem taką w Stanach Zjednoczonych. Więc wraca na to moda, jak mówisz. - Rozejrzał się jeszcze. - A szczudła czyje?

- Najpierw miał je mój brat, a potem ja. Jedno jest złamane przeze mnie.

- Był starszy od ciebie... twój brat? Skinęła głową.

- O dwa lata - powiedziała - dwa i pół.

- Jest teraz w Australii?

- Nie. W Anglii.

- Aha - powiedział, bo i cóż mógłby powiedzieć więcej. - Wysokie są te szczudła - zauważył po chwili. - Powiedziałbym, że wtedy już podrosłaś.

Przytaknęła.

- Z pewnością miałam dziesięć lat albo jedenaście.

- Narty. - Zmierzył długość nart wzrokiem. - Dla jeszcze starszej panienki.

- Na nartach zaczęłam jeździć dopiero mając około szesnastu lat. Ale tych używałam prawie do samej wojny. Były jednak dla mnie już trochę za krótkie. Tamta para to Donald.

Znów coś zobaczył.

- No - powiedział - i narty wodne. Przytaknęła.

- Nadal ich używamy... a raczej używalibyśmy, gdyby nie wojna. - Milczała przez chwilę. - Jeździliśmy zawsze na wakacje do Barwon Heads. Mama co rok wynajmowała tę samą willę... - Zamyśliła się, wspominając ten słoneczny domek przy terenach golfowych i ciepły piasek, i chłodny pęd powietrza, gdy sunęła za motorówką w тумanie ciepłego pyłu wodnego. - Tam jest drewniana łopata, którą kiedyś budowałam zamki z piasku na plaży. Byłam bardzo mała...

Uśmiechnął się do niej.

- Trochę zabawnie oglądać takie cudze pamiątki z dzieciństwa, wyobrażać sobie te osoby w dziecięcych latach. Niemal widzę cię siedmioletnią, jak skaczesz na żabiej lasce.

- I jak się złościsz co dwie minuty - uzupełniła. Zadumana patrzyła w otwarte drzwi. - Nigdy nie chciałam pozwolić, żeby mama rozdawała moje zabawki - rzekła cicho. - Mówiłam, że zachowam je dla moich dzieci. A teraz się okazuje, że żadnych dzieci nie będzie.

- To fatalne - powiedział. - Niestety, nie ma na to rady. - Pociągnął drzwi i zamknęła się ta skarbnica tyłu sentymentalnych nadziei. - No, myślę, że po południu trzeba już wracać na okręt... Sprawdzić, czy przypadkiem nie zatonął przy molo. Nie wiesz, o której jest pociąg?

- Nie wiem, ale możemy zadzwonić na stację, to nam powiedzą. Nie mógłbyś jeszcze jeden dzień zostać?

- Chciałbym, dziecko, sądzę jednak, że nie powinienem. Sterta pism czeka na moim biurku, muszę je załatwić.

- Dowiem się o pociąg. Co będziesz robił przed południem?

- Przyrzekłem twojemu ojcu, że skończę bronować na wzgórzu.

- Z robotą w domu uporam się chyba za godzinę. Później pewnie przyjdę tam i pochodzę z tobą.

- Będzie mi bardzo przyjemnie. Wasz wół to dobry robotnik, ale niezbyt rozmowny.

Dostał swą naprawioną odzież po obiedzie. Podziękował za gościnę, za troskliwość, spakował rzeczy i Moira odwiozła go na stację. W Galerii Narodowej została otwarta wystawa australijskiego malarstwa o tematyce religijnej, postanowili wybrać się na tę wystawę razem; obiecał, że zatelefonuje. Wkrótce potem był już w pociągu, w drodze powrotnej do Melbourne i do pracy.

Wrócił na lotniskowiec około godziny szóstej. Jak przewidywał, papiery piętrzyły się na jego biurku, niespodzianką jednak była zapieczętowana koperta ze stemplem "Ścisłe tajne". Rozciął ją i stwierdził, że to rozkaz operacji; do planu przypięta była kartka, osobista prośba admirała o telefon, żeby uzgodnić porę konferencji w tej sprawie.

Przeczytał rozkaz. Istotnie, nic ponad to, czego oczekiwał. W granicach możliwości jego okrętu mieściła się ta operacja, przyjmując, że na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych nie ma min, co jednak wydawało mu się założeniem dość zuchwałym.

Wieczorem zadzwonił do Petera Holmesa, spędzającego urlop na łonie rodziny w domu pod Falmouth.

- No - oznajmił - rozkaz już mamy. Jest dołączony list od admirała, żebym zgłosił się do niego. Czy mógłby pan jutro przyjechać i przejrzeć ten plan? I chyba byłoby dobrze, gdyby poszedł pan ze mną do ministerstwa.

- Z samego rana jutro będę na pokładzie - rzekł oficer łącznikowy.

- Doskonale. Przykro mi, że przerywam panu urlop, musimy jednak działać.

- Tak jest, panie kapitanie. Miałem tylko ściąć drzewo w ogrodzie.

Nazajutrz o pół do dziewiątej Peter Holmes siedział już z kapitanem Towersem w jego małym biurze na lotniskowcu i czytał rozkaz.

- Mniej więcej tego pan się spodziewał, panie kapitanie, prawda?

- Mniej więcej - przytaknął kapitan. Odwrócił się do map rozłożonych na bocznym stoliku. - Tu jest cały materiał, jaki mamy o polach minowych. Chodzi o zbadanie sprawy

tej tajemniczej radiostacji. Określono jej położenie gdzieś na obszarze Seattle. No, tam możemy się dostać. - Wziął ze stolika jedną z map. - Główny plan pól minowych przy Juan de Fuca i Puget Sound - wyjaśnił. - Więc powinniśmy dopłynąć szczęśliwie do samych doków marynarki wojennej w Bremerton. Do Pearl Harbour też moglibyśmy dopłynąć, ale tego od nas nie wymagają. Nasze cele to Zatoka Panamska, San Diego i San Francisco... a żadnymi planami zaminowania tamtych obszarów nie dysponujemy.

Peter pokręcił głową.

- Będziemy musieli powiedzieć to admirałowi. Zresztą on chyba wie o tym. O ile go znam, można z nim dyskutować.

- I Dutch Harbour - dodał kapitan. - Też brak nam danych.

- Mogą tam być oblodzenia.

- Właśnie. I mgła, mnóstwo mgły. Niedobrze tam płynąć o tej porze roku bez wacht na pokładzie. Konieczna będzie wielka ostrożność w tamtych stronach.

- Ciekaw jestem, dlaczego właśnie tam nas wysyłają.

- Pojęcia nie mam. Może on nam powie.

W milczeniu ślęczeli przez jakiś czas nad mapami.

- Jak, panie kapitanie, pan by popłynął? - zapytał ostatecznie oficer łącznikowy.

- Wzdłuż trzydziestego stopnia szerokości geograficznej na północ od Nowej Zelandii, a na południe od Pitcairn płynęlibyśmy aż do sto dwudziestego stopnia długości geograficznej zachodniej na powierzchni. Potem wzdłuż sto dwudziestego pod wodą. I tak już do samej Kalifornii gdzieś w okolice Santa Barbara. W drodze powrotnej z Dutch Harbour tak samo. Prosto na południe wzdłuż sto sześćdziesiątego piątego stopnia mijając Hawaje. Myślę, że można by zajrzeć do Pearl Harbour, kiedy tam będziemy. I dalej wciąż pod wodą, aż wynurzylibyśmy się w pobliżu Wysp Towarzystwa, czy może gdzieś w miejscu wysuniętym na południe jeszcze bardziej.

- Czyli pod wodą ile czasu?

Kapitan odwrócił się i sięgnął po leżący na biurku arkusz papieru.

- Próbowałem wczoraj wieczorem to wyliczyć. Bez postojów gdziekolwiek tak długich, jak poprzednim razem. Zakładam, że przepłyniemy w zanurzeniu około dwustu

stopni... dwanaście tysięcy mil. To będzie, powiedzmy, sześćset godzin rejsu... dni dwadzieścia pięć. Plus parę dni na badanie sytuacji i na zwłokę. Więc razem ze dwadzieścia siedem dni.

- Sporo czasu w zamknięciu.

- "Miecznik" był pod wodą jeszcze dłużej. Trzydzieści dwa dni. Grunt to nie denerwować się, przyjmować tę konieczność spokojnie.

Oficer łącznikowy obejrzał mapę Pacyfiku. Wskazał palcem zagęszczenie raf i wysepek na południe od Hawajów.

- Nie powiem, żeby takie spokojne było lawirowanie wśród tych pułapek pod wodą. A to nas przy końcu czeka.

- Ja wiem. - Kapitan zmarszczył brwi, wpatrując się w mapę. - Może weźmiemy kurs nieco dalej na zachód i dopłyniemy do Fidżi od północy. - Umilkł. - Bardziej mnie martwi Dutch Harbour niż droga powrotna - rzekł po chwili.

Przez pół godziny studiowali mapy i plan operacji. W rezultacie Australijczyk zaopiniował:

- No, rejs będzie nielichy. - Uśmiechnął się promiennie. - Coś do opowiadania wnukom.

Kapitan szybko spojrzał na niego i też się uśmiechnął.

- Otóż to.

Oficer łącznikowy czekał w kabinie, gdy kapitan telefonował do sekretarza admirała w Ministerstwie Marynarki Wojennej. Spotkanie wyznaczono na godzinę dziesiątą nazajutrz rano. Peter Holmes nie miał już po co zostawać na lotniskowcu; uzgodnił z kapitanem, że spotkają się w ministerstwie przed dziesiątą, i następnym pociągiem wyruszył z powrotem do Falmouth.

W samo południe dalszą drogę z Falmouth odbył na rowerze. Wrócił do domu tak spocony, że z przyjemnością zdjął mundur i wziął prysznic, gdy Mary przygotowywała obiad na zimno. Bardzo była przejęta wyczynami Jennifer, która coraz dzielniej raczkowała.

- Zostawiłam ją w hallu, wyobraź sobie, na dywaniku przed kominkiem i poszłam



do kuchni, żeby obrać kartofle. Raptem patrzę, a ona już w sieni pod kuchennymi drzwiami. Małe diablątko. Potrafi rozwijać tempo wręcz niebywale.

Zasiedli do obiadu.

- Warto byłoby postarać się o kojec dla niej... - powiedział Peter - taki z drewna, rozkładany.

Przytaknęła.

- Myślałam o tym. I żeby z jednej strony były na prętach gałki, wiesz, jak w liczydło.

- Chyba można jeszcze dostać kojec - zastanowił się. - Nie słyszałaś o kimś, kto postanowił nie mieć więcej dzieci... kto ma kojec niepotrzebny?

- Nie słyszałam, Peter. Wydaje się, że wszyscy nasi znajomi mają dziecko po dziecku.

- Spróbuję, może znajdę w którymś ze sklepów - obiecał.

Dopiero po obiedzie Mary nieco ochłonęła z zachwytu nad Jennifer. Zapytała:

- Aha, Peter, o co chodziło kapitanowi Towersowi?

- Dostał rozkaz z planem operacji - mógł jej wreszcie powiedzieć Peter. - Pewnie tajny, więc nie mówmy o tym. Czekają nas dosyć długi rejs po Pacyfiku... Panama, San Diego, San Francisco, Seattle, Dutch Harbour i z powrotem prawdopodobnie przez Hawaje. To wszystko wygląda trochę mgliście na razie.

Sięgnęła raczej bezradnie do zasobów swych wiadomości z zakresu geografii.

- Kawał drogi, prawda?

- Spory kawał - potwierdził. - Wątpię, czy tam popłyniemy. Dwight jest przeciwny Zatoce Panamskiej, bo nie ma planu tamtejszych pól minowych, a poza tym, jeżeli Panama nam odpadnie, skrócimy sobie drogę o całe tysiące mil. Ale nawet i bez tego spory kawał.

- Długo by to trwało?

- Jeszcze nie wyliczyłem dokładnie. Prawdopodobnie ze dwa miesiące.

Rozumiesz - zaczął jej tłumaczyć - bo nie możemy wziąć kursu bezpośrednio do San Diego na przykład. Dwight chce skrócić czas pod wodą do minimum. To oznacza, że

będziemy musieli popłynąć na wschód, tam gdzie jest jeszcze bezpiecznie, i nałożyć drogi, żeby dwie trzecie rejsu odbyć na powierzchni, póki się da, na południowym Pacyfiku. Dopiero potem skrećimy na północ do Kalifornii. Zmiana kierunku bardzo gwałtowna, ale dzięki temu krócej można być pod wodą.

- To znaczy, ile dni, Peter?

- Dwadzieścia siedem, on wylicza.

- Okropnie długo jednak.

- No, owszem. Ale to jeszcze nie rekord, daleko do rekordu. Chociaż czas dosyć długi bez świeżego powietrza. Prawie miesiąc.

- Kiedy będzie wyruszyli?

Tego nie wiem. Z początku mówiło się, że odpłyniemy w połowie przyszłego miesiąca, ale teraz mamy tę cholerną odrę na pokładzie. Nie możemy wyruszyć, dopóki się nie skończy.

- Było więcej zachorowań?

- Jedno... przedwczoraj. Lekarz okrętowy przypuszcza, że to już chyba ostatnie. Jeżeli on się nie myli, pozwolą nam odpłynąć może pod koniec miesiąca. Jeżeli nie... jeżeli jeszcze ktoś zachoruje... to dopiero w marcu.

- Czyli wróciłbyś w czerwcu?

- Prawdopodobnie. Tak czy owak, odry się pozbędziemy do dziesiątego marca.

Czyli będziemy tu z powrotem koło dziesiątego czerwca.

Wzmianka o odrze zaniepokoiła ją na nowo.

- Mam jednak nadzieję, że Jennifer mi się nie zarazi.

W nastroju rodzinnym spędzili popołudnie przed domem. Peter zabrał się do ścinania drzewa. Nie było to drzewo zbyt duże, więc prawie bez trudu podpiłował pień i ściągnął je liną tak, żeby upadło na trawnik. Do podwieczorku poobcinał gałęzie, ułożył z nich stertę, zadowolony, że będzie dużo opału w zimie, po czym zaczął rąbać ze świeżego drewna polana. Mary przyniosła dziecko, gdy się obudziło z poobiedniego snu, rozłożyła kocyk na trawie i posadziła na nim małą. Znów poszła do domu po tacę z podwieczorkiem; wracając zastała Jennifer już o dziesięć stóp od kocyka, usiłującą zjeść

kawałek kory. Zbesztala męża, kazała mu lepiej pilnować jedynej córki, po czym przypomniała sobie, że musi jeszcze raz iść do kuchni po czajnik.

- Na nic to wszystko - jęknęła. - Nie damy rady bez kojca.

Przyznał jej rację.

- Jadę jutro rano do miasta - powiedział. - Do Ministerstwa Marynarki, ale potem będę już wolny. Wstąpię do Myersa i zobaczę, może jeszcze mają tam kojce na sprzedaż.

- Oby mieli. No bo co zrobimy, jeżeli się nie kupi?

- Moglibyśmy przepasywać ją wpół jakimś paskiem i uwiązywać przy słupku wbitym w ziemię.

- Nie moglibyśmy! - wykrzyknęła Mary z oburzeniem. - Ona by sobie oplatała ten pasek na szyjce i udusiła się.

Załagodził to, przywykły do zarzutu, że jest ojcem bez ładu i kłosa w sercu. Przez następną godzinę bawili się z Jennifer w ciepłych blaskach słońca, zachęcając ją do raczkowania po trawniku. W końcu Mary wzięła ją do domu na kąpiel i kolację, a Peter znów przedzierzgnął się w drwala.

Nazajutrz rano, jak było ustalone, spotkał się w Ministerstwie Marynarki Wojennej z kapitanem Towersem i razem wkroczyli do gabinetu admirała, gdzie czekał też na nich jakiś kapitan z departamentu operacyjnego. Admirał powitał ich serdecznie i poprosił, żeby usiedli.

- Przejrzeliście, panowie, plan operacji, który wam przystaliśmy?

- Dokładnie go przestudiowałem, panie admirale - rzekł kapitan Towers.

- I jakie wrażenie ogólne?

- Pola minowe - streścił się Dwight. - Niektóre z celów tam wymienionych prawie na pewno są zaminowane. - I gdy admirał przytaknął, dorzucił: - Mamy wyczerpujące informacje o Pearl Harbour i dostęпах do Seattle. O innych terenach nie wiemy nic.

Szczegółowo omawiali przez pewien czas tę sprawę. Potem admirał odsunął się od biurka.

- No, to mi dało pojęcie z grubsza. Tego właśnie chciałem. - Umilkł na chwilę. - A

teraz powiem wam, panowie, w czym rzecz. Zdaje się, że to tylko pobożne życzenie, ale jest taka szkoła wśród naszych fizyków, odłam ich, powiedzmy, który uważa, że radioaktywność powietrza może zaniknąć... że natężenie jej może słabnąć, i to dosyć prędko. Ogólnie biorąc, ci fizycy wysuwają argument, że opady w ciągu ostatniej zimy na półkuli północnej, deszcze i śniegi, mogły, że użyję tego określenia, wymyć powietrze. - Amerykanin skinął głową. - W myśl ich teorii elementy radioaktywne będą spadać z powietrza na ziemię albo w morze szybciej, niż myśmy przewidywali. W takim wypadku ziemię półkuli północnej pozostałyby nie zaludnione przez wiele stuleci, ale radioaktywność powietrza zagrażająca nam progresywnie by się zmniejszała. Wobec czego życie... życie ludzi byłoby nadal możliwe, jeśli nie tutaj, to w każdym razie na Antarktydzie. Profesor Jorgensen stanowczo ten pogląd popiera. - Umilkł. - No, to sam zarys tej teorii. Większość fizyków ją odrzuca i uważa, że Jorgensen patrzy przez różowe okulary. Właśnie ze względu na opinię większości radio nic o tym nie podaje, no, a prasy już, chwalić Boga, nie mamy. Lepiej nie wzbudzać w narodzie bezpodstawnych nadziei. Ale oczywiście należy to wyświetlić.

- Rozumiem, panie admirale - rzekł Dwight. - To ogromnie ważne. Więc taki ma być w istocie główny cel naszego rejsu?

- Tak jest. Jeżeli Jorgensen ma rację, powinniście stwierdzić, płynąc od równika na północ, że radioaktywność atmosferyczna najpierw na jakimś odcinku utrzymuje się wciąż jednakowa, a dalej stopniowo słabnie. Nie mówię, że od razu, ale w pewnym punkcie ten spadek natężenia powinien zaznaczyć się wyraźnie. Dlatego bardzo nam zależy na tym, żebyście popłynęli jak najdalej na północ Pacyfiku, do Kodiak i do Dutch Harbour. Jeżeli Jorgensen się nie myli, radioaktywność będzie tam znacznie mniejsza. Może niemal normalna. Wtedy ewentualnie moglibyście wyjść na pokład. - Po chwili dorzucił: - Na lądzie, oczywiście, radioaktywność ziemi pozostałaby wysoka. Ale na morzu, kto wie, czy życie nie byłoby możliwe?

Peter zapytał:

- Dokonuje się już jakichś badań na poparcie tego, panie admirale?

- Niewiele - odrzekł admirał. - Siły Powietrzne wysłały przed kilkoma dniami jeden

samolot. Nie słyszeliście?

- Nie, panie admirale.

- Hm... więc wysłano bombowiec Victor z pełnym zaopatrzeniem w paliwo. Z Perth doleciał na północ... nad Morze Wschodniochińskie, gdzieś na trzydziesty stopień szerokości geograficznej północnej na południe od Szanghaju, zanim musiał zawrócić. Nie było to dostatecznie daleko, żeby rozstrzygnąć wątpliwości fizyków, dalej jednak lecieć już nie mógł. W rezultacie dowody są nieprzekonywujące. Radioaktywność powietrza nadal tam wzrasta, ale przy północnej granicy tego lotu wzrastała wolniej. - Uśmiechnął się. - O ile mi wiadomo, spory ekspertów nie ustają. Jorgensen, naturalnie, triumfuje. Powiada, że odnotujecie zdecydowany spadek radioaktywności na północy, może jeszcze przed pięćdziesiątym czy sześćdziesiątym stopniem szerokości geograficznej...

- Do sześćdziesiątego dopłyniemy - oświadczył kapitan Towers. - Zdołamy chyba wpłynąć w Zatokę Alaski. Musielibyśmy tylko bardzo tam uważać na lodowce.

Nastąpiło znów omawianie technicznych szczegółów operacji. Postanowiono dostarczyć na "Skorpiona" kombinezony ochronne, w których członkowie załogi pojedynczo bądź po dwóch mogliby wyjść na pokład, przy czym w komorach wylotowych miały być przygotowane płyny odkażające. Zdecydowano też, że w nadbudówce powinna być gumowa szalupa, jak również że przy peryskopie na rufie należy zainstalować nową antenę.

W końcu admirał powiedział:

- A zatem my z naszej strony będziemy do akcji gotowi. Pozostaje nam teraz odbyć konferencję z przedstawicielami Organizacji Badań i wszystkimi innymi zainteresowanymi czynnikami. Zwołam tę konferencję na przyszły tydzień. Tymczasem, kapitanie, może pan się zobaczyć z wiceadmirałem albo którymś z jego oficerów w sprawie robót w stoczni. Chciałbym was wyprawić pod koniec przyszłego miesiąca.

- Myślę, że to byłoby możliwe, panie admirale - powiedział Dwight. - Pracy w stoczni nie będzie dużo. Jedno, co by mogło nas zatrzymać, to odra.

Admirał śmiał się przez chwilę.

- Ważą się losy ludzkości, jej istnienia na ziemi, a my jesteśmy uzależnieni od odry. Dobrze, kapitanie... Wiem, że pan zrobi, co tylko pan będzie mógł.

Po wyjściu z gabinetu Dwight i Peter się pożegnali, Dwight został w ministerstwie, żeby zgłosić się do wiceadmirała, a Peter wyruszył na poszukiwanie Johna Osborne'a. Zastał go w gmachu Organizacji Badań Przemysłowych i Naukowych na ulicy Alberta. Powtórzył mu to, co usłyszał tego ranka.

- Wiem o Jorgensenie - rzekł John Osborne zniecierpliwiony. - Maniactwo staruszka. On by tylko chciał, żeby tak właśnie było.

- Więc nie doceniasz danych, jakie uzyskali ci lotnicy? Stopień radioaktywności się obniża, im dalej na północ...

- Ja tego nie kwestionuję. Jeśli chodzi o skutek opadów, Jorgensen może mieć rację. To prawdopodobne. Ale nikt oprócz Jorgensena nie przywiązuje do tego aż tak wielkiej wagi.

Peter wstał z krzesła.

- Niech mędrzec z mędrceciem wyklóca się o to - zacytował szyderczo. - Prostaczek musi już iść, żeby kupić kojec dla swojej najstarszej niezamężnej córki.

- Gdzie go dostaniesz?

- U Myersa. Fizyk wstał również.

- Pójdę z tobą. Chciałbym ci coś pokazać na ulicy Elizabeth.

Nie zdradził jednak młodemu oficerowi, co to takiego. Pustymi jezdniami śródmieścia doszli razem do dzielnicy, gdzie dawniej koncentrował się handel samochodami, skręcili w jedną z bocznych uliczek, a potem na jakieś podwórze. John Osborne wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył podwójne drzwi stojącego w głębi budynku. Pchnął je i wkroczyli tam obaj.

Był to przedtem samochodowy komis. Martwo wyglądały samochody jeszcze uszeregowane wzdłuż ścian, niektóre bez numerów rejestracyjnych, wszystkie pokryte kurzem i błotem, z oponami bez powietrza. Pośrodku tego garażu stał samochód wyścigowy. Bardzo niski, bardzo mały, z miejscem tylko dla kierowcy, z maską opadającą ukosem prawie nad samą ziemię, z oponami napompowanymi, jaśniał czerwoną farbą w

świetle z drzwi, wymyty, wypucowany do połysku, wręcz wypieszczony. Musiał być wściekle szybki.

- Boże! - wykrzyknął Peter. - Co to jest?

- Ferrari - poinformował go John Osborne. - Donezetti ścigał się nim przed wojną.

Wygrał nim Grand Prix Syracuse.

- Skąd to się wzięło tutaj?

- Johnny Bowles go sprowadził. Ale wojna wybuchła i już nie stanął do wyścigów.

- Kto ma go teraz?

- Ja.

- Ty?

Fizyk potwierdził.

- Przez całe życie pasjonowałem się wyścigami samochodowymi. Zawsze mnie do tego ciągnęło, ale nigdy nie miałem na to pieniędzy. Potem usłyszałem, że jest Ferrari, którego Bowles przywiózł z Anglii. Poszedłem do wdowy po Bowlesie i zaproponowałem jej sto funtów. Uznała mnie za wariata, oczywiście, ale sprzedała go chętnie.

Peter obszedł i obejrzał ten mały samochodzik z wielkimi kołami.

- Podzielam jej zdanie całkowicie - zaopiniował. - Cóż ty, na Boga, będziesz z nim robił?

- Jeszcze nie wiem. Wiem tylko, że jestem właścicielem czegoś, co prawdopodobnie jest najszybszym samochodem świata.

Oczarowało to młodego oficera.

- Mogę w nim usiąść?

- Proszę.

Peter wcisnął się na małe siedzenie za przednią szybą z plastyku.

- Ile on wyciąga na pełnym gazie?

- Właściwie się nie orientuję. Ale ze dwieście w każdym wypadku.

Peter siedział przebierając palcami po kierownicy, dotykając skrzyni biegów.

Wydawało mu się, że jest z tym jednoosobowym samochodzikiem jakoś cudownie

zrośnięty.

- Jeździłeś już nim? - zapytał.

- Jeszcze nie.

Z niechęcią Peter w końcu wysiadł.

- Skąd weźmiesz benzynę? Fyzyk się uśmiechnął.

- On benzyny nie pije.

- Nie jest na benzynę?

- Napędzany specjalną mieszanką eteroalkoholową. Do zwykłych samochodów ta mieszanka się nie nadaje. Osiem baryłek mam w ogrodzie u matki. - Uśmiechnął się jeszcze promiennie. - Pomyślałem o tym, zanim go kupiłem.

Podniósł maskę i dość długo obaj oglądali silnik. Wszystkie wolne godziny po powrocie z pierwszego rejsu John Osborne poświęcał na doprowadzanie do porządku i pucowanie swego wyścigowego samochodu; miał nadzieję, że już za parę dni będzie mógł się nim przejechać.

- Jedno, co dobre - oświadczył rozmarzony. - Nie potrzebuję się obawiać, że za duży ruch kołowy w mieście.

Niechętnie odeszli po pewnym czasie od samochodu i zamknęli drzwi garażu na klucz. Przez kilka minut rozmawiali jeszcze w ciszy tego podwórka.

- Jeżeli odpłyniemy przy końcu przyszłego miesiąca - powiedział Peter - to chyba będziemy z powrotem na początku czerwca. Chodzi mi o Mary i o naszą małą. Jak uważasz, nic im się nie stanie, zanim wrócimy?

- Masz na myśli... radioaktywność? Młody oficer przytaknął.

Fyzyk stał w zadumie.

- Mogę tylko zgadywać, nie inaczej niż wszyscy - rzekł ostatecznie. - To może postępować szybciej, może też postępować wolniej. Jak dotąd, rozprzestrzenia się po świecie bardzo miarowo i zbliża się do nas w tempie, jakie przewidywaliśmy. Teraz jest gdzieś na południe od Rockhampton. Jeżeli ta szybkość nie ulegnie zmianie, to przesunie się na południe od Brisbane w początkach czerwca... na południe od Brisbane, powtarzam. Osiemset mil, lekko licząc, na północ od nas. Ale, jak mówię, może



postępować szybciej, może postępować wolniej. Więcej nic ci nie potrafię powiedzieć.

Peter przygryzł usta.

Trochę denerwujące. Nie chcę wywoływać popłochu w domu. Pomimo to wolałbym, żeby one obie wiedziały, co robić, gdybym ja jeszcze nie wrócił.

- Pewności nie ma, czy w ogóle wrócisz kiedykolwiek - zauważył John Osborne. - Zdaje się, że sporo niebezpieczeństw naturalnych grozi nam w czasie tego rejsu... niezależnie od promieniowania. Pola minowe, lód... najrozmaitsze niebezpieczne rzeczy. Nie wiem co z nami będzie, jeżeli z pełną szybkością pod wodą gruchniemy w jakiś lodowiec.

- Ja wiem - rzekł Peter. Fizyk parsknął śmiechem.

- No, trzymajmy zaciśnięte kciuki i miejmy nadzieję, że nie gruchniemy. Chcę wrócić tutaj, żeby wziąć udział w wyścigu na tym moim wierzchowcu. - Ruchem głowy wskazał samochód, niewidoczny za zamkniętymi drzwiami garażu.

- To jest trochę denerwujące - powtórzył Peter. Skierowali się na ulicę. - Myślę, że będę musiał jakoś to załatwić, zanim odpłyniemy.

W milczeniu doszli do głównej arterii. John Osborne skręcił na rogu, wracając do swojej pracowni. - Nie idziesz w moją stronę? - zapytał.

Peter potrząsnął głową.

- Muszę teraz gdzieś zdobyć kojec. Mary mówi, że to konieczne, bo inaczej Jennifer się zabije.

Rozeszli się więc na tym rogu, przy czym fizyk dziękował losowi, że nie jest żonaty.

Kojec zdołał Peter kupić już w drugim sklepie, do którego wstąpił. Nieporęczna to była paka do niesienia wśród tłumu; szamocząc się z nią wsiadł do tramwaju i jakoś dojechał do dworca na ulicy Flinders. Wylądował w Falmouth około czwartej po południu. Zostawił kojec w przechowalni, żeby zabrać go później w przyczepce, wziął rower z warsztatu i wolno popedałował przez miasteczko do apteki, w której zwykle zaopatrywali się w lekarstwa. On aptekarza znał i aptekarz znał jego. Wszedł tam i zapytał dziewczynę za kontuarem, czy jest pan Goldie.

W białym kitlu zjawiał się aptekarz.

- Chciałbym - poprosił Peter - zamienić z panem parę słów na osobności.

- Służę panu, panie poruczniku. Poszli w głąb apteki. Peter wyjaśnił:

- Chodzi mi o tę chorobę popromienną. - Twarz aptekarza była zupełnie bez wyrazu. - Bo ja muszę wyjechać. Pływam teraz na "Skorpionie", amerykańskim okręcie podwodnym. Czeką nas długi rejs. Wrócimy nie wcześniej niż w początkach czerwca. - Aptekarz powoli skinął głową. - To rejs niełatwy - zaznaczył oficer marynarki. - Po prostu jest możliwe, że nie wrócimy nigdy.

Stali przez chwilę nic nie mówiąc.

- Myśli pan o pani Holmes i córeczce? - zapytał aptekarz. Peter przytaknął.

- Będę musiał przed odjazdem postarać się, żeby żona w pełni rozumiała... -

Urwał. - Niech mi pan powie, jak to się objawia?

- Mdłości - rzekł aptekarz. - Pierwszy symptom. Potem wymioty i biegunka.

Krwawa. Nasilenie coraz gwałtowniejsze. W niektórych wypadkach stan się trochę poprawia, ale na krótko. Ostateczna choroba wynika z samego wyczerpania. - Umilkł. - Na samym końcu istotną przyczyną śmierci może też być zakażenie albo białaczka, Zanik czerwonych ciałek krwi, pan rozumie, i utrata soli w organizmie. Jedno albo drugie.

- Ktoś mówił, że to jest podobne do cholery.

- Słusznie - potwierdził aptekarz. - To jest dosyć podobne do cholery.

- Ma pan coś na to, prawda?

- Żadne leki niestety nie pomogą.

- Nie żeby to wyleczyć. Żeby to skończyć.

- Jeszcze nie wolno nam rozdawać, panie poruczniku. Mniej więcej na tydzień wcześniej, zanim to dojdzie do naszego okręgu, szczegóły zostaną podane przez radio. Dopiero wtedy będziemy mogli wydać te środki wszystkim, którzy zechcą. - Zawahał się. - Sprawa niezmiernie skomplikowana z punktu widzenia religii. Przypuszczam, że do rozstrzygnięcia dla każdego indywidualnie.

- Muszę się postarać, żeby żona w pełni to rozumiała - jeszcze raz powiedział Peter. - Zostanie z dzieckiem... mnie wtedy może tu nie będzie. Muszę to załatwić przed

odjazdem.

- Ja mógłbym pani Holmes wytłumaczyć, kiedy czas na to przyjdzie.

- Wolałbym sam to zrobić. Ona się tym trochę zdenerwuje.

- Oczywiście... - Po chwili namysłu aptekarz rzekł: - Proszę, niech pan pójdzie ze mną.

Przeszli do zamkniętego na klucz magazynu. Stała tam w kącie skrzynia z częściowo odbitym wiekiem. Aptekarz odbił je całe. Skrzynia była pełna maleńkich czerwonych pudełeczek w dwóch rozmiarach.

Aptekarz wziął po pudełeczku jednego i drugiego rodzaju i wrócił z Peterem do apteki. Otworzył pudełeczko mniejsze, zawierało plastikową fiolkę z dwiema tabletkami. Wyjął te tabletki ostrożnie i na ich miejsce wsunął dwie aspiryny. Umieścił fiolkę w pudełeczku z powrotem; pudełeczko zamknął i dał Peterowi.

- To dla każdego, kto potrafi zażywać tabletki - powiedział. - Może pan to wziąć do pokazania pani Holmes. Wystarczy jedna, żeby prawie natychmiast spowodować śmierć. Druga jest na wszelki wypadek. W odpowiednim czasie będziemy te środki wydawali przy ladzie.

- Serdecznie dziękuję - rzekł Peter. - A co z dzieckiem?

- Z dzieckiem czy z ulubionym zwierzęciem... psem czy kotem... to już trochę mniej proste. - Aptekarz otworzył drugie pudełeczko i wyjął maleńką strzykawkę. - Mam jedną zużytą, którą tu włożę dla pana. Na wierzchu jest przepis. Aplikuje się tylko zastrzyk podskórny. Dziecko po tym zaśnie dość szybko.

I to drugie pudełeczko ze zużytą strzykawką dał Peterowi.

- Bardzo pan uprzejmy - wyraził swą wdzięczność Peter. - Mary będzie już mogła przyjść do pana po to do apteki, kiedy czas przyjdzie.

- Właśnie.

- Ile jestem winien?

- Nic. - Aptekarz rozłożył ręce. - Lek wolny od opłaty.

## Rozdział piąty

Z trzech prezentów, które Peter Holmes przywiózł tego wieczora żonie, kojec został przyjęty z największym uznaniem.

Był to nowiotki kojec drewniany, pomalowany na seledynowo, z jaskrawymi ruchomymi kulkami na prętach z jednego boku. Peter postawił go w ogrodzie i wywołał Mary z domu, żeby go zobaczyła. Przyszła i dokonała oględzin bardzo szczegółowych, sprawdzając stabilność, upewniając się, czy dziecko nie mogłoby kojca pociągnąć na siebie.

- Żeby tylko ta farba nie zaczęła schodzić - westchnęła. - Ona ssie wszystko, wiesz. A zielona farba jest okropnie niebezpieczna. Zawiera grynszpan.

- Pytałem o to w sklepie - uspokoił ją Peter. - To nie jest farba olejna... to "duco". Jennifer musiałaby mieć aceton w ślinie, żeby ją zlizać.

- Ona potrafi zlizywać farbę z bardzo wielu rzeczy. - Mary cofnęła się i popatrzyła na kojec z daleka. - Prześliczny kolor - stwierdziła. - Wspaniale będzie pasował do firanek w dzieciennym pokoju.

- Tak sobie pomyślałem - rzekł skromnie. - Mieli tam i niebieski, ale od razu wiedziałem, że będziesz wołała ten.

- Szalenie mi się podoba. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Uroczy prezent. Musiałeś się z tym namęczyć w tramwaju. Dziękuję ci, dziękuję, kochany.

- Nie ma za co. - Też ją pocałował. - Cieszę się, że ci sprawiłem przyjemność.

Przyniosła dziecko i posadziła je w kojcu. Potem przyniosła whisky i wodę sodową i ze szklankami w rękach usiedli na trawie z obu stron dziecka za seledynowym płótkiem. Pałac papierosy długo jeszcze patrzyli, jak Jennifer zachowuje się w nowym otoczeniu. Dziecko chwyciło raptownie jeden z prętów i zacisnęło małą piąsteczkę.

- A nie myślisz, że ona za wcześnie stanie na nóżkach, teraz, kiedy ma się czego trzymać? - Matka podniosła wzrok stroskana. - To znaczy, bez tego nie tak prędko by zaczęła chodzić. Dzieci, które za wcześnie zaczynają chodzić, mają później krzywe nogi.

- Chyba nie - rzekł Peter. - Każdy przecież miał w życiu kojec. Ja sam miałem w

jej wieku, a nie powiem, żeby moje nogi były krzywe.

- No, gdyby nie przytrzymała się tego, to pewnie by się przytrzymała czegoś innego. Krzesła na przykład.

Wkrótce Mary zabrała Jennifer, żeby ją wykąpać i przygotować do spania, a Peter ustawił kojec w pokoju dzieciennym. Nakrył stół do kolacji. I dopiero potem na werandzie, namacawszy palcami czerwone pudełeczka w kieszeni, zastanowił się, jak, u Boga Ojca, wręczyć te pozostałe prezenty żonie.

Wszedł do domu i nalał sobie whisky.

Przystąpił do rzeczy wieczorem, zanim Mary przeniosła dziecko na górę do ich sypialni. Powiedział niezręcznie:

- O czymś chcę z tobą pomówić przed tym nowym rejsem.

Spojrzała na niego.

- O czym?

- O tej chorobie popromiennej, jaką ludzie przechodzą. Parę rzeczy powinnaś wiedzieć.

Żachnęła się.

- Och, o *tym*. Do września nie chcę na ten temat słyszeć ani słowa.

- Niestety, będziemy musieli o tym porozmawiać - rzekł z powagą.

- Nie rozumiem, dlaczego. Jeszcze zdążysz mi wszystko powiedzieć, kiedy przyjdzie pora. Kiedy już będzie wiadomo na pewno, że to się zbliża. Pani Hildred mówiła, że jej mąż słyszał od kogoś, iż koniec końców to nie dotrze tu wcale. Bo to idzie coraz wolniej, czy coś takiego. Nie dotrze tutaj.

- Nie wiem, kto informuje męża pani Hildred. Ja cię mogę zapewnić, że żdźbła prawdy nie ma w takich plotkach. To się zbliża, jak najbardziej. Może tu być we wrześniu, może też być jeszcze przed wrześniem.

Wpatrywała się w niego wielkimi oczami.

- To znaczy, że wszyscy na to zachorujemy?

- Tak - powiedział - wszyscy na to zachorujemy. Wszyscy na to umrzemy. Dlatego właśnie chciałbym cię w tym zorientować.

- Nie możesz poczekać, Peter? Aż będzie z całą pewnością wiadomo, że to się stanie? Potrząsnął głową.

- Wolę powiedzieć ci dzisiaj. Rozumiesz, mnie mogłoby tu nie być... wtedy. To mogłoby przyjść szybciej, niż nam się zdaje... jeszcze zanim wrócimy z rejsu. Albo mógłby mnie przejechać autobus... czy coś.

- Nie jeżdżą już żadne autobusy - rzekła spokojnie. - Ty myślisz o tej łodzi podwodnej.

- Niech będzie - ustąpił. - Znacznie mniej bym się denerwował na morzu, gdybym wiedział, że jesteś w tych sprawach jako tako zorientowana.

- Dobrze - mruknęła z niechęcią. Zapaliła papierosa. - No, więc mów.

- Wszyscy i tak kiedyś musielibyśmy umrzeć - powiedział ostatecznie. - Nie wiem, czy taka śmierć jest dużo gorsza niż jakaś inna. Zaczyna się od tego, że człowiek czuje się chory. Niedobrze mu i niedobrze, a potem już zupełnie mdło. Wciąż zbiera się na wymioty... niczego nie można w sobie zatrzymać. I wciąż trzeba wychodzić. Biegunka. Coraz gorsza w dodatku. Jeżeli nawet następuje poprawa, to tylko na krótki czas i znów jest tak samo. Aż w końcu człowiek jest taki słaby, że po prostu... umiera.

Dmuchnęła długim kłębką dymu.

- Jak długo to trwa wszystko razem?

- Nie pytałem. Myślę, że to zależy od organizmu. Może trwać parę dni. A jeżeli jest poprawa, to chyba i do dwóch, trzech tygodni.

Przez chwilę panowała zupełna cisza.

- Paskudne - rzekła wreszcie Mary. - I prawdopodobnie, kiedy wszyscy zachorują naraz, nie będzie nikogo, kto by pomógł. Żadnych lekarzy, żadnych szpitali.

- Prawdopodobnie. Każdy będzie zdany wyłącznie na siebie.

- Ale ty wrócisz przedtem, Peter?

- Wrócę przedtem - zapewnił ją. - Mówię ci tylko na wszelki wypadek. To możliwość jedna na tysiąc.

- Ale w razie gdybym była sama, bez ciebie, kto by się zajmował Jennifer?

- O Jennifer teraz nie myśl - powiedział. - O niej pomówimy później. - Przynęła

się do Mary. - Posłuchaj, kochana. Z tego się nie wychodzi. A przecież nie musi się umierać w brudzie. Można umrzeć przyzwoicie, zanim to przybierze ten najgorszy obrót.

Wyciągnął z kieszeni oba czerwone pudełeczka.

- Co to? - szepnęła oszołomiona. Otworzył kartonik i wyciągnął fiolkę.

- Namiastka - wyjaśnił. - To nie są te tabletki prawdziwe. Goldie dał mi takie, żebym ci pokazał, co z tym robić. Zażywa się jedną i popija czymś... czym się chce. Tym, co się lubi najbardziej. Potem idzie się do łóżka i już koniec.

To znaczy, umiera się? - Papieros w jej palcach przed chwilą zgasł. Peter skinął głową.

- W sytuacji beznadziejnej... to jest wyjście.

- A ta druga tabletki? - szepnęła.

- Na zapas - powiedział. - Na wypadek pewnie, gdyby się tę pierwszą zgubiło albo ze strachu zmarnowało.

Wpatrzona w czerwone pudełeczko siedziała w milczeniu.

- Kiedy czas na to przyjdzie - mówił dalej - ogłoszą wam przez radio. Wtedy tylko pojedziesz do Goldiego poprosisz tę dziewczynę przy ladzie i będziesz mogła to zabrać do domu. Ona ci da. Dawać będą każdemu, kto zechce.

Upuszczając zgasłego papierosa, sięgnęła po pudełeczko. Przeczytała wydrukowany czarnymi literami przepis.

- Ale, Peter - powiedziała - żebym nie wiem jak była chora, przecież nie mogłabym tego zażyć. Kto by się opiekował Jennifer?

- Wszyscy zachorują - zwrócił jej uwagę. - Każda żywa istota. Psy i koty, i małe dzieci... wszyscy. Ja też. I ty też, Jennifer też.

Oczy jej się rozszerzyły.

- Jennifer zachoruje na tę jakąś... cholere?

- Niestety, kochanie. Wszyscy. Powieki jej opadły.

- Bestialstwo! - wykrzyknęła. - Na moim życiu specjalnie mi nie zależy. Ale to... to po prostu podłość.

Próbował ją pocieszyć.

- Koniec wszystkiego dla nas wszystkich - tłumaczył. - My utracimy większość tych lat, których tak oczekiwaliśmy. Jennifer utraci wszystkie lata. Ale dla niej to wcale nie musi być bolesne. Kiedy stanie się beznadziejnie, będziesz mogła jej to ułatwić. Trzeba tylko trochę odwagi z twojej strony, a odważna byłaś zawsze. Powiem ci, co masz zrobić, jeżeli ja nie zdążę wrócić.

Wyciągnął drugie czerwone pudełeczko z kieszeni i zaczął to wyjaśniać Mary. Patrzyła na niego z coraz większą wrogością.

- Pozwól, że nazwę rzeczy po imieniu - zirytowała się nagle. - Uczysz mnie, co mam zrobić, żeby Jennifer zabić.

Wiedział, że rozpęta się awantura, musiał jednak stawić jej czoło.

- Tak jest - powiedział. - W razie konieczności masz to zrobić.

Wpadła w gniew.

- Tyś chyba zwariował! - wrzasnęła. - Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła, choćby nawet ona bardzo cierpiała. Pielęgnowałabym ją do samego końca. Tyś absolutnie zwariował! Cała rzecz w tym, że ty jej nie kochasz! Nigdy jej nie kochałeś! Ona zawsze była plagą dla ciebie. No, a dla mnie plagą nie jest. To ty jesteś plagą! I teraz już dochodzisz do tego, że usiłujesz mnie namówić, żebym ją zamordowała. - Błada ze wściekłości zerwała się na równe nogi. - Powiedz jeszcze jedno słowo, a ciebie zamorduję.

Po raz pierwszy widział Mary w takim rozjątrzeniu. Wstał.

- Jak sobie życzysz - rzekł znużony. - Nie musisz z tych rzeczy korzystać, jeżeli nie chcesz.

Z pasją mówiła dalej:

- W tym na pewno kryje się jakiś podstęp. Chodzi ci o to, żebym zamordowała Jennifer, a potem popełniła samobójstwo. Wtedy byłbyś wolny, mógłbyś pójść do innej kobiety.

Nie spodziewał się, że ona aż tak zareaguje.

- Nie bądź idiotką, do cholery - powiedział ostro. - Jeżeli tu będę, sam połknę tę tabletkę. Jeżeli nie będę, jeżeli będziesz musiała zdać się wyłącznie na siebie, to tylko



dlatego, że przedtem stracę życie. Tylko pomyśl o tym i spróbuj to sobie wbić w tę zakutą głowę. Przedtem stracę życie.

Wpatrywała się w niego gniewnie i milczała.

- O jeszcze jednym powinnaś pomyśleć. Jennifer może żyć dłużej niż ty. -

Podniósł w ręce pierwsze czerwone pudełeczko. - To wyrzucić do śmietnika, wolna wola. Walcz tak długo, jak tylko zdołasz wytrzymać, walcz do samej śmierci. Ale Jennifer może jeszcze żyć potem. Może żyć jeszcze przez długie dni i płakać, i wymiotować na siebie w łóżeczku, leżeć w swoich kupkach, kiedy ty będziesz martwa na podłodze przy niej, i nie przyjdzie nikt, żeby jej pomóc. W końcu, oczywiście, ona też umrze. Chcesz, żeby umarła w taki sposób? Ja w każdym razie nie chcę. - Odwrócił się od niej. - Tylko o tym pomyśl i nie bądź taką cholerną idiotką.

Stała w milczeniu. Przez chwilę wydawało mu się, że bezwładna upadnie, ale teraz on z kolei był rozgniewany i nawet nie chciał jej podtrzymać.

- To są czasy, kiedy po prostu trzeba zdobyć się na bodaj trochę odwagi i spojrzeć prawdzie w oczy - powiedział.

Odwróciła się i wybiegła z pokoju na górę do sypialni, skąd wkrótce usłyszał jej szlochy. Nie poszedł do niej. Nalał sobie whisky z wodą sodową i tak ustawił leżak, żeby z werandy patrzeć w dalekie morze. "Te cholerne kobiety żyją jak pod kloszem - myślał - nie potrafią nosa wychylić poza świat własnych sentymentalnych rojeń. Gdyby uznawały rzeczywistość, mogłyby pomóc mężczyznom, pomóc im ogromnie. Ale kiedy czepiają się swego urojonego świata, są po prostu jakimś piekielnym kamieniem młyńskim u szyi".

Po trzeciej porcji whisky około północy zdecydował się pójść do sypialni. Mary już leżała i światło było zgaszone; rozebrał się po ciemku, żeby jej nie obudzić. Leżała tyłem do niego; położył się też tyłem do niej i zasnął dzięki tej whisky prawie natychmiast. Około drugiej nad ranem obudziły go jej szlochy. Wyciągnął rękę, nie wiedząc, jak ją pocieszyć.

Przytuliła się do niego rozszlochana.

- Och, Peter, tak mi przykro, że byłam taka głupia.

O czerwonych pudełeczkach już nie mówili, ale nazajutrz Peter wsunął je w głąb

apteczki w łazience, gdzie nie rzucały się w sposób nieprzyjemny w oczy, gdzie jednak Mary nie mogłaby ich nie znaleźć. W każdym z pudełeczek zostawił małą kartkę z wyjaśnieniem, że to tylko namiastka, więc ona musi zgłosić się do pana Goldie. I na każdej z tych kartek zapewnił ją o swojej miłości myśląc, że gdy Mary będzie te zapewnienia czytała, kto wie, może jego już dawno między żywymi nie będzie.

Ładna letnia pogoda utrzymywała się i w marcu. Nikt więcej z załogi "Skorpiona" nie zachorował na odrę i prace przy tym okręcie podwodnym w stoczni posuwały się naprzód tym szybciej, że stoczniowcy niewiele mieli innej roboty. Peter Holmes ściął drugie drzewo, porąbał je i ułożył polana w kilka stert, żeby dobrze wyschły na opał w następnym roku, po czym zaczął wykopywać pniaki zgodnie z planem założenia warzywnika.

John Osborne wreszcie zapuścił silnik swego Ferrari i wyjechał nim z garażu. Ruch motorowy wcale nie był w tym czasie zakazany. I tak za żadne już pieniądze nie dałoby się kupić benzyny ze względu na jej oficjalny brak w kraju; rezerwy dla lekarzy i szpitali wyczerpały się zupełnie. A jednak od czasu do czasu samochody jeździły. Każdy automobilista miał ukryte w garażu bądź jakimś sobie tylko wiadomym schowku bańki z benzyną, zakupione w pierwszej chwili popłochu na rynku, i sięgał do tych zapasów w wyjątkowo rozpaczliwej potrzebie. Ferrari Johna Osborne'a na jezdni nie wywołał żadnej akcji ze strony policji nawet wtedy, gdy John bezwiednie przydeptując nie znany mu jeszcze akcelerator, pomknął ulicą Bourke w samym sercu miasta z szybkością osiemdziesięciu pięciu mil na drugim biegu. Dopóki nie przejechał nikogo, policjanci uważali, że to drobiazg nie wart aż takiej fady, jak pociąganie go do odpowiedzialności.

Nikt przejechany nie został, ale sam John Osborne bardzo się przeraził. Jechał do South Gippsland pod małym miasteczkiem Tooradin, gdzie był prywatny tor wyścigowy - własność klubu entuzjastów sportu automobilowego. Trzy mile długości miał ów krąg szerokiej szosy z asfaltu prowadzącej donikąd i zamkniętej dla ruchu publicznego. Poza jednym tylko długim odcinkiem prostym droga wciąż wiała się i ostro zakręcała. Wyścigi jeszcze tam organizowano, chociaż widzów z powodu trudności z dojazdem przyciągały one niewielu. Skąd ci zapaleńcy brali na to benzynę, pozostawało troskliwie strzeżoną

tajemnicą, czy też szeregiem tajemnic, bo każdy z nich najwyraźniej miał swoje własne składy, nie inaczej niż John Osborne, który przechowywał osiem bębnow specjalnego paliwa w ogrodzie matki.

Raz po raz John Osborne jeździł swym Ferrari do tego klubu, najpierw, żeby trenować, później, żeby uczestniczyć w wyścigach, na bardzo krótki zresztą dystans, bo musiał oszczędzać paliwo. Samochód zaczął odgrywać doniosłą rolę w jego życiu. Przedtem było to życie naukowca, który całe dni spędzał przy biurku czy już w najlepszym razie w laboratorium. Nie wiedział, co to pośpiech, przenoszenie się z miejsca na miejsce. Nie potrzebował ryzykować w sprawach osobistych, *narażać* się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, żył sobie szaro i skromnie. Gdy z racji jego stanowiska odkomenderowano go jako fizyka na okręt podwodny, cieszył się z tej sensacyjnej zmiany, ale też w głębi ducha bardzo się bał przebywać pod wodą. Przez tamten tydzień w zamknięciu "Skorpiona" płynącego w pierwszy rejs na północ potrafił panować nad nerwami i koncentrować się na poruczonej mu pracy, a przecież ogromnie denerwowała go perspektywa, że następnym razem prawie miesiąc potrwa taka udręka.

Ferrari był jak różdżka czarodziejska. Każdą jazdę John Osborne przeżywał jak podniecającą przygodę. Z początku nie prowadził zbyt dobrze. Wyciągając szybkość stu pięćdziesięciu mil na godzinę, nie umiał odpowiednio zwalniać, żeby brać zakręty. Z początku na każdym rogu dosłownie wyzywał śmierć, przy czym w dwóch wypadkach tak zarzuciło samochód, że wyleciał na skraj trawnika, blady, roztrzęsiony, pełen wstydu, wręcz niegodny swego wspaniałego Ferrari. Po każdym z tych małych wyścigów, po każdej przejażdżce dla wprawy uświadamiał sobie coraz to inne błędy, jakich nigdy już popełnić nie powinien, i zdawał sobie sprawę, że tylko cudem uniknął katastrofy.

Przejęty wyczynami sportowymi, przestał się obawiać rejsu na północ. Nie widział tam już nic niebezpiecznego w porównaniu z niebezpieczeństwami, z jakimi igrał, gdy jeździł swym wyścigowym samochodem. To interludium morskie zaczęło mu się wydawać nudnym trochę, a nieuniknionym kieratem powszedniości, stratą czasu coraz cenniejszego, czymś, po czym wreszcie będzie można powrócić do Melbourne, żeby ostatnie trzy miesiące już bez przeszkód poświęcić na karkołomną jazdę.

Jak wszyscy jego współzawodnicy, myślał głównie o tym, jak powiększyć zapasy paliwa.

W myśl swej zapowiedzi sir David Hartman zwołał konferencję. Dwight Towers stawiał się jako kapitan "Skorpiona" wraz z oficerem łącznikowym. Przewidując, że między innymi zostanie poruszona kwestia tajemniczej radiostacji w Seattle, zabrał też ze sobą radiotechnika, niejakiego porucznika Sunderstroma. Organizację Badań Naukowych reprezentowali dyrektor naczelny i John Osborne. Ponadto byli wiceadmirał z jednym ze swoich oficerów i jeden z sekretarzy premiera.

Na wstępie admirał omówił trudności zaplanowanego rejsu.

- Moim pragnieniem - powiedział - a także i zaleceniem premiera jest, żeby "Skorpion" nie narażał się zanedo. Przede wszystkim chodzi nam o przeprowadzenie badań i w tym właśnie celu wysyłamy teraz Skorpiona". Zważywszy, że jego antena jest niewysoka i że sytuacja będzie wymagała pozostawania dość długo pod wodą, nie możemy liczyć na swobodne kontaktowanie się przez radio. Już choćby dlatego "Skorpion" powinien wrócić szczęśliwie, bo inaczej przepadną owoce jego wyprawy. Poza tym jest to przecież jedyny statek o tak dalekim zasięgu, pozwalający nam jeszcze nawiązywać taką czy inną łączność z Ameryką Południową i południem Afryki. Biorąc te względy pod uwagę, poczyniłem dość duże zmiany w planach rejsu, które omawialiśmy w czasie naszego poprzedniego spotkania. Penetracja Kanału Panamskiego odpada. San Diego i San Francisco także nieaktualne. A to ze względu na pola minowe. Kapitanie Towers, zechce pan krótko powiedzieć, co wam wiadomo o zaminowaniu tamtych obszarów.

Dwight przedstawił zwięźle swoje materiały o polach minowych w wymienionych przez admirała okolicach i zaznaczył, jak dalece te materiały są niepełne.

- Seattle natomiast stoi dla nas otworem, tak samo jak Puget Sound - rzekł potem. - I Pearl Harbour. Powiedziałbym również, że miny specjalnie nam nie zagrażają w Zatoce Alaski wobec przesuwania się lodu. Sam lód stanowi jednak problem na tych stopniach szerokości geograficznej, a "Skorpion" lodolamaczem przecież nie jest. Ale uważam, że jakoś będziemy mogli przy zachowaniu ostrożności przepłynąć tamtędy, nie

narażając zbytnio okrętu. Jeżeli nie da się odbyć całej tej drogi wzdłuż sześćdziesiątego stopnia, no... zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Prawdopodobnie zdołamy wykonać większość naszego zadania.

Przystąpiono do sprawy owych sygnałów radiowych nadawanych gdzieś w pobliżu Seattle. Sir Phillip Goodall z Organizacji Badań Naukowych przedłożył wykaz transmisji stamtąd od czasów wojny.

- Te sygnały są zupełnie niezrozumiałe - powiedział. - Słysząc je dorywczo, częściej zimą niż latem. Częstotliwość cztery i dziewięćdziesiąt dwie setne megaherca. - Radioelektrotechnik ze "Skorpiona" odnotował to na kartce. - Odebraliśmy sto sześćdziesiąt dziewięć transmisji. Z tego tylko trzy zawierały możliwe do rozpoznania zestawy sygnałów... w sumie siedem takich zestawów. W dwóch były wyraźne słowa po angielsku... po jednym słowie w każdym. Samych tych grup nie można w żaden sposób rozszyfrować. Mam je tutaj, jeżeli ktoś chce zobaczyć. Słowa, o których mówiłem, to WODY i POŁĄCZ.

Sir David Hartman zapytał:

- Przez ile godzin ogółem te transmisje odbierano?

- Jakies sto sześć godzin.

- I przez ten cały czas tylko dwa słowa doszły wyraźnie? Reszta to bełkot?

- Tak jest.

- Nie sądzę, żeby te słowa coś znaczyły - zastanowił się admirał. - Raczej były czysto przypadkowe. Ostatecznie, jeśli nieskończenie wiele małych zacznie bawić się nieskończenie wielką ilością maszyn do pisania, to w końcu jednej z nich może się uda wystukać sztukę Szekspira. Naprawdę pozostaje nam zbadać, w jaki sposób te transmisje w ogóle dochodzą do skutku. Wydaje się rzeczą niewątpliwą, że tam jeszcze jest dopływ prądu elektrycznego. Kto wie, czy nie kryje się za tym jakiś czynnik ludzki. To mało prawdopodobne, ale przecież mogłoby tak być.

Porucznik Sunderstrom przysunął się do kapitana Towersa i coś mu szepnął.

Dwight powiedział głośno:

- Pan Sunderstrom zna urządzenia radiowe w tamtym okręgu.

Porucznik rzekł nieśmiało:

- Nie twierdzę, że znam wszystkie. Przechodziłem krótki kurs radiowej łączności morskiej na wyspie Santa Maria pięć lat temu. Między innymi wykorzystywano tam częstotliwość właśnie cztery i dziewięćdziesiąt dwie setne megaherca.

- Gdzie jest wyspa Santa Maria? - zapytał admirał.

- Ta jest na Puget Sound, niedaleko od Bremerton, panie admirale. Jest też kilka innych o tej nazwie przy tamtym wybrzeżu. Ale mówię o Santa Maria, gdzie mieści się główna szkoła radiowej łączności morskiej, największa na całym obszarze.

Kapitan Towers rozłożył mapę i wskazał tę wyspę palcem.

- To tutaj, panie admirale... z lądem połączona mostem, który prowadzi do miasteczka Manchester nad zatoką Clay.

Admirał zapytał, patrząc na mapę:

- Jaki mógł być zasięg radiostacji na wyspie Santa Maria?

- Nie wiem na pewno - odrzekł porucznik Sunderstrom - ale myślę, że światowy.

- Wyglądała na radiostację o zasięgu światowym? Bardzo wysokie były anteny?

- O tak, panie admirale. Anteny prezentowały się okazale. Wydaje mi się, że to była część sieci radiowej obejmującej Pacyfik, ale przysiąc nie mogę. Ja tylko uczęszczałem tam na kurs.

- Nigdy nie komunikował się pan z tą stacją bezpośrednio z któregoś z okrętów w czasie swojej służby na morzu?

- Nie, panie admirale. Używaliśmy odbiorników o innych częstotliwościach.

Przez jakiś czas toczyła się rozmowa o radiotechnice.

- Jeżeli sygnały są rzeczywiście z Santa Maria - powiedział w końcu Dwight - to chyba będzie można zbadać tę sprawę bez trudu. - Żeby utwierdzić się jeszcze raz w tym przekonaniu, spojrzął na mapę, którą starannie już przestudiował. - Głębokość przy brzegu wynosi czterdzieści stóp. Moglibyśmy nawet stanąć gdzieś przy nabrzeżu. W każdym razie mamy gumową szalupę. Jeżeli stopień promieniowania nie jest tam zbyt wysoki, można wypuścić na brzeg któregoś z oficerów... nie na długo, rzecz jasna, i w kombinezonie ochronnym.

Porucznik Sunderstrom zgłosił swą gotowość.

- Ja chętnie bym poszedł na to. Wydaje mi się, że znam teren tej radiostacji dość dobrze.

Na tym sprawa stanęła i zaczęli znów rozważać teorię

Jorgensena i sposoby obserwacji naukowych - potrzebnych, żeby ją udowodnić bądź obalić.

Po konferencji Dwight miał spotkać się z Moirą Davidson. Wyznaczyła na to spotkanie restaurację w dzielnicy handlowej i zdążył tam przybyć pierwszy. Wkrótce potem weszła z teczką.

Przywitali się i zaproponował, żeby wypić coś przed obiadem. Poprosiła o koniak z wodą sodową.

- Podwójny? - zapytał, gdy kelner przyjmował zamówienie.

- Pojedynczy - odrzekła.

Skinieniem głowy przekazał to kelnerowi, nie komentując tego niezwykłego wydarzenia. Spojrzał na teczkę.

- Załatwiaś sprawunki?

- Sprawunki - powtórzyła oburzona. - Ja miałabym być taka... cnotliwa?

- Przepraszam - rzekł szybko. - To może gdzieś wyjeżdżasz?

- Nie. - Uradowała się jego zainteresowaniem. - Do trzech razy wolno ci zgadywać, co to jest.

- Koniak - spróbował trafić.

- Nie. Koniak noszę w sobie. Dumał przez chwilę.

- Nóż do drzewa. Chcesz wyciąć z ram jakiś obraz religijny na tej wystawie, żeby go zabrać i powiesić w łazience.

- Nie. Jeszcze raz zgadnij. Masz ostatnią szansę.

- Robótka na drutach.

- Nie robię na drutach. Nie robię nic, co jest dobre na nerwy. Powinieneś już o tym wiedzieć.

Kelner podał trunki.

- Dobrze - powiedział Dwight. - Ty wygrałaś. Więc co to jest?

Otworzyła teczkę. Był tam blok papieru, ołówek i podręcznik do stenografii. Ze zdumieniem patrzył na te rzeczy.

- No! - wykrzyknął. - Chyba nie uczysz się tego?

- Uważasz, że to niedobrze? Sam mówiłeś, że powinnam.

Przypomniał sobie niejasno, że kiedyś w jakimś momencie istotnie o tym napomknął.

- Chodzisz na kursy czy jak?

- Codziennie rano - odrzekła. - Muszę być na ulicy Russela o pół do dziewiątej. O pół do dziewiątej... ja. Wstaję przed siódmą.

Uśmiechnął się.

- To fatalnie. I po co?

- Żeby mieć zajęcie. Bronowanie nawozu doszczętnie mi się znudziło.

- Od dawna to robisz?

- Od trzech dni. Zaczynam w tym straszliwie celować. Potrafię już z każdym prowadzić korespondencję tymi zakrętami.

- A czy wiesz, co one oznaczają, kiedy je wypisujesz?

- Jeszcze nie wiem - przyznała. Łyknęła trochę koniaku. - Na to trzeba być zaawansowaną.

- Pisać na maszynie uczysz się także? Tak. I księgowości. Wszystkiego.

Spojrzał nie bez podziwu.

- Będziesz sekretarką co się zowie po ukończeniu tej nauki.

- W przyszłym roku. Będę mogła dostać dobrą posadę w przyszłym roku.

- Dużo osób tam uczęszcza? Bo to jakaś szkoła, prawda?

Skinęła głową.

- Więcej osób, niż się spodziewałam. Chyba połowa normalnej liczby. Ale po wojnie brakowało chętnych, więc odprawiono większość nauczycieli. Teraz frekwencja wciąż wzrasta, więc z konieczności przyjęto ich z powrotem.

- Frekwencja teraz wzrasta?



- Przeważnie nastolatki - wyjaśniła. - Czuję się jak babcia między nimi. Rodzice widocznie tak już mieli dosyć ich obecności w domu, że kazali im zabrać się do pracy. - Umilkła. - Tak samo jest na uniwersytecie - dodała po chwili. - Zapisów teraz więcej niż przed paroma miesiącami.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że to w ten sposób podziela - zauważył.

- W domu nudno - rzekła. - A w "budzie" zawsze można spotkać znajomych.

Zaproponował jeszcze jeden koniak, ale odmówiła. Przeszli do sali na obiad.

- Słyszałeś o samochodzie Johna Osborne'a? - zapytała.

Roześmiał się.

- Trudno o nim nie słyszeć. Pokazał mi go. Zapewne pokazuje go każdemu, kto tylko chce tam pójść, żeby go obejrzeć. To przepyszny samochód.

- On ma kompletnego kręcka - stwierdziła. - Zabije się w tym.

Dwight popijał bulion.

- No to co? Byleby tylko się nie zabił, zanim wyruszymy w rejs. Mnóstwo mu to daje przyjemności.

- Kiedy wyruszacie? - zapytała.

- Przypuszczam, że za tydzień mniej więcej.

- Czy to będzie bardzo niebezpieczne? - Głos jej zabrzmiał słabo.

Zapanowało chwilowe milczenie.

- No, nie - rzekł Dwight. - Co ci tę myśl nasunęło? - Rozmawiałam wczoraj z Mary przez telefon. Wydawała się trochę zdenerwowana czymś, co Peter jej powiedział.

- O tym rejsie?

- Nie bezpośrednio - zaprzeczyła. - W każdym razie ja myślę, że nie. Raczej coś o swoim testamencie.

- Testament nigdy nie zawadzi - oświadczył. - Każdy powinien spisać testament, to znaczy każdy człowiek żonaty.

Na stół wjechało mięso z rusztu.

- Powiedz mi, to jest niebezpieczne? - zapytała znowu. Potrząsnął głową.

- To rejs dość długi. Potrwa około dwóch miesięcy, z czego prawie miesiąc

będziemy pod wodą. Ale nie jest bardziej niebezpieczny, niż byłyby inne operacje na północnych morzach. - Umilkł. - Zawsze jest trudno posuwać się i badać drogę tam, gdzie mogła być eksplozja nuklearna - zaczął jej tłumaczyć. - Zwłaszcza płynąc pod wodą. Właściwie nigdy się nie wie, na co się wpadnie. Na dnie morskim zaszły wielkie zmiany. Można zahaczyć o jakiś zatopiony statek, o którym wcale się nie wie. Uważać trzeba ogromnie. Ale nie, nie powiedziałbym, że to niebezpieczne.

- Wróc szczęśliwie, Dwight - rzekła cicho. Uśmiechnął się do niej.

- Na pewno wrócimy szczęśliwie. Dostaliśmy taki rozkaz. Admirał chce mieć swój okręt podwodny z powrotem.

Parsknęła śmiechem i wyprostowała się na krześle.

- Niemożliwy jesteś. Kiedy tylko zaczynani być sentymentalna, ty... ty przekłuwasz mój sentyment, jakby to był dziecinny balonik.

- To pewnie dlatego, że ja nie jestem sentymentalny - powiedział - tak przynajmniej mówi Sharon.

- Naprawdę?

- Właśnie. Nawet ją to gniewa czasami.

- Nie dziwię się - zauważyła. - Bardzo jej współczuję. Po obiedzie wyszli z restauracji i spacerkiem udali się do Galerii Narodowej, gdzie w jednej z sal otwarto wystawę malarstwa religijnego. Obrazy były olejne, przeważnie w nowoczesnym stylu. Chodzili wśród tych czterdziestu płócien, dziewczyna zainteresowana, kapitan podwodnego okrętu szczerze oszołomiony. Żadne z nich nie miało dużo do powiedzenia na temat zielonych Ukrzyżowań i różowych Narodzin Chrystusa; tylko pięć czy sześć obrazów przedstawiających religijne aspekty wojny tak ich poruszyło, że zaczęli się ze sobą spierać. Przystanęli przed obrazem, który uzyskał pierwszą nagrodę. - Chrystus zbolały i widoczne w głębi bombardowanie wielkiego miasta.

- Myślę, że w tym coś jest - rzekła Moira. - Po raz pierwszy chyba się zgadzam z oceną jurorów.

Dwight powiedział:

- Ciarki mnie przechodzą, kiedy na to patrzę.

- Co ci się w tym nie podoba? - Wpatrywał się w obraz.

- Wszystko. Dla mnie to po prostu nieprawdziwe. Żaden pilot przy zdrowych zmysłach tak by nie latał wśród bomb termonuklearnych wybuchających wszędzie wokoło. Spaliłby się.

Oświadczyła:

- Dobrze zakomponowane i ładne w kolorycie.

- Och, na pewno - powiedział - ale nie ma w tym prawdy.

- Pod jakim względem?

- Jeżeli to ma być gmach RCA, to on umieścił Most Brookliński po stronie New Jersey, a Empire State w samym środku Parku Centralnego.

Zajrzała do katalogu.

- Tu wcale nie piszą, że to jest Nowy Jork.

- Cokolwiek by to miało być, jest nieprawdziwe - powtórzył. - Żadne miasto nie mogło tak wyglądać. - Zastanowił się. - Zbyt dramatyczne. - Odwrócił się i rozejrzał z obrzydzeniem. - W ogóle mi się to wszystko nie podoba.

- Nie patrzysz na to z punktu widzenia religii? - zapytała. Bawił ją jego sprzeciw, bo przedtem myślała, że skoro on tak często chodzi do kościoła, malarstwo tego rodzaju będzie do niego przemawiało.

Ujął ją za rękę.

- Nie jestem religijny - powiedział. - To moja wina, a nie tych malarzy. Oni widzą wszystko inaczej niż ja.

Wyszli z sali.

- Interesują cię obrazy? - zapytała. - Czy po prostu cię nudzą?

- Nie nudzą mnie - odrzekł. - Lubię je, kiedy są przyjemne, barwne, namalowane nie po to, żeby człowieka uczyć. Jest taki malarz, który się nazywa Renoir, prawda?

- Owszem. I tutaj mają parę obrazów Renoira. Chciałbyś je zobaczyć?

Przeszli do sal sztuki francuskiej i zatrzymali się na jakiś czas przed obrazem rzeki i ocienionej drzewami ulicy nad rzeką, białych domów i sklepów - obrazem bardzo francuskim i bardzo kolorowym.

- Takie właśnie malowanki lubię - oświadczył. - Godzinami mogę patrzeć na to.

Dość długo spacerowali po Galerii, oglądając obrazy i gawędząc. Potem Moira musiała już wracać; matka niezbyt dobrze się czuła i prosiła ją o powrót do domu przed kolacją. Dwight pojechał z nią na dworzec tramwajem.

Wśród ciżby przy wejściu odwróciła się do niego.

- Dziękuję za obiad - powiedziała - i za miłe popołudnie. Mam nadzieję, że te francuskie obrazy wynagrodziły ci wystawę religijną.

Przytaknął ze śmiechem.

- Istotnie. Chciałbym pójść znowu i zobaczyć ich więcej. Co do religii, nie znam się na tym.

- Przecież w każdą niedzielę chodzisz do kościoła - zauważyła.

- Och, to co innego - rzekł.

Nie mogła się z nim sprzeczać i nawet by nie próbowała w tym tłumie. Zapytała:

- Czy spotkamy się jeszcze przed twoim odjazdem?

- W ciągu dnia będę chyba bardzo zajęty. Może byśmy któregoś wieczora wybrali się do kina, ale to musi być wkrótce. Odpłyniemy, kiedy tylko skończy się praca w stoczni, a tempo tam wzięli błyskawiczne.

Umówili się, że zjedzą razem kolację w najbliższy wtorek, po czym Moira machając ręką na pożegnanie zniknęła w tłumie dworca. Dwight do stoczni nie musiał się spieszyć i jeszcze cała godzina została do chwili zamknięcia sklepów. Ruszył wolno ulicą, oglądając wystawy. Przed jednym ze sklepów z artykułami sportowymi zawahał się. Po chwili tam wszedł.

W dziale rybołówstwa oznajmił subiektowi:

- Chciałbym kupić wędkę z kołowrotkiem i linkę nylonową.

- Proszę bardzo - rzekł subiekt. - Czy to dla pana? Amerykanin potrząsnął głową.

- To prezent dla dziesięcioletniego chłopczyka - wyjaśnił. - Jego pierwsza wędka.

Chodzi mi o jakąś bardzo dobrą, ale dość krótką i lekką. Ma pan wędki z włókna szklanego?

- Niestety - powiedział subiekt - w tej chwili brak takich. - Zdjął jedną z wędek ze

stojaka. - To jest świetna mała wędka ze stali.

- Czy nie zardzewieje w wodzie morskiej? On mieszka nad morzem, a wie pan, jakie są dzieciaki.

- Nie zardzewieje - zapewnił subiekt. - Wiele takich sprzedajemy do połowów morskich. - Sięgnął na półkę z kołowrotkami, gdy Dwight oglądał tę wędkę i próbował zginać ją w ręce. - Mamy też kołowrotki z plastyku, czy może pokazać panu kołowrotek ze stali nierdzewnej, który kręci się szybciej niż korbka? Jest lepszy oczywiście, ale też i znacznie droższy.

Dwight obejrzał kołowrotki.

- Raczej wezmę ten stalowy.

Wybrał linkę i subiekt zapakował te trzy rzeczy razem. - Ładny prezent dla chłopca - zauważył.

- No jasne - powiedział Dwight. - Będzie miał mnóstwo z tym uciechy.

Zapłacił i z paczką przeszedł przez sklep do działu, w którym sprzedawano rowery dzieciinne i hulajnogi. Zapytał ekspedientkę:

- Czy są żabie laski?

- Żabie laski? Chyba nie. Dowiem się u kierownika. Zjawił się kierownik.

- Niestety, żabich lasek brak. Teraz ogromne na to zapotrzebowanie. Ostatnią sprzedaliśmy zaledwie parę dni temu.

- Czy jeszcze pan ich się spodziewa?

- Złożyłem zamówienie na tuzin. Nie wiem, kiedy nam przyślą. Wszystko trochę zdezorganizowane, wie pan. To pewnie ma być prezent?

Kapitan przytaknął.

- Dla dziewczynki sześciolatniej.

- Są te oto hulajnogi. Bardzo miły prezent dla panienki w tym wieku.

Dwight potrząsnął głową.

- Ona już ma hulajnogę.

- Są też małe rowerki.

"Za duże i niezgrabne" - pomyślał Dwight, ale tego nie powiedział.

- Nie, chodzi mi wyłącznie o żabią łaskę. Poszukam gdzie indziej i jeżeli nie znajdę, wrócę tutaj.

- Może by pan spróbował u McEvansa - doradził kierownik usług. -  
Niewykluczone, że jedna im została.

Dwight wyszedł i spróbował u McEvansa, ale tam również brak było żabich łasek. Spróbował w innym sklepie, tak samo bez rezultatu; żabie łaski widocznie zniknęły z rynku. Im dłużej chodził daremnie, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że istotnie zależy mu tylko na żabiej łasce i że żaden inny prezent by jej nie zastąpił. Szukając jeszcze jednego sklepu z zabawkami doszedł do ulicy Collinsa, ale tutaj, już poza dzielnicą handlową, znalazł się wśród najwytworniej szych magazynów.

Pod koniec tej godziny poświęconej na sprawunki zatrzymał się przed wystawą jubilera. Była to świetna stara firma; długo stał, wpatrzony w biżuterię. Szmaragdy i brylanty byłyby najlepsze. Szmaragdy tak by pięknie wyglądały przy jej ciemnych włosach.

Wszedł do tego sklepu.

- Myślałem o bransoletce - powiedział młodemu człowiekowi w czarnej żałobnej marynarce. - Ze szmaragdami i brylantami może. Ze szmaragdami w każdym razie. Ta pani jest brunetką i lubi ubierać się na zielono. Ma pan coś takiego?

Młody człowiek poszedł do skarbca i przyniósł stamtąd trzy bransolety, które położył na poduszeczce z czarnego aksamitu.

- Takie mamy, proszę pana - rzekł. - W jakiej cenie pan by sobie życzył?

- Nie wiem - odpowiedział kapitan. - Chcę kupić ładną bransoletkę.

Subiekt podniósł jedną z czarnej poduszeczki.

- Jest ta za czterdzieści gwinei albo ta za sześćdziesiąt pięć. Są bardzo efektowne, uważam.

- A ta ile kosztuje?

Młody człowiek wziął z poduszeczki wskazaną przez Dwighta.

- Jest znacznie droższa, proszę pana. Bardzo piękna rzecz. - Spojrzał na małeńki kartonik z ceną. - Ta kosztuje dwieście dwadzieścia pięć gwinei - powiedział, odkładając

ją z powrotem.

Bransoleta jaśniała na czarnym aksamicie. Z kolei Dwight ją wziął, żeby obejrzeć. Subiekt nie przesadził mówiąc, że jest bardzo piękna. Takiej biżuterii Sharon jeszcze w swojej szkatułce nie ma. Na pewno będzie zachwycona.

- Robota angielska czy australijska? Subiekt potrząsnął głową.

- Oryginalna od Cartiera z Paryża. Nabyliśmy ją z kolekcji pewnej pani w Toorak. Zupełnie jak nowa, sam pan widzi. Zazwyczaj musimy poprawiać zameczki, ale ta nie wymaga nawet tego. Jest w całkowitym porządku.

Dwight wyobrażał sobie radość Sharon. - Wezmę ją - zdecydował. - Zapłacić mogę panu tylko czekiem. Przyjdę tu po nią jutro albo pojutrze.

Wypisał czek i dostał pokwitowanie. Wychodząc przystanął i odwrócił się do młodego człowieka.

- Jedna rzecz - powiedział. - Nie wie pan przypadkiem, gdzie mógłbym kupić żabią laskę, prezent dla małej dziewczynki? Zdaje się, że obecnie trudno tu taką zabawkę dostać.

- Niestety, tego panu nie potrafię powiedzieć - odrzekł młody człowiek. - Chyba nie pozostanie panu nic innego jak pytać o to we wszystkich sklepach z zabawkami po kolei.

Sklepy już zamykano, więc tego wieczora nie można było szukać dalej. Dwight z paczką wrócił do Williamstown, zszedł z lotniskowca na okręt podwodny i położył ją za swą koją tak, żeby jej nie było widać. W dwa dni później, gdy odebrał bransoletę, ją też zaniósł na "Skorpiona" i zamknął w szafce stalowej, w której trzymał poufne pisma.

Tegoż dnia niejaka pani Hectorowa Fraser oddała do naprawy w tym jubilerskim sklepie srebrny dzbanuszek na śmietankę, od którego odłamało się ucho. Po południu spotkała na ulicy Moirę Davidson; znała ją od dziecka. Zaczęła rozmowę pytaniem, co słyhać u matki. Potem przystąpiła do rzeczy.

- Moja droga, kapitan Towers, ten Amerykanin, to twój znajomy, prawda?

Tak - odrzekła Moira. - Dość dobry znajomy. Nawet spędził u nas niedawno weekend.

- Nie sądzisz, że on ma bzika? Może wszyscy Amerykanie mają bzika, nie wiem.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Nie większego chyba, niż my wszyscy mamy teraz. A co on takiego zrobił?

- Żabią laskę chciał kupić u Simmondsa. Moira nagle stała się czujna.

- Żabią laskę?

- No, moja droga, gdzie jak gdzie, ale właśnie u Simmondsa. Jak gdyby oni tam sprzedawali zabawki. Wszedł tam podobno i kupił w dodatku najpiękniejszą bransoletę za jakąś bajeczną sumę. Czy nie dla ciebie przypadkiem?

- O tym nie słyszałam. To bardzo nie w jego stylu.

- No cóż, z tymi mężczyznami nigdy nic nie wiadomo. Może on ci ją wsunie ni stąd, ni zowąd na rękę i to ma być niespodzianka.

- Ale co z tą żabią laską?

- Otóż właśnie... kiedy już kupił bransoletę, zapytał pana Thompsona, tego blondyna, wiesz, taki młody, przystojny... zapytał go, gdzie można dostać żabią laskę. Powiedział, że chce kupić taki prezent jakiejś małej dziewczynce.

- Co w tym złego? - zapytała panna Davidson spokojnie. - To przecież prezent odpowiedni dla dziewczynek w pewnym wieku.

- Chyba. Ale czy nie wydaje ci się dosyć dziwne, że kapitan łodzi podwodnej chce kupić żabią laskę? I to u Simmondsa.

Dziewczyna rzekła:

- On prawdopodobnie zaleca się do jakiejś bogatej wdowy, która ma córeczkę. Bransoletka dla matki, żabia laska dla córki. Co w tym złego?

- Nic - powiedziała pani Fraser - tylko że myśmy myśleli, że on się zaleca do ciebie.

- I na tym właśnie polega omyłka - oświadczyła pogodnie dziewczyna. - Bo to ja zalecam się do niego. - Pożegnała panią Fraser. - Czas na mnie. Cieszę się, że panią spotkałam. Powiem mamie.

Poszła w swoją stronę, ale problem Dwighta pozostał jej w pamięci. Do tego stopnia, że przez resztę popołudnia wszędzie zbierała informacje, jak wygląda rynek żabich lasek w Melbourne. Rynek wyglądał smętnie. Stwierdziła, że żabią laskę kupić



będzie Dwightowi bardzo trudno.

Wszyscy z lekka zwariowali, oczywiście - Peter i Mary Holmesowie na punkcie swego ogrodu, ojciec na punkcie swych planów gospodarskich, John Osborne na punkcie samochodu wyścigowego, Sir Douglas Froude na punkcie klubowego portweju i teraz wreszcie Dwight Towers, któremu raptem zachciało się żabiej laski. I ona sama, Moira, także - na punkcie Dwighta Towersa. Wszędzie ta przesada granicząca z obłądem, zrodzona z czasów, w jakich się żyje.

Pragnęła pomóc Dwightowi, pragnęła pomóc mu całym sercem, a przecież wiedziała, że powinna zabrać się do tego bardzo ostrożnie. Po powrocie do domu tego wieczora odszukała w drwami swoją starą żabią laskę i porządnie oczyściła ją ścierką od kurzu. Drewnianą rączkę, chociaż były na niej ciemne plamy z wilgoci, mógłby jakiś zręczny rzemieślnik przetrzeć papierem ściernym i ładnie wypolituować. Części metalowe jednakże rdza przeżarła głęboko, tak że poprzeczka w jednym miejscu nawet się kruszyła. Żadna ilość farby nie pokryłaby tej poprzeczki całkowicie, nie nadałaby jej wyglądu nowej rzeczy, a Moira zbyt niedawno sama była dzieckiem, żeby nie zżymać się na myśl o zabawce tak wyraźnie używanej już przez kogoś innego. A więc to nie jest rozwiązanie.

Spotkała się z Dwightem we wtorek wieczorem zgodnie z ich projektem pójścia do kina. Przy kolacji zapytała go, jak postępują prace na "Skorpionie".

- Nieźle - odpowiedział. - Dostaliśmy drugą aparaturę elektrolityczną do regenerowania tlenu, mającą działać równocześnie z tą, którą już mamy. Instalowanie jej skończy się chyba jutro wieczorem i w środę będziemy mogli popłynąć na próbę. Może wyruszymy już pod koniec tego tygodnia.

- Bardzo ważna jest ta aparatura? Wyjaśnił z uśmiechem:

- Będziemy przez pewien czas przebywali pod wodą. Nie chciałbym, żebyśmy z braku powietrza musieli wynurzyć się gdzieś na obszarze radioaktywnym albo zaczęli się dusić.

- Więc to właściwie aparatura zapasowa? Przytaknął.

- Mamy szczęście, że mogliśmy ją dostać. Była w magazynie marynarki wojennej

w Fremantle.

Widziała jego roztargnienie. Był dla niej miły i uprzejmy, ale wyczuwała, że on wciąż myśli o czymś innym. Próbowala kilka razy w czasie kolacji zainteresować go swoimi sprawami, bez skutku jednak. To samo było w kinie; okazywał, że mu się film podoba; i dokładał starań, żeby utrzymać dobry nastrój, a przecież robił to jakoś automatycznie. Mówiła sobie, że trudno od niego wymagać, by zachowywał się inaczej, skoro czeka go taki rejs.

Po filmie poszli razem pustymi ulicami na dworzec. Już w pobliżu dworca Moira stanęła w jednej z ciemnych bram pod arkadami, gdzie spokojnie mogli porozmawiać.

- Zaczekaj, Dwight - powiedziała. - Chcę cię o coś zapytać.

- Bardzo proszę - rzekł uprzejmie. - Pytaj.

- Masz jakieś zmartwienie?

- Doprawdy nie mam. Przykro mi tylko, że kiepskim byłem dziś towarzyszem.

- Czy to coś w związku ze "Skorpionem"?

- Ależ nie, dziecko. Już ci mówiłem, żadne niebezpieczeństwo nam nie grozi. Ten rejs to po prostu jeszcze jedno zadanie.

- Chyba nie martwisz się, że nie możesz dostać żabiej laski?

W półmroku patrzył na nią zdumiony.

- A skąd ty wiesz o tym? Roześmiała się łagodnie.

- Mam szpiegów. Co kupiłeś dla Juniora?

- Wędkę. - Po chwili milczenia dorzucił: - Pewnie myślisz, że z moją głową coraz gorzej.

- Nie - powiedziała. - Więc nie dostałeś żabiej laski?

- Nie dostałem. Zdaje się, że wszędzie ich zabrakło.

- Właśnie.

Znów zapanowało milczenie.

- Oglądałam tę moją - rzekła Moira. - Możesz ją wziąć, jeżeli uważasz, że się nadaje. Ale stara jest okropnie i metal na niej pordzewiał. Skakać z nią jeszcze można, wątpię jednak, czy dałoby się ją tak odnowić, żeby to był ładny prezent. Przytaknął.

- Widziałem tę rdzę. Chyba ją zostawimy, kochanie. Jeżeli będę miał trochę czasu, zanim odpłyniemy, przyjadę tutaj i poszukam w sklepach czegoś innego.

Powiedziała:

- Ale na pewno gdzieś jeszcze można kupić żabią laskę. Ktoś przecież to produkował w Melbourne. W Australii, w każdym razie. Kłopot tylko, żeby zdążyć ją kupić.

- Nie zwracaj sobie tym głowy - powiedział. - To była po prostu moja głupia fantazja. To nieważne.

- Owszem, ważne - oświadczyła - dla mnie ważne. - Podniosła wzrok. - Postaram się, żebyś dostał żabią laskę, kiedy wrócisz - rzekła. - Postaram się, choćby ktoś miał ją zrobić na specjalne zamówienie. Wiem, że to niezupełnie będzie tak, jak ty chcesz. Ale czy ostatecznie by ci odpowiadało?

- Bardzo jesteś dobra - rzekł ochryple. - Mógłbym Helen powiedzieć, że ty przyniesiesz żabią laskę ze sobą.

- Można i tak - wyraziła zgodę. - W każdym razie będę miała żabią laskę, kiedy się znów spotkamy.

- Może będziesz musiała odbyć z nią długą drogę.

- Nie martw się, Dwight. Będę ją miała, kiedy się spotkamy.

W tej ciemnej wnęce wziął Moirę w ramiona i pocałował.

- Za tę obietnicę - szepnął - i za wszystko inne. Sharon by mi pozwoliła.

Dziękujemy ci oboje.

## Rozdział szósty

W dwadzieścia pięć dni później okręt podwodny Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych "Skorpion" zbliżał się do pierwszego celu swego rejsu. Dziesięć dni minęło, odkąd zaczął na trzydziestym stopniu szerokości geograficznej południowej płynąć pod wodą. Kapitan Towers raz już go zatrzymał przy wyspie San Nicholas, niedaleko od Los Angeles, omijając to miasto szerokim kręgiem ze względu na nie znane pola minowe. Wziął kurs w okolice Santa Barbara i stamtąd na zachód w odległości jakichś dwóch mil od wybrzeża posuwał się na głębokości peryskopowej dalej na północ. Nie bez ryzyka, ostrożnie, wpłynął w zatokę Monterey, skąd widać było ten zupełnie zmartwiały port rybacki, co jednak nie dało wiele. Wobec radioaktywności stale wysokiej nie mogli tam wynurzyć się na powierzchnię.

Inspekcji San Francisco dokonali z odległości pięciu mil za Złotymi Wrotami. Stwierdzili jedynie, że most się zawalił. Wieża podtrzymująca go od strony południa najwyraźniej runęła. Widoczne z morza gmachy przy Parku Złotych Wrót mocno ucierpiały od ognia i podmuchów; żaden z nich chyba nie nadawał się już do zamieszkania. Oznak życia ludzkiego nigdzie nie wypatrzyli, sam zresztą wysoki stopień radioaktywności wykluczał przypuszczenie, żeby ktokolwiek mógł jeszcze żyć na tym obszarze.

Zostali tam parę godzin; fotografowali wybrzeże przez peryskop, rozglądali się tak dalece, jak mogli. Potem zawrócili na południe aż do zatoki Half Moon i wynurzyli się oddaleni tylko o pół mili od wybrzeża. Dość długo rozbrzmiewało z okrętu donośne nawoływanie przez megafon. Domy nie były zrujnowane, ale tu też nie zobaczyli żadnych oznak życia. Zostali w tych okolicach, dopóki się nie ściemniło; wtedy wzięli kurs na północ, okrążając Point Reyes, płynąc wzdłuż brzegu w odległości trzech, czterech mil.

Odkąd przepłynęli równik, już z reguły wynurzali się raz w ciągu każdej wachty, żeby przy maksymalnej wysokości anteny móc posłuchać transmisji radiowej w Seattle. Usłyszeli ją kiedyś na piątym stopniu szerokości geograficznej północnej; trwała około czterdziestu minut, bezsensowna, najwyraźniej przypadkowa, i raptownie ucichła. Od

tamtego czasu jej nie słyszeli. Teraz nocą gdzieś w okolicy Fort Bragg, gdy wynurzyli się na wzburzone morze w zaciekłych podmuchach północno-zachodniego wiatru i ustawili swój odbiornik z aparaturą do ustalania kierunku, usłyszeli Seattle znowu.

Dwight i porucznik Sunderstrom pochyleni nad stołem nawigacyjnym nanieśli na mapę położenie.

- Santa Maria - powiedział Dwight. - Zdaje się, że pan ma rację.

Uważnie słuchali niedorzecznego bełkotu, dobywającego się z głośnika.

- To jakiś zbieg okoliczności - rzekł w końcu porucznik - bo przecież nie ktoś, kto nastraja, czy bodaj trochę zna się na radiu. To po prostu musi dziać się przypadkiem.

- Chyba. - Dwight słuchał dalej. - Ale tam jest prąd elektryczny. A gdzie jest elektryczność, tam są ludzie.

- Niekoniecznie - zauważył porucznik.

- Elektrownia wodna - rzekł Dwight. - Znam ją. Ale do diabła, te turbiny nie mogą przecież pracować dwa lata bez konserwacji.

- To nie jest powiedziane. Było tam parę wściekle dobrych maszyn.

Dwight chrząknął i wrócił do map.

- Zamierzam dopłynąć w okolice Cape Flattery o świcie. Będziemy posuwać się dalej tak jak dotychczas, koło południa dokonamy namiaru i wtedy wyregulujemy szybkość. Jeżeli sytuacja pozwoli, podniesiemy się na głębokość peryskopową i wytłoczmy wodę ze zbiorników, chyba żebyśmy uderzyli o coś, czego tam być nie powinno. Może da się wziąć kurs prosto na Santa Maria. Może się nie da. Wyszedłby pan na ląd, gdyby się dało?

- Oczywiście - rzekł porucznik. - Nawet mi będzie dość przyjemnie bryknąć z tego pudła.

Dwight się uśmiechnął. Byli pod wodą już od jedenastu dni i chociaż stan zdrowia załogi był jeszcze dobry, wszystkich to wyczerpało nerwowo.

- Trzymajmy kciuki - powiedział - i miejmy nadzieję, że żadnych przeszkód nie napotkamy.

- Wie pan co, panie kapitanie - zaproponował porucznik - gdyby się nie dało

przepłynąć przez tę cieśninę, ja bym mógł dostać się tam lądem. - Wyciągnął jedną z map. - Jeżeli wpłyniemy na Grays Harbour, dobiłbym do brzegu w Hoquiam albo w Aberdeen. Ta szosa biegnie prosto do Bremerton i Santa Maria.

- To jest sto mil bez mała.

- Prawdopodobnie bym znalazł niejednego samochód i benzynę.

Kapitan pokręcił głową. Dwieście mil jazdy w lekkim kombinezonie ochronnym, przy kierownicy napromieniowanego samochodu, z napromieniowaną benzyną, w okolicach tak radioaktywnych, to w praktyce niemożliwość.

- Zapas powietrza - rzekł - wystarczy panu tylko na dwie godziny. Wiem, że mógłby pan wziąć dodatkowe cylindry. Ale to praktycznie niewykonalne. Utracilibyśmy pana w ten czy w inny sposób. Aż tak doniosły cel tej pana wyprawy nie jest.

Popłynęli dalej swym kursem znów pod wodą. Gdy wynurzyli się w cztery godziny później, transmisji już nie odebrali.

Przez cały następny dzień posuwali się na północ, przeważnie na głębokości peryskopowej. Kapitan wielką wagę zaczął teraz przywiązywać do nastroju załogi. Przebywanie w zamknięciu odbijało się na marynarzach: żadnych audycji rozrywkowych w radiu od dawna nie można było złapać, a nagrania nadawane przez głośniki do cna się wszystkim znudziły. Żeby ich ożywić i dać im temat do rozmowy, kapitan udostępnił peryskop każdemu, kto chciał, chociaż do oglądania było niewiele. To skaliste, raczej nieciekawe wybrzeże było jednak ich wybrzeżem ojczystym i sam widok jakiejś kawiarni ze stojącym przed nią Buickiem wystarczał, żeby mieli o czym mówić i myśleć w tych jałowych jednostajnych dniach.

O północy, zgodnie z przyjętym zwyczajem, wynurzyli się już w pobliżu ujścia rzeki Kolumbia. Porucznik Benson przyszedł zluźnić pierwszego oficera, porucznika Farrella. Porucznik Farrell podniósł peryskop ze studni śródkręcia, przysunął oczy do okularów i zaczął go przesuwając z boku na bok. Nagle odwrócił się do porucznika Bensona.

- Poproś tu kapitana. Światła na wybrzeżu, trzydzieści do czterdziestu stopni od sterburty.

W parę minut później razem z kapitanem patrzyli kolejno przez peryskop i oglądali mapę. Peter Holmes i John Osborne też tam byli. Dwight znów pochylił się nad mapą ze swym pierwszym oficerem.

- Po waszyngtońskiej stronie wejścia - powiedział. - Te światła palą się gdzieś w okolicy Long Beach i Ilwaco. W stanie Oregon ciemno.

Za jego plecami odezwał się porucznik Sunderstrom.

- Elektrownia wodna.

- Chyba. To, że są światła, sporo by wyjaśniało. - Dwight spojrzął na fizyka: - Jaki stopień promieniowania na zewnątrz, panie Osborne?

- Niecałe trzydzieści, panie kapitanie.

Dwight skinął głową. Radioaktywność uniemożliwiająca tam życie, ale przecież nie od razu zabójcza; w ciągu ostatnich kilku dni zmiany zachodziły niewielkie. Sam podszedł do peryskopu i patrzył dość długo. Uznał, że lepiej nie zbliżać się do brzegu nocą.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Utrzymujemy kurs. Proszę to zapisać w dzienniku okrętowym, panie Benson.

Wrócił do swej kajuty. Czekał go dzień trudny i niespokojny; należało się przespać. Przedtem jednak otworzył sejf, w którym trzymał pisma tajne, i wyciągnął bransoletę; w sztucznym świetle tego osłoniętego grubymi portierami pomieszczenia zamigotała prześlicznie. Sharon będzie zachwycona. Pieczołowicie włożył bransoletę do górnej kieszeni munduru. Położył się w koi i z ręką na wędce usnął.

Ponownie wynurzyli się o czwartej nad ranem, przed wschodem słońca, nieco na północ od basenu Grays. Światła na wybrzeżu już nie widzieli, ale w tych okolicach nie było żadnych miasteczek; więc to nie mógł być dowód przekonujący. Opuścili się na głębokość peryskopową i płynęli dalej. O szóstej, gdy Dwight wszedł do centrali głównej, marynarze wolni od służby kolejno patrzyli przez peryskop na to puste wybrzeże w porannym słońcu. Po śniadaniu kapitan stanął nad stołem z mapami, paląc papierosa, zabierając się do studiowania planu pół minowych, znanego już na pamięć, zwłaszcza na odcinku przy wejściu do cieśniny Juan de Fuca.

O godzinie siódmej czterdzieści pięć pierwszy oficer zameldował, że Cape Flattery jest na trawersie. Kapitan zdusił w popielniczce przed chwilą zapalonego papierosa.

- Dobrze - powiedział. - Wpływamy, poruczniku. Kurs zero siedemdziesiąt pięć. Piętnaście węzłów.

Warkot silników przycichł po raz pierwszy od trzech tygodni. Względna cisza działała niemal przygnębiająco. Przez cały poranek płynęli na południo-wschód, tą cieśniną pomiędzy Kanadą i Stanami Zjednoczonymi, wciąż ustalając położenie, nanosząc je na mapę, lawirując i wielokrotnie zmieniając kurs. Na wybrzeżu widzieli mało zmian, poza tym, że ogromny obszar na wyspie Vancouver, w pobliżu ujścia rzeki Jordan, został najwyraźniej spalony, zmieciony wybuchem. Osądzili, że ciągnie się to na przestrzeni mniej więcej siedmiu mil wzdłuż i pięciu wszerz; żadnej roślinności tam nie wypatrzyli, chociaż samo ukształtowanie terenu chyba się nie zmieniło.

- Ja bym powiedział, że to był wybuch w powietrzu - rzekł kapitan, odwracając się od peryskopu. - Może w jakiś pocisk zdalnie sterowany coś trzasnęło.

W miarę jak się zbliżali do okręgów gęściej zabudowanych, coraz więcej marynarzy stawało w kolejce, żeby popatrzeć przez peryskop, gdy tylko oficerowie od niego odchodzili. Koło dwunastej w okolicach Port Townsend skierowali się na południe, w zatokę Puget Sound. Minęli wyspę Whidbey od prawej strony i wkrótce potem dopłynęli do małego miasteczka Edmonds, leżącego o piętnaście mil na północ od Seattle. Pola minowe mieli już daleko za sobą. Z morza miasteczko wyglądało chyba normalnie, ale stopień promieniowania był nadal wysoki.

Kapitan z uwagą patrzył przez peryskop. Sądząc z tego, co wskazywał licznik Geigera, życie nie mogło tam trwać dłużej niż parę dni, a przecież widok w blasku wiosennego słońca miał w sobie tyle pogodnej codzienności, że wydawało się kapitanowi wręcz niemożliwe, by tam nie było żywych ludzi. Nawet szyby w oknach widział całe i może tylko gdzieś gdzieś brakowało. Odszedł od peryskopu.

- W lewo dziesięć. Siedem węzłów - powiedział. - Zbliżyliśmy się do brzegu, zatrzymamy gdzieś przy moło i będziemy nawoływać przez megafon.



Przekazał dowództwo zastępcy i polecił sprawdzić i przygotować megafon. Porucznik Farrell wydał rozkaz wynurzenia okrętu, po czym zatrzymali się o sto jardów od mola.

Przy peryskopie szef załogi dotknął ręki porucznika Farrella.

- Czy Swain mógłby popatrzeć teraz, panie poruczniku? - zapytał. - To jego miasteczko rodzinne.

Chorąży Ralph Swain był operatorem radaru.

- Och, naturalnie.

Porucznik Farrell odsunął się i do peryskopu podszedł Swain. Patrzył dość długo. W końcu podniósł głowę.

- Ken Puglia otworzył swoją drogerię - powiedział. - Drzwi otwarte na oścież i markizy rozpięte. Ale neon się pali. To mi nie wygląda na Kena... zostawić neon zapalony w dzień.

Szef zapytał:

- Chodzi tam ktoś, Ralphie? Nie widzisz? Swain popatrzył znowu.

- Nie. Szyba stłuczona na piętrze u pani Sullivan.

Stał, patrząc jeszcze przez parę minut, dopóki porucznik Farrell, chcąc przejąć peryskop, nie dotknął jego ramienia. Wtedy dopiero Swain się wycofał w głąb centrali głównej.

- Widziałeś swój dom, Ralphie? - dopytywał szef.

- Nie. Z morza go nie widać. Stoi przy końcu Alei Rainier, za Kasą Oszczędności. - Swain zakręcił się niespokojnie. - Żadnych zmian. Wszystko jak gdyby tak samo.

Porucznik Benson mówił przy mikrofonie:

Tu okręt podwodny Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych "Skorpion". Wzywamy Edmonds. Okręt podwodny Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych "Skorpion". Wzywamy Edmonds. Jeżeli ktoś nas słyszy, niech przyjdzie na molo przy końcu ulicy Głównej. Tu okręt podwodny Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Wzywamy Edmonds.

Chorąży wyszedł z centrali i udał się na dziób. Dwight Towers stanął teraz przy

peryskopie, odprawiając od okularów innego marynarza. Uważnym wzrokiem zbadał wybrzeże. Miasteczko leżało na zboczu wznoszącym się od morza, więc wyraźnie zobaczył ulicę i domy. Odwrócił się od peryskopu po chwili.

- Chyba nie ma szczególnych szkód na tym odcinku - powiedział. - A zdawałoby się, że mając taki cel, jak Boeing, cały ten obszar nielecho zbombardują.

Głos zabrał porucznik Farrell:

- Obrona tutaj była bardzo silna. Wszystkie możliwe pociski zdalnie sterowane.

- Ano tak. Tylko że one przelatywały prosto na San Francisco.

- Nie tędy jednak. - Pierwszy oficer umilkł. - Był ten wybuch w powietrzu tam nad cieśniną - przypomniał sobie nagle.

Dwight skinął głową.

- Widział pan szyld neonowy drogerii, który jeszcze pali się do tej pory? Trzeba ich wzywać jak najdłużej... pół godziny, powiedzmy.

- Tak jest, panie kapitanie.

Pierwszy oficer przejął peryskop od kapitana i wydał parę rozkazów, żeby okręt utrzymać w pozycji. Porucznik Benson nadal nawoływał przez megafon; Dwight zapalił papierosa, opierając się o stół z mapami. Ale zaraz papierosa zgasił i spojrzał na zegar.

Głośno szczęknęła kłapa stalowa na przedzie okrętu; Dwight wzdrygnął się i rozejrzał. Po chwili kłapa szczęknęła znowu i zadudniły kroki po pokładzie. Bocznyymi schodkami do centrali głównej zszedł porucznik Hirsch.

- Swain wymknął się zapasowym lukiem, panie kapitanie - zameldował. - Na pokład.

Dwight przygryzł usta.

- Zapasowy luk zamknięty?

Tak jest, panie kapitanie. Sprawdziłem. Kapitan wydał rozkaz szefowi załogi.

- Postawić wartę przy zapasowych lukach na dziobie i rufie.

Szef Mortimer wybiegł z centrali. O bok okrętu pluskała woda. Dwight zwrócił się do pierwszego oficera:

- Niech pan spróbuje zobaczyć, co on tam robi. Porucznik Farrell obracając

peryskop obniżył go maksymalnie.

- Dlaczego nikt go nie powstrzymał? - zapytał Dwight porucznika Hirscha.

- Chyba dlatego, że to się stało tak nagle. On przyszedł z rufy, usiadł i zaczął obgryzać paznokcie. Nikt nie zwracał na niego specjalnej uwagi. Ja byłem w przedniej wyrzutni torpedowej, więc nie widziałem. Zorientowali się dopiero, kiedy on już był w zapasowym szybie za drzwiami zamkniętymi i otworzył klapę powietrzną. Woleli po niego tam nie chodzić.

Dwight przytaknął.

- Oczywiście. Niech pan każe, poruczniku, przedmuchać ten szyb i potem niech pan sprawdzi, czy kłapa jest należycie zamknięta.

Od peryskopu pierwszy oficer powiedział:

- Już go widzę. Płynie w stronę mola.

Dwight zgarbił się prawie do poziomu pokładu i zobaczył płynącego. Wyprostował się, żeby wydać polecenie porucznikowi Bensonowi przy mikrofonie. Porucznik Benson zmniejszył siłę głosu.

- Chorąży Swain - powiedział - słyszycie mnie? Płynący zatrzymał się w wodzie.

- Rozkaz kapitana. Natychmiast wracać na okręt. Jeżeli wrócicie zaraz, kapitan was przyjmie z powrotem i będziecie mieli możliwość odkażenia. W tej chwili macie wracać na okręt.

Z megafonu nad stołem nawigacyjnym wszyscy usłyszeli odpowiedź:

- Wypchajcie się trocinami.

Lekki uśmiech przemknął po twarzy kapitana. Znowu pochylony przy peryskopie, Dwight patrzył, jak ten człowiek sunie w kierunku brzegu i potem jak po drabinie gramoli się na molo.

- No cóż - powiedział. Odwrócił się do stojącego przy nim Johna Osborne'a.

- Zdaniem pana, długo on pociągnie?

- Na razie nic nie będzie odczuwał - odpowiedział fizyk. - Zacznie wymiotować prawdopodobnie jutro w nocy. A później... to już mogą być tylko domysły, panie kapitanie. Zależy od organizmu.

- Trzy dni? Tydzień?

- Chyba. Nie sędzę, żeby dłużej przy tym stopniu skażenia.

- Dałoby się go przyjąć bezpiecznie z powrotem... do kiedy?

- Pod tym względem nie mam doświadczenia. Ale po kilku godzinach wszystko, co on z siebie będzie wydalął, będzie skażone. Nie moglibyśmy gwarantować bezpieczeństwa załodze, gdyby rozchorował się na okręcie.

Dwight podwyższył peryskop i spojrział znowu. Swain kroczył teraz w mokrym ubraniu ulicą. Przystanął przed drzwiami drogerii i zajrzał do środka; potem skręcił za róg i już nie było go widać.

- No, to chyba nie ma zamiaru wracać - zauważył kapitan. Obrócił peryskop do pierwszego oficera. - Wyłączyć głośny megafon. Kurs na Santa Maria w połowie kanału. Dziesięć węzłów.

Martwa cisza zaległa w całym "Skorpionie", podcieniowana szmerem turbin, przerywana jedynie rozkazami przy sterze, poświstami silnika sterowego. Dwight Towers w ponurym nastroju wrócił do swej kajuty, Peter Holmes podążył za nim.

- Pan go nie ściągnie z powrotem, panie kapitanie? Ja mógłbym w kombinezonie ochronnym wyjść po niego na ląd.

Dwight popatrzył na swego oficera łącznikowego.

- Doceniam pańską ofiarność, poruczniku, ale jej nie przyjmę. Sam o tym myślałem. Powiedzmy jednak, że wysyłamy któregoś z oficerów z dwoma marynarzami na wybrzeże. Przede wszystkim trzeba Swaina znaleźć. Przez ten czas trzeba by czekać może kilka godzin, a później wcale by nie było wiadomo, czy nie narażamy życia wszystkich na okręcie, zabierając go - po tym skażeniu. Może on tam coś zje albo wypije... - Umilkł. - I jeszcze jedno - dodał po chwili. - Przewiduje się, że nasz czas pod wodą, oddychanie rozrzedzonym powietrzem wyniesie dwadzieścia siedem, może dwadzieścia osiem dni. Niektórzy z nas zniosą to dosyć ciężko. Ostatniego dnia mi pan powie, czy chciałby pan, żeby to się skończyło o cztery czy pięć godzin później, bo tyle właśnie stracilibyśmy na chorążego Swaina.

- Słusznie, panie kapitanie - przyznał Peter. - Ja tylko chciałem w razie potrzeby

zaofiarować swoje usługi.

- Oczywiście. Dziękuję panu. Będziemy wracać tędy jutro w nocy, może o świcie. Zatrzymamy się i odezwiemy do niego.

Kapitan wrócił do centrali głównej i na zmianę z pierwszym oficerem znów patrzył przez peryskop. Zbliżyli się do ujścia kanału przy jeziorze Washington, oglądając wybrzeże minęli Fort Lawton i dopłynęli prawie do doków marynarki wojennej i handlowej w samym sercu miasta.

W mieście żadnych ruin nie było. Przy stacji odbiorczej marynarki wojennej zobaczyli jeden trałowiec, w dokach kilka frachtowców. Szyby lśniły w oknach wysokich gmachów w śródmieściu, przeważnie całe. Znadto się nie zbliżali w obawie przed nieprzewidzianymi przeszkodami pod wodą, o ile jednak mogli stwierdzić przez peryskop, samo miasto nie ucierpiało poza tym, że ludzie nigdzie nie dawali znaku życia. Wciąż jeszcze paliły się liczne latarnie i neony.

Przy peryskopie porucznik Farrell powiedział do kapitana:

To był dobry plan obrony, panie kapitanie... lepszy niż w San Francisco. Obejmował cały półwysep Olympic, to znaczy ponad sto mil na zachód.

- Tak - rzekł kapitan. - Mieli tutaj osłonę z pocisków zdalnie sterowanych.

Nie było sensu zostawać dłużej, więc wypłynęli z zatoki i skręcili na południowozachód ku wyspie Santa Maria; z daleka już widzieli strzeliste wieże radiostacji. Dwight wezwał porucznika Sunderstroma do swej kajuty.

- Gotów pan jest wyjść na ląd?

- Wszystko już czeka - odpowiedział porucznik. - Pozostaje mi tylko wskoczyć w kombinezon.

- Świetnie. W zasadzie pańskie zadanie jest już na pół wykonane, chociaż jeszcze pan tam nie wyruszył. Bo wiemy, że tam jest nadal prąd elektryczny. I to prawie pewne, cholernie pewne, że nie ma tam życia, tylko że co do tego mogą być jeszcze znikome wątpliwości. Sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów stawiam za kielbasę, że przyczyną tych sygnałów radiowych okaże się jakiś przypadek. A przecież, gdybyśmy mieli tylko zbadać, jaki to przypadek, nie narażałbym tego okrętu i nie narażałbym pana. Pan mnie

rozumie?

- Rozumiem, panie kapitanie.

- No, to niech pan posłucha. Powietrza w cylindrach ma pan na dwie godziny.

Chcę, żeby pan wrócił za półtorej godziny nie napromieniowany. Zegarka pan nie weźmie. Ja będę uważał na czas i syreną dawał panu sygnał co piętnaście minut. Jeden sygnał to znaczy, że minęło piętnaście minut, dwa, że pół godziny, i tak dalej. Kiedy pan usłyszy, że syrena buczy cztery razy, dokończy pan, cokolwiek by pan wtedy robił. Kiedy syrena zabuczy pięć razy, rzuci pan wszystko, cokolwiek by to było, i natychmiast wróci pan do nas. Przed sześcioma sygnałami powinien pan być z powrotem i odkażać się już w szybie zapasowym. Wszystko jasne?

- Wszystko jasne, panie kapitanie.

To doskonale. Już mi nie zależy szczególnie na wykonaniu tego zadania. Zależy mi na tym, żeby pan szczęśliwie wrócił na "Skorpion". Ja osobiście w ogóle bym pana tam nie wysłał, skoro wiemy większość tego, co pan ewentualnie stwierdzi na miejscu, ale powiedziałem admirałowi, że wysadzimy na brzeg kogoś, kto to zbada. Nie chcę, żeby pan ryzykował niepotrzebnie. Chcę, żeby pan wrócił, choćbyśmy mieli nie dowiedzieć się dokładnie, jak wygląda sprawa tego radia. Jedynym uzasadnieniem jakiegokolwiek ryzyka z pana strony byłby fakt, że są oznaki życia na wybrzeżu.

- Rozumiem, panie kapitanie.

- I żadnych pamiątek stamtąd. Na okręt ma pan wrócić bez niczego, i to nagi, tak jak pana Pan Bóg stworzył.

- Rozkaz, panie kapitanie.

Kapitan wrócił do centrali głównej, a porucznik Sunderstrom poszedł na dziób. "Skorpion" nieco wynurzony ponad powierzchnię wody powoli zbliżał się do Santa Maria w blaskach wiosennego popołudnia, gotów od razu zatrzymać silniki i wytłoczyć wodę z balastów w razie trafienia na jakąś przeszkodę. Płynął bardzo ostrożnie, więc dopiero około godziny piątej zatrzymał się w pobliżu mola tej wyspy.

Gdy Dwight przyszedł na dziób, porucznik Sunderstrom w kombinezonie ochronnym, jeszcze tylko bez hełmu na głowie i bez butli z tlenem, palił papierosa.

- Dobra jest, chłopcze - rzekł kapitan. - Czas w drogę. Młody człowiek zgasił papierosa i stanął, czekając, żeby dwaj marynarze włożyli mu hełm i przypasali butle. Wypróbował dopływ powietrza z butli, spojrzął na wskaźnik ciśnienia, dociągnął jeden z cyngielków, po czym wspiął się do szybu zapasowego i zamknął drzwi za sobą.

Na pokładzie rozprostował ramiona; rozkosznie było oddychać w słonecznym blasku po tylu dniach wśród stalowych ścian podwodnego okrętu. Spod jednej z klap kiosku wyciągnął złożoną gumową łódkę, rozwinął ją i nacisnął lewarek butli z powietrzem do jej napompowania. Przywiązał cumę, opuścił łódkę na wodę i pociągnął ją do schodków przy wieżycy obserwacyjnej na rufie. Z wiosłem zgramolił się do niej po schodkach i odbił od okrętu.

Trudno mu przychodziło manewrowanie łódką za pomocą tylko jednego wiosła, więc dziesięć minut minęło, zanim dopłynął do mola. Dobił jednak już szybciej i w ciągu kilku sekund wszedł po drabinie; idąc molem na wybrzeże, usłyszał pierwsze buczenie syreny "Skorpiona". Odwrócił się wtedy, pomachał ręką.

Doszedł do kompleksu szarych budynków, jakichś składów. Na jednej ze ścian zobaczył wodoodporny kontakt elektryczny; gdy przekręcił ten kontakt, latarnia zapaliła się nad jego głową. Zgasił ją i ruszył dalej.

Po drugiej stronie jezdni była latryna. Przystanął, a potem przeszedł przez jezdnię i zajrzał. W jednej z przegródek leżały zwłoki kogoś w ubraniu z brązowej gabardyny - zwłoki w bardzo już posuniętym rozkładzie. Nic innego nie spodziewał się zobaczyć, a przecież ten widok raptownie go otrzeźwił. Przyspieszyło to jego dalszą wędrówkę.

Szkoła łączności mieściła się w kilku oddzielnych budynkach po prawej jego ręce. Była to właśnie ta część instalacji, którą znał, ale nie to przyszedł oglądać. Biuro szyfrów było z lewej strony i gdzieś przy nim chyba musiała się mieścić główna stacja nadawcza.

Wkroczył do biura szyfrów w budynku z czerwonej cegły i zatrzymał się na korytarzu, kolejno próbując otworzyć szereg drzwi. Stwierdził, że wszystkie są zamknięte na klucz, z wyjątkiem dwojga prowadzących do toalet. Nie wszedł tam.

Zawrócił i znowu przed biurem rozejrzał się wokół. Zwrócił uwagę na stację transformatorową z plątaniną kabli i izolatorów. Wzdłuż tych kabli doszedł do innego

jednopiętrowego budynku, biurowca, tym razem drewnianego. Podchodząc, usłyszał szum jakiejś elektrycznej maszyny i w tym samym momencie syrena okrętu zahuczała dwukrotnie.

Gdy buczenie ucichło, znów dał się słyszeć ten szum, co pomogło mu trafić do elektrowni. Zobaczył pracujący transformator, nawet nieduży; może na pięćdziesiąt kilowatów. Wskazówki na tablicy rozdzielczej stały w równowadze i tylko jedna z nich, wskazująca temperaturę, była na czerwonym polu tarczy. Sama maszyna pracowała ze zgrzytaniem, cichym, a przecież dosłyszalnym w tym miarowym szumie. Pomyślał, że ona długo już nie wytrzyma.

Z elektrowni wrócił do drewnianego biurowca. Tutaj żadne z drzwi nie były zamknięte na klucz, niektóre pozostawiono nawet otwarte na oścież.

Na parterze musiała być dyrekcja; papiery i meldunki zaśmiecały podłogę jak zeschnięte liście naniesione przez wiatr. W jednym pokoju okno wyleciało z framugi i wiele szkód narobiła woda. Przeszedł przez ten pokój i wyjrzał przez otwór okienny; strzaskane okno leżało na ziemi poniżej.

Ruszył na piętro, gdzie wkrótce trafił do centrali transmisyjnej. Stały tam dwa stoły i przed każdym wysoka aparatura radiowa w metalowej oprawie. Jedna z nich była martwa i cicha - wskazówki wszystkie na zerach.

Drugie radio stało przy oknie, którego rama wyrwana z zawiasów leżała na stole. Róg tej ramy wystawał na zewnątrz, kołysząc się lekko w łagodnym wietrze. Przeciwny róg opierał się o wywróconą na biurku butelkę po coca-coli. Pod ramą leżał klucz nadawczy, przy czym cała rama była trochę rozchybotana.

Sięgnął i dotknął jej ręką w rękawicy. Rama zahusła się na kluczu nadawczym i wtedy wskazówka na aparacie strzeliła raptownie w górę. Uniósł ramę i wskazówka opadła. Tym samym jedno z zadań okrętu podwodnego "Skorpion" zostało wykonane, wyjaśniło się coś, co wyjaśnić przybyli z odległości aż dziesięciu tysięcy mil kosztem wielkiego wysiłku i starań z dalekiej Australii na drugim końcu świata.

Zdjął tę ramę okienną ze stołu i ostrożnie położył na podłodze: drewno nie było uszkodzone i po niewielkiej naprawie można by ją wprawić w to okno z łatwością. Usiadł



przy stole i trzymając rękę w rękawicy na kluczu, zaczął nadawać wyraźnie szyfrem, po angielsku:

- Tu Santa Maria. Meldunek okrętu podwodnego Stanów Zjednoczonych "Skorpion". Życia tutaj nie ma. Wyłączam stację.

Gdy to powtarzał, syrena zahuczała trzykrotnie.

Przy mechanicznym już nadawaniu raz po raz tej wiadomości, którą zapewne odbierano w Australii, błdził wzrokiem po pokoju. Zobaczył karton papierosów amerykańskich, prawie pełny, bez dwóch paczek tylko, i miał ogromną ochotę zabrać je, ale pamiętał o stanowczym zakazie kapitana. Stało też parę butelek coca-coli. Na parapecie okna leżał plik tygodników "Sobotni wieczór".

Skończył nadawać meldunek po dwunastu, jak mniej więcej się orientował, minutach. Powtarzając go ostatnie trzy razy, dodawał:

- Nadaje porucznik Sunderstrom. Na pokładzie wszystko dobrze. Płyniemy na północ, na Alaskę. I w końcu: - Wyłączam tę stację ostatecznie.

Zdjął rękę z klucza i cofnął się z krzesłem od stołu: Do licha, pomyślał, te rury i dławiki, i ten obrotowy transformator tam na dole... jakąż potężną wykonały pracę. Prawie dwa lata bez konserwacji i wymiany części funkcjonują doskonale. Wstał, obejrzał aparaturę i wyłączył trzy przełączniki. Potem przeszedł za stół, odjął jedną z płyt aparatu i przeczytał nazwę firmy na rurach; pożałował, że nie może jej przekazać wyrazów uznania.

Zerknął znowu na karton "Lucky Strike'ów", ale wiedział, że kapitan ma rację; oczywiście są napromieniowane i palenie ich mogłoby oznaczać śmierć. Odszedł od nich z żalem i wrócił na dół. Skierował się teraz do elektrowni, do tego transformatora, gdzie po obejrzeniu dokładnie tablicy rozdzielczej wyrwał dwa przełączniki. Stał i czekał, gdy maszyna cichła stopniowo i cichła, aż zupełnie zmartwiała. Spisywała się znakomicie i gdyby te łożyska poddać remontowi kapitalnemu, pracowałyby świetnie nadal. Byłoby mu przykro zostawić ją w ruchu, skazać na to, żeby się rozpadła.

Buczenie syreny zabrzmiało cztery razy, a on swoje już zrobił. Miał jeszcze kwadrans dla siebie. Mógł zbadać jeszcze niejedno, ale po co. W kwaterach

mieszkalnych znalazłby na pewno zwłoki jak te w latrynie. W biurze szyfrów, po wywaleniu jakichś drzwi, znalazłby pisma interesujące dla historyków w Australii, nie orientowałby się jednak, co z nich wybrać, a zresztą kapitan zabronił przynosić cokolwiek na pokład.

Wrócił na górę do centrali. Te pozostałe minuty były jego czasem wolnym, więc podszedł prosto do tygodników na parapecie. Nie omylił się przypuszczając, że to są właśnie ostatnie trzy numery wydane po wypłynięciu "Skorpiona" z Pearl Harbour przed samym wybuchem wojny - numery, których nie zdążył dostać ani on, ani nikt z załogi tego okrętu. Przerzucił je pożądliwie. Zamieszczono w nich trzy ostatnie odcinki powieści "Piękna pani i drwal". Zasiadł do czytania.

Bucząc pięć razy syrena przerwała mu lekturę, zanim doczytał do połowy pierwszego odcinka. Musiał już odejść. Zawahał się, po czym zwinął te trzy numery "Sobotniego wieczora" i wziął je pod pachę. Łódka i kombinezon ochronny są napromieniowane, więc trzeba będzie je zostawić w szafce zewnętrznej obudowy, żeby zmyła je tam woda morska; tygodniki można by zwinąć w wypompowanej łódce i chyba przetrwają, da się je potem odkazić, wysuszyć i czytać, gdy się z nimi powróci na bezpieczne stopnie szerokości geograficznej. Wyszedł z centrali, starannie zamykając drzwi za sobą, i ruszył w stronę mola.

Nad zatoką niedaleko mola stało kasyno oficerskie. Przy lądowaniu nie zwrócił na to uwagi, ale teraz coś go tam zainteresowało, więc zboczył pięćdziesiąt jardów i podszedł. Stał naprzeciw dużej, głębokiej werandy. W głębi najwyraźniej odbywało się jakieś przyjęcie. Zobaczył pięciu oficerów w gabardynowych mundurach i dwie kobiety przy stole; lekko w podmuchach wiatru rozwiewały się letnie suknie. Na stole stała butelka whisky i woda sodowa, i wysokie staroświeckie szklanki.

Złudzenie było tak silne, że szybko podszedł zupełnie blisko. I zatrzymał się jak wryty, ze zgrozą, gdyż to przyjęcie odbywało się przed rokiem z górą. Odskoczył i niemal pobiegł na molo, pragnąc już tylko wrócić do szczelnych ścian, ciepłego koleżeństwa i bezpiecznej osłony podwodnego okrętu.

Na pokładzie wypuścił powietrze z łódki, zwinął ją, chowając w fałdach gumy

tygodniki, i wsunął do szafki. Potem rozebrał się, umieścił hełm i kombinezon również w szafce, zatrzasnął i zabezpieczył klapę i szybem zapasowym zszedł na dół, żeby wziąć prysznic. W pięć minut później wynurzył się w parną duchotę wnętrza "Skorpiona".

John Osborne czekał przy włączniku szybu z licznikiem Geigera; po zbadaniu przepuścił go jako czystego. W minutę później porucznik Sunderstrom, przyodziany tylko w ręcznik związany w pasie, już składał meldunek kapitanowi Towersowi w jego kajucie, gdzie byli też pierwszy oficer i oficer łącznikowy.

- Odebraliśmy pana sygnały przez radio - rzekł kapitan. - Nie wiem jednak, czy odebrano je w Australii... Na całym tym obszarze światło dzienne. Tam dochodzi jedenaasta przed południem. Jak się panu zdaje?

- Mnie się zdaje, że w Australii odebrano - powiedział radiotechnik. - Bo tam jest jesień, niewiele wyładowań elektrycznych.

Odprawiony przez kapitana, poszedł się ubrać. Kapitan zwrócił się do porucznika Farrella.

- Zostaniemy tu na noc - zdecydował. - Jest godzina siódma i ściemni się, zanim byśmy dopłynęli do pól minowych.

Nie mogąc polegać na tych światłach, jakie były na wybrzeżu, nie odważał się ryzykować nawigacji przez pola minowe cieśniny Juan de Fuca po ciemku. - Jesteśmy tu poza odpływem. Słońce wszędzie mniej więcej o czwartej piętnaście... czyli w południe czasu Greenwich. Wtedy się zanurzymy.

Zostali więc do rana na tych spokojnych wodach zatoki portowej przy wyspie Santa Maria, patrząc na jej światła przez peryskop. O świcie zanurzyli się, biorąc kurs wstecz, i od razu osiedli na ławicy mułu. Po odpływie w ciągu paru godzin woda powinna być płytka; pomimo to zgodnie z mapą byli na głębokości sążnia pod stępką. Wytłoczyli wodę z balastów, żeby się wynurzyć, i ruszyli z tej mielizny ostatecznie, mając w uszach szum wskutek spadku ciśnienia w kadłubie okrętu, urągając Instytutowi Kartograficznemu, po czym znów próbowali odpłynąć - dwa razy z takim samym rezultatem. Ostatecznie musieli zirytowani czekać na przyływ, toteż dopiero koło godziny dziesiątej rano wydostali się na główny kanał i wzięli kurs na północ na pełne morze.

Dwadzieścia po dziesiątej porucznik Hirsch przy peryskopie nagle powiedział:

- Łódź przed nami.

Pierwszy oficer doskoczył do peryskopu, popatrzył i rzekł:

- Idź po kapitana. Przyszedł Dwight.

- Za burtą łódź z silnikiem na zewnątrz, panie kapitanie - zameldował porucznik Farrell. - W niej jeden człowiek.

- Żyje?

- Chyba tak. Łódź przecież płynie.

Dwight wziął peryskop i długo stał, patrząc.

- Powiedziałbym, że to chorąży Swain - rzekł cicho, cofając się w końcu od peryskopu. - Ktokolwiek to jest, łowi ryby. Ma łódź z silnikiem i benzyną i wypłynął na połów.

- No - zdumiał się pierwszy oficer. - Coś takiego! Kapitan zastanawiał się przez chwilę.

- Podpłyniemy i zatrzymamy się przy niej - powiedział. - Porozmawiam z nim.

Na okręcie nastąpiła cisza, przerywana tylko rozkazami pierwszego oficera.

Wkrótce potem kazał wyłączyć silniki i zameldował, że łódka jest tuż za burtą. Dwight z mikrofonem o długim przewodzie podszedł do peryskopu.

- Tu kapitan. Dzień dobry, Ralphie. Jak ci się wiedzie? Przez megafon doleciała odpowiedź.

- Doskonale, panie kapitanie.

- Złowiłeś już jakieś ryby?

W łódce chorąży podniósł przed peryskopem łososa.

- Jedną - oznajmił i wykrzyknął nagle: - Oj, zaraz, panie kapitanie... weszliście mi w paradę.

W centrali głównej Dwight się uśmiechnął i powiedział:

- On zarzucił wędkę. Porucznik Farrell zapytał:

- Mam posunąć okręt do przodu?

- Nie... zaczekać ze wszystkim.

Czekali, dopóki rybak nie zabezpieczył swego sprzętu. Potem Swain powiedział:

- No, kapitanie, pan pewnie uważa, że jestem łobuz skończony i dezterter.

- W porządku, chłopcze - odrzekł Dwight. - Ja wiem, jak to było. Jednakże nie zabiorę cię na okręt z powrotem. Muszę myśleć o reszcie załogi.

- Oczywiście, kapitanie. Wiem. Jestem napromieniowany, z każdą chwilą coraz bardziej chyba.

- Jak się czujesz teraz?

- Jak dotąd, zupełnie dobrze. Mógłby pan zapytać pana Osborne'a, czy długo tak pociągnę?

- On przypuszcza, że może dzień albo dwa, a potem się rozchorujesz.

Z łodzi rybak odpowiedział:

- No, to dzionek naprawdę niczego sobie, jak na ostatni w życiu. Byłoby piekielnie przykro, gdyby padał deszcz.

Dwight roześmiał się.

- Oto właściwe podejście. Powiedz mi, jak wyglądają sprawy na wybrzeżu?

- Wszyscy tu zmarli, kapitanie... ale myślę, że to dla pana nie nowina. Poszedłem do domu. Tata i mama leżeli martwi w łóżku... zdaje się, że coś zażyli. Poszedłem do mojej dziewczyny, i ona też. To był błąd, że tam poszedłem. Ani psów, ani kotów, ani ptaków... nic żywego... wszystkie stworzenia chyba także wyzdychały. Ale poza tym tu jest prawie tak, jak było zawsze. Przepraszam, że zdezerterowałem, kapitanie, ale cieszę się, że jestem w swoich stronach. - Po chwili Swain powiedział: - Mam swój samochód i benzynę, i mam swoją łódkę, i swój silniczek za burtą, i wędka jest też moja własna. I dzień jest piękny, słoneczny. Wolę to tak, w ten sposób, w moim miasteczku rodzinnym, niż czekać do sierpnia w Australii.

- Oczywiście, chłopcze. Wiem, co odczuwasz. Czy chciałbyś czegoś w tej chwili, co moglibyśmy wyrzucić dla ciebie na pokład? Bo my już odpływamy i więcej nie wrócimy.

- Ma pan te świetne tabletki, które ma się zażyć, kiedy będzie źle? Ten cyjanek?

- Nie mam ich, Ralphie. Wystawię pistolet na pokład, jeżeli chcesz?

Rybak potrząsnął głową.

- Mam swój własny. Poszukam w aptece po powrocie na wybrzeże... może tam coś znajdę. Ale myślę, że pistolet będzie najlepszy.

- Czy jeszcze chcesz czegoś?

- Dziękuję, kapitanie, mam wszystko, co mi potrzeba. Bezpłatnie w dodatku. Niech pan tylko pożegna ode mnie kolegów.

- Zrobię to, chłopcze. Już płyniemy dalej. Dobrego połowu.

- Dziękuję, kapitanie. Dobrze było pod pana dowództwem i jeszcze raz bardzo przepraszam za dezercję.

- W porządku. Teraz tylko uważaj na wiry z naszych śrub, kiedy będziemy odpływać.

Zwrócił się do swego zastępcy: - Przejąć ster, poruczniku. Naprzód, a potem na kurs. Dziesięć węzłów.

Tego wieczora Mary Holmes zadzwoniła do Moiry. Był mokry jesienny wieczór, deszcz lał i wiatr wył wokół domu w Harkaway.

- Kochanie - oznajmiła Mary. - Była od nich depesza przez radio. Wszyscy czują się dobrze.

Dziewczynie zabrakło tchu, tak bardzo niespodziewana była ta wiadomość.

- Jakżeż to doszło tutaj?

- Porucznik Peterson przed chwilą do mnie telefonował. To z tej tajemniczej radiostacji, którą oni mieli zbadać. Nadawał porucznik Sunderstrom. Zawiadomił, że wszystko dobrze. Czyż to nie wspaniałe?

Uczucie ulgi było tak przemożne, że Moirze na chwilę zrobiło się słabo.

- Cudowne - wyszeptala. - Powiedz, czy stąd można coś im przekazać?

- Nie przypuszczam. Sunderstrom zawiadomił, że już tę stację wyłącza i że tam nie ma nikogo żywego.

- Och... - Dość długo Moira milczała. - No, nic... trzeba teraz po prostu uzbroić się w cierpliwość.

- Czy chciałaś nadać jakąś specjalną wiadomość?
- Właściwie nie. Coś tylko powiedzieć Dwightowi. Ale z tym można zaczekać.
- Kochanie. To chyba nie znaczy, że ty...
- Nie, nie znaczy.
- Dobrze się czujesz, Moira?
- Czuję się znacznie lepiej niż pięć minut temu. - I po chwili Moira zapytała: - A co

u ciebie słycać? Jak tam Jennifer?

- Doskonale. Wszystko w porządku u nas, poza tym że deszcz leje przez cały czas. Nie mogłabyś kiedy przyjechać? Już od wieków się nie widziałyśmy.

Dziewczyna powiedziała:

- Mogłabym przyjechać któregoś wieczora po pracy i zostać do rana.
- Kotku! To byłaby pysznie!

Wieczorem w dwa dni później Moira wysiadła z pociągu na stacji Falmouth i pieszo w mżawce ruszyła drogą pod górę. W swoim niedużym mieszkaniu Mary czekała na nią przy ogniu, buchającym wesoło na palenisku kominka. Moira zdjęła przemoczone pantofle, pomogła Mary wykapać dziecko i położyć je spać, po czym obie zjadły kolację. Po kolacji siadły na podłodze w różowych blaskach ognia.

- Jak myślisz - zapytała dziewczyna - kiedy oni wrócą?

- Peter mówił, że około czternastego czerwca. - Mary sięgnęła za siebie po kalendarz leżący na biurku. - To jeszcze trzy tygodnie... troszeczkę więcej. Ja tu wykreślałam dni.

- Ale czy tam... skądkolwiek nadał ten sygnał... byli w przewidzianym czasie?

- Nie wiem. Gapa ze mnie, że nie zapytałam porucznika Petersona. Uważasz, że to wypada zadzwonić do niego jutro i zapytać?

- Chyba nie będzie miał ci tego za złe.

- Więc zadzwonię. Peter mówił, że to już jego ostatnie stanowisko w marynarce i po powrocie będzie wolny. Może byśmy mogli w czerwcu albo w lipcu zrobić sobie wakacje i wyjechać. Tu jest tak plugawie zimą... wciąż tylko deszcz i wichura.

Moira zapaliła papierosa.

- Dokąd byście pojechali?

Tam gdzie jest ciepło. Do Queensland może. Okropnie niewygodnie bez tego samochodu. Musielibyśmy jechać z Jennifer pociągiem chyba.

Moira dmuchnęła długim obłoczkiem dymu.

- Nie wydaje mi się, żeby w Queensland było tak dobrze.

- Z powodu tej choroby? Ona jeszcze jest daleko.

- Doszła do Maryborough - powiedziała dziewczyna. - To tylko kawałek na północ od Brisbane.

- Ale jest mnóstwo ciepłych miejscowości, do których można się wybrać nie przejeżdżając tamtędy, prawda?

- Myślę, że tak. Chociaż to się posuwa na południe w tempie dosyć wyrównanym.

Mary przekręciła się na podłodze, żeby spojrzeć na Moirę.

- Powiedz, czy ty naprawdę wierzysz, że to dojdzie tutaj?

- Chyba wierzę.

- I my wszyscy na to umrzemy? Tak jak ci uczeni mówią?

- Chyba.

Mary znów się przekręciła i z papierów rozrzuconych na kanapie wyciągnęła katalog kwiatów ogrodowych.

- Byłam dziś u Wilsona i kupiłam sto żonkili. Cebulek. Król Alfred... one się nazywają. To te - pokazała Moirze obrazek w katalogu. - Posadzę je w tym rogu pod ścianą... tam, skąd Peter usunął drzewo. Zaciszne miejsce. Ale jeśli wszyscy mamy umrzeć, to głupie.

- Nie bardziej głupie niż to, że zaczęłam się uczyć stenografii i maszynopisania - rzekła cierpko Moira. - Myślę, że wszyscy dostajemy lekkiego fioła, gdyby tak mnie się kto pytał. Kiedy te żonkile wzejdą?

- Powinny już zakwitnąć przy końcu sierpnia - powiedziała Mary. - Naturalnie od razu nie będą zbyt wspaniałe, ale w przyszłym roku rozrosną się ślicznie, a za dwa lata to już będzie чудо. Bo one się rozmnażają, wiesz.

- No, moim zdaniem zrobisz rozsądnie, jeżeli je posadzisz. Kiedy zobaczysz je



kwitnące, tak czy owak będzie ci przyjemnie, że jednak czegoś dokonałaś.

Mary patrzyła na Moirę z wdzięcznością.

- Tak właśnie myślę. To znaczy, nie mogłabym znieść... no, po prostu nie mogłabym machnąć ręką na wszystko i nie robić już nic. Już lepiej umrzeć od razu i mieć to za sobą.

Moira przytaknęła.

- Jeżeli oni w tych prognozach mają rację, nikt z nas nie zdąży zrobić tego, co sobie zaplanował. Ale możemy przecież posuwać swoje prace naprzód, dopóki się da.

Siedziały na dywaniku przed kominkiem i Mary bawiła się pogrzebaczem, rozrzucając płonące w kominku polana. Po chwili milczenia odezwała się:

- Zapomniałam zapytać, czy nie napiłabyś się koniaku albo whisky. Jest butelka w kredensie i chyba woda sodowa jest także.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie dla mnie. Nic mi do szczęścia nie brakuje.

- Rzeczywiście?

- Rzeczywiście.

- Wszłaś na drogę cnoty czy czegoś.

- Raczej czegoś - oświadczyła Moira. - Skończyłam z pić w domu. Piję tylko na większych przyjęciach albo w męskim towarzystwie. Zwłaszcza w męskim towarzystwie. Ale w gruncie rzeczy nawet to mi się już znudziło.

- Bo już cię nie interesują mężczyźni, prawda, kotku? Już nie. Tylko Dwight Towers.

Tak - odrzekła dziewczyna. - Tylko Dwight Towers.

- Nie myślisz o tym, żeby wyjść za mąż? To znaczy, chociaż i tak we wrześnie wszyscy umrzemy?

Dziewczyna wpatrywała się w ogień.

- Chciałam wyjść za mąż - powiedziała spokojnie. - Chciałam mieć wszystko, co ty masz. Ale już nie będę tego miała.

- Nie mogłabyś wyjść za Dwighta?

- Nie. Chyba nie.
- Na pewno mu się podobasz.
- Tak - rzekła Moira. - Podobam mu się, i owszem.
- Pocałował cię kiedy?
- Tak - rzekła znowu. - Pocałował mnie raz.
- Więc na pewno by się z tobą ożenił. Dziewczyna potrząsnęła głową.
- Nigdy by tego nie zrobił. Rozumiesz, on już jest żonaty. Ma żonę i dwoje dzieci w

Ameryce.

Mary wlepiała w nią zdumione oczy.

- Kochanie, to *niemożliwe*. Przecież oni nie żyją.

- On tak nie uważa - ze znużeniem wyjaśniła Moira. - Myśli, że we wrześniu wróci do nich do domu. Do swojego rodzinnego miasteczka Mystic. - Umilkła. - Wszyscy dostajemy lekkiego fioła, każdy na swój sposób. On właśnie tak.

- Chcesz powiedzieć, że on naprawdę myśli, że jego żona jeszcze żyje?

- Nie wiem, czy tak myśli czy nie. Zresztą nie, on chyba tak nie myśli. Wie, że umrze we wrześniu i myśli, że po śmierci spotka się z nimi w domu... Z Sharon i z Dwightem Juniorem, i z Helen. Nawet kupuje dla nich prezenty.

Mary usiłowała zrozumieć.

- Ale skoro tak myśli, dlaczego cię pocałował?

- Dlatego, że mu obiecałam pomóc w wyszukaniu tych prezentów.

Mary zerwała się na równe nogi.

- Muszę się napić - powiedziała stanowczo. - I tobie też jeden głębszy chyba dobrze teraz zrobi.

Podawała koniak i gdy siedziały już ze szklankami w rękach, powiedziała zaintrygowana:

- To musi być dziwne, zazdrość o kobietę, która nie żyje.

Moira wypła łyk koniaku wpatrzona w ogień.

- Nie jestem o nią zazdrosna - rzekła w końcu. - Chyba nie. Ona ma na imię Sharon, jak w Biblii. Chcę ją poznać. To musi być cudowna kobieta. Bo rozumiesz, on

jest taki praktyczny.

- I nie chcesz za niego wyjść za mąż? Dziewczyna długo milczała.

- Nie wiem - zdobyła się wreszcie na zwierzenie. - Nie wiem, czy chcę. Gdyby nie to wszystko... robiłabym wszystkie plugawe sztuczki, jakie tylko są na świecie znane, żeby go od niej odciągnąć. Myślę, że nigdy z nikim innym nie będę szczęśliwa. Cóż, kiedy niewiele czasu zostało na znalezienie szczęścia z kimkolwiek.

- Jeszcze są trzy, cztery miesiące - powiedziała Mary. - Widziałam kiedyś takie motto, wiesz, taką tabliczkę, którą się wiesz na ścianie, żeby dodawała życiowej podniety. Tam było: "Nie przejmuj się... to może wcale nie nastąpić".

- Wydaje mi się, że to jednak nastąpi, jak najbardziej - powiedziała Moira. Wzięła pogrzebacz i z kolei ona zaczęła się nim bawić. - Gdybyśmy mieli całe życie przed sobą, byłoby inaczej. Byłoby warto zrobić jej świństwo, gdyby to oznaczało zdobycie Dwighta i dom, i dzieci, i życie całą pełnią. Poszłabym na wszystko, gdybym tylko widziała, że jest taka możliwość. Ale zrobienie jej świństwa, po to, żeby mieć przyjemność przez trzy miesiące i na zakończenie nic... no, to już inna sprawa. Może jestem rozwiązła, ale nie wiem, czy aż do tego stopnia. - Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do Mary. - Nie sądzę, żebym zdążyła to zrobić w tym czasie. I potem on by chyba musiał się przed nią wypowiadać.

- Boże - westchnęła Mary. - Trudna sprawa.

- Trudniejsza już by być nie mogła - zgodziła się Moira. - Czuję, że umrę jako stara panna.

- To jest bez sensu. Ale wygląda na to, że wszystko jest bez sensu ostatnio.

Peter... - Urwała.

- Co z Peterem? - zainteresowała się dziewczyna.

- Nie wiem. To była po prostu okropność, obłąd. - Mary poruszyła się niespokojnie.

- Co było? Powiedz mi.

- Czyś ty kiedy kogoś zamordowała?

- Ja? Jeszcze nie. Nieraz chciałam. Te wiejskie telefonistki najczęściej.

- Ale ja mówię poważnie. To okropny grzech zamordować kogoś, prawda? Za to

idzie się do piekła.

- Ja nie wiem. Ale chyba do piekła. A kogo chcesz zamordować?

Młoda matka rzekła bezbarwnym głosem: - Peter mi powiedział, że może będę musiała zamordować Jennifer. - Łza spłynęła jej po policzku.

Moira odruchowo pochyliła się ku niej i dotknęła jej ręki.

- Kochanie, nie mogło tak być. Musiałaś źle zrozumieć. Mary potrząsnęła głową.

- Dobrze zrozumiałam - wyszlochała. - Tak było. Powiedział, że może będę musiała to zrobić... objaśnił, w jaki sposób. - Z oczu jej polały się już potoki łez.

Moira przytuliła ją i zaczęła uspokajać, po czym stopniowo dowiedziała się całej tej historii. Zrazu nie wierzyła, potem jednak uznała, że to może być prawda. Ostatecznie poszły obie do łazienki i Mary pokazała czerwone pudełeczka w szafce.

- Coś już o tym słyszałam - rzekła Moira z powagą. - Wcale jednak nie wiedziałam, że to aż tak...

Szaleństwa zaczynały się piętrzyć na tym dziwnym świecie.

- Nie mogłabym tego zrobić sama - wyszeptwała matka Jennifer. - Żeby nie wiem jak ona chorowała, nie mogłabym tego zrobić. Jeżeli Petera tu nie będzie... jeżeli ze "Skorpionem" coś się stanie... czy przyjedziesz i pomożesz mi, Moira? Błagam cię.

- Oczywiście, że przyjadę - powiedziała dziewczyna łagodnie. - Oczywiście, że przyjadę ci pomóc. Ale Peter tu będzie na pewno. Oni wrócą szczęśliwie. Bo Dwight jest właśnie taki. - Wyciągnęła chustkę do nosa zwiniętą w kłębuszek i podała ją Mary. - Wytrzymaj te łzy i zaparzmy sobie herbaty. Pójdę nastawić czajnik.

Wypiły herbatę w blasku ognia już dogasającego.

W osiemnaście dni później okręt podwodny Stanów Zjednoczonych "Skorpion" wynurzył się w czystym powietrzu na trzydziestym pierwszym stopniu południowej szerokości geograficznej niedaleko wyspy Norfolk. U wejścia na Morze Tasmana panowała zimowa pogoda, było pochmurno i niższy pokład zmywały wzburzone fale.

Dwight mógł wypuścić załogę tylko na pomost nawigacyjny, po ośmiu ludzi na raz. Każdy z nich wychodził tam blady i drżący i kulił się w ceratowym płaszczu pod chłostą

deszczu i wodnego pyłu. Okręt płynął pod wiatr przez cały dzień prawie, żeby każdy przez swoje przydzielone pół godziny odetchnął świeżym powietrzem, ale tylko nieliczni wytrzymali na mostku tak długo.

Odporność załogi na zimno i wilgoć była słaba, ale przynajmniej kapitan Towers wiozł ich z powrotem żywych - wszystkich, z wyjątkiem chorążego Swaina. Wszyscy byli bladzi i anemiczni po trzydziestu dniach zamknięcia pod wodą, a trzech marynarzy popadło w stan silnej depresji, która im uniemożliwiała pełnienie służby. Denerwujące też Dwight przeszedł chwile, gdy porucznik Brody dostał ostrego zapalenia ślepej кишки; przy pomocy Johna Osborne'a kapitan przeczytał już odpowiedni rozdział książki lekarskiej i przygotował wszystko do operacji na stole w mesie. Jednakże objawy nagle ustąpiły i pacjent wygodnie teraz odpoczywał w swojej koi; jego obowiązki przejął Peter Holmes i była nadzieja, że ten stan rzeczy potrwa przez pięć dni, dopóki okręt nie zawinie do Williamstown. Bo Peter Holmes był normalny, jak nikt inny na okręcie. John Osborne, chociaż nadal pracował dobrze, wciąż się denerwował i złościł; poza tym mówił nieustannie o swoim Ferrari.

Obalili teorię Jorgensena. Zaryzykowali i wpłynęli w Zatokę Alaska powoli i ostrożnie, używając detektora min podwodnych do wykrywania pływających gór lodowych, dopóki nie osiągnęli pięćdziesiątego ósmego stopnia północnej szerokości geograficznej w okolicach Kodiak. Ze względu na lód zawsze przy lądzie grubszy nie podpływali do wybrzeża; stopień radioaktywności był tam nadal zabójczy i sytuacja niewiele się różniła od sytuacji w okręgu Seattle. Uznali, że nie ma celu *narażać* okrętu na tych wodach dłużej, niż to jest konieczne; dokonali pomiarów i wzięli kurs na południe z lekkim odchyleniem na wschód, płynąc tak, dopóki nie natrafili na wody cieplejsze, gdzie mniej było lodu; wtedy skierowali się na południo-zachód ku Hawajom i Pearl Harbour.

Pobył w Pearl Harbour nie dał im właściwie nic. Wpłynęli prosto do portu, do tego samego doku, z którego "Skorpion" wyruszył na morze przed wybuchem wojny. Mogło to być ciężkie przeżycie, ale załoga zniosła to stosunkowo spokojnie, bo nikt, o czym Dwight upewnił się jeszcze przed tym rejssem, nie miał rodziny w Honolulu ani żadnych

bliskich powiązań z tymi wyspami. Mogąc więc tak jak w Santa Maria wysadzić na brzeg jednego z oficerów w kombinezonie ochronnym, Dwight przez parę dni zastanawiał się razem z Peterem Holmesem, czy powinien to zrobić, ale ostatecznie doszli do wniosku, że nic taka ekspedycja nie da. Porucznik Sunderstrom dysponując wolnym czasem na wyspie Santa Maria nie znalazł sobie nic lepszego do roboty niż czytanie powieści w tygodnikach i raczej nie było widoków na to, by oficer wypuszczony na ląd w Pearl Harbour mógł zająć się czymś bardziej użytecznym. Natężenie promieniowania było tak wysokie jak w Seattle; sporządzili więc wykaz licznych statków w porcie, znacznych zniszczeń na wybrzeżu i odpłynęli.

Tego dnia przy wejściu na Morze Tasmana na okręcie skierowanym pod wiatr dało się bez trudu nawiązać łączność radiową z Australią. Podnieśli maszt anteny, zasygnalizowali swoje położenie i przybliżony czas powrotu do Williamstown. W odpowiedzi zapytano ich o stan zdrowia, na co Dwight przekazał dość długą relację, której sformułowanie nie przyszło mu zbyt łatwo z powodu chorążego Swaina. Potem nastąpiła wymiana zwykłych sygnałów dotyczących takich spraw, jak prognoza pogody, zapotrzebowanie na paliwo, remont po powrocie do doku, i nagle przed południem odebrano ważniejszą wiadomość.

Datowane to było przed trzema dniami i brzmiało następująco:

*Od: Naczelnego Dowódcy Floty Wojennej Stanów Zjednoczonych, Brisbane.*

*Do: Kapitana Dwighta L. Towersa, okręt podwodny Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych "Skorpion", Sprawa: Przyjęcie dodatkowych obowiązków.*

*1. Wobec ustąpienia obecnego Naczelnego Dowódcy Floty Wojennej Stanów Zjednoczonych z dniem dzisiejszym przyjmie pan natychmiast i będzie odtąd sprawował obowiązki Naczelnego Dowódcy Floty Wojennej Stanów Zjednoczonych na wszystkich obszarach. Dysponować tą flotą będzie pan według swego uznania, prowadząc nadal lub kończąc jej prace pod dowództwem australijskim, tak jak pan to uzna za stosowne.*

*2. Tym samym chyba zostaje pan admirałem, jeżeli chce pan nim zostać. Żegnam i życzę powodzenia. Jerry Shaw.*

### *3. Odpis dla admirała, Królewska Australijska Marynarka Wojenna.*

Dwight przeczytał to w swojej kabinie z twarzą bez wyrazu. Później, ponieważ odpis został już przekazany Australijczykom, wezwał oficera łącznikowego. Gdy wszedł Peter, dał mu tę wiadomość bez słowa.

Porucznik przeczytał:

- Gratuluję, panie admirale - rzekł cicho.

- Przypuszczam... - zaczął Dwight. Dokończył dopiero po chwili. - Przypuszczam, że to oznacza koniec Brisbane.

Port Brisbane był oddalony o dwieście pięćdziesiąt mil na północ od miejsca, gdzie teraz się znajdowali. Peter skinął głową, przypominając sobie cyfry promieniowania.

- Była dość wysoka radioaktywność jeszcze wczoraj po południu.

- Myślałem, że on może zostawi swój okręt i przyplynie innym na południe.

- Więc nie mogli się stamtąd ruszyć?

- Brak oleju - wyjaśnił Dwight. - Musieli wstrzymać wszystkie prace na okrętach.

Zbiorniki kompletnie wyschły.

- Ja bym przypuszczał, że on jednak przyjedzie do Melbourne. Ostatecznie Naczelny Dowódca Floty Wojennej Stanów Zjednoczonych...

Dwight uśmiechnął się trochę sztucznie.

- To przecież nic nie znaczy, teraz już nic. W istocie był kapitanem swojego okrętu, a ten okręt został unieruchomiony. Więc on nie chciał opuścić swojej załogi.

Ponieważ nic więcej nie było do powiedzenia, odprawił oficera łącznikowego. Napisał krótkie potwierdzenie otrzymanej wiadomości i dał ją chorążemu radiotelegrafście do przekazania via Melbourne, z odpisem dla admirała australijskiego. Wkrótce potem chorąży przyszedł do niego i położył jakiś sygnał przed nim na biurku.

*Na Wasz 12/05663*

*Niestety nie jest już możliwa żadna łączność z Brisbane.*

Kapitan skinął głową.

- W porządku - powiedział. - Trudno.



## Rozdział siódmy

Peter Holmes zameldował się u admirała nazajutrz po powrocie do Williamstown. Admirał wskazał mu krzesło.

- Rozmawiałem wczoraj wieczorem przez parę minut z kapitanem Towersem, poruczniku - powiedział. - Zdaje się, że współpraca dobrze wam się układała.

- Miło mi to słyszeć, panie admirale.

- Tak. Teraz pewnie chciałby pan wiedzieć, co dalej z pańską nominacją.

Peter rzekł nieśmiało:

- Poniekąd. Sytuacja ogólna chyba się nie zmieniła. To znaczy zostają już tylko dwa, trzy miesiące czasu?

Admirał skinął głową:

- Tak to wygląda. Mówił mi pan, kiedyśmy się widzieli ostatnim razem, że woli pan w tych ostatnich miesiącach być na lądzie.

- Powinienem. - Peter zawahał się. - Muszę trochę pomyśleć o żonie.

- Jasne. - Admirał poczęstował młodego człowieka papierosem i sam zapalił. - "Skorpion" zostanie wprowadzony do suchego doku, bo konieczny jest remont kadłuba - powiedział. - Przypuszczam, że pan wie o tym.

- Wiem, panie admirale. Kapitanowi bardzo na tym zależy. Byłem w tej sprawie dziś rano w biurze wiceadmirała.

- Normalnie to by zabrało ze trzy tygodnie. W obecnych okolicznościach może potrwać dłużej. Chciałby pan zostać na "Skorpionie" jako oficer łącznikowy, dopóki tych prac nie ukończą? - Admirał zczekał chwilę, po czym dodał: - Kapitan Towers prosił o przedłużenie pańskiej nominacji na razie.

- Czy mógłbym mieszkać w domu, w Falmouth, panie admirale? To tylko godzina i trzy kwadranse drogi od stoczni.

- Lepiej, żeby pan uzgodnił to z kapitanem Towersem. On chyba nic nie będzie miał przeciwko temu. Nie byłoby tak, gdyby okręt był uzbrojony. O ile mi jednak wiadomo, większość załogi dostanie urlopy. Sądzę, że pracy nie miałby pan zbyt dużo, ale

pomógłby mu pan przy załatwianiu sprawy tych remontów.

- Chętnie będę pracował z nim nadal, panie admirale, jeżeli mogę przy tym mieszkać w domu. Ale gdyby okręt miał popłynąć w jeszcze jeden rejs, prosiłbym o wyznaczenie na moje miejsce kogoś innego. Nie mogę się podjąć służby znów na morzu. - Peter zawahał się. - Przykro mi, że to mówię.

- W porządku, poruczniku - z uśmiechem rzekł admirał. - Będę o tym pamiętał. Niech pan przyjdzie do mnie, kiedy zechce pan zostać zwolniony. - Wstał kończąc rozmowę. - W domu wszystko dobrze?

- Zupełnie dobrze, panie admirale. Trochę trudniej teraz prowadzić gospodarstwo niż wtedy, gdy odpływałem, i dla żony zaczyna to już być męczące, zwłaszcza że jest dziecko, którym się trzeba zajmować.

- Ja wiem. I obawiam się, że łatwiej nie będzie. Tego dnia koło południa Moira zadzwoniła do Dwighta

Towersa na lotniskowiec.

- Dzień dobry, Dwight - powiedziała. - Podobno należy ci pogratulować.

- Kto ci mówił o tym? - zapytał.

- Mary Holmes.

- Możesz mi pogratulować, jeżeli chcesz - rzekł nieco ochryple. - Ale wolałbym, żebyś tego nie robiła.

- Rozkaz - zgodziła się. - Nie zrobię. Dwight, jak ty się czujesz? Ty jako taki.

- Dobrze - powiedział. - Byłem dziś troszeczkę osłabiony, ale już mi przeszło. - W istocie, wszystko, co robił od chwili powrotu na lotniskowiec, przychodziło mu z wysiłkiem. Był niewyspany i straszliwie zmęczony.

- Bardzo jesteś zajęty?

- Powinienem - rzekł. - Ale nie wiem... wydaje się, że nic nie jest zrobione, że praca nie posuwa się naprzód, tylko cofa.

To był Dwight inny niż ten, do którego Moira zdążyła już przywyknąć.

- Mówisz tak, jakby coś ci już dolegało - powiedziała surowo.

- Nic mi nie dolega, kochanie - rzekł nieco rozdrażniony. - Po prostu jest to i owo

do roboty, a wszyscy poszli na urlop. Tak długo byliśmy na morzu, że już zapomnieliśmy, co to jest praca.

- Uważam, że ty sam powinieneś sobie zrobić urlop - oświadczyła. - Nie mógłbyś przyjechać na jakiś czas do Harkaway?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Bardzo miłe zaproszenie. Ale na razie to niemożliwe. Wprowadzamy jutro "Skorpiona" do suchego doku.

- Niech Peter Holmes załatwi to za ciebie.

Tak nie można, dziecko. Wujowi Samowi to by się nie podobało.

Powstrzymała się od uwagi, że Wuj Sam nigdy by się o tym nie dowiedział.

- Kiedy już wprowadzisz tam okręt, zajmą się nim stoczniovcy, prawda?

- Masz spory zasób wiadomości o marynarce wojennej.

- Pewnie, że mam. Jestem pięknym szpiegiem, Mata Hari, femme fatale, która nad podwójnym koniakiem wydobywa wszystkie sekrety z niewinnych oficerów marynarki. Więc okrętem zajmą się stoczniovcy, tak?

- Doskonale jesteś poinformowana.

- No więc możesz zwalić wszystko inne na Petera Holmesa i wyjechać na urlop. O której godzinie ma być ten dok?

- Jutro o dziesiątej rano. Prawdopodobnie załatwimy to do południa.

- Więc przyjedź do nas do Harkaway jutro po południu. Morderczo tam zimno.

Wiatr wyje. Deszcz prawie wciąż zacina i nie można wychodzić na dwór bez gumowych butów na nogach. Spacer z wołem i bronowanie pastwiska to najzimniejsza praca, jaką zna człowiek... kobieta w każdym razie. Przyjedź i spróbuj tego. Po paru dniach u nas będziesz po prostu tęsknił do powrotu w zaduch swojego podwodnego okrętu.

Roześmiał się.

- Roztaczasz przede mną perspektywy naprawdę kuszące.

- Właśnie. Więc wyjedziesz z Williamstown jutro po południu?

Pomyślał, że wielką ulgą byłby taki odpoczynek, możliwość zapomnienia na parę dni o swoich ciężkich obowiązkach.

- Myślę, że to by się dało zrobić - powiedział. - Będę musiał coś niecoś przetasować, ale myślę, że to by się dało zrobić.

Umówiła się z nim na godzinę czwartą nazajutrz w hotelu "Australia". Gdy się spotkali, przerażona była jego wyglądem; powitał ją bardzo wesoło, najwyraźniej rad, że ją widzi, ale cerę miał żółtawą pod opalenizną i zobaczyła, że jest przygnębiony. Popatrzyła na niego marszcząc brwi.

- Wyglądasz jak coś przywleczonego i porzuconego przez kota - powiedziała. - Dobrze się czujesz? - Dotknęła jego ręki. - Jesteś gorący. Masz temperaturę.

Cofnął rękę.

- Nic mi nie jest. Czego się napijesz?

- Zamów sobie podwójną whisky i ze dwadzieścia gramów chininy - poleciła. - Podwójną whisky w każdym razie. Chininę dam ci, kiedy przyjedziemy do domu. Powinieneś leżeć w łóżku.

Przyjemne było odprężenie pod jej zapobiegliwą opieką.

- Podwójny koniak dla ciebie? - zapytał.

- Dla mnie mały, podwójna whisky dla ciebie - powtórzyła. - Jak ci nie wstyd chodzić w takim stanie? Prawdopodobnie wszędzie roznosisz te bakterie. Lekarz cię nie badał?

Zamówił koniak i whisky.

- W stoczni nie ma teraz żadnego lekarza. "Skorpion" jest jedynym kursującym okrętem, i w dodatku w remoncie. Ostatniego lekarza okrętowego odwołano ze stanowiska jeszcze w czasie naszego rejsu.

- Ale ty masz gorączkę.

- Może mam parę kresek - przyznał. - Pewnie się przeziębilem.

- Pewnie. Wypij tę whisky, a ja zatelefonuję do tatusia.

- Po co?

- Żeby po nas wyjechał na stację. Powiedziałam im, że dojdziemy stamtąd pieszo, ale teraz ci na takie spacerki nie pozwolę. Mógłbyś mi umrzeć i wtedy miałabym kłopoty z tłumaczeniem się przed sędzią śledczym. Może by nawet to urosło do zatargu

dyplomatycznego.

- Z kim, dziecko?

- Ze Stanami Zjednoczonymi. Nie taka błaha sprawa zabić naczelnego dowódcę floty wojennej Stanów Zjednoczonych.

Powiedział ze znużeniem:

- Myślę, że w tej chwili Stany Zjednoczone to ja. Niewykluczone, że będę kandydował na stanowisko prezydenta.

- No, zastanów się jeszcze nad tym, a ja przez ten czas porozmawiam z mamą.

W małej kabinie telefonicznej powiedziała:

- On chyba dostał grypy, mamusiu. Strasznie jest zmęczony przede wszystkim. Będzie musiał się położyć, kiedy tylko przyjedziemy do domu. Czy mogłabyś napalić u niego w pokoju i włożyć do łóżka termofo? I, mamó, zadzwoń do doktora Fletchera i zapytaj, czy mógłby zajrzeć dziś wieczorem. Nie wydaje mi się, żeby to było cokolwiek poza gripą, ale on przecież przebywał w strefach radioaktywnych ponad miesiąc i odkąd wrócił, nie badał go żaden lekarz. Powiedz doktorowi Fletcherowi, o kogo chodzi. On jest teraz kimś naprawdę ważnym, wiesz.

- Którym pociągiem przyjedziecie, kochanie? Moira zerknęła na zegarek.

- Jeszcze zdążymy na ten czwarta czterdzieści. Słuchaj, mamó, w powoziku będzie piekielnie zimno. Poproś tatusia, żeby przywiózł dwa pledy.

Wróciła do baru.

- Wypij i już pójdziemy - zakomenderowała. - Musimy zdążyć na pociąg czwarta czterdzieści.

Ruszył z nią posłusznie. W parę godzin później w sypialni z ogniem płonącym w kominku już wsuwał się do ciepłego łóżka, czując dreszcze lekkiej gorączki. Dreszcze ustąpiły, gdy się położył, nieskończenie wdzięczny, rad, że może leżeć tak spokojnie, patrzeć w sufit, słuchać pluskania deszczu za oknami. Wkrótce potem gospodarz przyniósł mu grzanej whisky z cytryną i zapytał, co podać na kolację, ale on nie chciał nic jeść.

Około godziny ósmej dał się słyszeć tętent przed domem i jakieś głosy doleciały z

pluskiem deszczu. Jeszcze chwila i przyszedł do niego doktor; mokry płaszcz zostawił na dole, ale jego bryczesy i wysokie buty były ciemne od wody i zaczęły trochę parować, gdy stanął przy kominku. Był to mężczyzna trzydziestopięcio- może czterdziestoletni, wesoły i energiczny, sprawny w wykonywaniu swego zawodu.

- No, doktorze - rzekł pacjent - naprawdę bardzo mi przykro, że został pan wyciągnięty z domu w taki wieczór. Nie choruję na nic, czego odpoczynek przez dzień czy dwa w łóżku by nie wykurował.

Doktor Fletcher uśmiechnął się.

- Cieszę się, że przyjechałem i mogę pana poznać - powiedział. Ujął Amerykanina za rękę, zbadał tętno. - o ile wiem, był pan na obszarach radioaktywnych.

- Owszem. Ale myśmy się nie narażali.

- Byliście wewnątrz tej łodzi podwodnej przez cały czas?

- Przez cały czas. Był z nami jeden gość z Organizacji Badań, który codziennie szturczał nas licznikami Geigera. Więc to nie to, panie doktorze.

- Wymiotował pan, ma pan biegunkę?

- Żadnych takich objawów nie mam, panie doktorze. Ani ja, ani nikt z naszej załogi.

Doktor Fletcher włożył Dwightowi termometr w usta i stał dalej badając jego puls. Po chwili wyciągnął termometr.

- Prawie trzydzieści dziewięć stopni - powiedział. - Powinien pan trochę poleżeć.

Długo byliście na morzu?

- Pięćdziesiąt trzy dni.

- Ile czasu z tego w zanurzeniu? - Ponad połowę.

- Bardzo pan jest zmęczony? Kapitan zastanawiał się przez moment.

- Możliwe - przyznał w końcu.

- Pewnie, że możliwe. Niech pan leży, dopóki ta gorączka nie spadnie, i wtedy jeszcze jeden dzień odczeka w łóżku. Za dzień, dwa wpadnę tutaj, żeby pana zobaczyć. Myślę, że to tylko grypa... ostatnio jakoś grypa panuje. Do pracy nie powinien pan wracać przynajmniej przez tydzień, odkąd pan wstanie, a potem należałoby pomyśleć o

urlopie. Możliwe to?

- Będę musiał się zastanowić.

Porozmawiali o rejsie i o warunkach w Seattle i w Queensland.

Na zakończenie doktor rzekł:

- Zajrzę tu prawdopodobnie jutro po południu i przywiozę parę leków, które powinien pan zażyć. Bo jutro jadę do Dandenong; mój kolega operuje tam w szpitalu, a ja mam się zająć narkozą. Przy okazji wezmę stamtąd te leki i wstąpię tu wracając do domu.

- Czy to jakaś ciężka operacja?

- Niespecjalnie. Kobieta z guzem w żołądku. Lepiej, żeby się tego pozbyła.

Przedłuży się na jeszcze kilka lat jej użyteczne życie.

Wyszedł i wkrótce zza okna Dwight usłyszał cofanie się i podskoki konia, gdy doktor go dosiadał, przy czym nawet padło parę przekleństw. Tętent zaczął się oddalać w alei wjazdowej, cichnąc wśród plusku coraz gwałtowniejszej ulewy. A potem drzwi się otworzyły i weszła Moira.

- No - powiedziała - w każdym razie jutro jesteś unieruchomiony. - Ruszyła do kominka i dorzuciła kilka polan na palenisko. - On jest miły, prawda?

- To wariat - rzekł dowódca okrętu podwodnego.

- Dlaczego? Czy dlatego, że kazał ci leżeć?

- Nie dlatego. On jutro w szpitalu będzie operował jakąś kobietę po to, żeby przedłużyć jej użyteczne życie jeszcze o parę dalszych lat.

Roześmiała się.

- Będzie. Nie znam nikogo, kto by był tak sumienny jak on. - Po chwili powiedziała: - Tatus ma zamiar postawić jeszcze jedną groblę na przyszłe lato. Mówi o tym już od dawna, ale teraz powiedział, że stanowczo to zrobi. Telefonował dziś do kogoś, kto ma buldożer, i już się z nim umówił, że złączą te prace, kiedy tylko ziemia stwardnieje.

- Kiedy to będzie?

- Około Bożego Narodzenia. Naprawdę tatusiowi przykro jest patrzeć, jak te

deszcze padają na marne. Latem tu zawsze bardzo sucho.

Ze stolika przy łóżku wzięła pustą szklanę.

- Chcesz jeszcze jedną grzaną whisky? Potrząsnął głową.

- Nie teraz, kochanie. Czuję się świetnie.

- A zjesz coś?

Znów potrząsnął głową.

- Więc może jeszcze jeden termofor? I znów potrząsnął głową.

- Jest mi świetnie.

Wyszła, ale po kilku minutach pokazała się z powrotem, teraz z długą owiniętą w papier paczką w ręce - paczką napęczniałą od spodu.

- Zostawię to u ciebie, żebyś mógł patrzeć na to przez całą noc.

Ustawiła paczkę w kącie pokoju, ale Dwight uniósł się na łokciu.

- Co to jest? - zapytał. Parsknęła śmiechem.

- Możesz trzy razy zgadywać. Rano sprawdzisz, który domysł był słuszny.

- Chcę zobaczyć zaraz.

- Jutro.

- Nie... Zaraz.

Więc przyniosła mu tę paczkę do łóżka, po czym stała patrząc, jak on rozrywa papier. Naczelną dowódcą floty wojennej Stanów Zjednoczonych jest w gruncie rzeczy małym chłopcem, pomyślała.

Żabia laska w jego rękach zajaśniała na pościeli swą nieskazitelną nowością. Drewniana rączka miała wręcz połysk jedwabiu, metalowe oparcie dla nóg jaskrawiło się czerwoną emalią. Na rączce był równiutko wymalowany czerwony napis: Helen Towers.

- No - rzekł ochryple Dwight - to istne чудо. Nigdy jeszcze nie widziałem żabiej laski z takim podpisem i wszystkim. Ona będzie szalała z radości. - Podniósł wzrok. - Gdzieś ty to dostała, dziewczyno?

- Trafiłam do pracowni, która je produkuje - rzekła Moira - aż w Elsternwick.

Właściwie już tej produkcji zaprzestali, ale jedną zrobili dla mnie.

- Nie wiem, co powiedzieć - wymamrotał. - Teraz mam już prezenty dla nich



wszystkich.

Moira zebrała podarte papiery z koldry.

To był drobiazg - powiedziała niedbale. - Przyjemność mi sprawiło znalezienie tej pracowni. Postawić ją w kącie?

Potrząsnął głową.

- Zostaw ją tutaj.

Przytaknęła i skierowała się do drzwi.

- Górne światło zgaszę. Nie siedź za długo w noc. Czy na pewno masz wszystko, czego ci potrzeba?

- Na pewno, kochanie - powiedział. - Już mam wszystko.

- Dobranoc - pożegnała go.

Zamknęła drzwi za sobą. Przez jakiś czas, leżąc w blasku ognia, myślał o Sharon i o Helen, o słonecznych dniach lata i wysokich okrętach w Mystic, później o Helen skaczącej z tą nową żabią laską na wymiecionym chodniku między stertami śniegu, a później o Moirze i o jej dobroci. Wkrótce jednak z ręką opartą o żabią laskę leżącą na koldrze przy nim, pożeglował w sen.

Peter Holmes nazajutrz jadł obiad z Johnem Osborne w Klubie Zjednoczenia.

- Telefonowałem dziś rano na okręt - rzekł fizyk. - Chciałem złapać Dwighta, żeby mu pokazać brulion sprawozdania, zanim je dam przepisać na maszynie. Powiedziano mi, że on jest w Harkaway, u rodziców Moiry.

Peter potwierdził.

- Dostał grypy. Moira wczoraj wieczorem do mnie dzwoniła, żeby zawiadomić, że nie zobaczę go przez tydzień albo i dłużej, jeżeli od niej choć trochę będzie to zależało.

Fizyk zaniepokoił się.

- Przecież nie mogę zatrzymywać tego sprawozdania tak długo. Jorgensen dowiedział się już o wynikach naszych badań i powiada, że to niemożliwe, żebyśmy zdołali wykonać to zadanie należycie. Muszę je dać maszynistce jutro najpóźniej.

- Jeżeli chcesz, przejrzę je i może uda się złapać zastępcę, chociaż on wyjechał na urlop. Ale Dwight powinien to zobaczyć, zanim oddamy. Mógłbyś zadzwonić do Moiry i

zawieźć Dwightowi do Harkaway.

- A czy ona tam będzie? Słyszałem, że codziennie przyjeżdża do Melbourne na kurs stenografii i maszynopisania.

- Nie bądźże głupi. Oczywiście, ona tam jest. Fizyk się rozpromienił.

- Mógłbym wyskoczyć do niego jeszcze dziś po południu moim Ferrari.

- Benzyny ci zabraknie, jeżeli będziesz nią szastał na takie wycieczki. Jeżdżą tam bardzo wygodne pociągi.

- To jest sprawa urzędowa, sprawa marynarki wojennej - powiedział John Osborne

- człowiek ma prawo pobrać z zapasów marynarki. - Pochylił się do Petera i zniżył głos: -

Wiesz, jest ten lotniskowiec "Sydney". Około trzech tysięcy galonów mieszanki etero-alkoholowej, jakiej ja używam, zostało w jednym z jego zbiorników. Używali jej do samolotów z silnikami tłokowymi, żeby startowały z pokładu od razu z pełną szybkością.

- Nie wolno ci tknąć tej mieszanki! - zaprotestował Peter, zgorzony.

- Nie wolno? To przecież sprawa marynarki wojennej i będzie takich spraw więcej.

- No, *mnie* nie opowiadaj. Czy Morris Minor chodziłby na tej mieszance?

- Musiałbyś trochę poeksperymentować z gaźnikiem i musiałbyś podwyższyć kompresję. Wyciągnij uszczelkę i pod głowicą załóż kawałek cienkiej blachy miedzianej z cementem. Spróbować zawsze warto.

- Możesz bezpiecznie jeździć tym swoim wyścigowcem po jezdniach?

- Och, tak - powiedział fizyk. - Prawie nie ma w co uderzyć, z wyjątkiem tramwajów. I ludzi, oczywiście. Zawsze wiozę zapasowy komplet świec, bo olej przecieka, jeżeli się nim jeździ poniżej trzech tysięcy.

- A co się dzieje przy trzech tysiącach obrotów?

- No, cóż, na czwarty bieg nie można go przerzucić.

Robiłby wtedy sto albo i więcej na godzinę. Na pierwszym przy tych obrotach robi około czterdziestu pięciu. Ma zryw przy ruszaniu dosyć gwałtowny, rzecz jasna; trzeba mieć paręset jardów pustej drogi przed sobą. Ja przeważnie wypycham go z tego podwórza na Elizabeth Street, dopiero wtedy wsiadam i czekam na przerwę między przejazdem tramwajów.

Tak też zrobił tego dnia zaraz po obiedzie. Wypchnął samochód na jezdnię z pomocą Petera Holmesa, wcisnął teczkę z brudnopisem sprawozdania w kącik przy siedzeniu, wsiadł, zapiął pas bezpieczeństwa, świadom podziwu zebranych wokół gapiów, i włożył hełm. Peter szepnął:

- Na miłość boską, tylko nie zabij nikogo.

- Wszyscy oni i tak umrą za parę miesięcy - rzekł fizyk. - I ja, i ty. Przedtem muszę się tym wozem trochę nacieszyć.

Zaczekał na przejazd tramwaju, po czym naciskając starter automatyczny spróbował zapalić zimny silnik, ale próba ta spelzła na niczym. Przejechał następny tramwaj; ze dwunastu chętnych pomocników pchało teraz samochód, dopóki silnik nie zaskoczył i Ferrari nie wystrzelił z ich rąk jak rakieta, z przeraźliwym łomotem rury wydechowej, z piskiem opon i zapachem spalonej gumy w tumanie dymu. Klaksonu nie miał i mieć nie potrzebował, bo i tak hałas robił piekielny; ważniejsze było to, że nie miał też i świateł, a zmrok zapadał wcześniej, już około godziny piątej. Żeby dojechać do Harkaway, porozmawiać tam z kapitanem Towersem i wrócić za dnia, John Osborne musiał porządnie się spieszyć.

Wyminął tramwaj z szybkością pięćdziesięciu mil, wjechał z poślizgiem w ulicę Lonsdale, usadowił się, jak mógł najgłębiej, na siedzeniu i już z szybkością około siedemdziesięciu mil smyrnął swym Ferrari przez miasto. Ponieważ samochody na jezdniach w owym czasie były rzadkością, miał kłopot tylko z tramwajami; tłumy pieszych rozstępowały się, żeby go przepuścić. Inaczej jednak przedstawiała się sprawa na przedmieściach: dzieci, już przywykłe do zabaw na środku pustych jezdni, nie potrafiły w porę zejść z drogi; *nieraz* więc musiał raptownie hamować i przejeżdżać z rykiem silnika, prawie nie panując nad sprzęgłem, bolejąc, że może je uszkodzić, pocieszając się myślą, że przecież to sprzęgło przystosowane jest do jazdy wyścigowej.

Dojechał do Harkaway w ciągu dwudziestu trzech minut z przeciętną szybkością siedemdziesięciu dwóch mil na godzinę, przy czym ani razu nie przerzucił na czwarty bieg. Z hukiem zatoczył krąg wokół klombów i przed domem wyłączył silnik; hodowca bydła, jego żona i córka wybiegli na werandę i patrzyli, jak on zdejmując hełm i

zesztywniały wysiada z samochodu.

- Przyjechałem do Dwighta Towersa - oznajmił. - Powiedziano mi, że jest tutaj.

- Próbuje teraz się zdrzemnąć - surowo rzekła Moira. - Co za obrzydliwe samochodzisko, John. Ile wyciąga?

- Około dwustu chyba. Muszę się z nim zobaczyć... w sprawie urzędowej. Mam tu coś, co on powinien przejrzeć, zanim oddam to na maszynę. I to trzeba przepisać jutro najpóźniej.

- No cóż, myślę, że on jeszcze nie zasnął.

Moira poprowadziła Johna Osborne'a do pokoju gościnnego. Dwight nie spał, siedział oparty o poduszki.

- Domyśliłem się, że to pan - powiedział. - Przejechał pan już kogo?

- Jak dotąd, nie - odrzekł fizyk. - Mam nadzieję, że pierwszą z ofiar będę ja sam. Okropnie bym nie chciał ostatnich dni życia spędzić w więzieniu. Dostyc się nasiedziałem w zamknięciu przez te dwa miesiące.

Otworzył teczkę, wyjaśnił, po co przyjechał. Dwight wziął od niego sprawozdanie i przeczytał, pytając od czasu do czasu o to i owo.

- Żałuję trochę, że nie zostawiliśmy tej radiostacji w takim stanie, jak była - powiedział w pewnej chwili. - Może mielibyśmy jakieś wiadomości od chorążego Swaina.

- To kawał drogi od niego.

- Miał swoją łódź z motorkiem. Mógłby się tam zatrzymać któregoś dnia, kiedy łowienie ryb by mu się znudziło, i zasygnalizować, co u niego słychać.

- Wątpię, czyby zdążył, panie kapitanie. Moim zdaniem trzy dni czasu miał przed sobą, i to w najlepszym razie.

Kapitan przytaknął.

- Na pewno zresztą by nie chciał zawracać sobie tym głowy. Mnie ani by się to śniło, gdyby ryby brały dobrze i to miałyby być mój ostatni dzień. - Czytał dalej, znów zadając czasem pytania. W końcu zaopiniował: - Wszystko w porządku. Powinien pan tylko usunąć ten ostatni ustęp o mnie i okręcie.

- Wolałbym zostawić, panie kapitanie.

- A ja bym wolał, żeby pan usunął. Nie lubię takich kwiatków na temat tego, co było zwykłą operacją, niczym nie wykraczającą poza linię obowiązków służbowych.

Fizyk wyciągnął ołówek i przekreślił ów ustęp.

- Jak pan sobie życzy.

- Ma pan tu swojego Ferrari?

- Przyjechałem nim.

- Oczywiście. Słyszałem ten przyjazd. Czy widać go z okna?

- Tak. Stoi pod domem.

Kapitan wyszedł z łóżka i w piżamie stanął przy oknie.

- Piekło nie samochód - powiedział. - Co pan zamierza z nim robić?

- Jestem już kierowcą wyścigowym. Niewiele czasu zostało, więc sezon wyścigów zaczyna się wcześniej w tym roku. Normalnie nie robi się tego przed październikiem, dopóki tory są mokre. Teraz jednak organizuje się nieduże wyścigi przez całą tę zimę. W istocie już dwa razy brałem w nich udział, zanim wyruszyliśmy w nasz rejs.

Kapitan wrócił do łóżka.

- Mówił pan nam o tym. Nigdy nie ścigałem się takim samochodem. Nigdy nawet takiego nie prowadziłem. Jak się człowiek wtedy czuje?

- Sztywnieje ze strachu. A potem, ledwie ukończy jeden wyścig, już chce wziąć udział w następnym.

- Dawno już pan tak? Fizyk potrząsnął głową.

- Nigdy nie miałem na to ani pieniędzy, ani czasu. Ale przez całe życie o tym marzyłem.

- I marzenie się spełnia na sam koniec? John Osborne myślał przez chwilę.

- To właśnie mi się podoba - powiedział. - Wolę to niż umrzeć w mdłościach i brudach albo zażyć te tabletki. Sęk tylko w tym, że szalenie przykro go rozbić. Taki uroczy Ferrari. Chyba dobrowolnie nie mógłbym się na to zdobyć.

Dwight uśmiechnął się.

- Dobrowolnie może nie będzie pan musiał, jadąc z szybkością dwustu mil po mokrym torze.

- No, tak też właśnie to sobie wyobrażam. Nie wiem, czy miałbym coś przeciwko temu, żeby ta chwila nastąpiła kiedykolwiek już teraz.

Tak - rzekł kapitan w zadumie. Potem zapytał: - Nie ma już żadnych szans, że to trochę osłabnie w tempie i da nam jakąś możliwość?

- Absolutnie żadnych. Nic nie wskazuje, żeby... już jeżeli, to szybkość nieco wzrasta. Prawdopodobnie dlatego, że obszarów lądu na południe od równika jest mniej; wydaje się, że wzrasta w kategoriach stopni szerokości geograficznej. Chyba w końcu sierpnia to dojdzie. Kapitan skłonił się.

- No, przyjemnie wiedzieć. Dla mnie im wcześniej, tym lepiej.

- Czy jeszcze pan wypłynie "Skorpionem" na morze?

- Nie dostałem żadnych rozkazów. "Skorpion" będzie znów w stanie gotowości operacyjnej na początku lipca. Zamierzam trzymać go pod dowództwem australijskim aż do końca. Czy będę miał załogę, która umożliwi jego operacje... no, to już inna sprawa. Większość chłopców ma tu w Melbourne swoje dziewczyny, około dwudziestu pięciu procent się pożeniło. Można tylko zgadywać, czy oni przed następnym rejsem będą uczuleni na morze. Ja bym powiedział, że będą.

Nastąpiło chwilowe milczenie.

- Trochę zazdrości wzbudza we mnie ten pana Ferrari - rzekł kapitan cicho. - Ja aż do końca nie przestanę denerwować się i pracować.

- Nie rozumiem, po co - zauważył fizyk. - Niech pan weźmie urlop. Zwiedzi kawałek Australii.

Amerikanin uśmiechnął się.

- Tak dużo znów nie zostało do zwiedzenia.

- Istotnie. Ale są jeszcze góry. Narciarze szaleją w Mount Buller i w Hotham. Jeździ pan na nartach?

- Kiedyś jeździłem... dziesięć lat temu co najmniej. Nie chciałbym złamać nogi i przez te ostatnie miesiące tkwić w łóżku. - Umilkł. - Niech pan powie - zapytał po chwili - czy łowi się pstrągi w tych górach?

John Osborne skinął głową.

- Zupełnie nieźle.

- Czy jest na to sezon, czy też łowi się je przez cały rok?

- Okonie można łowić w Eildon Weir przez cały okrągły rok. Na błyszczkę z łódki.

Ale dobry połów pstrągów jest w tych wszystkich małych rzeczkach wyżej. - Uśmiechnął się blado. - Teraz na pstrągi nie sezon. Nie wolno ich łowić do pierwszego września. Po krótkiej chwili Dwight powiedział:

- To raczej przesadza sprawę. Pewnie że chciałbym dzień czy dwa spędzić na łowieniu pstrągów, ale jak wynika z tego, co pan mówi, może wówczas, gdy sezon się rozpocznie, będziemy już zbyt zajęci czymś innym.

- Przypuszczam, że nic strasznego by się nie stało, gdyby wybrał się pan na ten połów przed tegorocznym sezonem w tym roku.

- Czegoś takiego bym nie zrobił - z powagą rzekł Amerykanin. - W Stanach... owszem. Ale w obcym kraju, uważam, że człowiek powinien trzymać się przepisów.

Czas mijał, John Osborne ani nie miał świateł, ani nie mógł jechać swym Ferrari wolniej niż z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę. Zgarnął więc rękopis, schował go do teczki i pożegnał się z Dwightem, żeby wrócić do miasta. W hallu spotkał Moirę.

- Myślisz, że bardzo jest chory? - zapytała.

- Nic mu nie jest - odpowiedział fizyk. - Tyle że piątej klepki brak.

Zastanowiła się ze zmarszczonymi brwiami; to już nie sprawa żabiej laski.

- Z czego wnosisz?

- Chciałby się wybrać na pstrągi, zanim wszyscy pomaszujemy w zaświaty - rzekł jej kuzyn. - Ale się nie wybierze przed otwarciem sezonu, czyli nie wcześniej niż pierwszego września.

Przez chwilę Moira stała w milczeniu.

- No to co? Kapitan Towers przestrzega prawa. Bardziej niż ty z tym twoim okropnym samochodem. Skąd w ogóle bierzesz benzynę?

- On nie chodzi na benzynie - poinformował John Osborne. - Napędzam go czymś z próbówki.

- Tak też pachnie - powiedziała.

Patrzyła, jak John Osborne wsuwa się powoli do swego Ferrari i wkłada hełm, po czym z dzikim strzelaniem ożywiającego się silnika śmiga sprzed domu aleją, pozostawiając wielkie koleiny na klombie.

W dwa tygodnie później w Klubie Pasterskim pan Alan Sykes wkroczył do małej palarni o godzinie dwunastej minut dwadzieścia, żeby napić się przed obiadem. Obiad zaczynano podawać dopiero o godzinie pierwszej, więc pan Sykes był na razie w palarni sam; nalał sobie ginu i zamyślił się rozważając swój problem. Pan Sykes był dyrektorem departamentu rybołówstwa i myślistwa na terenach państwowych, człowiekiem, który lubił, żeby wszystko w podległym mu resorcie grało w oparciu o zdrowe zasady, i nie pozwalał na żadne wygodne odstępstwa od tych zasad. Teraz jednak w ustalony porządek rzeczy wtargnęły dylematy związane z sytuacją ogólną, poważnie więc się niepokoił.

Wkrótce potem do palarni wszedł Sir Douglas Froude. Wszedł dosyć chwiejnie, jak zauważył pan Sykes, i oblicze zwykle bardzo rumiane miał teraz czerwieńsze niż kiedykolwiek.

- Dzień dobry - powiedział pan Sykes. - Proszę na mój rachunek.

- Och, dziękuję ci, dziękuję - rzekł staruszek. - Napiję się z tobą hiszpańskiego kseresu. - Ręka mu drżała, gdy nalewał kseres. - Wiesz - powiedział - myślę, że ten nasz Komitet Zakupów Wina kompletnie zwariował. Mamy ponad czterysta butelek wspaniałego czystego kseresu. Ruy de Lopez, rocznik tysiąc dziewięćset czterdzieści siedem, a oni najwyraźniej są gotowi zostawić ten cały zapas w piwnicach. Powiedzieli, że członkowie go nie wypiją, bo cena za wysoka. A ja im już mówiłem, mówiłem... rozdajcie, jeżeli nie możecie sprzedać. Tylko nie zostawiajcie w piwnicach. No to teraz oni nałożyli taką samą cenę jak za kseres australijski. - Urwał. - Pozwól, niech ci naleję kieliszek, Alan. Jest przepyszne, wyśmienite.

- Napiję się później. Powiedz, czy mi się zdaje, czy rzeczywiście wspomniałeś kiedyś, że Bill Davidson to twój krewny czy powinowaty?

Staruszek przytaknął, rozdygotany.

- Krewny czy powinowaty... Powinowaty chyba. Jego matka wyszła za mojego... wyszła za mojego... Nie, nie mogę sobie przypomnieć. Pamięć mi się ostatnio zrobiła



jakaś słabsza.

- Czy znasz jego córkę, Moirę?

- Miła dziewczyna, ale pije za dużo. Pije jednak tylko koniak podobno, a to już zmienia postać rzeczy.

- Mam przez nią trochę kłopotu.

- Co?

- Była u ministra i minister przysłał ją do mnie z kartką od siebie. Ona chce, żebyśmy sezon pstrągów rozpoczęli w tym roku wcześniej, bo w przeciwnym razie nikt ich nie będzie mógł łowić. Minister uważa, że to dobry pomysł. Mam wrażenie, że on tak przez wzgląd na następne wybory.

- Sezon pstrągów wcześniej, przed końcem sierpnia? Poważnie mówisz?

- Taka jest propozycja.

- Fatalna propozycja, jeżeli wolno mi tu *zabrać* głos. Przecież te ryby jeszcze nie skończą składać ikry, a jeżeli skończą, to będą w bardzo kiepskim stanie. To by zaprzepaściło wszystkie połowy na długie lata. Kiedy on chce rozpocząć sezon?

- Proponuje dziesiątego sierpnia. - I po chwili pan

Sykes rzekł surowo: - To ta dziewczyna, ta twoja powinowata jest inicjatorką. Nie wierzę, żeby jemu kiedykolwiek przyszło to do głowy, gdyby nie ona.

- Moim zdaniem to plan wręcz okropny. Całkowity brak odpowiedzialności.

Doprawdy, nie wiem już, ku czemu ten nasz świat zmierza...

W miarę jak coraz więcej członków klubu schodziło się do palarni, debata stawała się coraz bardziej ożywiona i coraz liczniejsze głosy odzywały się w dyskusji. Pan Sykes stwierdził, że większość opowiada się za zmianą daty.

- Ostatecznie - ktoś powiedział - ludzie będą łowić w sierpniu, jeżeli jakoś tam dojadą i pogoda będzie ładna... i nieważne, czy to się panu podoba, czy nie. A ukarać ich za to grzywną albo więzieniem przecież nie można, bo już się nie zdąży wniesć do sądu tej sprawy. Lepiej więc podać jakąś rozsądną datę i chociaż zrobi się to z konieczności, jeszcze zdobyć sobie za to uznanie. Naturalnie - dodał za podszeptem sumienia - to tylko w tym roku wyjątkowo.

Pewien znakomity chirurg zauważył:

- Moim zdaniem myśl bardzo dobra. Jeżeli ryba okaże się kiepska, nie musimy jej zabierać, możemy zawsze wrzucić ją do wody z powrotem. Jeżeli sezon będzie bardzo wczesny, one nie dadzą się złapać na muszkę; konieczny będzie spinning. Niemniej ja za tym głosuję. Skoro już mam się pożegnać z tym światem, chciałbym, żeby to było w jakiś słoneczny dzień, kiedy będę siedział nad Delatite z wędką w ręce.

Ktoś inny dorzucił:

Tak jak ten marynarz, który się urwał z tej amerykańskiej łodzi podwodnej.

- Właśnie, tak jak on. Uważam, że ten facet w sposób właściwy sobie to wykoncypował.

Pan Sykes, uzyskując taki przekrój opinii najbardziej ustosunkowanych ludzi w mieście, wrócił do swego biura z sercem lżejszym, zatelefonował do ministra i jeszcze tego dnia po południu przygotował brulion komunikatu radiowego o jednej z owych błyskawicznych zmian polityki gospodarczej, mających zaspokoić potrzeby chwili, łatwych do przeprowadzenia w niedużym i kulturalnym kraju i jakże charakterystycznych dla Australii. Dwight Towers usłyszał ten komunikat wieczorem w rozbrzmiewającej echemi pustej mesie lotniskowca "Sydney" i zdumiał się, wcale tego nie kojarząc z rozmową, jaka toczyła się między nim a Johnem Osborne zaledwie kilka dni przedtem. Natychmiast zaczął planować, jak wypróbuje wędkę Juniora. Dojazd w góry mógł przedstawiać duże trudności, ale czegoż by nie zdołał przezwyciężyć naczelny dowódca floty wojennej Stanów Zjednoczonych.

Na całym obszarze, jaki jeszcze został z Australii w owym roku, zaznaczyło się w drugiej połowie zimy pewne osłabienie ogólnego napięcia. W początkach lipca, gdy zagładzie uległy Broken Hill i Perth, tylko nieliczni w Melbourne przykładali się do pracy bardziej, niż mieli na to ochotę. Dostawy prądu elektrycznego były nadal nieprzerwane, jak również zaopatrzenie w podstawowe artykuły żywnościowe, ale żeby zdobyć opał i różne przedmioty zbytku, ludność, która poza tym niewiele miała do roboty, musiała szukać długo i kombinować. Z biegiem tygodni społeczeństwo wyraźnie poważniało: huczne zabawy jeszcze się odbywały nadal i pijani sypiali w rynsztokach, coraz jednak

rzadziej i rzadziej. I jak zwiastuny nadchodzącej wiosny, jeden po drugim zaczynały na pustych jezdniach pokazywać się samochody.

Zrazu trudno było powiedzieć, skąd się biorą i z jakiego źródła mają benzynę, gdyż każdy z tych przypadków po bliższym zbadaniu okazywał się "wyjątkowy". Właściciel domu, w którym mieszkali Holmesowie, przyjechał pewnego dnia po opał ze świętych drzew samochodem marki Holden, wyjaśniając niezręcznie, że zachował trochę cennej benzyny na czyszczenie odzieży. Kuzyn Petera, lotnik z Królewskich Australijskich Sił Powietrznych, przyjechał do nich w odwiedziny z lotniska Laverton ładnym M.G., tłumacząc, że zaoszczędził tę benzynę, ale nie widzi celu w oszczędzaniu jej dłużej; była to uderzająca nedorzecznosc, bo Bili nigdy w życiu nie miał zwyczaju oszczędzania czegokolwiek. Pewien inżynier zatrudniony w rafinerii koncernu Shell w Corio oświadczył, że udało mu się kupić niewielką ilość benzyny na czarnym rynku w Fitzroy, w sposób jednak bardzo honorowy przemilczał nazwisko łobuza, który mu ją sprzedał. Australia jak gąbka pod naciskiem okoliczności zaczęła wysączać z siebie coraz większe krople benzyny, tak że pod koniec lipca te krople zamieniły się w strugi.

Peter Holmes któregoś dnia zabrał do Melbourne kanister i złożył wizytę Johnowi Osborne. Tego wieczora po raz pierwszy od dwóch lat usłyszał warkot swego Morrisa Minora, z którego rury wydechowej dobywały się przy tym takie kłęby czarnego dymu, że musiał wyłączyć silnik, wyjąć przepustnicę i sklepać je młotkiem, żeby trochę się zmniejszyły. Później wyjechał na szosę z Mary, zachwyconą u jego boku, i z Jennifer na jej kolanach.

- Zupełnie tak, jakby się miało znowu pierwszy samochód w życiu! - wykrzyknęła Mary. - Och, Peter, to cudowne! Możesz zdobyć więcej, jak myślisz?

- Myśmy tę benzynę zaoszczędzili - powiedział jej Peter. - Myśmy ją zaoszczędzili. Mamy jeszcze kilka kanistrów zakopanych w ogrodzie, ale nikomu nie zdradzamy, ile.

- Nawet Moirze?

- Panie święty, nie! Jej ostatniej ze wszystkich. - Po

chwili Peter westchnął. - Tylko że te opony. Nie wiem, co się da zrobić z tymi oponami.

Nazajutrz wyruszył do Williamstown Morrisem, wjechał za bramę stoczni, zaparkował go na nabrzeżu przy faktycznie opuszczonym lotniskowcu. Wieczorem tak samo Morrisem wrócił do domu.

Jego obowiązki w stoczni były teraz czysto symboliczne. Prace na okręcie podwodnym postępowały bardzo powoli, więc wystarczało, żeby tam się zjawiał dwa razy na tydzień, co było bardzo dla niego dogodnie ze względu na ten mały samochód. Dwight Towers prawie co dzień bywał tam rano, ale on również nie siedział długo, mając do własnej dyspozycji środek lokomocji. W pewien poranek wezwał go do siebie admirał i z kamienną twarzą oświadczył, że absolutnie nie wypada, żeby naczelny dowódca floty wojennej Stanów Zjednoczonych nie miał samochodu. I tak to Dwight otrzymał w prezencie szarego Chevroleta z marynarzem Edgarem przy kierownicy. Jeździł tym Chevroletem przeważnie na obiad do klubu albo do Harkaway, gdzie chodził za wołem bronując nawóz, gdy marynarz widłami przerzucał kiszonkę.

Ostatnia dekada lipca upłynęła większości ludzi bardzo przyjemnie. Pogoda jak zwykle o tej porze roku była brzydka, wiały porywiste wiatry, prawie ciągle padał deszcz i panowały chłody, ale już zaczynano się wyzwalać z tak długo krępujących więzów. Koperty z tygodniówkami traciły wartość i znaczenie; jeśli tylko zajrzało się do zakładu pracy w piątek, prawie w każdym wypadku dostawało się pieniądze za ubiegły tydzień bez względu na to, czy się go przepracowało czy nie, i nawet pracując, roboty miało się niewiele. U rzeźnika w kasie przyjmowano pieniądze, ale też i zbytnio nie ubolewano, gdy ktoś nie zapłacił, toteż mięso, jeśli było, brało się po prostu za darmo. Jeśli nie było, szło się do innego rzeźnika i jeszcze do innego, aż w końcu gdzieś się trochę znajdowało. Cały dzień czasu wolnego miało się przecież na takie sprawy.

Wysoko w górach narciarze do woli jeździli na nartach zarówno w dni powszednie, jak w niedziele. Mary i Peter Holmesowie w swoim małym ogródku założyli nowe klomby i otoczyli warzywnik płotem, przy którym posadzili dzikie wino mające go całkowicie osłonić. Nigdy dotąd nie mieli tyle czasu na ogrodnictwo i wprowadzanie tak istotnych zmian.

- Przepięknie tu będzie - z zadowoleniem powtarzała Mary. - To będzie

najładniejszy ogród tej wielkości w całym Falmouth.

W miejskim garażu John Osborne pracował nad Ferrari zawsze z pomocą gromadki zapalonych amatorów. Grand Prix Australii był w owym czasie najważniejszym wyścigiem samochodowym na półkuli południowej i już zdecydowano przesunąć w tym roku jego datę z września na siedemnastego sierpnia. Dawniej odbywało się to w Melbourne w parku Alberta, dającym się z grubsza porównać do Parku Centralnego w Nowym Jorku albo do Hyde Parku w Londynie. Organizatorzy woleliby, żeby i tym razem ten wyścig, już ostatni w historii, odbył się w parku Alberta, ale trudności były nie do przewyciężenia. Wiedziano od pierwszej chwili, że za mało znajdzie się stróżów porządku i brak będzie robotników na to, by zapewnić najbardziej choćby podstawowe środki ostrożności dla bezpieczeństwa tych tłumów, tych stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi, których przybycia należało się spodziewać. Nikt zbyt nie przejmował się perspektywą, że któryś z samochodów wyskoczy z toru i zabije kilku widzów, po czym - rzecz nieunikniona w wyniku takiego precedensu - zezwolenie na wyścigi w parku w latach następnych zostanie cofnięte. Wydawało się jednak nieprawdopodobne, by dosyć było policji, która by usuwała publiczność z toru i z drogi nadjeżdżających samochodów, a chyba żaden z tych kierowców wyścigowych nie chciałby wjechać prosto w tłum z szybkością stu dwudziestu mil na godzinę. Przy takiej szybkości te samochody są delikatne i zderzenie choćby z jedną osobą uniemożliwiłoby dalszy udział w wyścigu. Z żalem więc uznano, że ubieganie się o Grand Prix Australii byłoby w parku nie wykonalne, wobec czego wyścig trzeba przenieść na tor w Tooradin.

Siłą rzeczy cała ta impreza stała się imprezą tylko dla zawodników; wobec trudności z dojazdem nikt nie wątpił, że bardzo niewiele osób przejedzie te czterdzieści mil z miasta, żeby oglądać wyścig. A przecież dość niespodziewanie liczba zawodników wzrosła ogromnie. Każdy z Victorii i z południa Nowej Południowej Walii, kto tylko miał szybki wóz, nowy czy stary, zapisał się chyba do wzięcia udziału w tym ostatnim wyścigu o Grand Prix Australii, bo ogółem zgłoszono dwieście osiemdziesiąt samochodów. Aż tyle nie mogłoby się ścigać jednocześnie, już nie mówiąc o tym, że szansę byłyby krzywdząco nierówne, więc przez dwie niedziele pod rząd przed owym wielkim dniem

trwały gorączkowe eliminacje dla poszczególnych klas. Stając do zawodów eliminacyjnych wyciągano losy, tak że John Osborne znalazł się w jednej grupie z trzylitrowym Maserati, prowadzonym przez Jerrego Collinsa, z dwoma Jaguarami, jednym Thunderbirdem, dwoma klasykami marki Bentley oraz z niezwykle podobno szybką maszyną, którą zbudował i prowadził młody lotnik mechanik, niejaki Sam Bailey, i która miała moc trzystu koni mechanicznych i bardzo ograniczone pole widzenia przez przednią szybę, stanowiąc wręcz przerażające połączenie podwozia Lotusa z silnikiem rozbitego samolotu Gipsy-Queen.

Nieliczni widzowie rozstawili się tu i ówdzie przy tym dalekim od miasta trzymilowym torze. Dwight Towers przyjechał swym służbowym Chevroletem, zabierając po drodze Moirę oraz Petera i Mary Holmesów. Tego dnia miały się odbyć zawody eliminacyjne pięciu klas, poczynając od samochodów najmniejszych, przy czym każdy wyścig był na pięćdziesiąt mil. Zanim skończył się pierwszy, organizatorzy zamówili błyskawiczną rozmowę z Melbourne, żeby prosić o przysłanie jeszcze dwóch ambulansów, gdyż dwa już przydzielone okazały się niewystarczające.

Przede wszystkim tor był mokry od deszczu, chociaż w czasie pierwszego wyścigu właściwie już nie padało. Sześć Lotusów współzawodniczyło z ośmioma Cooperami i pięcioma M.G., z których jeden prowadziła dziewczyna, panna Fay Gordon. Tor miał około trzech mil długości. Długa prosta z punktem napraw w połowie drogi zbaczała lekko z lewej strony do szerokiego zakrętu, będącego w istocie półkolistym brzegiem niedużego jeziora; był to tak zwany Zakręt nad Jeziorem. Następny był Róg Haystack, zakręt w prawo pod kątem około stu dwudziestu stopni, dosyć ostry, i dalej Agrafka, zawrotna serpentyna z wręcz karkołomnym zakrętem na szczycie pagórka, tak że ledwie się wjechało pod górę, zjeżdżało się na łeb na szyję znowu w dół. Potem się zawracało odcinkiem krętym, ale umożliwiającym bardzo szybką jazdę, aż do zakrętu w lewo, który wiódł przez strome wzgórze do ostrego zakrętu w prawo, zwanego Poślizgiem. Stamtąd długi, łagodny zakręt znów w prawo prowadził z powrotem na odcinek końcowy.

Od początku pierwszych zawodów eliminacyjnych było oczywiste, że to będzie

wyścig niezwykle. Wrzaski, z jakimi się rozpoczął, wskazywały na to, że zawodnicy nie mają zamiaru oszczędzać ani swoich silników, ani swoich rywali, ani siebie samych. Jakimś cudem pierwsze okrążenie przejechały wszystkie wozy, zaraz jednak zaczęły się kłopoty. Jeden z M.G. tak zarzuciło na Rogu Haystack, że wyleciał z szosy i przez niskie zarośla popędził po wybojach daleko od toru. Kierowca przyhamował, skręcił, nie zatrzymując się, i powrócił na tor. Nadjeżdżający właśnie jeden z Cooperów zboczył, żeby uniknąć zderzenia z tym M.G., ale tylko zrobił młynka na mokrej nawierzchni i został gruchnięty celnie w sam środek przez innego Coopera jadącego za nim. Pierwszy kierowca poniósł śmierć na miejscu, oba samochody zamieniły się w stos powyginanego żelastwa na skraju szosy, a drugi kierowca wylądował kawałek dalej na ziemi ze złamanym obojczykiem i obrażeniami wewnętrznymi. Tymczasem kierowca tamtego M.G., mijając ten róg przy drugim już okrążeniu, zastanowił się szybko, co mogło spowodować taką katastrofę.

Przy piątym okrążeniu jeden z Lotusów prześcignął Fay Gordon już za połową odcinka końcowego i wpadł w poślizg na mokrej szosie, biorąc Zakręt nad Jeziorem o trzydzieści jardów przed nią. Inny Lotus mijał ją z prawej strony; mogła jedynie zboczyć w lewo. Wyleciała z toru, jadąc z szybkością dziewięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, przejechała wąski pas ziemi przed jeziorem i chociaż rozpaczliwie usiłowała zboczyć w prawo, i powrócić na tor, przewaliła się w zaroślach i stoczyła do wody. Gdy wielki tuman pyłu wodnego opadł, jej przewrócony M.G. znajdował się o dziesięć jardów od brzegu i jedynie tylne koła wystawały nieco z wody. Dopiero w pół godziny później brodzący przy brzegu ratownicy zdołali odwrócić ten nieduży samochód i wyciągnąć zwłoki.

Przy trzynastym okrążeniu trzy samochody wpadły na siebie przed zakrętem zwanym Poślizgiem i doszczętnie spłonęły. Dwaj z tych kierowców odnieśli tylko lekkie rany, trzeciego z obiema nogami połamanymi udało się uratować w ostatniej chwili, zanim ogarnęły go płomienie. Z dziewiętnastu zawodników, którzy wystartowali, zaledwie siedmiu ukończyło wyścig, z czego dwóch pierwszych zakwalifikowano do ubiegania się o Grand Prix.

Gdy machnięciem kratkowanej chorągiewki zaznaczono finisz zwycięzcy, John

Osborne zapalił papierosa.

- Gry i zabawy - powiedział. Jego wyścig miał być tego dnia ostatni.

Peter rzekł w zadumie:

- Oni z pewnością ścigają się po to, żeby wygrać...

- No oczywiście - przytaknął fizyk. - I takie właśnie powinny być wyścigi. Jeżeli się oberwie, to przecież i tak nie ma się nic do stracenia.

- Poza tym, że Ferrari może się rozbić.

- Tak - powiedział John Osborne. - Byłoby mi bardzo przykro rozbić go.

Drobny deszcz zaczął na nich padać i znów tor był mokry. Dwight Towers stał z Moirą na uboczu.

- Wsiądź do samochodu - powiedział. - Zmokniesz, kochanie.

Nie ruszyła się.

- Chyba oni nie będą mogli jechać w tym deszczu? - zapytała. - Po tych wszystkich wypadkach?

- Nie wiem - rzekł Dwight. - Ale wydaje mi się, że mogą. Ostatecznie tor jest jednakowo mokry dla wszystkich. Nie muszą jechać tak prędko, żeby aż wpadać w poślizg. A jeżeli zaczną czekać z tym na jakiś dzień bezdeszczowy, w tej porze roku, no... to ich czekanie mogłoby być dłuższe niż czas, jaki przed sobą mają.

- Ależ to straszne - zaprotestowała. - W pierwszym wyścigu dwóch zabitych i chyba z siedmiu rannych. Oni nie mogą jechać w ten sposób. Zupełnie jak rzymscy gladiatorzy czy bo ja wiem, co...

Milczał przez chwilę stojąc w deszczu.

- Niezupełnie - rzekł wreszcie. - Nie mają publiczności. Nie potrzebują tak się popisywać. - Rozejrzył się wokół. - Oprócz kierowców i personelu chyba nie ma tu więcej niż pięćset osób. I nie pobierano żadnych opłat przy bramie. Oni to robią, bo chcą to robić, moja droga.

- Nie wierzę.

Uśmiechnął się do niej.

- Idź tam do Johna Osborne'a i zaproponuj mu, żeby wykreślił swojego Ferrari i



wrócił do domu. - Gdy milczała, dodał: - Chodźmy do samochodu, dam ci koniaku z wodą sodową.

- Bardzo mało, Dwight - poprosiła. - Jeżeli już mam patrzeć na to, wolę być trzeźwa.

W czasie następnych dwóch eliminacji rozbiło się dziewięć samochodów, czterech kierowców odniosło rany, ale zabił się tylko jeden, kierowca tego Austin-Healeya, który znalazł się pod czterema spiętrzonymi samochodami na zakręcie Agrafki. Padał teraz bardzo drobny, mglisty kapuśniaczek, bynajmniej nie przysnuwając mgłą ducha zawodników. John Osborne odszedł od przyjaciół przed ostatnim wyścigiem i na paddocku siedział już w swym Ferrari, zagrzewając silnik pod okiem mechaników. Zadowolony wysiadł wkrótce potem z samochodu, zapalił papierosa i zaczął rozmawiać z innymi zawodnikami, mającymi wziąć udział w tym wyścigu. Don Harrison, kierowca jednego z Jaguarów, stał ze szklanką whisky w ręce i miał jeszcze kilka szklanek i dwie butelki na wyróconej skrzynce u swego boku; poczęstował Johna, ale John odmówił.

- Nie mogę wam dawać żadnych forów, krokodyle - rzekł z uśmiechem. Chociaż miał samochód prawdopodobnie najszybszy na tym torze, miał też chyba najmniej doświadczenia wśród wszystkich tych kierowców. Wciąż jeszcze przylepione na tyle jego Ferrari trzy kawałki plastra oznaczały, że jest nowicjuszem; i wciąż jeszcze zdawał sobie sprawę, że nie potrafi instynktownie ustrzec się przed wpadnięciem w poślizg. Za każdym razem był wtedy zdezorientowany i zaskoczony. Nie wiedział jednak, że nie różnił się tym od innych kierowców na tych mokrych nawierzchniach; oni też nie przywykli do jazdy w takich warunkach i już samo to, że on liczył się ze swym brakiem doświadczenia, mogło być lepszą ochroną niż ich pewność siebie.

Gdy obsługa wytoczyła jego samochód na linię startu, znalazł się w drugim rzędzie za Maserati, tymi dwoma Jaguarami i Gipsy-Lotusem, przy sobie mając Thunderbirda. Usiadł mocno, głęboko w wozie, zwiększając obroty dla rozgrzania silnika, zapiął pasy bezpieczeństwa, włożył porządnie hełm i okulary. Myślał tylko o jednym: - Tutaj się zabiję. To lepsze niż wymiotować do samej śmierci, umrzeć w mdłościach i cierpieniach za niecały miesiąc. Wolę pojechać jak szatan, skończyć życie robiąc to, co

zawsze pragnąłem robić. Z rozkoszą trzymał wielką kierownicę, łomotanie rury wydechowej było muzyką dla jego uszu. Odwrócił się i uśmiechnął promiennie, beztrząsco do swoich mechaników, po czym wlepił wzrok w startera.

Gdy chorągiewka opadła, wystartował należycie i od razu, jeszcze na trzecim biegu, wyskoczył przed Gipsy-Lotusa, przy czym Thunderbird został daleko poza nim. Zakręt nad Jeziorem wziął prawie tuż za dwoma Jaguarami, jechał jednak po tej mokrej szosie ostrożnie i pamiętał, że ma przed sobą jeszcze siedemnaście okrążeń. Czasu będzie dość, żeby ryzykować przy ostatnich pięciu okrążeniach. Trzymał się Jaguarów za Rogiem Haystack i za Agrałką i przezornie przyhamował na krętym odcinku zwrotnym. Zdawałoby się, niemal bez trudu minął go z prawej strony Gipsy-Lotus, z rykiem i traskiem ochlapując go błotem, i Sam Bailey pochylony nad kierownicą pędził dalej na złamanie karku jak wariat.

Trzeba było wytrzeć okulary, więc John Osborne zwolnił i został z tyłu. Gipsy-Lotus zataczał się od skraju do skraju szosy, ujarzmiany tylko błyskawicznym refleksem swego młodego kierowcy. Sam ten widok pozwalał wyczuć nieszczęście nieomal emanujące z tego samochodu; lepiej było trzymać się na razie w tyle za nim i patrzeć, co będzie dalej. John Osborne szybko zerknął w lusterko: Thunderbird w odległości pięćdziesięciu jardów, Maserati go dogania. Jeszcze jest czas, żeby spokojnie wziąć zakręt zwany Poślizgiem, ale później trzeba już dodać gazu.

Wjeżdżając na końcowy odcinek pierwszego okrążenia zobaczył, że Gipsy-Lotus już jest przed jednym z Jaguarów. Minął punkt naprawy z szybkością sto sześćdziesiąt mil na godzinę i prześcignął drugiego Jaguara; teraz, gdy pomiędzy nim i Gipsy-Lotusem był ten Jaguar, poczuł się pewniejszy. Przed Zakrętem nad Jeziorem przyhamował i zahaczył wtedy w lusterku, że znacznie wyprzedził oba samochody, jeżeli uda się ten stan rzeczy utrzymać, będzie mógł, zachowując czwarte miejsce przez jedno czy dwa okrążenia, wciąż jeszcze brać zakręty spokojnie i ostrożnie.

Udawało się to aż do szóstego okrążenia. Wtedy już Gipsy-Lotus i pierwsze cztery samochody zdystansowały o całe jedno okrążenie jednego z Bentleyów. Za Poślizgiem nabierając szybkości spojrzął w lusterko i ujrzał na tym zakręcie coś, co wyglądało na

najstraszliwszą masakrę. Maserati i Bentley szepiły się bokami tarasując szosę, a Thunderbird, jak korek strzelający z butelki, wzbijał się w powietrze. John Osborne odwrócił wzrok. Przed nim na przedzie Gipsy-Lotus próbował zdystansować jednego z Bugatti, synchronizując swoje rozpaczliwe skręty to w lewo, to w prawo, przy szybkości stu czterdziestu mil na godzinę, tak żeby wykonać manewr konieczny dla wyminięcia Bugatti, ale wciąż nic z tego nie wychodziło. Oba Jaguary powściągliwie trzymały się w pewnej odległości z tyłu.

Gdy dojeżdżał znów do Poślizgu, stwierdził, że tej masakrze na zakręcie uległy tylko dwa samochody: Thunderbird, który leżał wywrócony o jakieś pięćdziesiąt jardów od toru, i Bentley, stojący dęba, z maską zmiażdżoną w wielkiej kałuży benzyny na szosie. Maserati najwidoczniej brał nadal udział w wyścigu. John Osborne wziął ten zakręt i rozpoczął ósme okrążenie w deszczu, który nagle zamienił się w ulewę. Teraz należało naprawdę dodać gazu.

Pomyślał o samochodach czołowych, gdyż na tym okrążeniu Gipsy-Lotus dał się wyprzedzić jednemu z Jaguarów, który skorzystał z widocznego zdenerwowania Sama Baileya w tym niepewnym samochodzie na zakręcie. Oba samochody prowadzące wyścig zdystansowały zaraz potem Bugatti i Bentleya. Drugi Jaguar zerwał się, żeby je wyminąć na Rogu Haystack; John Osborne trzymał się tuż za nim. To, co stało się w owej chwili, było sprawą dosłownie sekundy. Bugatti na zakręcie wpadł w poślizg i zderzył się z Bentleyem, który siłą odrzutu wpadł na nadjeżdżającego Jaguara, w wyniku czego Jaguar przetoczył się dwa razy i runął lewym bokiem na skraj szosy już bez kierowcy. John Osborne nie zdążył zahamować i niewiele miał czasu na to, by skrócić; Ferrari trzasnął w Bugatti dość lekko, przy szybkości około siedemdziesięciu mil na godzinę, i znieruchomiał za skrajem szosy z wygiętym przednim lewym kołem.

John Osborne, chociaż wstrząśnięty, żadnych obrażeń nie odniósł. Kierowca Jaguara, Don Harrison, który częstował go whisky przed wyścigiem, konał teraz, zmiażdżony, w zaroślach; wyleciał tam, gdy jego samochód przetoczył się i został przejechany przez Bentleya. Fizyk wahał się chwilę, ale wokoło byli ludzie; spróbował ruszyć Ferrari. Silnik zawarczał i samochód podjechał kawałek naprzód, ale wygięte koło tarło o ramę.

John Osborne odpadł więc przy eliminacji i nie mógł już ubiegać się o Grand Prix. Z ciężkim sercem czekał, dopóki Gipsy-Lotus nie przelawiruje koło miejsca katastrofy, a potem przeszedł na drugą stronę toru zobaczyć, w czym można by pomóc umierającemu Harrisonowi.

Jeszcze stał tam bezradny, gdy Gipsy-Lotus minął go znowu.

Stojąc w rzęsim deszczu dopiero po kilkunastu sekundach nagle sobie uświadomił, że pomiędzy tymi dwoma przejazdami Gipsy-Lotusa nie widział żadnych innych samochodów. Natychmiast rzucił się do swego Ferrari. Jeżeli istotnie tylko jeden samochód został na torze, to jeszcze jest szansa na Grand Prix; gdyby tylko zdołał dojechać do punktu naprawy, mógłby zmienić koło i zająć drugie miejsce. Ruszył powoli przed siebie, szamocząc się z kierownicą, podczas gdy deszcz spływał mu po karku i Gipsy-Lotus minął go po raz trzeci. Opona uszkodzonego koła pękła na zakręcie Poślizgu, gdzie sześć samochodów szczepionych ze sobą tworzyło jedną wielką masę, ale pojechał dalej przy krawędzi toru i ostatecznie dotarł do swoich mechaników, gdy Lotus minął go raz jeszcze.

Zmiana koła zajęła około trzydziestu sekund i po błyskawicznym przeglądzie okazało się, że uszkodzeń poza rozbiciem tablicy rozdzielczej jest niewiele. Znowu więc, chociaż spóźniony o kilka okrążeń, John Osborne brał udział w wyścigu i teraz dołączył się jeden Bugatti, który jakoś zdołał wyrwać się z kraksy na zakręcie Poślizgu. Ten Bugatti od początku nawet przez chwilę nie był groźnym rywalem, więc John Osborne pomimo jazdy już bardzo ostrożnej uzyskał drugie miejsce w zawodach eliminacyjnych i tym samym możliwość ubiegania się o Grand Prix. Z jedenastu zawodników, którzy wystartowali w tym wyścigu, nie ukończyło go ośmiu, przy czym trzech poniosło śmierć.

John Osborne wyprowadził swój samochód na paddock i wyłączył silnik, otoczony gronem mechaników i przyjaciół, którzy zbiegli się, żeby mu pogratulować. Prawie ich nie słyszał; palce mu dygotały po tym wielkim wysiłku i nerwowym napięciu. Coś się nadwerężyło czy przerwało; Ferrari mocno ścigał w lewo w końcowej fazie wyścigu. Za gromadką tłoczących się przyjaciół zobaczył ową przewróconą skrzynkę, przy której Don Harrison zaparkował przed startem swego Jaguara, na skrzynce szklanki i dwie butelki

whisky.

- Boże - powiedział, nie zwracając się właściwie do nikogo. - Wypiję to z Donem teraz.

Wysiadł z samochodu i chwiejnie podszedł do skrzynki; jedna z butelek jeszcze była prawie pełna. Chlusnął sporo whisky w szklanekę, dolał tylko odrobinę wody i nagle zobaczył Sama Baileya stojącego przy Gipsy-Lotusie. Napełnił drugą szklanekę i przepychając się przez gromadę zaniósł ją zwycięzcy.

- Piję to za Dona - oznajmił. - Pan też powinien wypić.

Młody człowiek wziął od niego szklanekę, skinął głową i wypił.

- Jak pan z tego wyszedł? - zapytał. - Widziałem, że był pan w tarapatach.

- Podjechałem, żeby zmienili koło - odrzekł fizyk ochryple. - W kierowaniu mój wóz teraz jest jak pijana świnia. Jak jakiś cholerny Gipsy-Lotus.

- Mój wóz chodzi doskonale - powiedział Sam Bailey nonszalancko. - Sęk tylko w tym, że nie chce być kierowany. Prowadzi pan swój z powrotem do miasta?

- Jeżeli dojedzie.

- Zwędzę ciężarówkę Dona. On już jej nie będzie potrzebował.

Fizyk wlepił w niego spojrzenie.

- To jest myśl...

Tamten nie żyjący już zawodnik przywiózł swego Jaguara na zawody starą ciężarówką, żeby w czasie dojazdu nie rozregulować specjalnie przygotowanego silnika. Ciężarówka stała niedaleko i nikt się nią nie interesował.

- Powinienem wsiąść do niej prędko, zanim ją złapie ktoś inny.

John Osborne wychylił swoją whisky i pędem wrócił do samochodu z tym nowym pomysłem, który zelektryzował całą jego ekipę. Wspólnie zebrali chętnych do pomocy i wkrótce potem Ferrari został wepchnięty po stalowych szynach na ciężarówkę i przywiązany linami. John Osborne rozejrzał się niepewnie. Zobaczył kogoś ze służby porządkowej właśnie przechodzącego w pobliżu i zatrzymał go.

- Są tu gdzieś mechanicy Dona Harrisona?

- Myślę, że wszyscy poszli na miejsce katastrofy. Wiem, że jest tam jego żona.

Zamierzał odjechać z Ferrari tą ciężarówką, bo Don ani jego Jaguar nie miał jej przecież już nigdy potrzebować. Ale pozostawienie załogi Dona i jego żony bez środka transportu z powrotem do Melbourne to już była inna sprawa.

Piechotą ruszył z Eddiem Brooksem, jednym ze swoich mechaników, w stronę Rogu Haystack. Już z daleka zobaczył gromadkę ludzi stojących w deszczu przy szczątkach tych samochodów, wśród nich jakąś kobietę. Zrazu chciał porozmawiać z mechanikami Dona, ale gdy zobaczył, że pani Harrison nie płacze, rozmyślił się i podszedł prosto do niej.

- Jestem kierowcą tego Ferrari - powiedział. - Bardzo mi przykro, proszę pani, że tak to się stało.

Skłoniła głowę.

- Pan nadjechał i uderzył w nich na samym końcu - powiedziała. - To nie miało już żadnego znaczenia.

- Wiem. Ale bardzo mi przykro.

- Nie ma powodu - rzekła ponuro. - On właśnie chciał, żeby się tak skończyło. Nie tą chorobą, nudnościami i wszystkim innym. Może gdyby nie wypił przedtem tyle whisky... nie wiem. On chciał, żeby właśnie tak się skończyło. Pan jest jednym z jego kumpli?

- Właściwie nie. Poczęstował mnie whisky przed wyścigiem, ale podziękowałem. Wypiłem ją teraz.

- Wypił pan? No, to zacnie z pana strony. Tak właśnie Don by chciał. Czy jeszcze trochę tam zostało?

Zawahał się.

- Była, kiedy stamtąd odchodziłem. Napił się Sam Bailey i ja się napiłem. Ale może chłopcy wykończyli te butelki.

Spojrzała na niego.

- Niech pan powie, chce pan coś? Jego samochód? Mówią, że już się nie nadaje. Rzucił okiem na rozbitego Jaguara.

- Chyba już nie. Nie, proszę pani, chciałem swój samochód zawieźć jego

ciężarówką do miasta. Kierownica mi wysiadła, ale doprowadzę go do porządku na Grand Prix.

- Został pan zakwalifikowany, prawda? To jest ciężarówka Dona, ale on by wolał, żeby ona przewoziła samochody, które jeżdżą, a nie wraki. Dobrze, kolego, niech pan ją weźmie.

Trochę go to zaskoczyło.

- Dokąd mam ją odstawić?

- Ja przecież nie będę jej używać. Niech pan ją weźmie dla siebie.

Przeszło mu przez myśl, żeby zaproponować jej pieniądze, ale zaraz to odrzucił; już nie pora na takie rzeczy.

- Bardzo pani jest dobra - powiedział. - Dla mnie to będzie ogromna różnica... taka ciężarówka do dyspozycji.

- Doskonale - rzekła. - Niech pan zaraz nią jedzie i życzę zdobycia Grand Prix. Jeżeli jakieś części mogą się panu przydać z tego... - wskazała szczątki Jaguara - proszę, niech pan je weźmie także.

- A pani czym dostanie się do miasta? - zapytał.

- Ja zaczekam i pojedę z Donem ambulansem. Ale podobno przedtem każdy z tych ambulansów ma jeszcze rannych do przewiezienia, więc pewnie my pojedziemy nie wcześniej niż około północy.

Wydawało się, że już nic dla niej nie można zrobić.

- Mógłbym zabrać jego mechaników?

Skinęła głową i zwróciła się do jakiegoś łysego grubasa mniej więcej pięćdziesięcioletniego. Odwołał na bok dwóch młodych chłopców, żeby wrócili z Johnem.

- Alfie, ten tutaj zostanie ze mną, żeby załatwić rozliczenie - rzekła pani Harrison pośpiesznie. - Niech pan zaraz jedzie i niech pan zdobędzie Grand Prix.

Odszedł do Eddiego Brooksa i krótko porozmawiał z nim w nieustannym deszczu.

- Gumy tej samej wielkości co nasze. Koła są inne, ale gdybyśmy wzięli również i felgi... Ten Maserati rozbił się przy Poślizgu. Moglibyśmy też go obejrzeć. Wydaje mi się, że tam w przodzie jest sporo części dobrych dla nas...

Wrócili obaj do swego nowego nabytku i tą ciężarówką przyjechali z powrotem na Róg Haystack, gdzie w dogasającym świetle dnia zajęli się nieco upiorną pracą, jaką było obdzieranie martwych rozbitych samochodów ze wszystkiego, co mogłoby się przydać w Ferrari. Było już ciemno, gdy to skończyli, i pojechali do Melbourne w deszczu.



## Rozdział ósmy

W ogrodzie Mary Holmes pierwszy narcyz zakwitł pierwszego sierpnia, owego dnia, gdy radio z bardzo sztucznym obiektywizmem podało wiadomość o wypadkach choroby popromiennej w Adelaide i Sydney. Mary szczególnie się tym nie przejęła; wszystkie wiadomości dziennika bywają złe: żądanie podwyżki płac, strajki, wojny, więc osoba mądra nie powinna na to zwracać uwagi. Istotne znaczenie ma fakt, że jest piękny słoneczny dzień i że pierwszy narcyz już kwitnie, a za narcyzem jaśnieją złotawe pączki żonkilów.

- To będzie jak na obrazku - cieszyła się Mary. - Szalenie ich dużo. Jak myślisz, Peter, z niektórych cebulek mogły wykiełkować po dwa pędy?

- Chyba nie - odpowiedział Peter. - Chyba one tak nie robią. Rozdzielają się, wiesz, cebulka na dwie cebulki, czy coś takiego.

Pokiwała głową.

- Będziemy musieli wykopać je na jesieni, kiedy przekwitną, i ułożyć oddzielnie. Rozmnożą się i posadzimy je także i *tutaj*. Za rok, dwa rozrosną się cudownie. -  
Zadumała się. - Wtedy będzie można je zrywać i mieć ich pełne wazonny w domu.

Coś ją jednak trapiło w ten słoneczny dzień; Jennifer, której wyrzynał się pierwszy ząbek, rączki miała ciepłe i popłakiwała. W domu była książka pod tytułem "Pierwszy rok niemowlęcia" i Mary już przeczytała, że to jest sprawa normalna i nie ma się czym denerwować, ale wątpliwości nie przestały jej dręczyć.

- Poważnie - rzekła - oni przecież nie mogą wiedzieć wszystkiego... ci, którzy piszą te książki. Zresztą nie u wszystkich dzieci przebiega to jednakowo. Czy ona powinna tak wciąż płakać? Jak myślisz, może wezwać doktora Hallorana?

- Chyba nie - odpowiedział Peter. - Ona gryzie sucharki zupełnie dobrze.

- Ale jest taka rozpalona, biedne moje jagniątko. Wzięła małą na ręce i zaczęła ją głaskać po pleckach;

Jennifer właśnie o to chodziło, więc przestała wrzeszczeć. Peter doznał wrażenia, że ta cisza jest wręcz głośna.

- Myślę, że nic jej nie jest - powiedział. - Po prostu ona potrzebuje towarzystwa. - Czuł, że już nie wytrzyma tego dłużej po niespokojnej nocy, gdy dziecko ciągle płakało i Mary raz po raz wychodziła z łóżka, żeby je utulać. - Słuchaj, kochanie - rzekł - strasznie mi przykro, ale muszę pojechać do ministerstwa. O jedenastej czterdzieści pięć mam zgłosić się u admirała.

- Więc tylko powiedz, co z tym doktorem. Czy jednakże nie powinien jej zbadać?

- Ja bym mu nie zawracał głowy. W książce przecież piszą czarno na białym, że ona może przez parę dni być nerwowa. No, ale to już u niej trwa od trzydziestu sześciu godzin. - "Na Boga, trwa" - pomyślał.

- Ale to mogłoby być coś innego... wcale nie ząbki. Rak albo coś. Ostatecznie ona nie potrafi nam powiedzieć, biedactwo, gdzie ją boli...

- Zaczekaj z tym do mojego powrotu - zdecydował. -

Powinienem wrócić koło czwartej, piątej najpóźniej. Wtedy zobaczymy, jak będzie się czuła.

- Dobrze - z niechęcią ustąpiła Mary.

Wziął kanistry na benzynę, ustawił je w samochodzie i pojechał do Melbourne rad, że wyrwał się z domu. Nie musiał tego dnia zgłaszać się w ministerstwie, ale uznał, że zajrzeć tam nie zaszkodzi, jeśli w ogóle ktokolwiek jeszcze urzęduje. "Skorpion", zwolniony z suchego doku, stał znów obok lotniskowca czekając na rozkazy, których nigdy już mogło nie być; tam również Peter postanowił zajrzeć i przy okazji, doprawdy tylko przy okazji, napełnić benzyną zbiornik Morrisa i kanistry.

W ten słoneczny poranek w biurze admirała urzędowała tylko jedna referentka z żeńskiej służby pomocniczej, sumienna, sztywna, w okularach. Oświadczyła, że spodziewa się przybycia porucznika Masona, sekretarza, lada chwila. Peter powiedział, że w takim razie wpadnie tu jeszcze raz, wyszedł z ministerstwa, wsiadł do Morrisa i pojechał do Williamstown. Zaparkował samochód w pobliżu lotniskowca i z kanistrami w rękach wszedł na kładkę, skinieniem głowy odpowiadając na salut oficera dyżurnego.

- Dzień dobry - powiedział. - Jest tu gdzie kapitan Towers?

- Chyba zszedł do "Skorpiona", panie poruczniku.

- Bo ja chcę nabrać trochę gazu.

- Załatwione, panie poruczniku. Niech pan zostawi te kanistry tutaj... Czy zbiornik napełnić także?

- Jeżeli można prosić...

Peter przeszedł przez zimny, rozbrzmiewający echem jego kroków, pusty okręt i kładką z drugiej strony dotarł do "Skorpiona".

Dwight Towers wyszedł właśnie na pomost. Peter mu zasalutował.

- Dzień dobry, panie kapitanie. Przyjechałem zobaczyć, co tu się dzieje, i wziąć sobie trochę benzyny.

- Benzyny jest mnóstwo - rzekł Amerykanin. - Natomiast dzieje się niewiele. I chyba więcej dzieć się nie będzie ani teraz, ani kiedykolwiek później. Przywiózł pan jakieś wiadomości dla mnie?

Peter potrząsnął głową.

- Wstąpiłem dziś po drodze do ministerstwa. Nie ma tam, zdaje się, nikogo oprócz jednej facetki.

- To ja miałem więcej szczęścia niż pan. Zostałem wczoraj w ministerstwie jakiegoś porucznika... Instytucja trochę podupada.

- Czasu już nie ma przed sobą nawet na to, żeby podupaść. - Opierali się o poręcz pomostu; Peter zerknął na kapitana. - Słyszał pan o Adelaide i o Sydney?

Dwight przytaknął.

- Oczywiście. Najpierw to była kwestia miesięcy, potem tygodni, a teraz, powiedziałbym, że ogranicza się do dni. Na długo jeszcze oni to wyliczają?

- Nie wiem. Chciałem gdzieś złapać dzisiaj Johna Osborne'a, żeby mi podał najświeższy komunikat.

- W pracowni go pan nie zastanie. On na pewno krząta się przy swoim samochodzie. No, to był jednak wyścig co się zowie.

Tak - rzekł Peter. - Wybierze się pan na następny... ten najważniejszy o Grand Prix? Ostatni już w historii świata, o ile wszystkim wiadomo. Więc to naprawdę będzie coś.

- No, trudno mi powiedzieć. Moirze ten poprzedni raczej się nie podobał. Myślę, że kobiety na wszystko patrzą inaczej. Na boks, na walki zapaśnicze. Wraca pan teraz samochodem do Melbourne?

- Chciałem... chyba że jestem tu panu potrzebny, panie kapitanie.

- Nie jest mi pan potrzebny. Nic tutaj nie robimy. Zamienię się teraz w autostopowicza i poproszę pana o podwiezienie do miasta. Mój marynarz Edgar jakoś nie pokazał się dzisiaj ze służbową limuzyną; pewnie on też podupada. Jeżeli pan może zaczekać dziesięć minut, dopóki się nie przebiorę, pojedę z panem.

W czterdzieści minut później rozmawiali z Johnem Osborne w garażu. Ferrari wisiał z przodem uniesionym wysoko na łańcuchach, systemem blokowym przymocowanych do stropu, i przednią część i urządzenie sterowe miał rozmontowane. John w kombinezonie pomagał mechanikowi; utrzymywał jednak swój samochód w tak nieskazitelnej czystości, że ręce miał teraz tylko trochę przybrudzone.

- To naprawdę szczęście, że zdobyliśmy te części Maserati - powiedział z powagą. - Jedno z zawieszek koła miałem pogięte jak diabli. Ale te zwrotnice są takie same: musieliśmy tylko wywiercić w nich trochę większe otwory, żeby wprasować nowe tulejki. Wolałbym go nie brać na te zawody, gdyby trzeba było rozgrzewać stare zawieszenia i młotem je prostować. No, bo przecież nigdy nie wiadomo, co się może stać po takiej naprawie.

- Ja bym powiedział, że nie wiadomo, co się może stać i bez tego na takich wyścigach - zauważył Dwight. - Kiedy jest Grand Prix?

- Klóć się z nimi o to - odrzekł fizyk. - Wyznaczyli na sobotę za dwa tygodnie, to znaczy siedemnastego, ale moim zdaniem to za późno. Moim zdaniem, to powinno się odbyć w sobotę za tydzień... dziesiątego.

- Bo się już zbliża, prawda?

- Ja myślę, że tak. Ostatecznie już stwierdzono wypadki w Canberze.

- O tym nie słyszałem. W radiu podawali, że w Adelaide i Sydney.

- Informacje radiowe zawsze są spóźnione co najmniej o trzy dni. Żeby nie wywoływać niepokoju i zniechęcenia, dopóki tylko się da. Ale dziś jest jeden podejrzany

wypadek w Albury.

- W Albury? To zaledwie około dwustu mil stąd na północ.

- Właśnie. Dlatego uważam, że w sobotę za dwa tygodnie będzie już za późno.

Peter zapytał:

- Więc ile, John, nam zostało czasu według ciebie? Fizyk spojrzał na niego.

- Ja to już mam. Ty to już masz, wszyscy to mamy, ten klucz francuski... wszystko już zaczyna przechodzić pyłem radioaktywnym. Powietrze, którym oddychamy, woda, którą pijemy, sałata, którą jemy, nawet boczek i jajka. To już tylko zależy od wytrzymałości organizmu. Wcale nie jest wykluczone, że u niektórych mniej odpornych objawy mogą wystąpić już za dwa tygodnie. Albo i wcześniej. - Umilkł na chwilę. - Więc uważam, że to wariactwo odkładać taki ważny wyścig jak Grand Prix aż do siedemnastego. Będzie zebranie komitetu wyścigowego dziś po południu i powiem im bez ogródek. Cóż to byłby za wyścig, gdyby połowa zawodników wymiotowała i miała biegunkę. Siłą rzeczy Grand Prix zdobyłby po prostu ktoś, kto jest najbardziej odporny na promieniowanie. No, przecież nie taki jest cel wyścigów!

- Pewnie - powiedział Dwight.

Umówił się na obiad z Moirą Davidson, wkrótce więc pożegnał się i wyszedł z garażu. John Osborne zaprosił Petera do Klubu Pasterskiego. Wytarł ręce czystą szmatą, zdjął kombinezon, zamknął garaż na klucz, po czym pojechali do klubu Morrisem.

W drodze Peter zapytał:

- Jak się miewa twój wujaszek?

- Znacznie już uszczuplił zapasy portwejn, on i jego kompani - powiedział fizyk. - Nie czuje się już tak dobrze, rzecz jasna. Chyba zobaczymy go na obiedzie; przyjeżdża teraz prawie co dzień. Oczywiście łatwiej mu, odkąd może znów używać swego samochodu.

- Skąd bierze benzynę?

- Bóg jeden wie. Z magazynów armii, przypuszczam. Skąd wszyscy biorą w tych czasach benzynę? Myślę, chociaż głowy bym nie dał, że on wytrzyma ten kurs. Portwejn

prawdopodobnie mu pozwoli przeżyć większość z nas.

- Portwejn?

- Właśnie. Alkohol zażywany do wewnątrz najwyraźniej zwiększa wytrzymałość na promieniowanie. Nie wiedziałeś o tym?

- Chcesz powiedzieć, że każdy, kto się zamarynuje, wytrzyma dłużej?

- O kilka dni. Jeśli chodzi jednak o wuja Douglasa, na dwoje babka wróżyła: nie wiadomo, co go zabije. W zeszłym tygodniu myślałem, że portwejn bierze górę, ale wczoraj, kiedy się z nim widziałem, wyglądał dość dobrze.

Zaparkowali Morrisa i weszli do klubu. Sir Douglasa Froude w ten chłodny dzień zastali na oszklonej werandzie. Popijając kseres, rozmawiał z dwoma starymi przyjaciółmi. Z trudem spróbował wstać, gdy zobaczył Johna i Petera, ale na prośbę Johna zrezygnował.

- Już się nie ruszam tak dziarsko jak dawniej - wyjaśnił. - No, przystawcie sobie krzesła i napijcie się kseresu. Zmniejszyliśmy zapas tego Amontilado do pięćdziesięciu butelek. Naciśnij ten dzwonek tutaj.

John Osborne zadzwonił i obaj z Peterem przysiedli się do stolika.

- Jak się wuj czuje?

- Nie za dobrze, nie za dobrze. Mój lekarz zapewne miał rację. Powiedział, że jeśli wrócę do moich dawnych przyzwyczajeń, nie pożyję dłużej niż parę miesięcy, no i rzeczywiście nie pożyję. Ale on też nie pożyję ani wy też nie. - Zachichotał. - Słyszałem, że wygrałeś ten wyścig automobilowy, na który się zapisałeś.

- Ja nie wygrałem... byłem drugi. Ale zakwalifikowałem się dzięki temu do Grand Prix.

- No, tylko nie skreć karku. Chociaż niezupełnie jestem pewny, czy to nie wszystko jedno, jeżeli kark skrećisz. Powiedz mi, ktoś mówił, że to już doszło do Cape Town. Prawdę mówił, uważasz?

Siostrzeniec skinieniem głowy potwierdził.

- Owszem. Od kilku dni to się tam rozszerza. Ale nadal utrzymujemy z Cape Town łączność radiową.

- A więc oni przed nami?

- Tak jest.

- Czyli cała Afryka jest albo będzie wykończona, zanim to dojdzie do nas?

John Osborne uśmiechnął się.

- Lada moment będzie. Wygląda na to, że już za tydzień może Afryki nie być. -

Umilkł. - Koniec, zdaje się, następuje w dość szybkim tempie, o ile my w ogóle możemy coś na ten temat twierdzić. Trochę nam trudno, bo z miejscowościami, gdzie większość ludzi już nie żyje, wszelka łączność zazwyczaj się urywa, więc niezupełnie wiadomo, co tam się dzieje. Wszystko wtedy ustaje, usługi wszelkiego rodzaju i dostawy żywności. Więc ci pozostali ludzie chyba wymierają już naprawdę szybko... Ale, jak mówię, w istocie nie wiemy, co tam się dzieje... na samym końcu.

- No, ja uważam, że to lepiej - rzekł z mocą generała. - I tak dowiemy się dosyć wcześnie. - Po chwili milczenia powiedział: - A więc już po Afryce. Dobre czasy tam przeżywałem przed pierwszą wojną światową, kiedy byłem młodszym oficerem. Ale nigdy mi się nie podobał ten ich *apartheid*... Czy to znaczy, że my będziemy ostatni?

- Niezupełnie - odpowiedział siostrzeniec. - Będziemy ostatnim wielkim miastem. Są już wypadki w Buenos Aires i w Montevideo; jeden czy dwa już stwierdzono w Auckland. Po nas Tasmania może przetrwać jeszcze ze dwa tygodnie i Południowa Wyspa Nowej Zelandii. Ostatnimi ze wszystkich, którzy umrą, będą Indianie w Tierra del Fuego.

- A Antarktyda? Fyzyk potrząsnął głową.

Tam nie ma teraz nikogo, o ile nam wiadomo. Oczywiście - dodał z uśmiechem - to wcale nie jest koniec życia na ziemi. Tak pojmować tego nie należy. Życie będzie trwało w Melbourne jeszcze długo po naszej śmierci.

Wszyscy wlepili w niego oczy.

- Czyje życie? - zapytał Peter.

- Królików. - John Osborne uśmiechnął się od ucha do ucha. - To są najodporniejsze stworzenia, jakie znamy.

Generał wyprostował się na krześle, zaczerwieniony z gniewu.

- Chcesz przez to powiedzieć, że króliki będą żyły dłużej niż my, ludzie?

- Otóż to. Mniej więcej o rok dłużej. Mają prawie dwa razy większą odporność niż my. Więc w przyszłym roku po Australii będą biegać króliki, wyjadając naszą żywność.

- Powiadasz, że jakieś cholerne króliki nas ostatecznie przetrzymają? Będą żyć i brykać, kiedy my dawno już pomrzemy?

John Osborne przytaknął.

- I psy nas przeżyją. Myszy przetrwają znacznie dłużej, ale przecież nie aż tak długo, jak króliki. O ile możemy przewidzieć, królik pobije wszystkich... królik będzie ostatni. - Urwał. - W końcu one też wyginą, oczywiście. U schyłku przyszłego roku nie zostanie nic żywego.

Generał rozparł się wygodniej.

- Króliki! Po tym wszystkim, cośmy zrobili, z takim nakładem kosztów je tępiąc... mamy umrzeć ze świadomością, że wygrają w końcu króliki! - Zwrócił się do Petera. - Będzie pan tak łaskaw i naciśnie ten dzwonek, który jest przy panu. Zamówię sobie koniak z wodą sodową, zanim wejdę do sali na obiad. Wszyscy powinniśmy wypić koniak z wodą, kiedy takie rzeczy tu słyszymy.

Moira Davidson i Dwight zajęli w restauracji stół w kącie i wybrali sobie potrawy. Gdy kelner odszedł, Moira zapytała:

- Co cię trapi, Dwight? Bawił się widelcem.

- Nic właściwie.

- Powiedz. Podniósł głowę.

- Dowodzę jeszcze jednym okrętem... okrętem podwodnym Stanów Zjednoczonych "Miecznik" w Montevideo. Robi się już w tamtych stronach gorąco. Przed trzema dniami zapytałem kapitana "Miecznika" przez radio, czy uważa za celowe odpłynąć stamtąd i doprowadzić ten okręt tutaj.

- I co on powiedział?

- Powiedział, że nie. Związki z wybrzeżem, tak to nazwał. Dziewczęta, taka sama sprawa, jak ze "Skorpionem". Powiedział, że spróbowałby przyplłynąć, gdyby to było konieczne, ale zostawiłby wtedy połowę swojej załogi. - I znów Dwight podniósł głowę. -



W takim razie doprowadzenie tu "Miecznika" nie miałoby przecież celu. Okręt nie nadawałby się do operacji.

- Więc powiedziałeś mu, żeby tam został? Dwight zawahał się.

- Tak - rzekł po dłuższej chwili. - Wydałem mu rozkazy, żeby wypłynął "Miecznikiem" poza dwunastomilowy obszar terytorialny i zatopił go na pełnym morzu, w głębokiej wodzie. - Przez chwilę milczał wpatrzony w zęby widelca. - Nie wiem, czy postąpiłem słusznie - rzekł. - Pomyślałem, że tego właśnie by sobie życzyło moje Ministerstwo Marynarki Wojennej... nie zostawiać takiego okrętu ze sprzętem najwyższej klasy, żeby obijał się w porcie obcego kraju. Nawet gdyby tam już nie było nikogo. - Spojrzał na Moirę. - A więc flota wojenna Stanów Zjednoczonych staje się jeszcze mniejsza. Były dwa okręty, jest jeden.

Długo siedzieli bez słowa.

- Czy to samo zrobisz ze "Skorpionem"? - zapytała w końcu Moira.

- Myślę, że tak. Chciałbym go zabrać z powrotem do Stanów Zjednoczonych, ale to w praktyce niewykonalne. Zbyt wiele związków z wybrzeżem, jak on się wyraził.

Kelner podał obiad.

- Dwight - rzekła Moira, gdy odszedł. - Wpadł mi do głowy pomysł.

- Jaki pomysł, kochanie?

- Sezon pstrągów rozpoczyna się w tym roku wcześniej. W przyszłą sobotę. Może chciałbyś mnie zabrać na sobotę i niedzielę w góry? - Z bladym uśmiechem dorzuciła: - Na połów, Dwight... na połów ryb. W żadnym innym celu. Tam jest ślicznie nad rzeczką Jamieson.

Nie był zdecydowany.

- Ale to przecież w tę sobotę będzie Grand Prix, jeżeli John Osborne postawi na swoim.

Przytaknęła.

- Tak myślałam. Wolisz oglądać ten wyścig? Potrząsnął głową.

- A ty?

- Nie. Ja już nie chcę patrzeć, jak ludzie się zabijają. Dostyc będzie różnych

widoków za tydzień albo dwa tygodnie.

Też tak uważam. Nie chcę oglądać wyścigu, widzieć może, jak John będzie umierał. Wolę jechać na ryby. - Zerknął na nią i spojrzenia ich nagle się spotkały. - Jedna tylko rzecz, kochanie. Nie chciałbym tam jechać, gdybyś w rezultacie miała się poczuć dotknięta.

- Na pewno nie - zaprotestowała. - Nie z tego powodu, jaki masz na myśli.

Utkwił wzrok gdzieś w pustce ponad zatłoczoną restauracyjną salą.

- Wkrótce wracam do domu - powiedział. - Nie było mnie tam długo, ale to już się kończy. Wiesz, jak to jest. Mam w domu żonę, którą kochani i wobec której byłem uczciwy przez całe te dwa lata rozłąki. Nie chciałbym psuć tego teraz w ciągu ostatnich kilku dni.

- Wiem - rzekła. - Przez cały czas wiedziałam. - Zamilkła na długą chwilę, a potem oświadczyła: - Jesteś dla mnie bardzo dobry, Dwight. Nie wiem, do czego by doszło, gdybyś ty się nie zjawił. Chyba pół bochenka chleba jest lepsze niż nic, kiedy umiera się z głodu.

Zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, kochanie.

- Nieważne. Nie chciałabym *zaczynać* jakiegoś nieczystego romansu na tydzień czy dziesięć dni przed śmiercią. Ja też mam pewne zasady... przynajmniej teraz.

Uśmiechnął się do niej.

- Moglibyśmy wypróbować wędkę Juniora...

- Przypuszczałam, że zechcesz to zrobić. Mam lekką niedużą wędkę i zabrałabym ją ze sobą, ale ja kiepsko łowię.

- Masz jakieś muszki czy błyszczki?

- My je nazywamy wrzutki. Nie jestem pewna. Będę musiała rozejrzeć się i poszukać w domu.

- Pojedziemy tam samochodem, prawda? Czy to daleko?

- Chyba należałoby wziąć benzynę na jakieś pięćset mil. Ale tym się nie martw.

Pytałam tatusia, ewentualnie pożyczylby mi Customline'a. Tatuś już znowu nim jeździ i

ma prawie sto galonów benzyny schowanych w szopie pod sianem.

Dwight znów się uśmiechnął.

- Myślisz naprawdę o wszystkim. Gdzie się zatrzymamy?

- Chyba w hotelu - powiedziała. - To tylko mały wiejski hotelik, ale uważam, że tak będzie najlepiej. Mogłabym się postarać o któryś z domków, nikt tam jednak nie mieszkał od dwóch lat, więc prawie cały czas spędzilibyśmy na czynnościach gospodarskich.

Zadzwoń do tego hotelu i zarezerwuj... dwa pokoje - zaznaczyła.

- Świetnie. Będę musiał upolować mojego starszego marynarza Edgara i dowiedzieć się, czy mogę jeździć służbowym samochodem bez niego. Nie mam pewności, czy wolno mi prowadzić samemu.

To chyba już nie jest tak okropnie ważne? Chcę powiedzieć... mógłbyś po prostu wziąć ten samochód i poprowadzić. Potrząsnął głową.

- Tego bym wolał nie robić.

- Ależ, Dwight, dlaczego? To znaczy, dla nas bez różnicy... możemy jechać Customline'em. Ale skoro ten samochód jest do twojej dyspozycji, przecież wolno ci z niego korzystać. Za dwa tygodnie wszyscy umrzemy. Wtedy nikt go nie będzie używał.

- Wiem - powiedział Dwight. - Chodzi jednak o to, że chciałbym robić wszystko jak należy aż do końca. Jeżeli są jakieś zarządzenia, ja będę ich przestrzegał. Tak zostałem nauczony, dziecko, i już się nie zmienię. Jeżeli przepisy nie pozwalają na to, by oficer wziął służbowy samochód i sam go prowadząc pojechał w góry na weekend z dziewczyną, ja tego nie zrobię. Tak samo jak na pokładzie "Skorpiona" nie będzie ani kropli alkoholu nawet w ciągu ostatnich pięciu minut. - Uśmiechnął się. - Tak być musi, więc pozwól, że ci teraz postawię jeszcze jeden koniak.

- Widzę z tego, że trzeba jechać tam Customline'em. Bardzo z ciebie trudny człowiek... cieszę się, że nie jestem marynarzem odbywającym służbę pod twoim dowództwem. Nie. Koniaku już nie będę teraz piła, dziękuję ci, Dwight. Dziś po południu mam pierwszą próbę.

- Masz pierwszą próbę? Przytaknęła.

- Muszę pisać pod dyktando z szybkością pięćdziesięciu słów na minutę. Najpierw

stenografować, a potem przepisać to na maszynie i nie może być więcej błędów niż trzy w stenografii i trzy w maszynopisie. To wcale nie jest łatwe.

- Nie wątpię. Zaczynasz być doskonałą stenotypistką. Uśmiechnęła się smętnie.

- Nie przy pięćdziesięciu słowach na minutę. Stenotypistką, żeby być jako tako dobra, powinna pisać sto dwadzieścia słów na minutę. - Podniosła głowę. - Chciałabym kiedyś przyjechać do ciebie do Ameryki - powiedziała. - Poznać Sharon... gdyby ona chciała mnie poznać.

- Będzie chciała - zapewnił. - Powiedziałbym, że ona już teraz jest ci bardzo wdzięczna.

Ze słabym uśmiechem zauważyła:

- Nie wiem. Kobiety są dziwne, jeśli chodzi o mężczyzn... Gdybym przyjechała do Mystic, czy tam jest jakaś szkoła dla stenotypistek, w której mogłabym ukończyć mój kurs?

Zastanawiał się przez chwilę.

- W samym Mystic nie ma - odrzekł. - Ale jest wiele dobrych uczelni handlowych w Nowym Londynie. To tylko około piętnastu mil drogi.

- Więc przyjadę tylko na jedno popołudnie - powiedziała w zadumie. - Chcę zobaczyć, jak Helen skacze z tą laską. A później chyba lepiej będzie, jeżeli wrócę tutaj.

- Sharon byłaby bardzo zawiedziona, gdybyś jej to zrobiła, kochanie. Ona by cię chciała zatrzymać.

- *Tobie* się tak zdaje. Mnie jednak trzeba będzie o tym przekonać.

- Jestem pewny, że na takie sprawy ona będzie już patrzyła trochę inaczej.

Powoli skinęła głową.

- Możliwe. Chciałabym w to wierzyć. Zresztą i tak wkrótce się przekonamy. - Spojrzała na zegarek. - Muszę iść, bo spóźnię się na tę próbę. - Zabrała rękawiczki i torebkę. - Słuchaj, poproszę tatusia, żeby dał nam Customline'a i jakieś trzydzieści galonów benzyny.

Powiedział niezdecydowanie:

- Dowiem się, co z moim samochodem. Wolałbym od twojego ojca nie brać

samochoodu na tak długo i takiej dużej ilości benzyny.

- Samochód mu niepotrzebny - zaopiniowała. - Jest już na chodzie od dwóch tygodni, a tatuś nim jeździł może ze dwa razy. Za dużo rzeczy jest do zrobienia w gospodarstwie, dopóki jeszcze czas.

- Przy czym teraz pracuje?

- Ogradza las... ten czterdziestoakrowy. Wykopuje doły pod słupy, żeby postawić nowy płot. Długości około dwudziestu łańcuchów. To oznacza wykopanie prawie stu dołków.

- W Williamstown nie ma tyle do roboty. Mógłbym przyjeżdżać i pomagać, gdyby to mu odpowiadało.

- Dobrze - powiedziała. - Powiem mu. Zadzwońię do ciebie dziś wieczorem koło ósmej.

- Doskonale. - Odprowadził ją do drzwi. - Powodzenia na próbie.

Miał wolne całe to popołudnie. Po jej odejściu stanął na ulicy przed restauracją, nie wiedząc, czym się zająć. Bezczynność była dla niego czymś niezwykłym, czymś nieprzyjemnym. W Williamstown absolutnie żadna robota na niego nie czekała; na lotniskowcu panowała zupełna martwota, na jego okręcie podwodnym prawie martwota. Chociaż żadnych rozkazów nie otrzymał, wiedział, że "Skorpion" już nigdy nie popłynie w rejs; choćby dlatego, że teraz, gdy w Ameryce Południowej i w Południowej Afryce też skończyło się życie, płynąć nie było dokąd poza Nową Zelandią. Połowę załogi stale wypuszczał na urlop, tak żeby każdy z marynarzy mógł co drugi tydzień spędzić siedem dni, gdzie chciał; z pozostałej połowy tylko dziesięciu trzymał na służbie przy pracach konserwacyjnych i sprzątaniu "Skorpiona", a reszcie dawał codzienne przepustki na ląd. Żadnych sygnałów nie musiał załatwiać, bo żadnych już nie odbierano; raz w tygodniu podpisywał dla formy parę zapotrzebowań na takie czy inne materiały chociaż w to, co było potrzebne, zaopatrywano się z zasobów stoczni, pomijając papierkową robotę. Nie chciał tego uznać, a przecież wiedział, że życie zawodowe jego okrętu już się skończyło, tak samo jak jego własne. Nic nie mogło mu tego zastąpić.

Pomyślał o wybraniu się do Klubu Pasterskiego, ale odrzucił tę myśl; nie miałby w

klubie co robić. Zawrócił i skierował się do dzielnicy garaży i warsztatów samochodowych z nadzieją, że może jeszcze zastanie Johna Osborne'a, pracującego przy swoim Ferrari; mogłaby się tam znaleźć i dla niego interesująca praca. Do Williamstown powinien wrócić przed godziną ósmą, tak żeby odebrać telefon Moiry; to było najbliższe jego zobowiązanie. Pocieszała go perspektywa, że będzie mógł nazajutrz wyjechać, pomóc ojcu Moiry stawiać to ogrodzenie, i czekał już niecierpliwie na te mozoly i zajęcie.

Po drodze wstąpił w śródmieściu do sklepu z artykułami sportowymi i zapytał o muszki.

- Niestety, proszę pana - rzekł właściciel sklepu. - Nie mam już tego wcale. Zostało mi kilka haczyków, jeżeli pan potrzebuje. Wyprzedaliśmy wszystko w ciągu ostatnich paru dni, ponieważ sezon się rozpoczyna, a nowego towaru już nie będzie. No, tak jak powiedziałem do żony. To nawet pewna satysfakcja. Zmniejszyć przed końcem masę towarową do minimum. To lubią widzieć ci rewidenci ksiąg, chociaż wątpię, czy teraz będą się tym szczególnie interesowali. Cudacznie się nam ułożyło.

Szedł dalej przez dzielnicę handlową. W salonach samochodowych stały nadal samochody, w magazynach sprzętu rolniczego kosiarki, ale wystawy były brudne, drzwi sklepów zamknięte; towary za szybami pokryte kurzem i brudem. Na ulicach też było brudno, walały się papiery i zepsute warzywa; niewątpliwie od wielu dni ulic tych nie sprzątało. Tramwaje jeszcze jeździły, w całym jednak śródmieściu, pełnym śmieci i plugastwa, zaczynało cuchnąć; Amerykaninowi nasunęło się porównanie z jakimś miastem orientalnym w zaraniu dziejów. Deszcz trochę padał, niebo przysłaniały szare chmury; w paru miejscach ścieki uliczne się pozatykały i wokół nich wielkie kałuże rozlewały się po jezdni.

Doszedł na to podwórze i do otwartych drzwi garażu.

John Osborne pracował z dwoma mechanikami i Peterem Holmesem, który, bez oficerskiej kurtki, mył dziwne, tajemnicze części wyścigowego samochodu w nafcie, cenniejszej ostatnio niż rtęć. Panujący tam nastrój wesołej krzątania podniósł Dwighta na duchu.

- Nawet myślałem, że jeszcze dziś pana tu zobaczymy - powiedział fizyk. - Szuka

pan pracy?

- Oczywiście - rzekł Dwight. - Widok tego miasta sprawia mi ból. Ma pan coś, co mógłbym robić?

- Tak. Niech pan pomoże Billowi Adamsowi założyć nowe opony na wszystkie koła, jakie pan tu znajdzie. - John Osborne wskazał stertę nowiusieńkich opon wyścigowych; wydawało się, że koła z drucianymi szprychami leżą wszędzie.

Dwight, zadowolony i wdzięczny, zdjął marynarkę.

- Mnóstwo ma pan kół.

- Jedenaście chyba. Odjaliśmy koła od tego Maserati. Są takie same jak nasze. Chcę mieć nową oponę na każdym z kół, które mamy. Bill pracuje w zakładach Goodyear, więc zna się na tym, ale potrzebuje kogoś do pomocy.

Amerykanin, podwijając rękawy, odwrócił się do Petera.

- On pana też zaprzął?

- Ano tak. Niedługo jednak będę musiał odejść - rzekł młody ojciec. - Córka nam ząbkuje i płacze już od dwóch cholernych dni. Powiedziałem Mary, że bardzo mi przykro, obowiązek wzywa na okręt, ale wrócę do domu przed piątą.

Dwight się uśmiechnął.

- Porzucił pan ją z dzieckiem. Peter przytaknął.

- Kupiłem dla niej grabie i butelkę wody koprowej. Ale przed piątą muszę wrócić.

Wyszedł z garażu pół godziny później, wsiadł do swego małego samochodu i pojechał szosą do Falmouth. Do domu przybył punktualnie, zastając Mary w hallu i - o dziwo - cudowną ciszę.

- Co z Jennifer? - zapytał. Położyła palec na ustach.

- Śpi - szepnęła. - Usnęła po obiedzie i do tej pory się nie obudziła.

Ruszył do sypialni, Mary za nim.

- Nie budź jej - szepnęła.

- Za skarby świata - odpowiedział. Stał patrząc na spokojnie śpiące dziecko. - Nie sądzę, żeby miała raka - zauważył.

Wrócili do hallu, cichutko zamknęli drzwi za sobą i wtedy dał jej te prezenty.

- Mam wodę koprową - powiedziała - całe morze wody koprowej i zresztą jej to już na brzuszki niepotrzebne. Zapóźniony jesteś w pielęgnacji niemowląt o jakieś trzy miesiące. Ale grabie są prześliczne. Właśnie takie chciałam mieć do zgarniania tych wszystkich liści i gałązek z trawnika. Próbowałam wczoraj pozbiierać je ręką, od tego jednak krzyż boli.

Wypili po kieliszku i wkrótce potem Mary zapytała:

- Peter, teraz, kiedy mamy benzynę, czy nie moglibyśmy kupić kosiarki z silniczkiem?

To sporo kosztuje - zaprotestował prawie machinalnie.

- Przecież cena już nie ma znaczenia, no nie? A lato nadchodzi i to by się tak przydało. Ja wiem, że nasz trawnik nieduży i kosi się tę trawę raz - dwa, ale to bardzo uciążliwa praca ze zwykłą kosą, a ty może znów wypłyniesz na morze. Gdybyśmy mieli małą kosiarkę z silniczkiem, mogłabym kosić sama. Albo wiesz, elektryczną. Doris Haynes ma elektryczną kosiarkę i włączanie jej to żaden problem.

- Przecięła kabel co najmniej trzy razy i za każdym razem niewiele brakowało, żeby prąd ją śmiertelnie poraził.

- Można kabla nie przecinać, jeżeli się uważa. Myślę, że wprost uroczo kosiłoby się właśnie taką.

Mary żyła w świecie marzeń, w świecie nierzeczywistym, czy też może rzeczywistości uznać nie chciała; Peter nie wiedział. Kochał ją taką, jaka była. On osobiście nie widział już potrzeby kupowania kosiarki, ale Mary by ucieszył taki prezent.

- Spróbuję kupić, kiedy znów będę w mieście - obiecał. - Kosiarek z silnikami jest mnóstwo, to wiem, tylko nie jestem pewny, czy znajdzie się elektryczna. - Rozważał to przez chwilę. - Obawiam się, że elektryczne wszystkie wyprzedane. Ludzie je kupowali, bo nie było benzyny.

- No to trudno - zrezygnowała Mary. - Może być mała z silniczkiem, Peter. Poważnie mówię, mógłbyś mnie nauczyć, jak się ją włącza.

Skinął głową. To nie jest trudne, naprawdę.

- I jeszcze coś powinniśmy mieć - powiedziała Mary. - Ławkę ogrodową. Wiesz...



taką, którą można zostawić w ogrodzie na całą zimę i na której zawsze można posiedzieć w ładny słoneczny dzień. Już sobie myślałam, jak by to było przyjemnie mieć ławkę w tym osłoniętym rogu tuż przy drzewku poziomkowym. Chyba często byśmy tam siedzieli latem i przez cały okrągły rok prawdopodobnie też.

- To niezły pomysł - przytaknął.

Wiedział, że już nigdy nie usiądą tam latem, ale rad ustąpił. Tylko jak tę ławkę przewieźć? Jedyne sposoby to umieścić ją na dachu Morrisa, lakier jednak mógłby porysować się i poodpadać, jeżeli ławki nie opakuje się należycie.

- Najpierw kupimy kosiarkę, a potem zobaczymy, jak stoimy z pieniędzmi.

Nazajutrz zabrał Mary do Melbourne, żeby załatwić ten sprawunek; pojechali z Jennifer, którą w koszyku umieścili na tylnym siedzeniu Morrisa. Mary już od wielu tygodni nie była w mieście, więc wygląd ulic przeraził ją i przygnębił.

- Peter - pytała zdumiona - co się tu dzieje ze wszystkim? Brudny takie i tak okropnie cuchnie.

- Przypuszczam, że zakład oczyszczania miasta już nie pracuje - powiedział.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie pracuje? Strajk jest czy co?

- Po prostu... wszystko się rozprzęga - wyjaśnił. - Ostatecznie ja nie pracuję także.

- Ty to co innego - rzekła Mary. - Ty jesteś w marynarce.

Roześmiał się.

- Nie, mnie chodzi o to, że przez długie miesiące pływasz po morzach, więc potem musisz mieć urlop. Ale praca zakładu oczyszczania miasta polega na czymś innym. Odbywa się przez cały czas. Przynajmniej powinna.

Jakoś nie mógł jej tego wyjaśnić dokładniej i podjechali pod duży sklep z artykułami żelaznymi. Klientów było tam niewielu, sprzedawców zaledwie paru. Zostawili Jennifer w samochodzie i przeszli przez sklep do działu ogrodniczego, dość długo szukając subiekta.

- Kosiarka motorowa? - zapytał ten, który wreszcie się pojawił. - Zobaczą państwo kilka takich w sąsiedniej sali za tym sklepionym przejściem. Proszę je obejrzeć i może któraś będzie państwu odpowiadała.

Obejrzeni kosiarki i wybrali małą dwunastocalową. Peter spojrział na etykietkę z ceną, wziął tę kosiarkę i odszukał subiekta.

- Tę biorę - oznajmił.

- Bardzo proszę - rzekł subiekt. - Dobra kosiareczka. - I z sardonicznym uśmiechem dodał: - Wystarczy do końca życia.

- Czterdzieści siedem funtów dziesięć szylingów - powiedział Peter. - Czy mogę zapłacić czekiem?

- Dla mnie może pan zapłacić skórką pomarańczy - subiekt machnął ręką. - Dzisiaj sklep zamykamy już na amen.

Młody oficer podszedł do stolika i wypisał czek; Mary została z subiektem.

- Dlaczego zamykacie? - zapytała. - Ludzie nie kupują?

Parsknął krótkim śmiechem.

- Och... przychodzą i kupują. Towaru jest coraz mniej. Ale nie mam zamiaru pracować tu do samego końca i nikt inny z personelu też nie chce. Mieliśmy wczoraj zebranie i powiedzieliśmy to dyrekcji. Ostatecznie już tylko dwa tygodnie zostały. Więc dziś wieczorem sklep się zamyka.

Peter wrócił z czekiem, który wręczył subiektowi.

- Byczo - rzekł subiekt. - Nie wiem, czy bank wypłaci, skoro tam nikt nie urzęduje. Może dam panu pokwitowanie na wypadek, gdyby w przyszłym roku zaczęli panu deptać po piętach... - Nabazgrał pokwitowanie i odszedł do innego klienta.

Mary drżała.

- Peter, wydostańmy się stąd, jedźmy do domu. Okropnie tu jest i wszystko cuchnie.

- Nie chcesz zostać i zjeść obiadu w restauracji? - Wydawało się Peterowi, gdy wyruszali do Melbourne, że będzie dla niej rozrywką ta cała wycieczka.

Potrząsnęła głową.

- Wolę od razu wrócić i zjeść obiad w domu.

W milczeniu jechali z miasta do słonecznej nadmorskiej miejsciny, w której był ich dom. U siebie na wzgórzu Mary po części odzyskała równowagę; oto dobrze znane

swojskie rzeczy, do których przywykła, wszędzie ta czystość napawająca ją dumą, porządnie i pieczołowicie utrzymywany ogródek, wyraźny rozległy widok na zatokę. Tu czuła się bezpieczna.

Po obiedzie, paląc papierosa przed zmywaniem naczyń, powiedziała:

- Nie chcę już nigdy więcej oglądać Melbourne, Peter.

- Trochę tam jak w chlewie, co?

- Tam jest koszmarnie - wybuchnęła. - Wszystko pozamykane i brudne, i smrodliwe. Zupełnie jakby koniec świata już nastąpił.

- To już jest dość blisko, wiesz. Milczała przez chwilę.

- Wiem. Przecież ciągle mówisz mi o tym. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Ile jeszcze czasu, Peter?

- Około dwóch tygodni - odpowiedział. - To się nie dzieje błyskawicznie: pstryk! i po wszystkim. Ludzie zaczynają chorować, ale niejednocześnie, rzecz jasna. Niektórzy są bardziej odporni, niektórzy mniej.

- Ale każdego to czeka, prawda? - zapytała zdławionym głosem. - W końcu.

Potwierdził.

- Każdego to czeka w końcu.

- Jaka może być różnica w czasie... między ludźmi? To znaczy w czasie, kiedy zaczynają chorować?

Potrząsnął głową.

- Doprawdy nie wiem. Myślę, że wszystkich to czeka w ciągu trzech tygodni.

Trzech tygodni od teraz czy trzech tygodni od pierwszego wypadku?

- W ciągu trzech tygodni od pierwszego wypadku - powiedział. - Ale ja doprawdy nie wiem. - Umilkł. - Można mieć lekki przebieg i wyjść z tego - rzekł po chwili. - No, ale to znów łapie w dziesięć dni czy dwa tygodnie później.

- Więc nie ma żadnej gwarancji na to, że rozchorujemy się jednocześnie? - spytała. - I Jennifer z nami? Każde z nas mogłoby się rozchorować oddzielnie w jakiejś chwili?

- Tak - powiedział. - Tak to właśnie jest. Po prostu trzeba się z tym pogodzić.

Ostatecznie, właśnie to zawsze w życiu musieliśmy widzieć przed sobą, tylko że myśmy nigdy nie widzieli, bo jesteśmy młodzi. Jennifer mogłaby umrzeć pierwsza z nas trojga albo ja mógłbym umrzeć pierwszy. Więc teraz nie ma w tym nic nowego.

- Chyba nie - rzekła Mary. - Miałam jednak nadzieję, że wszystko może się stać tego samego dnia.

Ujął ją za rękę.

- Niewykluczone. Ale... mielibyśmy szczęście. - Pocałował ją. - Chodźmy pozmywać naczynia. - Spojrzenie jego padło na kosiarkę. - Możemy wyrównać trawnik dziś po południu.

- Trawa jest zupełnie mokra - powiedziała markotnie. Ona zardzewieje.

- Potem ją wysuszymy przy kominku w hallu - obiecał Peter. - Nie dam jej zardzewieć.

Dwight Towers spędził sobotę i niedzielę u Davidsonow w Harkaway, pracując od świtu do zmierzchu przy budowie płotów. Ta ciężka praca fizyczna była dla niego odprężeniem, ale stwierdził, że jego gospodarz jest wciąż zdenerwowany. Od kogoś pan Davidson usłyszał o odporności królików na zakażenie radioaktywne. Królikami zbytnio się nie przejmował, gdyż w Harkaway wyjątkowo nie było nigdy królików, ale stosunkowa odporność zwierząt futerkowych kazała mu się zastanawiać nad losem bydła, co pociągało za sobą pytania, na które nie znajdował odpowiedzi.

W niedzielę wieczorem podzielił się swymi wątpliwościami z Amerykaninem.

- Wcale o tym nie myślałem - powiedział. - To znaczy przyjąłem, że moje szkockie angusy wykończą się w tym samym czasie, co my. Ale teraz wygląda mi na to, że one wytrzymają znacznie dłużej. Jak długo... ani rusz nie mogę się dowiedzieć. Widocznie nikt żadnych badań co do tego nie przeprowadzał. Na razie, oczywiście, karmię je sianem i kiszonką, tak jak my tutaj zawsze je karmimy aż do końca września w każdym zwykłym roku... mniej więcej pół beli siana na sztukę codziennie. Wiem już, że trzeba im dawać tyle, jeżeli chce się je utrzymać naprawdę w dobrym stanie. No, a teraz to już zupełnie jestem głupi, co będzie, kiedy żaden człowiek tu z nimi nie zostanie. To ciężki orzech do zgryzienia.

- A gdyby tak otworzyć im szopę z sianem, żeby brały, ile chcą?

- Myślałem już o tym, ale one by sobie nie dały rady z tymi belami. Gdyby nawet je porozrywały, to większość by potratowały i nic by z tego nie było. - Umilkł. - Łamię sobie głowę, żeby wykombinować jakiś sposób... może urządzenie automatyczne z zegarem i płot naelektryzowany... Ale jak by się na to patrzyło, to oznacza pozostawienie całomiesięcznej paszy na odkrytym wygonie, w deszczu. Nie mam pojęcia, co robić... - Wstał nagle. - Należę panu whisky.

- Dziękuję... niedużo... - Amerykanin powrócił do problemu siana. - Pewnie, że to trudna sprawa. Nie można nawet napisać do gazet i zapytać, jak radzą sobie inni.

Dopiero we wtorek rano wyjechał od Davidsonów z powrotem do Williamstown. W stoczni dowództwo zaczynało się rozpadać pomimo wszelkich wysiłków pierwszego oficera i szefa załogi. Dwaj marynarze nie wrócili z urlopu, jeden został zabity w czasie awantury ulicznej w Geelong, chociaż była to wiadomość nie potwierdzona. Jedenastu marynarzy, którzy awanturowali się po pijanemu w drodze powrotnej z urlopu, czekało teraz na jego wyrok, a on nie wiedział, jak się z tym problemem uporać. Pozbawienie ich przepustek, gdy żadnej pracy nie było na okręcie i tylko dwa tygodnie życia im zostały, nie byłoby chyba rozwiązaniem właściwym. Zostawił winnych w areszcie na lotniskowcu, dopóki nie wytrzeźwieli, i przez ten czas zastanawiał się, co robić z nimi dalej; potem kazał im stanąć przed sobą w szeregu na nadbudówce.

- Nie możecie, chłopcy, żyć na dwa sposoby naraz - powiedział im. - Nikt z nas nie ma już dużo czasu, ani wy, ani ja. Dzisiaj jeszcze należycie do załogi okrętu podwodnego Stanów Zjednoczonych "Skorpion", a to jest ostatni uzbrojony okręt Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Możecie albo należeć do załogi tego okrętu nadal, albo też otrzymać przynoszące wam ujmę zwolnienie.

Umilkł na chwilę.

- Od tej chwili każdy marynarz, który wróci na pokład z przepustki pijany albo się spóźni, zostanie następnego dnia zwolniony i, powtarzam, haniebne to będzie zwolnienie i bez żadnego pardonu. Od razu zedrę z takiego mundur i wypuszczę go do bramy stoczni jako cywila w kalesonach, a czy on w Williamstown zmarznie i zgnije, to już

Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych nie obchodzi. Słyszycie, co wam mówię, więc nad tym dobrze pomyślcie. Rozejść się.

I gdy nazajutrz zdarzył się taki wypadek, w myśl swego ostrzeżenia wyrzucił tego marynarza do bramy stoczni przyodzianego tylko w koszulę i kalesony, żeby sam o siebie odtąd się troszczył. Dalszych kłopotów tego rodzaju już nie miał.

W piątek rano wyruszył ze stoczni wczesnym rankiem, polecając kierowcy służbowego Chevroleta jechać do Melbourne na ulicę Elizabeth, gdzie był garaż Johna Osborne'a. Zastał fizyka, tak jak się spodziewał, krzątającego się przy swoim Ferrari; samochód wyścigowy lśnił, gotów do jazdy, ba, pod każdym chyba względem gotów do wyścigów, i to z miejsca. Dwight powiedział:

- No, wpadłem tu po drodze, bo niestety nie będę mógł zobaczyć, jak pan wygra Grand Prix. Umówiłem się już na wycieczkę w góry... na ryby.

John Osborne skinął głową.

- Moira mi mówiła. Nałapcie mnóstwo ryb. Nie sądzę, żeby tym razem przyjechało na wyścig dużo ludzi poza zawodnikami i lekarzami.

- Ja raczej przypuszczam, że zjadą się licznie. Przecież to Grand Prix.

- To może być dla wielu ostatni weekend spędzony w dobrym zdrowiu. Więc na pewno znajdą sobie ciekawsze rozrywki.

- Peter Holmes... będzie tam?

- Nie - odrzekł fizyk. - On tę sobotę poświęci na prace w ogrodzie. - Zawahał się. - I ja nie powinienem tam jechać.

- Pan nie zna ogrodu.

Fizyk uśmiechnął się z przymusem.

- Nie, ale mam starą matkę, a ona ma pekińczyka. Właśnie sobie uświadomiła fakt, że ten mały Ming przeżyje ją o kilka miesięcy, i teraz drętwieje na myśl, co z nim będzie... - Urwał. - Piekielne czasy... te dni. Odetchnę, kiedy to wszystko się skończy.

- Nadal pan twierdzi, że przy końcu tego miesiąca?

- Wcześniej dla większości z nas. - John Osborne dorzucił coś zniżonym głosem, po czym znów głośno powiedział: - Niech pan to zatrzyma przy sobie. Dla mnie to już

będzie jutro po południu.

- Mam nadzieję, że nie - rzekł Amerykanin. - Poniekąd chcę zobaczyć pana z tym pucharem.

Fizyk tkliwie spojrział na samochód.

- Jest dostatecznie szybki - powiedział. - Wygrałby na pewno, gdyby miał przyzwoitego kierowcę. Ale kierowcą jestem ja, i to właśnie jego minus.

- Będę trzymał kciuki zaciśnięte.

- Dobrze. Niech mi pan przywiezie stamtąd pstrąga.

Amerykanin wyszedł z garażu i wrócił do swego samochodu nie wiedząc, czy już nie po raz ostatni widział się z Johnem Osborne.

- Jedziemy - powiedział starszemu marynarzowi przy kierownicy - na farmę pana Davidsona, do Harkaway pod Berwick. Tam, gdzieś już jeździli.

Usiadł na tylnym siedzeniu i zaczął bawić się wędką Juniora, kiedy wyjeżdżali z miasta; oglądał ulice i domy, które mijali w szarości zimowego dnia. Wkrótce, może za miesiąc, nie będzie tu nikogo, żadnych żywych stworzeń z wyjątkiem kotów i psów, mających niedługie odroczenie. I wkrótce potem ich też nie będzie; pory roku będą przemijać, zmieniać po swojemu te domy i te ulice. A później z biegiem czasu natężenie promieniowania zmaleje również; skoro okres połowicznego rozpadu kobaltu trwa około lat pięciu, to na tych ulicach, w tych domach będzie można znów mieszkać za lat dwadzieścia, prawdopodobnie nawet wcześniej. Rasa ludzka ma być zmieciona z powierzchni ziemi i świat ma być gotów znowu na przyjęcie jakichś mądrzejszych mieszkańców bez zbytecznej zwłoki. No, w tym zapewne jest sens.

Dojechali do Harkaway przed południem; Ford Davidsonów stał na podwórzu, bagażnik pełen był kanistrów z benzyną. Moira już na niego czekała, nieduża walizka leżała na tylnym siedzeniu obok okazałego ekwipunku wędkarskiego.

- Doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli wyjedziemy przed obiadem i weźmiemy na drogę kanapki - oświadczyła. - Dni są teraz dosyć krótkie.

To mi odpowiada - powiedział. - Masz kanapki? Skinęła głową.

- I piwo.

- Rzeczywiście myślisz o wszystkim. - Dwight odwrócił się do jej ojca. - Czuję się trochę podle, zabierając tak panu samochód. Mógłbym wziąć Chevroleta, jeżeli pan woli.

- Nie - rzekł pan Davidson. - Jeździliśmy nim wczoraj do Melbourne. Chyba już tam nie pojedziemy. To zbyt przygnębiające.

Amerykanin przytaknął.

- Robi się tam dosyć brudno.

- Otóż to. Nie, niech pan weźmie Forda. Jest mnóstwo benzyny, którą trzeba zużyć, a ja naprawdę nie sądzę, żebym go jeszcze kiedyś potrzebował. Za dużo roboty jest tutaj.

Dwight przeniósł swoje rzeczy do Forda i odesłał starszego marynarza w służbowym samochodzie z powrotem do stoczni.

- Wątpię, czy on właśnie tam pojedzie - rzekł w zadumie po odjeździe Chevroleta.

- Ale formy trzeba zachować.

Wsiedli do Forda.

Moira zakomenderowała:

- Ty prowadź.

- Nie - odpowiedział. - Prowadzić powinnaś ty. Ja nie znam drogi i mógłbym w coś trzasnąć, kiedy przez roztargnienie zacznę jechać prawą stroną.

- Już dwa lata nie prowadziłam - rzekła Moira. - Ale jak chcesz, wolno ci swój własny kark narażać.

Usadowili się i chociaż nie od razu natrafiła na pierwszy bieg, w końcu ruszyli aleją sprzed domu.

Przyjemnie jej było znów prowadzić samochód, bardzo przyjemnie, naprawdę. Dodając gazu czuła się wolna, czuła się tak, jakby zrzuciła z siebie więzy swego szarego życia. Jechali bocznymi drogami przez góry Dandenong wśród rozsianych z rzadka pensjonatów i rezydencji prywatnych i w południe zatrzymali się, żeby zjeść swój obiad złożony z kanapek, w pobliżu Lilydale nad szemrzącym strumykiem. Rozpogodziło się. Na jasny błękit nieba wyszło słońce zza białych obłoków.

Jedząc kanapki, oglądali fachowo wodę tego strumienia.



- Mulista - zauważył Dwight. - To chyba dlatego, że dopiero kończy się zima.

- Chyba - zgodziła się z nim dziewczyna. - Tatuś powiedział, że za dużo będzie mułu, żeby łowić ryby na muszkę. Powiedział, że może dobry będzie spinning, ale radził, żebym rozkopała trochę ziemi na brzegu i poszukała dżdżownic na przynętę.

Amerykanin roześmiał się.

- Chyba to jest celowe, jeżeli łowi się po to, żeby mieć ryby. Ja będę jednak przez jakiś czas próbował na spinning, bo chcę zobaczyć, czy ta wędka jest wygodna.

- Chciałabym złowić jedną rybę - rzekła Moira trochę smutno. - Nawet gdyby to miała być taka nędzna płotka, że wrzucilibyśmy ją do wody z powrotem. Więc o ile woda w Jamieson nie będzie znacznie czystsza, chyba spróbuję z dżdżownicą.

- Powinna być czysta tam w górach, gdzie śniegi teraz topnieją.

Odwróciła się do niego.

- Czy ryby pożyją dłużej od nas? Tak jak psy? Potrząsnął głową.

- Nie wiem, kochanie.

Pojechali dalej i w Warburton skręcili na długą krętą szosę, biegnącą przez puszcę coraz wyżej. W parę godzin później wynurzyli się z puszczy wysoko w Matlock; śnieg leżał na szosie i na porośłych lasami górach wokół; świat wydawał się zimny i ponury. Zjechali w dolinę do małego miasteczka Woods Point i stamtąd ruszyli znów pod górę nad jeszcze jednym zlewiskiem rzek. Po dwudziestomilowej jeździe rozfalowaną, ładną doliną Goulburn dotarli, gdy już zaczynało się zmierzchać, przed Hotel Jamieson.

Amerykanin stwierdził, że ten hotel to po prostu rozlazły kompleks nieco walących się, jednopiętrowych budynków, z których kilka wzniesiono jeszcze w początkach osadnictwa w tym kraju. Moira postąpiła roztropnie rezerwując pokoje, gdyż pełno tu już było wędkarzy. Więcej samochodów stało zaparkowanych niż kiedykolwiek przedtem w dniach rozkwitu turystyki przed wojną; w barze panował ruch i gwar. Z niejakim trudem odnaleźli właścicielkę hotelu, podnieconą, z wypiekami na twarzy.

Pokazując im owe czekające na nich pokoje, małe, niewygodne i kiepsko umeblowane, powiedziała:

- Jakże to uroczo znów tu gościć was wszystkich, miłośników sportu

wędkarskiego! Nawet sobie państwo nie wyobrażają, jak było tutaj przez ostatnie dwa lata, kiedy właściwie nikt nie przyjeżdżał, tylko czasem jacyś wycieczkowicze na jucznych koniach. A teraz jest zupełnie tak jak za dawnych dobrych czasów. Czy państwo mają własne ręczniki? No cóż, zobaczę, może się coś znajdzie. Ale u nas dziś *komplet*.

Wybiegła nie posiadając się z radości. Amerykanin odprowadził ją wzrokiem.

- Hm - powiedział. - Ona w każdym razie bawi się dobrze. Chodźmy, dziecko, postawię ci koniak.

Weszli do zatłoczonego baru z belkowanym pułapem, potężnym ogniem na palenisku, chromowanymi krzesłami i stolikami, i kotłującymi się gośćmi.

- Co dla ciebie, kochanie?

- Koniak - przekrzyczała wrzawę. - Nic innego nie ma tu dziś do roboty.

Odpowiedział jej uśmiechem przepychając się w tłoku do lady. Po paru minutach też nie bez walki wrócił z koniakiem i whisky. Rozejrzeli się, żeby gdzieś usiąść, i zobaczyli dwa wolne krzesła przy stoliku, na którym dwaj mężczyźni w samych koszulach rozkładali swój wędkarski sprzęt.

Podnieśli oczy i skinęli głowami, gdy Dwight i Moira się do nich przysiedli.

- Ryby na śniadanie - powiedział jeden z nich.

- Wstaną panowie wcześniej? - zapytał Dwight. Drugi spojrzał na niego.

- Pójdziemy spać późno. Sezon się rozpoczyna o północy.

Dwight się zainteresował.

- I wtedy panowie wyjdą?

- Jeżeli oczywiście nie będzie padał śnieg. Najlepsza pora na ryby. - Podniósł wielką białą muszkę zaczepioną na mały haczyk. - Tego właśnie używam. Na to właśnie się biorą. Przypina się jeden czy dwa ciężarki, a potem daleko się zarzuca. Nigdy nie zawodzi.

- A mnie zawodzi - rzekł jego towarzysz. - Ja lubię małe żabki. Idzie się nad wodę o drugiej nad ranem z małą żabką, wbija się jej haczyk w grzbiet i zanuć się, niech sobie pływa... Tak ja robię. Państwo wyjdą dziś w nocy?

Dwight zerknął na dziewczynę i uśmiechnął się.

- Chyba nie - odpowiedział. - My łowimy ryby w świetle dziennym... daleko nam do klasy panów. I rezultaty mamy słabe.

Tamten pokiwał głową.

- Ze mną też tak było dawniej. Patrzy się na ptaki i na rzekę, i jak słońce się odbija w tej pomarszczonej wodzie, i wtedy nie dba się specjalnie o połów. Nieraz się tak zagapiam. No, ale przyjechałem tu dzisiaj, żeby łowić ryby w nocy, i to jest naprawdę coś. - Popatrzył na Amerykanina. - Tam w stawie poniżej zakrętu jest jeden cholernie wielki pstrąg, którego na próżno próbuję złowić przez ostatnie dwa lata. Już mi się złapał na żabkę w zaprzeszłym roku, ale zerwał kawał linki i uciekł. Potem w zeszłym roku znów się złapał na dużą larwę późnym wieczorem i znów się urwał... nowusieńki nylon miałem. Waży dwanaście funtów co do uncji. Złowię go tym razem, choćbym musiał siedzieć tam od wieczora do rana, co noc, aż do końca.

Amerykanin odsunął się od stolika, żeby porozmawiać z Moirą.

- Chcesz pójść na ryby o drugiej nad ranem? Parsknęła śmiechem.

- Wolę iść do łóżka. Ale ty się nie krępuj, jeżeli masz ochotę.

Potrząsnął głową.

- Takim wędkarzem nie jestem.

- Jestem tylko wędkarzem pijącym - powiedziała. - Ciągnijmy losy, kto z nas pójdzie stoczyć walkę o następną kolejkę.

- Ja ci przyniosę - powiedział Dwight.

- Nie - zdecydowała. - Zostań na miejscu i dowiedz się coś niecoś o wędkarstwie. Ja przyniosę.

Zabrała szklanki, przedarła się przez tłum do bufetu i po chwili już stamtąd wracała. Dwight wstał od stolika w blasku ognia, żeby wziąć od niej napełnione szklanki, i nagle przy tym ruchu kurtka sportowa mu się rozchyliła. Podając szklankę, Moira rzekła z wyrzutem:

- Guzika nie masz przy wiatrówce! Sprawdził.

- Wiem. Odleciał, kiedyśmy tu jechali.

- Masz ten guzik?

- Mam. Znalazłem go w samochodzie.  
- Daj mi go z wiatrówką przed nocą, to ci przyszyję.  
- Nieważne. - Machnął ręką.  
- Właśnie, że ważne. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Nie mogę przecież puścić cię z powrotem do Sharon tak oberwanego.

- Jej to nie będzie przeszkadzało, kochanie...

- Jej może nie, ale mnie tak. Daj mi to dzisiaj, oddam ci jutro rano już w porządku.

Dał Moirze kurtkę i guzik w drzwiach jej pokoju około godziny jedenastej. Przez cały prawie wieczór palili papierosy i pili z innymi gośćmi, z entuzjazmem myśląc o jutrzejszej rozrywce, rozprawiając, czy lepiej łowić pstrągi w jeziorze, czy w strumieniach. Łódki nie mieli, więc postanowili spróbować nad rzeczką Jamieson. Dziewczyna wzięła kurtkę i powiedziała:

- Dziękuję, Dwight, za to, że mnie tu przywiozłeś. Wieczór był przyjemny i jutro też będzie przyjemnie.

Stał niepewny.

- Naprawdę tak myślisz, kochanie? Nie poczujesz się urażona?

Roześmiała się.

- Nic poczuję się urażona, Dwight. Wiem, że jesteś żonaty. Idź już spać. Rano będziesz miał ten guzik przyszyty.

- Dobrze. - Odwrócił się, słuchając wrzawy i śpiewów wciąż jeszcze dolatujących z baru. - Rzeczywiście bawią się doskonale - zauważył. - Wprost w głowie mi się nie mieści, że to już nigdy się nie powtórzy, po tym weekendzie już nigdy.

- Może jeszcze kiedyś być coś takiego - powiedziała. - Na jakiejś innej płaszczyźnie, w innym wymiarze czy jakoś tam. W każdym razie my też się bawmy i nałapmy jutro dużo ryb. Mówią, że będzie ładna pogoda.

Z uśmiechem zapytał:

- Nie wydaje ci się, że na tej innej płaszczyźnie wciąż pada deszcz?

- Nie wiem - odrzekła. - Lada dzień się przekonamy.

- W jakiś sposób przecież musi wzbierać woda tam w rzekach - powiedział w

zadumie. - Bo inaczej marne by to były połowy... - Odszedł od drzwi. - Dobranoc, Moira. Bawmy się jutro naprawdę byczo, tak czy owak.

Zamknęła drzwi swego pokoju i stała przez długą chwilę przytulając do piersi jego kurtkę. Dwight jest taki, jaki jest, całym sercem w stanie Connecticut, przy żonie i dzieciach; z nią, Moira, nie będzie nigdy. Gdyby miała więcej czasu, sprawa przyjęłaby inny obrót, ale na to trzeba by długich lat. Pięciu lat co najmniej, myślała, dopóki wspomnienia o Sharon, o Juniorze i o Helen nie zaczęłyby blednąć; wtedy on by przyszedł do niej i mogłaby dać mu inne dzieci, i uczynić go znów szczęśliwym. Ale te lata nie są jej dane; zamiast pięciu lat - pięć dni życia, najprawdopodobniej. Łza spłynęła jej z kącika oka wzdłuż nosa. Otarła ją, zirytowana; roztkliwianie się nad sobą to idiotyzm, dowód głupoty czy też może to wszystko przez ten koniak? Światło jedynej piętnastowatowej żarówki, umieszczonej wysoko pod sufitem tej półmrocznej małej sypialni, było zbyt słabe, żeby przyszywać guziki. Rozebrała się, włożyła piżamę i położyła się spać z kurtką na poduszce przy głowie. W końcu usnęła.

Nazajutrz po śniadaniu wyruszyli z wędkami nad rzeczkę Jamieson przepływającą nie opodal hotelu. Woda była wezbrana i mętna; Moira po amatorsku zarzucała swoje muszki w ten bystry nurt i nic jej z tego nie wychodziło, Dwight jednak na spinning złowił przed południem dwufuntowego pstrąga, którego pomogła mu podebrać siatką. Chciała, żeby łowił dalej i pomnożył tę zdobycz, ale on, gdy już wypróbował wędkę i kołowrotek Juniora, wolał pomagać jej, żeby ona też miała się czym chlubić. W południe jeden z wędkarzy, do których stolika przysiedli się poprzedniego wieczora, pokazał się na brzegu rzeczki, patrząc w wodę, nie zarzucając wędki. Przystanął, żeby z nimi po rozmawiać.

- Ładna sztuka - pochwalił zdobycz Dwighta. - Na muszkę pan go złapał?

- Nie, na spinning - odrzekł Amerykanin. - Teraz próbujemy z muszką. Udał się połów w nocy?

- Pięć pstrągów - poinformował wędkarz. - Największy waży około sześciu funtów. Spać mi się zachciało przed trzecią nad ranem, więc wróciłem do hotelu. Dopiero co wstałem. Niewiele państwo zdziałacie z muszką w tej wodzie. - Wyciągnął z kieszeni plastikowe pudełko i stuknął w nie palcem. - Proszę, niech pan z tym spróbuje. - Dał im

małą targlicę, blaszkę nie większą niż sześciopensówka, przyozdobioną jednym haczykiem. - To warto zarzucić tam, gdzie jest bystry nurt. Powinny brać wtedy przy takiej pogodzie jak dzisiaj.

Podziękowali mu i Dwight przyczepił tę blaszkę do linki Moiry. W pierwszej chwili nie mogła jej wyciągnąć, zupełnie tak, jakby musiała dźwignąć tonę ołowiu uwieszoną przy końcu wędki, mocowała się, aż weszła do wody. Ale wkrótce pojęła tę sztukę i udało jej się zarzucić wędkę w bystry nurt przy rozlewisku. Za piątym czy szóstym pomyślnym zarzuceniem coś nagle szarpnęło linkę, bambus się wygiął i kołowrotek zaszemrał melodyjnie, gdy linka się wyciągnęła. Bez tchu Moira wyszeptała:

- Chyba mam jakąś, Dwight.

- Z pewnością - powiedział. - Trzymaj wędkę prosto, kochanie. Troszeczkę niżej w tę stronę. - Ryba plusnęła na powierzchnię wody. - Ładna sztuka - stwierdził. - Linka niech będzie naciągnięta, ale niech on płynie, jeżeli naprawdę chce. Tylko spokojnie, a będziesz go miała.

W pięć minut później wyciągnęła wyczerpanego pstrąga na brzeg i Dwight się nim zajął. Zabił go szybkim uderzeniem kamienia, po czym zaczęli podziwiać jej połów.

- Półtora funta - powiedział Dwight. - Może trochę więcej. - Ostrożnie wyjął z paszczy pstrąga tę małą targlicę. - No, spróbuj teraz złowić następnego.

- Ten nie jest taki wielki jak twój - przyznała Moira, ale duma ją rozpierała.

- Następny będzie taki. Spróbuj jeszcze raz.

Zbliżała się jednak pora obiadu, więc Moira postanowiła odłożyć to na popołudnie. Wrócili do hotelu dumnie niosąc swoje łupy, zamówili sobie przed obiadem po kuflu piwa i zaczęli omawiać połów z innymi wędkarzami.

Dobrze już po południu poszli znów w to samo miejsce nad rzeczką i znów Moira złowiła pstrąga, dwufuntowego tym razem, a Dwight dwa mniejsze, z których jednego wrzucił z powrotem do wody. Pod wieczór, zanim ruszyli do hotelu, usiedli nad rzeką przyjemnie zmęczeni, zadowoleni z rezultatów dziennej pracy, tych ryb, leżących teraz przy nich. Opierając się o duży głaz, paląc papierosy, cieszyli się ostatnimi blaskami słońca, które już się chowało za wzgórze. Było coraz chłodniej, ale ociągali się z

odejściem od spokojnego szmeru płynącej wody. Nagle Moira o czymś sobie przypomniała.

- Dwight, przecież ten wyścig samochodowy na pewno dawno się skończył.

Wlepił w nią oczy.

- Jak babcię Kocham! Chciałem słuchać tego przez radio. Zupełnie mi wyleciało z pamięci.

- Mnie też - powiedziała. I po chwili: - Żałuję, że nie słuchałam. Czuję się teraz trochę nie bardzo. Taka samolubna.

- I tak nie moglibyśmy nic poradzić, dziecko.

- ...Ale... no, nie wiem... Mam jednak nadzieję, że Johnowi nic się nie stało.

- Dziennik będzie o siódmej - powiedział. - Można by wtedy posłuchać.

- Chciałabym wiedzieć - rzekła. Rozejrzała się wokół, patrząc na spokojną, pomarszczoną wodę, na długie cienie, na złociste blaski zachodu. - Takie prześliczne miejsce - zauważyła. - Czy możesz uwierzyć... naprawdę uwierzyć w to, że już nigdy nie będziemy tego widzieli?

- Ja wracam do domu - rzekł spokojnie. - Australia to wspaniały kraj i bardzo mi się tu podoba. Ale to nie jest moja ojczyzna, więc teraz wrócę w swoje strony, do swoich. W Australii mi dobrze, a przecież rad jestem, że wracam do domu, wreszcie do domu, do Connecticut. - Odwrócił się do niej. - Ja tego już nigdy nie będę widział, bo wracam do domu.

- Powiesz Sharon o mnie? - zapytała.

- Oczywiście - odrzekł. - Może ona już wie. Wpatrywała się w kamyki u swoich stóp.

- Co jej powiesz?

- Mnóstwo - powiedział cicho. - Powiem jej, że dzięki tobie te czasy, które mogłyby być dla mnie bardzo smutne, były właściwie dobre. Powiem jej, że starałaś się o to, chociaż od początku wiedziałaś, że nic z tego nie będziesz miała. Powiem jej, że to dzięki tobie wracam do niej taki sam, jak dawniej, nie rozpity i nie złażdaczony. Powiem jej, że to tyś mi ułatwiła dochowanie jej wierności, i powiem jej, ile cię to kosztowało

samozaparcia. Wstała z kamienia.

- Chodźmy już do hotelu - powiedziała. - Będziesz miał szczęście, jeżeli ona uwierzy bodaj w jedną czwartą tego wszystkiego.

Podniósł się także.

- Nie obawiam się - rzekł. - Myślę, że uwierzy we wszystko, bo to jest prawda.

Z rybami w siatkach wrócili do hotelu. Doprowadzili się do porządku i spotkali znów w barze hotelowym, żeby wypić coś niecoś przed kolacją; zjedli szybko, chcąc zdążyć na dziennik radiowy. Wkrótce potem dziennik się rozpoczął, przy czym podawano głównie wiadomości sportowe; siedzieli w napięciu, gdy spiker powiedział:

- W dniu dzisiejszym odbył się w Tooradin wyścig o Grand Prix Australii. Puchar ten zdobył pan John Osborne, prowadząc wóz marki Ferrari. Drugie miejsce...

Dziewczyna wykrzyknęła:

- Och, Dwight, więc on tego dokonał! Pochylili się oboje, żeby słuchać dalej.

- ...Wyścig zamały liczne wypadki, niejednokrotnie śmiertelne. Z osiemnastu zawodników tylko trzech przejechało pełne osiemdziesiąt okrążeń, tym samym kończąc przepisowo wyścig; sześciu zawodników w wyniku katastrof poniosło śmierć na miejscu, innych z mniej lub bardziej poważnymi obrażeniami przewieziono do szpitala. Zwycięzca, pan John Osborne, jechał przez pierwszą połowę wyścigu tak ostrożnie, że przy czterdziestym okrążeniu był o trzy okrążenia za pierwszym samochodem prowadzonym przez pana Sama Bailey'a. Wkrótce potem pan Bailey rozbił się na zakręcie zwanym Poślizgiem i od tej chwili Ferrari wszedł w szybkość. Przy sześćdziesiątym okrążeniu był pierwszy przed wszystkimi zawodnikami, których liczba zmniejszyła się już do pięciu, i później żaden z nich już poważnie panu Osborne'owi nie zagrażał. Przy sześćdziesiątym piątym okrążeniu ustalił rekord tego wyścigu, dystansując współzawodników o całe jedno okrążenie z szybkością dziewięćdziesiąt siedem i osiemdziesiąt trzy setne mili na godzinę, co jest znakomitym osiągnięciem na tym torze. Później pan Osborne zmniejszył szybkość, uwzględniając znaki ostrzegawcze, jakie dawali mu jego mechanicy, i ukończył wyścig z przeciętną szybkością osiemdziesiąt dziewięć i sześćdziesiąt jeden setnych mili na godzinę. Pan Osborne jest naukowcem z Organizacji Badań Przemysłowych i



Naukowych; nie ma żadnych powiązań z przemysłem motoryzacyjnym i bierze udział w wyścigach jako amator.

Późnym wieczorem przed udaniem się do swoich pokoi stali przez kilka minut na werandzie patrząc na czarną linię gór, na rozgwieżdżone nocne niebo.

- Cieszę się, że John ma to, czego chciał - rzekła dziewczyna. - No bo przecież zależało mu na tym tak bardzo. To z pewnością jest dla niego jakieś dobre dopełnienie.

Amerykanin przytaknął.

- Powiedziałbym, że wszystko dla nas wszystkich już się dopełnia.

- Właśnie. Niewiele jest czasu, Dwight, więc jutro chciałabym wrócić do domu.

Mieliśmy uroczy dzień tutaj i złowiliśmy kilka pstrągów. Ale mnóstwo jest do zrobienia i za mało na to czasu.

- Oczywiście, kochanie - zgodził się. - Sam o tym myślałem. Ale zadowolona jesteś, żeśmy tu przyjechali?

- Och, tak. Byłam bardzo szczęśliwa, Dwight, przez cały dzisiejszy dzień. Nie wiem, dlaczego... to nie tylko to, że złowiłam te ryby. Czuję się tak, jak chyba John się teraz czuje... jak gdybym nad czymś odniosła zwycięstwo. Ale nie wiem, co to jest.

Uśmiechnął się.

- Nie próbuj analizować - powiedział. - Po prostu przyjmuj to z wdzięcznością. Ja też byłem dziś szczęśliwy. Ale przyznaję ci rację, powinniśmy jutro stąd wyjechać. Różne rzeczy będą się działy tam w dole.

- Złe rzeczy? - zapytała.

Skinął głową, stojąc przy niej w mroku.

- Nie chciałem ci psuć tej wycieczki. Ale John Osborne mówił mi wczoraj, zanim wyjechalibyśmy, że już jest kilkanaście wypadków choroby popromiennej w Melbourne, a to była wiadomość z nocy czwartkowej. Więc chyba teraz jest tych wypadków znacznie więcej.

## Rozdział dziewiąty

We wtorek rano Peter Holmes znów pojechał Morrisem Minorem do Melbourne. Dwight Towers umówił się z nim przez telefon na godzinę dziesiątą czterdzieści pięć w sekretariacie admirała. Radio tego ranka po raz pierwszy podało wiadomość o rozmiarach, jakie przybiera choroba popromienna w mieście, więc Mary bardzo się zmartwiła, że on tam jedzie.

- Uważaj na siebie, Peter - uprosiła. - Rozumiesz, chodzi mi o tę infekcję. Czy naprawdę nie możesz siedzieć w domu?

Nie mógł się zdobyć na to, by znów jej powiedzieć, że radioaktywność jest już wszędzie wokół nich, nawet w tym przytulnym mieszkanku; ona i tak nie zrozumie, czy też nie zechce zrozumieć.

- Muszę jechać - rzekł. - Nie będę tam długo, ale bezwzględnie muszę jechać.

- Tylko nie zostań tam na obiedzie - upomniała. - Z pewnością zdrowiej zjeść tutaj.

- Wrócę prosto z ministerstwa - obiecał. Coś jej przyszło na myśl.

- Już wiem! - wykrzyknęła. - Weź ze sobą te tabletki, które dostałam na kaszel, i ssij po jednej od czasu do czasu. Świetne są na każdą infekcję. Takie antyseptyczne.

Dla jej spokoju zabrał tabletki.

- Niezły pomysł - pochwalił ją.

Dojechał do miasta zadumany; to już nie jest kwestia dni, to już kwestia godzin. Nie znał celu tej konferencji u admirała, ale zupełnie jasne było dla niego, że po raz ostatni w swojej karierze zawodowej stawi się w gabinecie dowódcy. Po południu, gdy wyruszy w drogę powrotną do domu, jego życie w marynarce wojennej będzie prawdopodobnie skończone, nie inaczej niż wkrótce życie jako takie.

Zaparkował samochód przed ministerstwem. W całym gmachu nie było właściwie nikogo; gdy wszedł do sekretariatu, kapitan Towers, w mundurze, czekał sam. Powitał oficera łącznikowego wesóło:

- Cześć, druhu!

Oficer łącznikowy odpowiedział: - Dzień dobry, panie kapitanie. Rozejrzył się po

pokoju i zobaczył, że biurko sekretarza jest pozamykane.

- Porucznik Torrens jeszcze się nie pokazał?

- Ja go nie widziałem. Pewnie ma wolny dzień. Drzwi gabinetu admirała otworzyły się i stanął w nich

Sir David Hartman. Jego rumiana, zwykle uśmiechnięta twarz była teraz mizerna, pełna powagi, jakiej Peter nigdy dotąd na niej nie widział.

- Proszę, wejdźcie, panowie. Mojego sekretarza dziś nie ma.

Weszli i admirał wskazał im krzesła przed biurkiem. Amerykanin powiedział:

- Nie wiem, czy to, co mam do powiedzenia, dotyczy porucznika Holmesa, czy nie dotyczy. Jakkolwiek może to pociągnąć pewne zadania dla oficera łącznikowego w stoczni. Czy woli pan admirał, żeby porucznik Holmes zaczekał w sekretariacie?

- Chyba nie - rzekł admirał. - Jeżeli to ma skrócić załatwienie tej sprawy, niech porucznik tu zostanie. O co chodzi, kapitanie Towers?

Dwight wahał się przez chwilę, dobierając słowa:

- Wydaje mi się, że jestem teraz najstarszym oficerem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych - powiedział w końcu. - Nigdy nie przypuszczałem, że awansuję tak wysoko, ale tak chyba jest. Zechce pan darować, panie admirale, jeżeli formułuję to w sposób niewłaściwy. Ale muszę pana zawiadomić, że zabieram mój okręt spod pańskiego dowództwa.

Admirał powoli skinął głową.

- Dobrze, kapitanie. Czy chce pan wypłynąć z australijskich wód terytorialnych, czy zostać tutaj jako nasz gość?

- Zabiorę swój okręt z wód terytorialnych - powiedział dowódca "Skorpiona". - Trudno mi jeszcze powiedzieć kiedy, ale prawdopodobnie przed końcem tego tygodnia.

Admirał jeszcze raz skinął głową. Zwrócił się do Petera:

- Niech pan wyda, poruczniku, wszelkie konieczne polecenia odnośnie do zaprowiantowania i holowania w stoczni. Pod każdym względem trzeba to kapitanowi Towersowi ułatwić.

Tak jest, panie admirale. Amerykanin rzekł zakłopotany:

- Doprawdy nie wiem, co zaproponować, jeśli chodzi o uregulowanie płatności, panie admirale. Musi pan mi wybaczyć, ale nie mam żadnego przeszkolenia w tych sprawach.

Admirał uśmiechnął się blado.

- Nie wiem, czy dużo by nam z tego przyszło, gdyby pan miał to przeszkolenie, kapitanie. Myślę, że możemy to załatwić w zwykłym trybie. Wszystkie podżyrowane zapotrzebowania i rekwizycje zostaną tu podliczone i przedstawione następnie attache marynarki wojennej w waszej ambasadzie w Canberze, po czym wysłane przez niego do Waszyngtonu celem ostatecznego rozrachunku. Nie sądzę więc, żeby pan się musiał kłopotać o tę stronę całej procedury. Dwight zapytał:

- Czyli mogę po prostu odbić i popłynąć?

- Otóż to. Przewiduje pan powrót na wody australijskie?

- Nie, panie admirale - odrzekł Amerykanin. - Zabieram swój okręt na Cieśninę Bassa, żeby tam go zatopić.

Peter spodziewał się tego ale ta straszliwa bezpośredniość i praktyczne omawianie tej sprawy wywołały u niego wstrząs; było w tym coś nierzeczywistego. Przez chwilę chciał Dwighta zapytać, czy potrzebny będzie holownik, który by popłynął ze "Skorpionem", żeby po zatopieniu go przywieźć załogę z powrotem, ale porzucił tę myśl. Gdyby Amerykanie chcieli prosić o holownik dla przedłużenia życia o jeden dzień czy dwa, przecież Dwight by to zrobił, nie zrobi jednak tego z pewnością. Lepsza jest śmierć w morzu niż śmierć po wymiotach i bieguncie, z dala od domu, gdzieś w obcym kraju.

Admirał powiedział:

- Prawdopodobnie ja bym zrobił to samo, będąc na pana miejscu... No, pozostaje mi tylko podziękować panu za współpracę, kapitanie. I życzyć panu szczęścia. Jeżeli czegokolwiek jeszcze będzie pan potrzebował, niech pan żąda bez wahania... albo po prostu sobie weźmie. - Twarz mu się nagle wykrzywiła z bólu i zacisnął w ręce ołówek leżący przed nim na biurku. Po chwili, uspokajając się nieco, wstał z fotela. - Panowie darują - powiedział. - Będę musiał was na minutę zostawić samych.

Wyszedł z pośpiechem i drzwi zatrzasnęły się za nim.

Kapitan i oficer łącznikowy wstali, gdy odchodził; stojąc nadal popatrzyli na siebie.

- To już to - rzekł Amerykanin. Peter szepnął:

- Myśli pan, że sekretarz także już zachorował?

- Chyba.

W milczeniu stali tak przez parę minut i wpatrywali się w okno.

- Zaprowiantowanie - rzekł w końcu Peter. - Niewiele żywności jest na

"Skorpionie". Czy pański zastępca wypisuje listę potrzebnych artykułów, panie kapitanie?

Dwight potrząsnął głową.

- Nie będziemy potrzebowali niczego. Wyprowadzam go tylko z zatoki tuż za wody terytorialne.

Oficer łącznikowy zadał jednak pytanie, które chciał zadać przedtem:

- Czy mam wysłać ze "Skorpionem" holownik, żeby załoga mogła tu wrócić?

Dwight odpowiedział:

- Zbyteczne.

W milczeniu stali jeszcze przez dziesięć minut. Wreszcie admirał się zjawił z twarzą szarą jak popiół.

- To ładnie, żeście panowie czekali - powiedział. - Poczuję się trochę niedobrze... - Zamiast znów usiąść w fotelu, stał przy biurku. - To już koniec naszego długotrwałego zbratania, kapitanie - powiedział. - My, Brytyjczycy, zawsze z przyjemnością pracowaliśmy z Amerykanami, zwłaszcza na morzu. Wielokrotnie mieliśmy powody do wdzięczności wobec was i w zamian, ze swojej strony, chyba podzieliliśmy się z wami częścią naszego doświadczenia. Teraz nadszedł już tego koniec. - Zamyślił się i po chwili z uśmiechem wyciągnął rękę. - Mogę już tylko powiedzieć panu "do widzenia".

Dwight uścisnął mu rękę serdecznie.

- Dobrze było pracować pod pańskim dowództwem, panie admirale - powiedział. - Mówię to zarówno w imieniu całej załogi, jak w swoim własnym.

Wyszli z gabinetu i pustymi korytarzami i schodami wymarłego gmachu dotarli na dziedziniec. Peter zapytał:

- No i co teraz, panie kapitanie? Chce pan, żebym pojechał do stoczni?

- Nie - rzekł kapitan. - Myślę, że może pan się uważać za zwolnionego z tego stanowiska. Ja pana już tam nie będę potrzebował.

- Jeżeli tylko mogę w czymś pomóc, chętnie przyjadę.

- Nie. W razie gdybym czegoś jednak potrzebował od pana, zadzwonię. W domu jest teraz twoje miejsce, chłopcze.

A więc tym samym ich koleżeństwo się skończyło.

- Kiedy pan odpływa? - zapytał Peter.

- Jeszcze nie wiem dokładnie - odrzekł Amerykanin. - Mam siedem wypadków wśród załogi stwierdzonych dzisiaj rano. Chyba zostaniemy tu parę dni i odpłyniemy może w sobotę.

- Ilu płynie z panem?

- Dziesięciu. Jedenastu, wliczając mnie. Peter spojrzał na niego.

- Czuje się pan dobrze, jak dotąd? Dwight się uśmiechnął.

- Tak mi się wydawało, ale teraz właściwie nie wiem. Obiadu dziś jeść nie będę. - Umilkł. - A pan jak się czuje? - zapytał po chwili.

- Zupełnie dobrze. Mary też... chyba. Dwight ruszył w stronę samochodów.

- Niech pan zaraz do niej wraca. Nie ma pan już po co zostawać tu dłużej.

- Czy jeszcze się zobaczymy, panie kapitanie?

- Nie sądzę - rzekł kapitan. - Ja wracam teraz do

domu, do domu w Mystic w Connecticut, wracam z radością.

Nie było już nic więcej do powiedzenia ani do zrobienia. Uścisnęli sobie ręce, wsiedli do swoich samochodów i rozjechali się, każdy w swoją stronę.

W staroświeckim jednopiętrowym domu z czerwonej cegły na przedmieściu Malvern John Osborne stał przy łóżku matki. Nie czuł się źle, ale starsza pani zachorowała już w niedzielę rano, nazajutrz po tym wyścigu, gdy zdobył Grand Prix. Lekarz, którego udało mu się do niej sprowadzić w poniedziałek, niewiele mógł pomóc i po raz drugi już nie przyszedł. Służąca od kilku dni nie stawiała się do pracy, więc tylko fizyk pielęgnował swą chorą matkę.

Oczy miała przymknięte już od kwadransa i dopiero teraz je otworzyła.

- John, to jest właśnie to, co zapowiadali, prawda?

- Myślę, że tak, mamó - odrzekł z tkliwością. - Ze mną też tak będzie.

- A doktor Hamilton... czy on mówił, że to właśnie to? Nie mogę sobie przypomnieć.

- Mówił mi, mamó. I chyba tu już nie przyjdzie. Powiedział, że u niego też się zaczyna.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Prędko ja umrę, John?

- Nie wiem. Może to potrwać nawet tydzień.

- Absurdalne - westchnęła starsza pani. - Znacznie za długo by się to ciągnęło.

Znów przymknęła oczy. Wziął basen do łazienki, umył i z powrotem przyniósł do sypialni. Matka znów miała oczy otwarte.

- Gdzie jest Ming? - zapytała.

- Wypuściłem go do ogrodu - powiedział John. - Wyraźnie chciał wyjść.

- Tak mi strasznie żal tego psiaka. Będzie przeraźliwie sam, kiedy nikt z nas już tu nie zostanie.

- On da sobie radę, mamó - pocieszył ją syn bez wielkiego przekonania. - Inne psy przecież zostaną i będą się z nim bawić.

Nie rozwinęła tego tematu, tylko powiedziała:

- Nic mi teraz nie potrzeba, mój kochany. Idź tam, dokąd masz iść, i zajmij się swoimi sprawami.

Zawahał się.

- Myślałem o tym, że powinienem zajrzeć do pracowni - powiedział. - Wrócę przed obiadem. Co by mama chciała zjeść na obiad?

Znów przymknęła oczy.

- Jest jeszcze trochę mleka? - zapytała.

- Pół kwarty jest w lodówce - odpowiedział. - Spróbuję kupić więcej. To jednak niełatwe. Wczoraj nigdzie nie było mleka.

- Ming powinien się napić - zauważyła. - Zawsze mu to dobrze zrobi. I w spiżarni są trzy puszki króliczego mięsa. Otwórz jedną, daj mu część na obiad, a resztę schowaj w lodówce. On bardzo lubi królika. A o obiedzie dla mnie nie myśl, dopóki nie wrócisz. Gdybym nabrała apetytu, może bym zjadła filiżankę papki kukurydzianej.

- Czy naprawdę mama może obejść się przez jakiś czas beze mnie?

- Naprawdę - zapewniła. Wyciągnęła do niego rękę. - Pocałuj mnie, zanim pójdziesz.

Ucałował zwiędłe policzki, a ona wtedy opadła na poduszkę z powrotem, uśmiechnięta.

Wyszedł z domu i udał się do gmachu Organizacji Badań. Nie było tam nikogo, ale w jego pracowni na biurku leżało codzienne sprawozdanie o rozprzestrzenianiu się radioaktywności. Znalazł kartkę od swojej sekretarki przypiętą do sprawozdania. Dziewczyna zawiadamiała go, że czuje się niedobrze i pewnie już nie przyjdzie do biura. Dziękowała mu za to, że zawsze był dobry dla niej, gratulowała zwycięstwa w wyścigu i na koniec zapewniała, że bardzo jej było przyjemnie dla niego pracować.

Odłożył tę kartkę i wziął sprawozdanie. Przeczytał, że w Melbourne prawie pięćdziesiąt procent mieszkańców wykazuje objawy choroby popromiennej. Siedem wypadków zanotowano w Hobart na Tasmanii i trzy w Christ-church w Nowej Zelandii. Sprawozdanie to, prawdopodobnie ostatnie, jakie otrzymał, było znacznie krótsze niż zazwyczaj.

Przeszedł przez puste biura i pracownie, tu i ówdzie przeglądając leżące na wierzchu pisma. Ta faza jego życia dobiegała końca, tak samo zresztą jak wszystkie inne. Nie został tam zbyt długo, bo dręczyła go myśl o matce. Wyszedł i część drogi odbył jednym z kursujących dorywczo, zatłoczonych tramwajów. Motorniczy był w tym tramwaju, ale konduktora nie było; czasy płacenia za bilety już się skończyły. John Osborne zaczął rozmawiać z motorniczym.

- Będę prowadził ten cholerny tramwaj - rzekł motorniczy - dopóki się nie rozchoruję, kolesiu. - Wtedy zjadę do remizy i pójdę do domu. Bo ja tam przy remizie mieszkam, pan rozumie? Jestem tramwajarzem od trzydziestu siedmiu lat, jeżdżę ciągle,



czy słońce, czy deszcz, więc nie przestanę teraz.

W Malvern wysiadł z tramwaju i ruszył na poszukiwanie mleka. Szybko stwierdził, że to beznadziejne; w mleczarniach niewielkie ilości mleka, jakie były, zarezerwowano dla niemowląt. Wrócił do domu z pustymi rękami.

Zaraz po przyjściu zabrał pekińczyka z ogrodu, przypuszczając, że matka będzie chciała go zobaczyć. Poszedł na górę do jej sypialni za pieskiem skaczącym po schodach.

W sypialni zastał matkę z oczami zamkniętymi, leżącą na wznak, w świeżej czystej pościeli. Podszedł trochę bliżej i dotknął jej ręki, ale ona już nie żyła. Na stoliku przy łóżku stała szklanka z wodą i leżała kartka zapisana ołówkiem obok jednego z tych małych pudełeczek z czerwonej tektury, otwartego, i pustej fiolki. Nie wiedział dotychczas, że ona to miała.

Sięgnął po tę kartkę. Przeczytał:

*Mój kochany synu*

*To wręcz absurd, żebym miała psuć ostatnie dni Twojego życia, kurczowo trzymając się własnego, będącego już dla mnie takim nieznośnym ciężarem. Nie zawracaj sobie głowy moim pogrzebem. Po prostu zamknij te drzwi i zostaw mnie w moim łóżku, w moim pokoju wśród tych wszystkich moich rzeczy. Będzie mi tak zupełnie dobrze.*

*Zrób z Mingiem to, co uznasz za najlepsze. Bardzo, bardzo mi go żal, ale ja nic nie mogę dla niego zrobić.*

*Cieszę się ogromnie, że wygrałeś ten wyścig.*

*Mój najdroższy synku*

*Matka*

Parę łez spłynęło mu po policzkach, ale tylko parę. Mama zawsze miała rację, odkąd pamiętał, i teraz znów postąpiła słusznie. Z sypialni zszedł na dół do salonu,

pograżony w głębokiej zadumie. Sam jeszcze nie jest chory, ale to może być kwestia zaledwie godzin. Piesek przybiegł za nim; siadając w fotelu wziął pieska na kolana i zaczął pieścić jego jedwabiste uszy.

Wkrótce potem wstał, wypuścił pekińczyka do ogrodu i poszedł do apteki za rogiem ulicy. Ku jego zdumieniu przy kontuarze była jakaś dziewczyna; dała mu czerwone tekturowe pudełeczko.

- Wszyscy po to przychodzą - rzekła z uśmiechem. - Ruch w interesie.

Też się uśmiechnął.

- Ja bym prosił o pastylkę w czekoladzie.

- Ja także bym taką chciała - odrzekła. - Ale chyba takich nie wyprodukowali.

Zażyję swoją z lodami i wodą sodową.

Znów się do niej uśmiechnął i zostawił ją za kontuarem. Wrócił do domu, zawołał pieska z ogrodu i zabrał się do przygotowania mu obiadu w kuchni. Otworzył jedną z tych puszek i podgrzał królicze mięso w piecu, po czym rozgniół cztery kapsułki nembutalu. Wymieszał je porządnie z mięsem w miseczce, postawił miseczkę przed pekińczykiem, żarłocznie rzucającym się na jedzenie, i przysunął jego koszyk w ciepło pieca.

Wyszedł do hallu i przez telefon zamówił sobie w klubie pokój sypialny na najbliższy tydzień. Potem ruszył do swego pokoju, żeby spakować potrzebne rzeczy.

W pół godziny później wrócił do kuchni; pekińczyk leżał w koszyku bardzo senny. Fizyk przeczytał uważnie przepis na tekturowym pudełeczku i zrobił mu zastrzyk; psina prawie nie poczuła ukłucia.

Gdy już był pewny, że piesek nie żyje, zaniósł go w koszyku na górę i postawił koszyk przy łóżku matki.

Potem wyszedł z domu.

Noc z wtorku na środę była dla Holmesów prawie bezsenną nocą. Jennifer zaczęła płakać o drugiej nad ranem i nie można jej było uspokoić prawie do samego świtu. Niewiele było czasu na sen dla młodego ojca i dla młodej matki. Około godziny siódmej dziecko zwymiotowało.

Za oknami dzień wstawał deszczowy i zimny. Peter i Mary patrzyli na siebie w szarym dziennym świetle, sami znużeni i jacyś słabi. Mary zapytała:

- Peter... ty chyba nie myślisz, że to jest to, prawda?

- Nie wiem - odpowiedział. - Ale możliwe, że tak. Wszyscy, zdaje się, zaczynają już chorować.

Pełnym znużenia gestem przeciągnęła ręką po czole.

- Myślałam, że nam się nic nie stanie tu na wsi.

Nie wiedział, co mówić, żeby ją pocieszyć, więc ostatecznie rzekł:

- Gdybym nastawił czajnik, napiłabyś się herbaty? Podeszła znów do łóżeczka i popatrzyła na Jennifer; dziecko na razie nie płakało. Zapytał znów:

- Zaparzyć herbatę?

"To by mu dobrze zrobiło - pomyślała - prawie nie spał tej nocy". Zmusiła się do uśmiechu.

- Z przyjemnością się napiję - powiedziała. Poszedł do kuchni. Mary czuła się okropnie i zbierało jej się na wymioty. Uznała, że to z braku snu, oczywiście, i ze zdenerwowania z powodu choroby Jennifer. Peter jest zajęty w kuchni; mogłaby cichutko pójść do łazienki, tak żeby on nie wiedział. Mdłości to u niej rzecz częsta, ale tym razem on mógłby pomyśleć, że to coś innego, i martwić się o nią.

W kuchni pachniało stęchlizną, czy też może tak się tylko wydawało. Peter napełnił czajnik wodą z kranu i zakręcił kurek: włączył kuchenkę elektryczną i z ulgą stwierdził, że nadal jest dopływ prądu. Któregoś dnia elektryczność zawiedzie i wtedy zaczną się prawdziwe kłopoty.

Duchota w kuchni panowała nieznośna; na oścież otworzył okno. Było mu gorąco, potem nagle znów zrobiło się zimno, a potem chwyciły go mdłości. Cicho ruszył do łazienki, ale drzwi zastał zamknięte; widocznie Mary tam jest. Nie ma celu jej niepokoić; kuchennymi drzwiami wyszedł w deszcz i zwymiotował w osłoniętym rogu podwórka za garażem.

Został tam przez jakiś czas. Gdy wrócił, był blady i rozdygotany, ale czuł się już lepiej. Woda w czajniku kipiała, więc zaparzył herbatę i z tacą wszedł do sypialni. Mary

już wróciła i stała teraz pochylona nad łóżeczkiem dziecka. Powiedział:

- Jest herbata.

Nie odwróciła się w obawie, że jej wygląd mógłby ją zdradzić. Powiedziała:

- Och, dziękuję. Nalej mi. Zaraz przyjdę.

Nie czuła się na siłach pić teraz cokolwiek, ale chciała, żeby on się napił.

Napełnił obie filiżanki i siedząc na brzegu łóżka zaczął popijać ze swojej; gorąca herbata łagodziła ból żołądka. Wkrótce potem upomniał Mary:

- No chodź już, kochana. Herbata ci wystygnie. Podeszła trochę niechętnie; może uda jej się wypić bodaj odrobinę. Spojrzała na niego i zobaczyła, że jego szlafrok jest mokry od deszczu. Wykrzyknęła:

- Peter, ty zmokłeś! Wychodziłeś na dwór?

Zerknął na swój rękaw; zupełnie o tym zapomniał.

- Musiałem wyjść - powiedział.

- Ale po co?

Nie mógł dłużej udawać.

- Po prostu zrobiło mi się niedobrze - przyznał. - Ale to chyba nic takiego.

- Och, Peter! Ze mną było to samo.

Może przez minutę patrzyli na siebie bez słowa. Potem Mary rzekła posepnie:

- To na pewno te pierogi z mięsem, które jedliśmy na kolację. Nic w nich nie poczułeś?

Potrząsnął głową.

- Smakowały mi nawet. Zresztą Jennifer nie jadła przecież ani jednego.

- Peter - zapytała Mary - myślisz, że to jest to? Wziął ją za rękę.

- Przecież wszyscy inni na to chorują - powiedział. - Czy właśnie my byśmy mieli być odporni?

- Nie. - Zamyśliła się. - Nie. Chyba nie. - Podniosła wzrok. - Wiec to już koniec, prawda? To znaczy, będziemy tylko coraz bardziej i bardziej chorzy, dopóki nie umrzemy?

- Myślę, że tak właśnie to wygląda - powiedział. Uśmiechnął się do niej. - Nigdy

tego nie przechodziłem, ale taki podobno jest przebieg.

Zostawiła go w sypialni i poszła do hallu; po chwili wahania ruszył za nią. Stała przy oszklonych drzwiach prowadzących do ogrodu i patrzyła na ten swój ukochany ogród, teraz szary, zimowy, wymieciony wiatrem.

Tak bardzo żałuję, że nie zdobyliśmy się na kupienie tej ławki - rzekła nedorzecznie. - Z ławką byłaby tak uroczym tam pod tym murem.

- Mógłbym dziś spróbować jakąś kupić - powiedział. Odwróciła się do niego.

- Nie możesz, jeżeli jesteś chory.

- Zobaczę, jak się będę czuł później. Przecież lepiej czymś się zająć niż siedzieć z założonymi rękami i rozmyślać, jacy jesteśmy nieszczęśliwi.

Rozpromieniła się.

- Ja już czuję się lepiej... chyba. Mógłbyś zjeść coś na śniadanie?

- No, nie wiem - zastanowił się. - Nie wiem, czy czuję się aż tak dobrze, żeby jeść.

A co masz?

- Półtorej kwarty mleka. Można by dostać jeszcze?

- Myślę, że tak. Pojechałbym samochodem.

- No i są płatki owsiane. Na opakowaniu jest napis, że one zawierają mnóstwo glukozy. To chyba dobre przy mdłościach, prawda?

Przytaknął.

- Wezmę teraz prysznic - oznajmił. - Prysznic powinien dobrze mi zrobić.

Zrobił to; gdy z łazienki przeszedł do sypialni, Mary krzątała się w kuchni przygotowując śniadanie. Zdumiony usłyszał jej śpiew, wesołą piosenkę, w której powtarzało się pytanie, kto wypolerował słońce. Zajrzał do kuchni.

- Humor ci się poprawił - zauważył. Podbiegła do niego.

- Bo to taka ulga - powiedziała i teraz zobaczył, że ona, śpiewając, trochę popłakiwała. Wziął ją w objęcia i otarł łzy z jej policzków, zupełnie zdezorientowany.

- Tak strasznie się martwiłam - wyszlochała. - Ale teraz już wszystko będzie dobrze.

Nie będzie dobrze, będzie tak źle, że już by gorzej być nie może, pomyślał, ale

tego nie powiedział.

- Czym się martwiłaś? - zapytał łagodnie.

- Ludzie zaczynają chorować w różnym czasie - wyjaśniła. - Tak słyszałam.

Niektórzy mogą zachorować nawet o dwa tygodnie później niż inni. Ja mogłabym rozchorować się pierwsza i musiałabym zostawić ciebie... albo Jennifer... albo ty mógłbyś nas zostawić same. To byłby koszmar...

Spojrzała mu w oczy, uśmiechając się przez łzy.

- Ale teraz już wiadomo, że chorujemy razem, że to się u nas zaczęło tego samego dnia. Naprawdę mamy szczęście!

W piątek Peter Holmes znów pojechał Morrisem do Melbourne, oficjalnie po to, by szukać ławki ogrodowej. Pędził szybko, bo nie mógł długo pozostawać poza domem. Chciał jednak złapać gdzieś Johna Osborne'a, i to bezzwłocznie; najpierw skierował się do jego garażu, ale garaż był zamknięty; potem szukał go w biurach Organizacji Badań. Ostatecznie trafił do jego pokoju w Klubie Pasterskim; John był bardzo mizerny i wyraźnie schorowany.

- John - powiedział Peter. - Przepraszam, że ci zawracam głowę. Jak się czujesz?

- Już to mam - odrzekł fizyk. - Trzeci dzień. A ty?

- Właśnie w tej sprawie chciałem się z tobą zobaczyć. Nasz lekarz nie żyje już chyba... w każdym razie nie pracuje. Słuchaj, John, my oboje, Mary i ja, zaczęliśmy na dwie strony we wtorek. Z nią jest dosyć niedobrze. Ale ja w czwartek, to znaczy wczoraj, przestałem chorować. Jej nic nie mówiłem, ale czuję się teraz naprawdę zdrowy i wściekle jestem głodny. Zatrzymałem się w kawiarni po drodze i zjadłem śniadanie... jajka na boczku i wszystkie te jarzynki, a jednak jeść mi się chce dalej. Mam wrażenie, że mój organizm to zwalcza. Słuchaj... czy może tak być?

- Nie - rzekł fizyk. - Poprawa tylko chwilowa. Można poczuć się lepiej, ale potem to znów się zaczyna.

- Co znaczy "chwilowa"?

- Na dziesięć dni, przypuścimy. Ale później to wraca. Nie sędzę, żeby poprawa

mogła nastąpić jeszcze raz. Powiedz, Mary bardzo źle się czuje?

- Nie za dobrze. Muszę dość szybko do niej wrócić.

- Leży w łóżku, prawda?

- Ależ skąd! - odpowiedział Peter. - Jeździła dziś ze mną do Falmouth, żeby kupić kulki na mole.

- Kupić co?

- Kulki na mole. Naftalinę... wiesz. - Umilkł. - Zależało jej na tym - powiedział. - Zostawiłem ją przy wyciąganiu wszystkich rzeczy z szafy, bo chce je wytrzeć, żeby nie wkradły się mole. Jeszcze ma siłę to robić między atakami bólów i najważniejsze, że chce to robić. - Powrócił do sprawy, z którą przyjechał, - Słuchaj, John, więc mam przed sobą tydzień czy dziesięć dni zdrowia, ale później już żadnych szans?

- Ani żdźbła nadziei, mój stary - odrzekł fizyk. - Nikt tego nie przeżyje.

Wykończeni będą wszyscy co do jednego.

- No, zawsze lepiej wiedzieć - zauważył Peter. - Złudzenia nie zdadzą się na nic. Powiedz, mógłbym coś zrobić dla ciebie? Za chwilę będę musiał spieszyć się z powrotem do Mary.

Fizyk potrząsnął głową.

- Prawie wszystko już sobie załatwiłem. Jeszcze parę spraw zostało mi na dzisiaj, ale chyba dam sobie z tym radę.

Peter wiedział, że John Osborne ma obowiązki w domu.

- Jak się czuje twoja matka? - zapytał.

- Nie żyje - padła krótka odpowiedź. - Mieszkam teraz tutaj.

Pomyślał o Mary.

- Czas już na mnie - pożegnał się. - Powodzenia, staruszk.

John Osborne uśmiechnął się blado.

- Do widzenia - odpowiedział.

Po wyjściu młodego oficera wstał z łóżka i przeszedł przez korytarz. Wrócił do pokoju w pół godziny później, znacznie słabszy, z ustami wykrzywionymi odrazą do swego nędznego ciała. Zdawał sobie sprawę, że cokolwiek ma do załatwienia, musi załatwić

to dzisiaj; jutro już nie będzie zdolny.

Ubrał się starannie i zszedł do hallu. Zajrzał na oszkloną werandę; ogień tam płonął w kominku i Sir Douglas Froude siedział samotnie nad kieliszkiem kseresu. Zobaczył ciotecznego wnuka.

- Dzień dobry, John. Jak ci się spało? Fyzyk poinformował go zwięźle:

- Bardzo źle. Zaczynam chorować.

Starszy pan stroskany zwrócił ku niemu swe czerwone oblicze.

- Drogi chłopcze! Przykro mi to słyszeć. Wszyscy teraz, zdaje się, chorują. Czy wiesz, musiałem pójść do kuchni i sam sobie ugotować śniadanie! Masz pojęcie, w takim klubie!

Mieszkał w Klubie Pasterskim od trzech dni, to jest od śmierci swojej siostry, która prowadziła mu dom w Macedon.

- No, ale przyszedł Collins, wiesz, ten portier, i on nam ugotuje coś na obiad. Bo ty chyba będziesz dziś jadł obiad tutaj?

John Osborne wiedział, że nie będzie jadł obiadu nigdzie.

- Niestety, dziś nie mogę, wuju. Muszę wyjść.

- Och, jaka szkoda. Miałem nadzieję, że pomożesz nam pić ten portwejn.

Doszliśmy do ostatniej skrzynki... Więc jest jeszcze z pięćdziesiąt butelek. Powinniśmy z tym zdażyć.

- A wuj jak się czuje?

- Wyśmienicie, mój chłopcze, wyśmienicie. Trochę byłem chwiejny po kolacji wczoraj wieczorem, ale zaiste, to chyba sprawił burgund. Wydaje mi się, że burgunda nie należy mieszać zanadto z innymi winami. We Francji za dawnych czasów, jeżeli piło się burgund, to tylko z pucharu o pojemności pinta, czy też jaką tam oni mieli miarę, i już nie zaglądało się do żadnych innych butelek tego wieczora. No, ale wróciłem tu jeszcze wczoraj i spokojnie wypilem sobie koniaczek z wodą sodową i kawałkiem lodu, i wierzaj mi, kiedy wracałem do siebie na górę, byłem znów w formie. Właśnie. I bardzo dobrze spałem tej nocy.

Fyzyk zastanowił się, jak długo może się utrzymać odporność na chorobę



popromienną wytworzona przez alkohol. Dotychczas, o ile mu było wiadomo, nikt nie prowadził nad tym żadnych badań; teraz nadarzała się sposobność, tylko kto miał je przeprowadzać?

- Niestety, nie mogę zostać na obiedzie - powtórzył. - Może jednak zobaczymy się wieczorem.

- Będę tutaj, mój chłopcze, będę tutaj. Tom Fotherington był wczoraj na kolacji i powiedział, że przyjdzie dziś rano, ale jakoś go nie widać. Mam nadzieję, że nie jest chory.

John Osborne wyszedł z klubu i powędrował ulicą pod drzewami jak we śnie. Ferrari gwałtownie wymaga jego opieki, więc trzeba iść do garażu; dopiero potem odpoczynek. Minał otwarte drzwi apteki i zatrzymał się wahając; ostatecznie tam wszedł. W aptece panował nieporządek i nie było nikogo. Pośrodku stała skrzynia bez wieka pełna tekturowych czerwonych pudełeczek, cała też ich sterta piętrzyła się na ladzie pomiędzy lekami na kaszel i pomadkami do ust. Wziął jedno pudełeczko, wrzucił je w kieszeń i powędrował dalej.

Gdy rozsunął podwójne drzwi garażu, Ferrari stał naprzeciw niego tak, jak został postawiony, gotowy do natychmiastowego użytku. Po wyścigu o Grand Prix był bez jednej choćby rysy, w takim stanie, jakby wyjechał prosto z fabryki. Wciąż jeszcze wspaniale jest go posiadać, tym bardziej po uzyskaniu tej nagrody. John Osborne czuł się zbyt chory, żeby go teraz prowadzić - teraz czy kiedykolwiek jeszcze, ale wiedział, że nigdy nie będzie czuł się tak źle, żeby nie móc go dotykać, zajmować się nim, pracować przy nim. Zdjął marynarkę, powiesił ją na gwoździu i zabrał się do pracy.

Przede wszystkim koła trzeba podnieść lewarkiem i podłożyć cegły pod podwozie, żeby opony nie dotykały ziemi. Wysiłki, jakie pociągnęło za sobą manewrowanie ciężkim lewarkiem, kręcenie korbą i przynoszenie cegieł, sprawiły, że znów wszystko się w nim poruszyło. W garażu nie było toalety, ale za garażem znajdowało się zaśmiecone podwórko z czarnymi, brudnymi od smarów wyrzuconymi częściami staromodnych, zapomnianych samochodów. Wycofał się tam i wkrótce potem wrócił jeszcze słabszy, jeszcze bardziej zdecydowany nie odkładać tej roboty do jutra.

Zdażył podnieść wszystkie cztery koła, zanim chwycił go następny atak. Zaczął wypuszczać wodę z chłodnicy, gdy nagle poczuł, że znów musi wyjść na podwórko. Nie szkodzi, bo praca jest już łatwa. Po powrocie odjął klemy od baterii i natłuścił kontakty. Wyciągnął wszystkie sześć błyszczących świec, napełnił cylindry olejem i mocno przykręcił świece z powrotem.

Później oparł się o samochód; już nic się z Ferrari nie stanie. Gdy wrócił do garażu, zaczynało zmierzchać. Nic więcej nie było do roboty, żeby uchronić przed zniszczeniem ten samochód, który on tak bardzo kochał, a przecież został przy nim odwołując chwilę odejścia, bojąc się, że jeszcze jeden atak mógłby go złapać w drodze powrotnej do klubu.

Po raz ostatni zapragnął usiąść za kierownicą, popatrzeć na tablicę rozdzielczą. Hełm i okulary leżały na siedzeniu; nasunął hełm głęboko na głowę, okulary powiesił sobie na szyi pod brodą. Wsiadł do samochodu.

Przyjemnie, znacznie przyjemniej, niż byłoby w klubie. Kierownica pod jego rękami miała w sobie coś pocieszającego, trzy małe tarcze na wielkim liczniku obrotów były jak stare przyjaciółki. Ten samochód wygrał dla niego wyścig, będący szczytowym momentem jego życia. Po co męczyć się jeszcze, żyć niepotrzebnie dalej?

Wyjął z kieszeni czerwone tekturowe pudełeczko, wysypał z fiolki tabletki i pudełeczko rzucił na ziemię. Nie chciał tego przedłużać; właśnie tak jest najlepiej.

Wziął obie tabletki do ust i z wysiłkiem je połknął.

Peter Holmes prosto z klubu pojechał na ulicę Elizabeth, do sklepu z artykułami żelaznymi, w którym kupił kosiarkę. Sklep był zamknięty, ale potem ktoś najwidoczniej wywalił drzwi i zaczął plądrować, tak że teraz każdy mógł wejść i wziąć, co chciał. Dość mrocznie było wewnątrz, bo elektryczność w całym tym wielkim sklepie wyłączono. Dział ogrodniczy mieścił się na drugim piętrze; Peter wszedł tam po schodach i przypominając sobie, gdzie widział ławki ogrodowe, szybko do nich trafił. Wybrał jedną, dosyć lekką, z jaskrawą tapicerską poduszką do zdejmowania, która z pewnością mogła spodobać się Mary i zarazem służyć przy transporcie za podkładkę chroniącą przed porysowaniem

dachu samochodu. Mozolnie staszczył ławkę po schodach na ulicę i wrócił po tę poduszkę i jakąś linkę. Znalazł przy jednym z kontuarów zwój sznurów do wieszania bielizny. Gdy dźwignął w końcu ławkę na przykryty poduszką dach Morrisa, miał czym przywiązać ją misternie do wszystkich możliwych jego części. Z tym bagażem wyruszył w powrotną drogę do domu.

Nadal miał wilczy apetyt i czuł się bardzo dobrze. Nie powiedział Mary o tej poprawie ani nie zamierzał mówić jej teraz; to by tylko ją zdenerwowało, kiedy jest już spokojna, że wszyscy umrą razem. Po drodze zatrzymał się przed tą samą kawiarnią, w której zjadł śniadanie i którą wciąż jeszcze prowadziło dwoje piwoszków, najwyraźniej cieszących się wyjątkowo dobrym zdrowiem. Podali mu gorący rostbef na obiad; zjadł dwie porcje, a potem spory talerz gorącej leguminy. Po namyśle kazał im przygotować wielką paczkę kanapek z polędwicą; postanowił je zostawić w bagażniku, żeby Mary o tym nie wiedziała, i w tajemnicy przed nią wymknąć się wieczorem na tę kolacyjkę.

Podjechał pod dom wcześniej po południu; nie zdejmując ławki z dachu samochodu wszedł do mieszkania. Zastał Mary leżącą na łóżku, na pół ubraną, pod puchową kołdrą; w całym domu było jakoś zimno i wilgotnie. Usiadł przy niej na łóżku.

- Jak się teraz czujesz? - zapytał.

- Strasznie - powiedziała. - Peter, tak się martwię o Jennifer. Ona nie chce ani jeść, ani pić, ani zażyć żadnego lekarstwa i wciąż wszystko brudzi. - Dodała jeszcze parę szczegółów.

Przeszedł przez pokój i spojrzał na dziecko w łóżeczku. Schudło i zmizerniało tak jak sama Mary. Najwyraźniej obie były bardzo chore.

Mary zapytała:

- Peter... ale jak ty się czujesz?

- Niezbyt dobrze - odpowiedział. - Dwa razy wymiotowałem, kiedy jechałem w tamtą stronę i raz w drodze powrotnej. Jeśli chodzi o tę drugą sprawę, to biegam nieustannie.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie powinienesz być tam jechać... Uśmiechnął się do niej.

- W każdym razie mam dla ciebie ławkę. Twarz jej się nieco rozjaśniła.

- Naprawdę? Gdzie ją masz?

- Na samochodzie - odrzekł. - Ale ty leż i nie zięb się. Napalę w kominku, to od razu zrobi się przytulniej. Potem ściągnę tę ławkę z samochodu i będziesz ją mogła zobaczyć.

- Nie mogę się położyć na dobre - powiedziała ze znużeniem w głosie. - Jennifer trzeba wszystko zmienić.

- Ja się tym zajmę... przed wszystkim innym. - Poprowadził ją delikatnie do łóżka.

- Leż i nie zięb się.

W godzinę później na palenisku w saloniku huczał ogień, a ławka stała w ogrodzie pod murem tak, jak Mary to sobie umyśliła. Widać ją było przez oszklone drzwi, jaskrawiącą się barwami poduszki.

- Prześliczna jest - zaopiniowała Mary. - Akurat taka, jakiej nam było potrzeba w tym rogu. Szalenie miło będzie tam siedzieć w letnie wieczory... - Za szybami szarzało zimowe popołudnie i siąpił deszcz. - Peter, teraz, kiedy ją już widziałam, czy mógłbyś zabrać tę poduszkę na werandę? Albo lepiej przynieś ją tutaj i niech leży, dopóki nie skończą się deszcze. Żeby nam się nie zniszczyła przed latem.

Przyniósł poduszkę i przesunęli łóżeczko dziecka do tego cieplejszego pokoju.

Mary zapytała:

- Peter, nie zjadłbyś czegoś? Jest mnóstwo mleka, gdybyś mógł je pić.

Potrząsnął głową.

- Nic bym nie przełknął - powiedział. - A ty? Potrząsnęła głową.

- Może ci przygotować grzany koniak z cytryną? - zaproponował.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Mogłabym spróbować. - Owinęła się szczelniej szlafrokiem. - Tak mi zimno...

Ogień buzował w kominku.

- Wyjdę i przyniosę jeszcze drzewa - powiedział. - A potem zagrzeję ci koniak.

Wyszedł na podwórko w gęstniejący mrok, korzystając ze sposobności otworzył bagażnik Morrisa i zjadł trzy kanapki z polędwicą. Potem wrócił do saloniku z polanami w

koszu. Mary stała przy łóżeczku.

- Tak długo - rzekła z wyrzutem. - Co tam robiłeś?

- Miałem trochę kłopotu - powiedział. - Chyba znów przez te pierogi z mięsem.

Złagodniała.

- Biedny mój staruszek Peter. Wszyscy jesteśmy w takiej sytuacji. - Pochyliła się nad łóżeczkiem i pogłaskała dziecko po czole. Jennifer leżała teraz bezwładnie, najwidoczniej zbyt osłabiona, żeby płakać. - Peter, wydaje mi się, że ona umiera...

Przygarnął ją do siebie.

- Ja też umieram - rzekł spokojnie. - I ty też. Nikt z nas długo nie pociągnie.

Przyniosłem czajnik. Więc wypijmy już ten koniak.

Odciągnął ją od łóżeczka w ciepło potężnego ognia, który jeszcze podsycił. Usiadła na podłodze przy kominku; dał jej gorący koniak z wodą i odrobiną wyciśniętej cytryny. Siedziała popijając, wpatrując się w płomienie i zrobiło jej się trochę lepiej. Sobie też przyrządził koniak; milczeli przez kilka minut.

Wreszcie odezwała się Mary:

- Peter, dlaczego to musiało stać się z nami? Czy dlatego, że była wojna na wschodzie?

Przytaknął.

- Ogólnie biorąc, dlatego. Ale nie tylko. Bombardowanie, które doprowadziło do zagłady, zaczęły najpierw Ameryka, Anglia i Rosja.

- My jednak nie mieliśmy z tym nic wspólnego, prawda?... My tutaj w Australii?

- Dawaliśmy Anglii poparcie moralne - wyjaśnił jej. - Na to, żebyśmy jej dali jakieś inne poparcie, chyba nie było czasu. Bo wszystko razem skończyło się w ciągu miesiąca.

- I nikt nie mógł tego przerwać?

- Nie wiem... Bywają takie idiotyzmy, których nie da się po prostu przerwać. To znaczy, jeżeli paręset milionów ludzi decyduje, że ich honor narodowy wymaga, żeby rzucali bomby kobaltowe na swego sąsiada, przecież nie bardzo ty czy ja możemy temu zaradzić. Nadzieja byłaby tylko w wypadku, gdyby ich się zaczęło uczyć rozumu.

- Ale w jaki sposób, Peter? Przecież to już nie były dzieci w szkole.

- Gazety - powiedział. - Prasa mogła coś zdziałać. Ale myśmy tego nie robili. Żaden naród tego nie robił, bo wszyscy byliśmy za głupi. Lubiliśmy nasze gazety z fotografiami dziewczyn na plaży i z nagłówkami o takich czy innych wypadkach obraży moralności i żaden rząd nie był na tyle mądry, żeby ten stan rzeczy zmienić. Z pewnością prasa mogłaby coś zdziałać, gdybyśmy byli dostatecznie rozsądni.

Mary niezupełnie zrozumiała jego wywody.

- Cieszę się, że teraz nie mamy gazet. Znacznie milej jest bez nich - powiedziała.

Ale zaraz dostała skurczów i musiał pomóc jej dojść do łazienki. Od drzwi wrócił do saloniku i stanął nad dzieckiem. Widać było, że ono jest w stanie bardzo ciężkim, jednak nic nie mógł na to poradzić; wątpił, czy Jennifer przeżyje tę noc. Mary też jest w ciężkim stanie, ale nie aż takim. Tylko on z nich trojga jest zdrowy i nie wolno mu się z tym zdradzić.

Myśl o tym, że może będzie żył dłużej niż Mary, przeraziła go. Nie wytrzymałby w tym mieszkaniu; w ciągu tych kilku dni, jakie by mu zostały, nie miałby dokąd iść, nie miałby co ze sobą zrobić. Przemknęło mu przez głowę, że gdyby "Skorpion" był jeszcze w Williamstown, mógłby popłynąć z Dwightem Towersem i skończyć w morzu, w morzu, któremu przecież poświęcił życie. Ale po co mu to? Niepotrzebny mu ten nadprogramowy czas uzyskany tylko dlatego, że taki kaprys ma jego przemiana materii. On chce być z żoną i dzieckiem.

Mary zawołała go z łazienki, więc poszedł, żeby ją przyprowadzić z powrotem do saloniku. Usadowił ją znów przy tym wielkim ogniu; była zziębnięta i drżała. Dał jej jeszcze jedną szklaneczkę gorącego koniaku z wodą i narzucił jej na ramiona puchową koldrę. Siedziała trzymając szklankę w obu rękach, usiłując powstrzymać dreszcze.

Po długiej chwili zapytała:

- Peter, co z Jennifer?

Wstał i podszedł do łóżeczka, potem wrócił do niej.

- Spokojna jest teraz - powiedział. - Myślę, że gorzej nie jest.

- A ty, jak się czujesz?

- Strasznie. - Pochylił się nad nią i wziął ją za rękę. - Myślę, że ty jednak jesteś

bardziej chora niż ja. - Uznał, że ona przecież powinna o tym wiedzieć. - Może o dzień czy dwa przebiega to u mnie wolniej niż u ciebie. Ale nie o więcej. Może dlatego, że mam mocniejszy organizm.

Wolno pokiwała głową. Zapytała:

- I nie ma już w ogóle żadnej nadziei? Ani dla niej, ani dla ciebie, ani dla mnie?

- Nie ma - powiedział. - Z tego nikt nie wyjdzie, kochana.

Powiedziała:

- Chyba jutro nie będę miała siły nawet na to, żeby pójść do łazienki. Peter, najdroższy, wolałabym załatwić to dzisiaj i *zabrać* Jennifer ze sobą. Uważasz, że to nieludzkie?

Pocałował ją.

- Uważam, że to rozsądne. Ja też pójdę z wami. Rzekła niepewnie:

- Ty nie jesteś tak bardzo chory jak my.

- Jutro będę - powiedział. - Na nic się nie zda przeciąganie tego.

Przycisnęła do siebie jego rękę.

- Jak zrobimy, Peter? Zastanowił się.

- Naleję gorącej wody do termoforów i położę je w łóżku - powiedział. - Potem ty włożysz czystą nocną koszulę, położysz się i porządnie okryjesz, żeby ci było ciepło. Ja wtedy przyniosę ci Jennifer. Potem zamknę dom i podam ci gorący koniak, i wypijemy go razem, i zażyjemy te tabletki.

- Pamiętaj, że trzeba wyłączyć elektryczność z sieci - przypomniała. - Bo myszy mogą przegryźć jakiś kabel i wywołać pożar.

- Wyłączę - zapewnił.

Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

- Czy to, co trzeba zrobić dla Jennifer, ty zrobisz? Poglaskał ją po włosach.

- Nie martw się - powiedział tklawie. - Ja zrobię. Nalał gorącej wody do gumowych worków i ułożył je w łóżku, poprawiając pościel, żeby wyglądała ładnie i świeżo. Potem wprowadził Mary do sypialni. Poszedł do kuchni, po raz ostatni nastawił czajnik i gdy woda się gotowała, przeczytał bardzo uważnie wskazówki wydrukowane na trzech

czerwonych pudełeczkach z tektury.

Napełnił wrzątkiem duży termos i z tacą, na której ustawił przy termosie dwie szklanki, koniak i talerzyk z połówką cytryny, wkroczył do sypialni. Potem przetoczył tam łóżeczko Jennifer. Mary w łóżku wyglądała czysto i ładnie; z wysiłkiem usiadła, gdy przysuwał do niej łóżeczko.

Zapytał:

- Mam ci ją dać? - Bo przyszło mu na myśl, że może będzie chciała potrzymać Jennifer przez chwilę.

Potrząsnęła głową.

- Zanadto jest chora. - Siedziała, patrząc na dziecko, po czym znużona osunęła się na poduszki. - Wolę myśleć o niej takiej, jaka była, kiedy byliśmy zdrowi. Zrób to jej, Peter, i niech już będzie po wszystkim.

Słusznie, pomyślał; lepiej robić te rzeczy szybko i nie rozpaczać nad nimi. Zaaplikował dziecku zastrzyk w rączkę. Potem rozebrał się, włożył czystą piżamę, pogasił światła w całym mieszkaniu, tak że paliła się już tylko nocna lampka, zastawił żelazną kratą palenisko w saloniku i wziął z kuchni jedną ze świec, które mieli w domu na wypadek, gdyby zabrakło prądu. Zapaloną świecę umieścił na stoliku przy łóżku i wyłączył elektryczność.

Położył się obok Mary, napełnił obie szklanki koniakiem i gorącą wodą z termosu, wcisnął cytrynę i z czerwonych tekturowych pudełeczek wyjął tabletki.

- Było mi cudownie - rzekła Mary cicho - odkąd się pobraliśmy. Dziękuję ci za wszystko, Peter.

Przycisnął ją do siebie i ucałował.

- Mnie też było wspaniale - powiedział. - I na tym skończmy.

Włożyli tabletki do ust i popili koniakiem.

Tego wieczora Dwight Towers zatelefonował do Moiry Davidson. Nie był pewny, gdy nakręcał jej numer, czy to połączenie zamiejscowe z Harkaway dojdzie do skutku i jeśli dojdzie, czy ktoś u niej w domu odbierze telefon. Ale automatyczna centrala wciąż



jeszcze pracowała, a Moira podniosła słuchawkę prawie natychmiast.

- No - powiedział. - Nie miałem dużej nadziei na to, że się połączę. Co słyhać u ciebie, kochanie?

- Niedobrze jest - odrzekła. - Myślę, że z mamą i tatusiem prawie koniec.

- A z tobą?

- Ze mną chyba też... prawie. A ty, Dwight, jak się czujesz?

- Powiedziałbym, że raczej wciąż tak samo. Dzwonię, żeby na razie się z tobą pożegnać, jutro rano odpłyniemy i zatopimy "Skorpiona".

- Nie wróćcie? - zapytała.

- Nie, dziecko. Już nie wrócimy. Mamy jeszcze to ostatnie zadanie do wykonania i na tym koniec. - W słuchawce zrobiła się cisza. - Telefonuję, żeby ci podziękować za te ostatnie pół roku - powiedział. - Wielkie znaczenie miało dla mnie to, że się widywaliśmy.

- I dla mnie to znaczyło wiele - powiedziała. - Dwight, gdybym zdołała, czy mogłabym przyjechać, żebyśmy się pożegnali nie przez telefon?

Zawahał się.

- Oczywiście - rzekł po chwili. - Czekać jednak nie możemy. Ludzie są już dosyć osłabieni i jeszcze słabsi będą jutro.

- O której godzinie odpływacie?

- O ósmej. Kiedy tylko zrobi się zupełnie jasno.

- Będę tam - oznajmiła.

Poprosił, żeby pożegnała od niego ojca i matkę, i zakończył tę rozmowę. Moira poszła do sypialni rodziców, gdzie oboje leżeli w swych małżeńskich zsuniętych łóżkach, bardziej chorzy niż ona. Przekazała im ukłony od Dwighta. Powiedziała o tym, że do niego pojedzie.

- Wrócę w porze obiadowej - dodała. Matka przytaknęła.

- Powinnaś tam jechać i pożegnać się z nim, córuchno. On naprawdę był twoim przyjacielem. Ale jeżeli po powrocie już tu nas nie zastaniesz, będziesz musiała to zrozumieć.

Moira usiadła na łóżku matki.

- Aż tak źle, mammo?

- Niestety tak, kochanie. A tatuś czuje się dzisiaj jeszcze gorzej ode mnie. Ale mamy wszystko, co trzeba w razie ostateczności.

Ze swego łóżka ojciec zapytał słabym głosem:

- Deszcz pada?

- W tej chwili nie, tatusiu.

- Czy wyszłabyś teraz i otworzyła wrota klątek rzeźnych na uliczkę, Moira?

Wszystkie inne wrota są pootwierane, ale te woły także muszą się do siana dostać.

- Zaraz tam pójde, tatusiu. Jeszcze coś mam zrobić? Pan Davidson przymknął oczy.

- Pożegnaj Dwighta ode mnie. Żałuję, że on nie mógł się z tobą ożenić.

- Ja też - szepnęła. - Ale to jest człowiek, który tak łatwo się nie przestawia.

Wyszła w wieczorną ciemność, otworzyła wrota od strony uliczki i sprawdziła, czy wszystkie inne wrota są otwarte; bydlę nigdzie nie było widać. Wróciła do domu i powiedziała, że polecenie spełniła; odetchnęła z ulgą. Poza tym niczego już od niej rodzice nie chcieli. Ucałowała ich oboje na dobranoc i sama położyła się spać, nastawiając budzik na godzinę piątą, żeby przypadkiem nie zasnęła.

Spała niewiele. W ciągu nocy cztery razy wychodziła do łazienki i wypita pół butelki koniaku, jedyne swego pokrzepienia, którego po przełknięciu zaraz nie zwracała. Gdy tylko budzik zaczął dzwonić, wzięła gorący prysznic, co bardzo ją odświeżyło, i ubrała się w czerwone spodnie i czerwoną koszulę, tak jak wtedy, przed wieloma miesiącami, gdy po raz pierwszy jechała na spotkanie z nie znanym jeszcze Dwightem. Umalowała się dosyć starannie i włożyła płaszcz. Potem otworzyła po cichutku drzwi sypialni rodziców i zajrzała przysłaniając ręką światło latarki elektrycznej. Ojciec chyba spał, ale matka uśmiechnęła się do niej z łóżka; oni także często wstawali tej nocy. Weszła na palcach i pocałowała matkę, po czym zaraz wyszła, cicho zamykając drzwi za sobą.

Wzięła ze spiżarni nie napoczętą butelkę koniaku, wsiadła do samochodu, włączyła silnik i wyjechała na szosę do Melbourne. W pobliżu Oakleigh zatrzymała się na

tej pustej szosie a w szarości świtu pociągnęła z butelki wielki łyk, po czym ruszyła w dalszą drogę.

Przejechała przez wyludnione miasto i inną już szosą, brudną, biegnącą wśród fabryk, skierowała się do Williamstown. Dotarła do stoczni kwadrans po siódmej; otwartą bramą, przy której nie było żadnych strażników, wjechała tam prosto do mola, gdzie stał lotniskowiec. Na kładce nie zobaczyła warty i żaden oficer dyżurny nie pokazał się, by zapytać, co ona tu robi. Wkroczyła na okręt, usiłując sobie przypomnieć, którądy szła, gdy Dwight miał oprowadzić ją po "Skorpionie". Wkrótce jednak natknęła się na amerykańskiego marynarza, który wskazał jej drogę do stalowego otworu działowego w boku lotniskowca i prowadzącej stamtąd schodni na okręt podwodny. Tam też spotkała innego marynarza.

- Jeżeli pan zobaczy kapitana Towersa, zechce go pan zapytać, czy mógłby przyjść i porozmawiać ze mną - powiedziała.

- Oczywiście, proszę pani - odrzekł. - Zaraz mu powiem.

I niedługo potem zobaczyła Dwighta.

Pomyślała, że chyba też jest bardzo chory, tak jak wszyscy. Wszedł do niej na górę i ujął obie jej ręce nie bacząc, że marynarze to widzą.

- Ładnie, że przyjechałaś pożegnać się ze mną. Co w domu, kochanie?

- Bardzo źle - poinformowała go znowu. - Tatuś i mama lada moment skończą i ja chyba także. To już koniec dla nas wszystkich dzisiaj. - Zawahała się i po chwili rzekła - Dwight, chcę cię o coś prosić.

- O co, kochanie?

- Zabierz mnie ze sobą w "Skorpionie". - Znów umilkła na chwilę. - Myślę, że do domu nie będę miała po co wracać. Tatuś powiedział, że samochód mogę po prostu zaparkować tutaj na ulicy i zostawić. Bo tatusiowi już niepotrzebny. Zabierzesz mnie ze sobą?

Milczał bardzo długo, więc wiedziała, że odpowiedź będzie "nie".

- Prosimi mnie dziś także czterej marynarze - powiedział. - Odmówiłem im wszystkim, bo Wuj Sam nie chciałby mieć kobiet na swoim okręcie. Dowodzę tym

okrętem przez cały czas zgodnie z regulaminem marynarki wojennej i niech tak już zostanie do samego końca. Nie mogę cię zabrać, kochanie. Każde z nas musi to przyjąć na swój własny sposób.

- W porządku - rzekła posępnie. Popatrzyła mu w oczy. - Masz dla nich te prezenty?

- Oczywiście - powiedział. - Mam... dzięki tobie.

- Powiedz Sharon o mnie - rzekła. - Nie mamy nic do ukrywania.

Dotknął jej ręki.

- Jesteś w tym samym stroju, w jakim byłaś, kiedyśmy się poznali.

Uśmiechnęła się smutno.

- Trzeba dbać, żeby on był stale zajęty... nie może być momentu nudy, bo jeżeli będzie miał czas na myślenie, może zacznie płakać. Czy dobrze wykonywałam swoje zadanie, Dwight?

- Bardzo dobrze, naprawdę - powiedział. Wziął ją w objęcia i pocałował, a ona mocno przytuliła się do niego.

Po chwili wysunęła się z jego objęć.

- Nie przedłużajmy tej udręki - powiedziała. - Powiedzieliśmy wszystko, co jest do powiedzenia. O której odpływacie?

- Już niedługo - rzekł. - Odbijemy za jakieś pięć minut. - Zastanowił się i podał jej bliższe szczegóły. - Trzydzieści mil przepłyniemy zatoką, a potem dwanaście mil po pełnym morzu. Czterdzieści dwie mile morskie. Nie będę tracił czasu. Powiedzmy, to będzie w dwie godziny i dziesięć minut po wypłynięciu stąd.

Przytaknęła powoli.

- Będę wtedy myślała o tobie. - I nagle dodała: - Idź już, Dwight. Może zobaczymy się kiedyś w Connecticut.

Przyciągnął ją do siebie, chciał jeszcze raz pocałować, ale nie pozwoliła.

- Nie... idź już. - W myśli dodała: Bo to ja *zacznę* płakać.

- Dobrze - powiedział. - Dziękuję za wszystko. Odwrócił się i odszedł schodnią do "Skorpion". Parę kobiet stało teraz razem z Moirą. Na lotniskowcu

nie było marynarzy, więc schodni nikt nie wciągnął. Moira patrzyła, jak Dwight wychodzi z wnętrza podwodnego okrętu na pomost i ujmuje ster, patrzyła, jak dolny koniec schodni odrywa się od "Skorpiona". Widziała linię rufy i moment odcumowania; patrzyła, jak Dwight mówi przez tubę, patrzyła, jak woda wiruje pod rozkołysaną rufą, gdy śruby powoli zaczynają się kręcić. Kropił już deszcz z szarego nieba. Dziób został odcumowany, marynarze zwinęli liny i zatrzasnęli stalową klapę w kiosku, gdy okręt powoli, wielkim łukiem, odpływał do tyłu od lotniskowca. Marynarze zniknęli, na pomoście został tylko Dwight z jednym oficerem. Zasalutował Moirze, a ona pomachała mu ręką, prawie już nie widząc przez łzy, jak okręt płynie za przylądek Gellibrand i znika w ciemnej szarości.

Razem z tamtymi kobietami odeszła od stalowego otworu działowego.

- Już nie ma po co dalej żyć - powiedziała. Jedna z kobiet odezwała się:

- No, toteż się nie musi, kotku.

Moira odpowiedziała jej półuśmiechem i spojrzała na zegarek. Trzy minuty po ósmej. Mniej więcej dziesięć po dziesiątej Dwight wyruszy do domu, do domu w małym miasteczku w stanie Connecticut, do domu, który kocha tak bardzo. Na nią, Moirę, w jej domu nic czeka już nikt; jeżeli ona pojedzie z powrotem do Harkaway, nie zastanie tam nic oprócz bydła i wspomnień. Dwight nie mógł jej zabrać, bo nie pozwala na to regulamin marynarki wojennej, i ona to rozumie. A przecież można być prawie przy nim, gdy on będzie wracał do domu... można być w odległości zaledwie dwunastu mil od niego. Jeżeli wtedy raptem ona ukaże się przy jego boku uśmiechnięta, może on ją jednak zabierze ze sobą i będzie mogła zobaczyć, jak Helen skacze z żabią laską.

Popędziła przez mroczne, grzmiące echami jaskinie wymarłego lotniskowca, trafiła na kładkę i wybiegła na molo do swego wielkiego samochodu. W baku było mnóstwo benzyny; poprzedniego dnia napełniła go z kanistrów ukrytych za sianem. Usiadła przy kierownicy i otworzyła torebkę; czerwone tekturowe pudełeczko jest. Odkorkowała butelkę i łyknęła sporą dozę nie rozcieńczonego koniaku: dobrze jej robił ten alkohol, od chwili wyjazdu z domu nie miała żadnych dolegliwości. Włączyła silnik, zakręciła na molo i wyjechała ze stoczni. Bocznymi szosami i przedmieściami Melbourne dotarła do

autostrady biegnącej w kierunku Geelong.

Na autostradzie dodała gazu, nieomal lecąc tym szlakiem bez żadnych przeszkód z szybkością siedemdziesięciu mil na godzinę - blada dziewczyna w jaskrawym karmazynowym kostiumie, niezupełnie trzeźwa, z włosami rozwianymi, za kierownicą wielkiego, szybkiego samochodu. Minęła Laverton i rozległe lotnisko, potem Werribee i farmę eksperymentalną, i dalej pędziła pustą autostradą na południe. Gdzieś w okolicach Corio nagle wstrząsnęły nią kurcze, aż musiała zatrzymać samochód i odejść w krzaki; wróciła do samochodu po piętnastu minutach, biała jak płótno, i przez długą chwilę piła koniak.

Potem jeszcze szybciej pojechała dalej. Minęła szkołę podstawową, widoczną z daleka po lewej stronie, przejechała odrapanymi ulicami przemysłowego Corio i wkrótce potem znalazła się w Geelong, gdzie wysoko ponad wszystkim wznosiła się katedra. Dzwony ze wspaniałej dzwonnicy nawoływały na jakieś nabożeństwo. Zmniejszyła szybkość, żeby przejechać przez to miasto, ale na jezdniach nie było nic prócz porzuconych samochodów przy krawężnikach. Po drodze widziała tylko trzy osoby, samych mężczyzn.

Za Geelong miała jeszcze czternaście mil jazdy do Barwon Heads i do morza. Mijając zalane pastwiska czuła, że siły ją opuszczają, ale to już nie było daleko. W piętnaście minut później zakręcała w szeroką aleję między żywopłotami - główną ulicę tej małej miejsciny. Przy końcu alei skręciła w lewo oddalając się od terenów golfowych i niedużej willi, w której spędziła tyle szczęśliwych godzin dzieciństwa; wiedziała, że już nigdy tego nie zobaczy. Była godzina dziesiąta za dwadzieścia, gdy skręciła w prawo na most, minęła pusty motel i wjechała na przylądek. Morze rozciągało się przed nią, szare i wzburzone z wielkimi bałwanami toczącymi się z południa na skalistą plażę w dole.

Pusty szary ocean pod niebem zaciągniętym chmurami, ale daleko na wschodzie w tych chmurach była szczelina i grot światła padał stamtąd na wodę. Zaparkowała samochód po drugiej stronie szosy tak, żeby widzieć morze jak najdalej, wysiadła, napiła się jeszcze koniaku z butelki i zaczęła wypatrywać okręt podwodny na horyzoncie. Potem odwróciła się ku latarni morskiej na cyplu Lansdale i ku wejściu na zatokę Port

Phillip i nagle ujrzała ten niski szary kształt w odległości niecałych chyba pięciu mil, sunący od strony cyplów na południe.

Szczegółów zobaczyć nie mogła, ale wiedziała, że Dwight jest tam na pomoście wyprowadzając swój okręt w rejs, ostatni z rejsów na świecie. Wiedziała, że on jej nie widzi, że nie wie, iż ona tu stoi i patrzy, a przecież pomachała mu ręką. Potem wsiadła z powrotem do samochodu, bo wiatr był ostry i zimny, z rejonów bieguna południowego, i czuła się bardzo źle. Równie dobrze mogła przecież patrzeć na niego ze schronienia, jakim był teraz samochód.

Siedziała więc w samochodzie i posępnie patrzyła, jak niski szary kształt sunie w dal we mgłę horyzontu. Butelkę trzymała na kolanie. Więc to koniec, sam, sam koniec.

Wkrótce potem okrętu podwodnego już nie widziała; zniknął zupełnie we mgle. Spojrzała na zegarek: minuta po dziesiątej. Raptem wpatrzona w mijanie tych ostatnich minut, powróciła myślą do religii z dawnych dziecięcych lat; jakoś to trzeba załatwić. Nieco pijana wymamrotała modlitwę przed jedzeniem.

Potem wyjęła z torebki czerwone tekturowe pudełeczko. Otworzyła fiolkę i wytrząsnęła tabletki na dłoń. Znów chwyciły ją kurcze. Uśmiechnęła się słabo.

- Przechytryłam cię, ty świństwo, tym razem...

Odkorkowała butelkę. Dziesięć po dziesiątej. Żarliwie, głośno poprosiła:

- Dwight, jeżeli jesteś już w drodze, zaczekaj na mnie.

Potem włożyła tabletki do ust, przełknęła i popiła koniakiem, siedząc przy kierownicy swego wielkiego samochodu.